

„KOLEJNY SUKCES FINDERA, KTÓRY JAK ZWYKLE OD RAZU PRZYSTĘPUJE
DO BUDOWANIA NAPIĘCIA”. – *KIRKUS REVIEWS*

Joseph FINDER

„MISTRZ WSPÓŁCZESNEGO THRILLERA”. – *BOSTON GLOBE*

Z PREMEDITACJĄ



WYDAWNICTWO
SONIA DRAGA

Joseph
FINDER
Z PREMEDITACJĄ

Z języka angielskiego przełożył
Przemysław Hejmej



Tytuł oryginału: Guilty Minds

Copyright © 2016 by Joseph Finder

Copyright © 2019 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia
Draga

Copyright © 2019 for the Polish translation by Wydawnictwo
Sonia Draga

Projekt graficzny okładki: Mariusz Banachowicz

Redakcja: Agnieszka Radtke

Korekta: Joanna Rodkiewicz, Marta Chmarzyńska

ISBN: 978-83-8110-806-5

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o.o.

ul. Fitelberga 1, 40-588 Katowice

tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28

e-mail: info@soniadraga.pl

www.soniadraga.pl

www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga

E-wydanie 2019

*Pamięci mojego taty, Morrisa Findera
1917-2013*

1.

Kłamstwa to moja specjalność. Dzięki nim mam pracę.

Jeśli wierzyć badaniom naukowym, wszyscy kłamiemy, po kilka razy dziennie. Nie potrafimy inaczej. Tak zwane białe, niewinne kłamstewka to po prostu smar, który umożliwia ruch maszynierii życia społecznego. Te prawdziwe, poważne kłamstwa natomiast stanowią przyczynę wielu problemów. Moja praca ogranicza się właściwie do rozpoznawania, kto i dlaczego kłamie, i przyłapywania go na tym. To mniej więcej wszystko.

Na szczęście mam pewien dryg do wykrywania łgarstw. Przynajmniej w czasem, w te lepsze dni.

Siedziałem w lobby bostońskiego biura międzynarodowej firmy prawniczej Shays Abbott Burnham, lśniącym i wypolerowanym niczym silos raketowy, i zapewne równie niebezpiecznym. Każda powierzchnia była tu twarda i zimna – posadzki z białego marmuru, gładkie ścianki działowe z mlecznego szkła, stoliki do kawy ze szklanymi blatami, matowe szyby, biała skórzana sofa o ostrych krawędziach. Nawet recepcjonistka, o blond włosach z rudawym odcieniem, idealnie gładkiej cerze i mocno karminowych ustach tkwiła – niczym Gorgona – za owalnym kontuarem ze lśniącej stali nierdzewnej, jakie spotyka się chyba tylko w skarbcach szwajcarskich banków.

Wystrój wnętrza zaprojektowano tak, aby robił na potencjalnych klientach niepokojące wrażenie. Jeśli szukasz czegoś puszystego i miękkiego – informował – idź do spa. To miejsce tchnęło perfekcją i precyzją maszyny, emanowało zapachem oleju do smarowania broni, przywodziło na myśl dobrej jakości karabin samopowtarzalny. Uspokajało tak, jak uspokaja glock pod poduszką.

Właśnie o to chodziło: Shays Abbott Burnham należała bowiem do największych kancelarii na świecie. W dwudziestu sześciu krajach pracowało dla niej ponad trzy tysiące prawników. Była

niczym ogromne centrum handlowe, gdzie można załatwić każdą sprawę. Zajmowano się tu przestępstwami popełnianymi przez ludzi w białych kołnierzykach, tutejsi mecenas i reprezentowali przed sądem wielkie korporacje. Bronili gigantów naftowych, potężne koncerny farmaceutyczne i tytoniowe. Organizowali wrogie przejęcia i chronili przed wrogimi przejęciami.

Tutaj nikt nie zajmował się drobnicą. Klienci przychodzili, ponieważ mieli bardzo poważne bitwy do stoczenia. Przybywali żądni krwi.

Ale nie ja. Ja znalazłem się tu, aby posłuchać o pewnym kłamstwie.

Dzień wcześniej po południu zadzwonił do mnie w trybie pilnym jeden z partnerów kancelarii Shays, niejaki John Malkin. Namiary dostał od innego prawnika, który kilka miesięcy temu wynajął mnie w pewnym dyskretnym celu. Otóż John Malkin miał klienta, który potrzebował mojej natychmiastowej pomocy – przez telefon nie chciał jednak powiedzieć nic więcej. „Musimy się spotkać w cztery oczy” – oświadczył. – „Najlepiej od razu”. Przesłał mi mejlem klauzulę poufności, zgodził się także uiścić opłatę za konsultację.

Cokolwiek chciał omówić, musiało być ważne.

Nigdy nie spotykam się z potencjalnymi klientami bez wcześniejszego poszperania na ich temat, aby mieć pewność, iż nie wpakuję się w kłopoty. Dlatego przeanalizowałem wszystkie dostępne dane na temat tego człowieka. John Epsworth Malkin: absolwent Dartmouth College oraz wydziału prawa Uniwersytetu Duke’a (studia ukończone z wyróżnieniem), członek elitarnego stowarzyszenia prawniczego Order of the Coif, która to nazwa przywołała na myśl dyplomik oprawny w ramki wiszący w jakimś zakładzie fryzjerskim. Praktyka zawodowa Malkina koncentrowała się wokół analiz zgodności działań klientów z obowiązującym prawem. Ja, gdybym miał się tym codziennie zajmować, podciąłbym sobie żyły.

Malkin powitał mnie w recepcji wilgotnym uściskiem dłoni, z powagą przedsiębiorcy pogrzebowego. Nosił okrągłe okulary

w rogowych oprawkach, a srebrzyste włosy miał zaczesane do tyłu. Ubierał się z łobuzerską ekscentrycznością, na którą mógł sobie pozwolić tylko starszy wspólnik w firmie: różowa koszula z popeliny z wytartym kołnierzykiem, przy którym brakowało jednego guzika, i szary garnitur w prążki, o klapach marynarki tak szerokich, że najbardziej stylowo wyglądałaby w latach siedemdziesiątych dwudziestego wieku.

Wystarczyło mi jedno spojrzenie, bym dojrzał w tym człowieku to, czego żadne akta nie są w stanie przekazać. Facet nienawidził swojej pracy, a prawnicza praktyka chyba nigdy nie sprawiała mu przyjemności. Miał już dość pompowania kolejnych płatnych godzin i sporządzania pism, których nikt nigdy nie czytał. Był raczej niespełnionym naukowcem, typem akademickim. Marzył o wcześniejszej emeryturze, aby móc wykładać prawo w jakimś małym college'u w Nowej Anglii, pełnym bystrych studentów i intelektualnie inspirujących, wspinających kolegów po fachu. Przeczytał wszystkie biografie Churchilla, jakie kiedykolwiek opublikowano. Bardzo dbał o buty. (Nosił szyte na miarę, zapewne od Johna Lobba z Londynu). Zbierał pierwsze wydania książek, a być może także wieczne pióra – plamy tuszu na jego palcach podpowiadały mi, że facet używa właśnie tego narzędzia pracy. Palił fajkę, ale tylko w domu (wystarczyło raz pociągnąć nosem, by to stwierdzić). Niewykluczone, że kolekcjonował różne rodzaje caberneta z Afryki Południowej i był nadmiernie dumny ze swoich regałów na wino sygnowanych marką EuroCave.

A poza tym – to nie on był moim pracodawcą.

Był pośrednikiem, to pewne, lecz chyba takim, który nie ujawni prawdziwej tożsamości klienta.

Malkin podziękował mi za przybycie.

– Czy ktoś wie, dlaczego pana zaprosiłem?

– Ja sam się nie orientuję, dlaczego właściwie tu jestem.

– Racja – zgodził się ze mną, a następnie ruszył w głąb korytarza. Wyglądało na to, że nie zmierzamy do jego biura.

– A czy... hmm... ktoś jeszcze wie o naszym spotkaniu? Albo że jest pan teraz w Shays Abbott?

- Tylko moi ludzie.
- Pańscy ludzie?
- Sekretarka i technik kryminalistyki. Ale oni rzadko wychodzą z pracy.

- To cały pański personel? Dwoje pracowników?

- Dzięki temu utrzymujemy bardzo konkurencyjne ceny.

Nie uśmiechnął się. Zapewne nie miał pojęcia, ile wynoszą moje stawki, i wcale go to nie obchodziło.

- Panie Malkin - powiedziałem. - Pracuję w rozliczeniu godzinowym. Zapewnił pan sobie całkowitą poufność. Może od razu zaprowadzi mnie pan do klienta?

Skinął głową i skręcając w kolejny korytarz, ruchem ręki nakazał mi iść za sobą. Gdy dotarliśmy do podłużnej sali konferencyjnej, przez jej szklane ściany -zaskoczony - ujrzałem człowieka, z którym naprawdę miałem się spotkać. Siedział samotnie u szczytu długiego czarnego stołu.

2.

Nazywał się Gideon Parnell i był waszyngtońską legendą.

Właściwie to ogólnokrajową legendą, przedmiotem niezliczonych artykułów w „Timesie” i „Washington Post”. Wydaje mi się, że także telewizyjne *60 Minutes* dwa razy zrobiło o nim program, a „Time” zamieścił jego zdjęcie na okładce.

Był wysokim, przystojnym czarnoskórym mężczyzną o królewskiej postawie, mniej więcej siedemdziesięcioletnim, którego krótko przycięte włosy całkowicie zbiały. Jego życiorys stanowił wymarzony temat dla publicystów wszelkiej maści. Parnell, wychowany w biednej dzielnicy w południowo-wschodnim Waszyngtonie, maszerował w Selmie razem z Martinem Lutherem Kingiem. Został jednym z bohaterów walki o prawa obywatelskie, grywał w golfa ze wszystkimi prezydentami Stanów Zjednoczonych od czasów Lyndona Johnsona. Każdy z nich, czy to republikanin, czy demokrat, uważał Parnella za przyjaciela (o ile prezydenci mają w Waszyngtonie przyjaciół). Był świetnie zorientowany we wszystkim, co dzieje się w stolicy, szarą eminencją o rozległych wpływach i znajomościach dosłownie wszędzie. Aktualnie pełnił funkcję starszego doradcy w kancelarii Shays Abbott, aczkolwiek wątpię, czy rzeczywiście na co dzień zajmował się prawem. Im znakomitszy prawnik, tym mniej interesuje go praktyka zawodowa.

Biorąc pod uwagę kręgi, w których ten człowiek się poruszał, jego obecność w tym miejscu musiała oznaczać, że sprawa jest poważna. Prawdopodobnie przyleciał tu z Waszyngtonu specjalnie, by się ze mną spotkać. Moja ciekawość sięgnęła zenitu.

Parnell wstał, wyprostował swoje dwumetrowe ciało, po czym trzema zamaszystymi krokami pokonał dzielącą nas odległość. Zamknął w dłoni całą moją prawicę, która przecież nie jest mała;

odniosłem wrażenie, jakbym dotykał starej, podniszczonej rękawicy bejsbolowego łapacza. Drugą ręką ujął moje przedramię. Klasyczny chwyt polityka, który jednak – w tym przypadku – wydawał się szczerzy.

Jestem dość dużym facetem – metr dziewięćdziesiąt cztery centymetry wzrostu, szerokie bary – ale Parnell imponował nie tylko rozmiarami: miał prezencję, która robiła na każdym cholernie wrażenie, nie ma co zaprzeczać. Jego czarny jak smoła prążkowany garnitur musiał być szyty na miarę. Całości dopełniały srebrzysty krawat i śnieżnobiała koszula.

Gideon Parnell należał do tych nielicznych osób, które autentycznie podziwiałem. Ten człowiek był gigantem, nie tylko pod względem wzrostu.

– Panie Heller – rzekł – bardzo dziękuję, że zechciał się pan z nami spotkać. – Jego głos dudnił niczym najniższe C w organach katedry waszyngtońskiej. Machnął ręką, kolistym ruchem wskazując wewnątrz sali konferencyjnej, a także swojego kolegę, który stał w drzwiach, jak wierny lokaj oczekujący dalszych poleceń.

Korytarzem przeszło kilka osób ciekawie zerkających na nas przez szklaną ścianę.

– John, chyba zaczęły się już poranne godziny szczytu, czy mógłbyś więc...?

John Malkin kiwnął głową, po czym wcisnął jakiś przycisk na panelu po wewnętrznej stronie futryny. Szyby natychmiast zmatowiały, zrobiły się mleczne.

– Dziękuję – rzekł Parnell ponagłająco.

Malkin wzdrygnął się i znów skinął głową.

– Do widzenia, panie Heller – powiedział, kierując ku mnie wzrok.

Parnell nalał kawy z termosu do dwóch kubków.

– Słyszałem, że lubi pan kawę. Czarną i bez cukru – oznajmił, nie patrząc na mnie.

Uśmiechnąłem się w duchu.

Podał mi kubek, po czym wskazał siedzenie tuż obok swojego, przy jednym z krańców długiego czarnego stołu.

– Pozwoli pan, że o coś spytam – powiedziałem, moszcząc się na skórzanym fotelu, który wyglądał na drogi. – Po co kazano mi podpisywać tę klauzulę poufności? Przecież to oczywiste, że pan mnie sprawdził. Z należytą starannością. Wie pan nawet, jaką kawę pijam. Odrobiwszy tę lekcję, świetnie się pan orientuje, że mam reputację człowieka dyskretnego.

– Proszę cię, nie traktuj tego w ten sposób, Nick. Bo chyba mogę mówić ci Nick?

Kiwnąłem głową.

– Tu nie chodzi o ciebie. Nie ty mnie martwisz.

– W takim razie kto?

– Ludzie, którzy mogą obserwować to biuro, a mnie w szczególności. Muszę zachować nadzwyczajne środki ostrożności.

– No cóż, nawet paranoicy miewają wrogów – powiedziałem.

Po długiej pauzie Parnell podjął:

– Jeden z moich bliskich przyjaciół, nie używam słowa klient, ponieważ on nie jest i nie może być moim klientem z powodów, które wkrótce zrozumiesz, zostanie niebawem brutalnie zniesławiony przez pewien oszczerczy plotkarski portal.

– No i?

– To dżentelmen, którego znam od kilkudziesięciu lat. Jest osobą nieposzlakowaną moralnie. Wybitnym, powiedziałbym wręcz wielkim człowiekiem. Jeśli dopuścimy, aby te ohydne oskarżenia zostały upublicznione, jego kariera legnie w gruzach.

– Są prawdziwe?

– Absolutnie nie.

– Więc o co się martwić? Najlepszą obroną jest prawda.

– Już niestety nie. Nie w epoce Internetu. Mam wątpliwości, czy w pełni pojmujesz powagę sytuacji.

– Cóż, nie prosiłby mnie pan o to spotkanie, gdyby sytuacja nie była poważna. Proszę mi powiedzieć, panie Parnell, co jest w tej historii takiego niebezpiecznego?

– Fałszywe oskarżenie, że mój przyjaciel regularnie spotyka się z dziewczyną na telefon. Prostyutką.

– Czy pański przyjaciel jest papieżem? Bo tylko wtedy mogłoby

to oznaczać koniec Jego Świątobliwości.

Parnell nie okazał rozbawienia.

– Mój przyjaciel musi być poza wszelkimi podejrzeniami o nieprawość. Tego wymaga jego pozycja. Cała jego kariera opiera się na autorytecie moralnym.

Przez chwilę wytrzymałem jego spojrzenie.

– I zapewne nie zdradzi mi pan, kto to jest.

Parnell zacisnął mięśnie żuchwy, a następnie spuścił głowę i nią pokręcił.

– Dopiero wówczas, gdy zgodzisz się przyjąć tę robotę.

– A na czym ona ma polegać? Na zdyskredytowaniu zarzutów?

Przytaknął i upił łyk kawy. Sprawdził zegarek.

– Panie Parnell... – odezwałem się ponownie.

– Nie mogę ci powiedzieć.

– Nie przyjmę zlecenia, dopóki się nie dowiem, kto to jest. – Zacząłem wstawać. – Czyli chyba mamy impas.

Wtedy zrozumiałam, na czym polegała tajemnica sukcesu Gideona Parnella. Nie na jego wrodzonej godności, powadze czy uczciwości. Nawet nie na długoletniej, złożonej drodze kariery. Chodziło o jego twarz. Wielkie, wodniste oczy i rozbrajający uśmiech sprawiały, że wyglądał bezbrinnie, wyczekująco, jakby był wystawiony na cios. Niczym szczeniaczek. Chciało się go chronić, otoczyć opieką. To było niepokojące, zbijało z tropu. Tyle że ów wyraz twarzy mógł w ułamku sekundy zmienić się w srogi i nieugięty.

– Zanim powiem ci cokolwiek więcej, muszę mieć pewność, że nadajemy na tych samych falach.

– Wszystko, co pan powie, chroni klauzula poufności, którą podpisałem.

Parnell zacisnął wargi jak nadąsane dziecko.

– W porządku – powiedziałem. – Chce pan, żebym zdyskredytował tę fałszywą narrację. Tylko że czegoś tu nie rozumiem. Po co w ogóle się tym zajmować?

– Ponieważ cała ta historia została starannie i zmyślnie spreparowana. Z pozoru wygląda całkiem przekonująco. Portal internetowy twierdzi, że posiada kopie mejli, a nawet film

z nagraniem wywiadu z rzezoną prostytutką. Kiedy ta sprawa ujrzy światło dzienne, sprostowanie jej zajmie sporo czasu, a wyrządzona szkoda będzie nieodwracalna.

– Skoro ma tak solidne podstawy, to dlaczego jej jeszcze nie upublicznili?

– Bo poszedłem z nimi na układ. Dają nam czterdzieści osiem godzin przed ukazaniem się artykułu.

– Co to za portal?

– Slander Sheet.

– O rany. – Przy Slander Sheet nawet najbardziej plotkarskie witryny, w rodzaju Gawkera czy TMZ, wyglądały jak „The Economist”. To była jedna z tych brukowych, żywiących się sensacją stron internetowych, które wszyscy przeglądali, ale nikt się do tego nie przyznawał. A przynajmniej każdy znał kogoś, kto je ogląda. W przeciwieństwie do staroświeckich plotkarskich gazet, w których podawano zdawkowe, pretensjonalne relacje o – powiedzmy – „pewnym sześćdziesięcioletnim magnacie rynku nieruchomości i jego dużo młodszej żonie, z którą się obnosi”, bez ujawniania tożsamości zainteresowanych, Slander Sheet walił prosto z mostu i podawał nazwiska. Wszyscy pozostający w centrum zainteresowania opinii publicznej bali się go jak ognia, ponieważ kierujący portalem ludzie byli zjadliwi i niczym się nie przejmowali.

– Przerąbane – stwierdziłem.

– Istotnie. Dlatego ignorowanie sprawy nic nam nie da. Opinia pójdzie w świat, jak to mówią. Powtórzą ją inni, rzecz stanie się obiektem powszechnej uwagi. Jak powiada stare przysłowie: kłamstwo obiegnie połowę świata, zanim prawda zdąży włożyć spodnie.

Być może nie było to najbardziej fortunne wyrażenie dla zobrazowania tej sytuacji. Spróbowałem się nie uśmiechnąć.

– Przecież siedzimy sobie w biurze firmy Shays Abbott, największej i najstraszniejszej kancelarii prawnej w kraju. Nie możecie po prostu ukrećić ła sprawie? Zagrozić im nakazem sądowym czy coś? Normalnie chyba tak to się rozgrywa?

Parnell powoli pokręcił głową.

- Nie możemy zrobić absolutnie nic, aby ich powstrzymać.
- Skoro ten artykuł nie tylko mija się z prawdą, ale też jest wręcz oszczerczy, to czy sąd nie może wydać zakazu publikacji?
- To się nazywa cenzura sądowa. W tym kraju jest niezgodna z konstytucją, ponieważ narusza prawo do swobody wypowiedzi.
- Który to fakt nie powstrzymuje pana od gróźb, że wytoczycie tym gnojkom z portalu internetowego wielki proces o zniesławienie. Że zrobicie im z dupy jesień średniowiecza. Zlikwidujecie zagrożenie, a wszyscy, włącznie z Białym Domem, wam pogratulują.
- To by tylko dolało oliwy do ognia. Podsyciło płomienie, a oni właśnie tego chcą.

Miał rację.

- Więc skąd pan wie, o czym jest ten artykuł?
- Dziennikarka przesłała mejla z listą pytań.
- Panu? Czy pańskiemu bezimiennemu przyjacielowi?
- Jemu.
- Odpowiedział?
- Zignorował je.
- Ale i tak opublikują tekst?

Kiwnął głową.

- Nie podoba mi się to.
- Mnie też.
- Nie, nie o to chodziło. Po prostu coś tu śmierdzi. Być może jest w tej sprawie coś więcej, niż mi pan powiedział. Zaliczyłbym ją do kategorii „nie ma dymu bez ognia”. To znaczy, że kryje w sobie przynajmniej ziarno prawdy. Dlatego wydaje mi się, że tak naprawdę wezwał mnie pan tutaj po to, abym trochę namieszał.

Parnell wbił we mnie stalowe spojrzenie. Nie wyglądał już na zaleknionego szczeniaczka.

- Jeśli sądzisz, że chcę, abyś ukrywał dowody, likwidował świadków czy cokolwiek w tym stylu, to zupełnie mnie nie znasz. Jak już wspominałem, cała ta historia jest wyssana z palca.

- Panie Parnell, nie mogę przyjąć tego zlecenia, dopóki nie porozmawiam z pańskim przyjacielem.

- Przykro mi. To jest zwyczajnie niemożliwe. I mów mi Gideon.

– Rozumiem. – Wstałem i wyciągnąłem rękę, ale Parnell jej nie przyjął. – Żałuję, że zmarnowaliśmy sobie wzajemnie czas.

– Siadaj pan, panie Heller. I przyjmij do wiadomości, że to nie jest ktoś, do kogo można ot tak sobie pójść i pogadać.

– Cóż, jeśli tego nie zrobię, nici z roboty. – Cały czas stałem. – Przecież świetnie wiesz, że bez trudu znajdziecie sobie kogoś innego. Jest całe mnóstwo detektywów, którzy z miłą chęcią rzuciliby wszystko dla pracy na zlecenie Shays Abbott. Ja jestem w tej dogodnej pozycji, że wybieram tylko te oferty, które mi pasują.

To było wierutne kłamstwo. W ostatnich miesiącach brałem nawet taką robotę, której obiecywałem sobie nigdy nie tykać. Dla wszystkich nastaly trudne czasy.

– Może uda mi się zorganizować rozmowę telefoniczną.

– Ja muszę spojrzeć mu w oczy, Gideonie. Albo pogadamy twarzą w twarz, albo uznaj, że nie jestem zainteresowany.

– Jak już powiedziałem, to niemożliwe.

– Dlaczego?

– Ponieważ to sędzia Sądu Najwyższego.

Powoli usiadłem na swoje miejsce.

– Teraz jestem zainteresowany.

3.

– Który sędzia?

Parnell pociągnął łyk kawy, odstawił kubek i wziął głębszy oddech.

– Jeremiah Claflin.

To nie był po prostu sędzia Sądu Najwyższego – to jego prezes. Nie zareagowałem w żaden sposób.

– Teraz chyba rozumiesz, dlaczego sprawa jest delikatna.

Skinąłem głową.

Oczywiście wyobraźni zobaczyłem Claflina, mężczyznę po pięćdziesiątce, jednego z młodszych członków tej instytucji. Przyjemny wygląd, trochę w stylu macho. Dobrze zbudowany i sprawny fizycznie. Jego pierwszym poleceniem po wyborze na prezesa sądu było przeprowadzenie remontu tamtejszej zaniedbanej siłowni.

Dlatego mogłem sobie wyobrazić, że w przeciwieństwie do geriatrycznych kolegów ze składu sędziowskiego facet ma jakieś życie seksualne. Ale czy ktokolwiek dałby w ogóle wiarę, że korzysta z usług prostytutki?

No, raczej tak.

Claflin był człowiekiem wierzącym, regularnie chodził do kościoła. Media, zwłaszcza te newsowe, miałyby nie lada używanie, gdyby rzecz została nagłośniona. Wszyscy uwielbiamy patrzeć, jak ktoś dotąd potężny spada strącony z piedestału, u większości ludzi jednak szczególną satysfakcję budzi zdemaskowanie człowieka sławnego, a przy tym moralnie nieskalanego, jako hipokryty, i zmieszanie go z błotem.

– Kiedy się dowiedzieliście, że Slander Sheet zbiera haki na prezesa Sądu Najwyższego?

– Dopiero wczoraj. Od tygodnia lub dwóch do kancelarii sądu wydzwaniała jakaś dziennikarka. W końcu odesłano ją do działu komunikacji społecznej, który zareagował tak jak zwykle.

– Blokadą informacyjną.

Parnell pokiwał głową i upił kolejny łyk kawy. Oparł się wygodnie w fotelu.

– Wczoraj ta dziennikarka przesłała im mejlem długą listę bardzo szczegółowych pytań, dodając, że artykuł zostanie opublikowany niezależnie od tego, czy sędzia odpowie na jej telefony czy nie. Wtedy prezes zadzwonił do mnie, spanikowany.

– Jakże to były pytania?

Parnell wyciągnął z brązowego segregatora kilka kartek i mi je podał.

– To kopia tego, co wczoraj dostałem wczoraj FedExem.

W nagłówku pierwszej strony widniała nazwa „Hunsecker Media”, napisana tak elegancką czcionką, jakby to był „Vogue”. Poniżej znajdował się list do sędziego Claflina, z informacją, że przekazano go również do wiadomości Gideona Parnella.

– Hunsecker Media?

– Wydawca Slander Sheet.

Szybko przeleciałem wzrokiem pytania.

– Dziennikarka nazywa się Mandy Seeger – rzuciłem. – Dlaczego to mi coś mówi?

– Kiedyś pracowała w „Washington Post”.

– No właśnie. – Seeger była asem dziennikarstwa śledczego, laureatką Nagrody Pulitzera za serię ważnych artykułów o... czymś tam, już nie pamiętałem, w każdym razie o jakimś skandalu w kręgach władzy. Co, u diabła, skłoniło ją do pracy dla Slander Sheet? – Nazwisko Seeger jako autorki tekstu doda mu wiarygodności, bezsprzecznie.

– To jeden z powodów, dla których traktuję wszystko poważnie.

Dalej skanowałem treść pisma oraz dołączoną do niego listę pytań.

– Już same te pytania go obciążają.

– To dobrze przygotowana ustawka.

– Chwileczkę. Tu jest informacja, że za... spotkania sędziego z prostytutką płacił niejaki Tom Wyden.

Znałem to nazwisko. Wyden należał do sławnych magnatów finansowych, był właścicielem kasyna, dyrektorem Wyden

Desert Resorts w Las Vegas.

Parnell pokręcił głową z wyraźnym niesmakiem.

– Ostatnimi czasy Wyden wygrał poważną sprawę przed Sądem Najwyższym. Gdyby artykuł zawierał prawdę, byłoby to przestępstwo ścigane z urzędu. Tyle że to kompletna fikcja.

– Czy oni się w ogóle znają, Claflin i Wyden?

Parnell potwierdził skinieniem głowy.

– Tak. Niezbyt dobrze, ale jednak.

– Czyli wygląda to coraz gorzej. Mówiłeś, że masz umowę ze Slander Sheet. Jaką dokładnie?

– Powiedziałem im, że udzielę wywiadu tej reporterce, jeśli dadzą mi jeszcze dwie doby przed publikacją.

– Błąd – jęknąłem. – Właśnie potwierdziłeś zebrane przez nich dane do artykułu.

– Wcale nie.

– W takim razie po co jeden z najpotężniejszych prawników w Waszyngtonie zadał sobie trud, żeby skontaktować się z podrzędną plotkarską witryną internetową, skoro wcale się nie obawiał, że na coś trafili?

Parnell przyglądał mi się kilka sekund, a w jego oczach błysnęło jakby rozbawienie.

– Jestem znany z tego, że chronię swoich klientów. Powiedziałem tej kobiecie, że chętnie z nią porozmawiam, natomiast sędzia tego nie zrobi.

– Czyli ona będzie mogła teraz napisać, że adwokat prezesa sądu, waszyngtońska szara eminencja Gideon Parnell, zaprzeczył informacjom zawartym w artykule. To tak, jakby przyznał, że „oskarżenia są w sposób oczywisty prawdziwe, bo w przeciwnym razie po cóż by jeden z tuzów palestry w Waszyngtonie poświęcał swój cenny czas i próbował sprawę zdyskredytować”. Właśnie nadałeś całej tej historii wiarygodność, o którą Slander Sheet chodziło.

– Mylisz się – odrzekł Parnell cierpliwie. – Po pierwsze, jak już ci powiedziałem i jak powiedziałem dziennikarce, nie jestem pełnomocnikiem prawnym sędziego, tylko jego przyjacielem. Po drugie, postawiłem jednoznaczny warunek, że porozmawiam

z nią wyłącznie nieoficjalnie. Tajny ma również pozostać sam fakt, że do spotkania doszło. Tamci zgodzili się zaczekać z publikacją tekstu i zrobić to dopiero po mojej konwersacji z reporterką.

Pokiwałem głową.

– Czyli kupiłeś sobie trochę czasu.

– Dopóki ona się ze mną nie spotka, artykuł się nie ukáže.

– A kiedy ma się to spotkanie odbyć?

Zerknął na złoty fasetowy zegarek z wielką białą tarczą na pasku z krokodylej skóry. Zapewne drogi.

– Jutro o siedemnastej.

– Bardzo mało czasu. Potrzebowałbym co najmniej dwóch tygodni, o ile miałbym farta.

– Musisz mieć tego farta szybciej.

– Jasne. Żaden problem.

– Tylko tyle mamy, Nick. I tak się zdziwiłem, że oni zgodzili się czekać tak długo.

– Będę musiał porozmawiać z prezesem sądu. Osobiście.

– Wątpię, aby się na to zgodził, ale zapytam.

– Jeszcze jedna kwestia.

Parnell pochylił głowę.

– Ile firm ci odmówiło, zanim kazałeś Malkinowi zadzwonić do mnie?

– Ani jedna.

– Czyli byłem pierwszy na liście? Jakoś trudno mi w to uwierzyć.

– Oczywiście, że nie. Przecież się nie znamy. Najpierw musiałem co nieco o ciebie wypytać.

– Nie o to mi chodzi. Ja działam w Bostonie, a ta sprawa pasuje raczej do okręgu stołecznego. W Dystrykcie Kolumbii mógłbyś wynająć każdego, kogo zechcesz, i nie musiałabyś pokrywać kosztów podróży. Włącznie z tym, którego kandydatura wydaje się tu oczywista.

Parnell wiedział, że mam na myśli Jaya Stoddarda, mojego byłego szefa, którego firma należała do najbardziej znanych w prywatnym biznesie zdobywania informacji. Człowieka, który

rozpoczął karierę u Richarda Nixona. Stoddard pozyskał mnie ze struktur wywiadu wojskowego i nauczył wszystkich trików niezbędnych w tej branży. Zdążyłem ich poznać bardzo dużo – choć niewesoła to wiedza – zanim się poróżniliśmy i nim odszedłem, żeby założyć własną firmę.

Parnell westchnął ciężko.

– Jay ma zbyt wiele ścisłych powiązań z potężnymi grupami interesu w Waszyngtonie. Podczas gdy ty jesteś autsajderem.

– Czy to uprzejmy eufemizm, oznaczający, że narobiłem sobie wrogów?

Wzruszył ramionami.

– Jest, jak jest. – Była to jedna z tych irytujących fraz, które przylegają do człowieka jak opryszczka. – W Dystrykcie Kolumbii każdy z kimś sypia. A ta sprawa wygląda na robotę od wewnątrz. Tego rodzaju atak nie może wyjść znikąd. Ktoś zadał sobie sporo trudu, żeby skleić tę historię, dlatego nie mogę ryzykować obecności nikogo miejscowego.

– Wyjaśnijmy coś sobie od razu. Ty chcesz czegoś więcej niż tylko informacji. Chcesz, abym zrobił co trzeba i jak trzeba, ale tak, by nikt cię z tym nie skojarzył. Zgadza się?

– Oczekuję, że wykonasz wszystko, co niezbędne do zatuszowania sprawy. Zdusisz ją w zarodku. I owszem, masz absolutną rację, że nikt się nie może nigdy dowiedzieć, iż pracowałeś dla mnie.

– Ale dlaczego to jest aż tak ważne?

Nastąpiła bardzo długa pauza.

– Otwarcie mówiąc: starsi wspólnicy z firmy prawniczej, w której siedzibie się znajdujemy, śmiertelnie boją się portalu Slander Sheet. Żaden nie chciałby się dostać w jego tryby.

– Doceniam twoją szczerość. Mam tylko nadzieję, że prezes sądu będzie równie otwarty.

– Najpierw się zorientuję, czy zgodzi się z tobą spotkać. Bywa drażliwy. Bardzo ceni sobie prywatność.

– Jeszcze jedno. Jeśli się dowiem, że ta historia jest prawdziwa, zerwę umowę. Nie interesuje mnie chronienie czyjegoś tyłka. Jeśli tego właśnie chcesz, to wybrałeś niewłaściwą osobę.

Uśmiechnął się.

– Och, bardzo dobrze o tym wiem. O ile pamiętam, Jay Stoddard opisał cię słowami „niezły wariat”. Dał też jasno do zrozumienia, że nikt nie jest w stanie tobą sterować.

– Coś mi mówi, że użył dosadniejszego określenia.

Parnell wydał z siebie niski, dudniący chichot, jednocześnie zerkając na zegarek.

– Za chwilę mam spotkanie z bostońskimi współnikami, ale wcześniej chciałbym się jeszcze skontaktować z prezesem sądu. Dam ci znać, jaka jest jego decyzja. Podaj mi numer swojej komórki.

Podąłem.

– Im szybciej, tym lepiej – rzuciłem na koniec.

4.

W taksówce wiozącej mnie z powrotem do mojego biura przeczytałem kopię listu przesłanego przez Slander Sheet do działu komunikacji społecznej w Sądzie Najwyższym. Zacząłem już formułować w głowie plan, na wypadek gdybym przyjął tę sprawę.

A wyglądała ona dla prezesa sądu naprawdę źle. Pytania były bardzo konkretne i szczegółowe, wskazywały, że artykuł będzie solidny. Nie zadawano ich na chybił trafił, po omacku. Jeśli Gideon Parnell miał rację, że historia o prezesie sądu i prostytutce jest wierutnym kłamstwem, to intryga ta musiała być szatańsko sprytna. Nie była dziełem amatorów. Z tego co zrozumiałem z listy owych pytań, prezes sądu odbył – rzekomo odbył, aby być fair – trzy schadzki z dziewczyną, którą znalazł na stronie internetowej o nazwie LilySchuyler.com, „wiodącym serwisie umożliwiającym dyskretne spotkania towarzyskie”.

Zadumałem się nad Gideonem Parnellem. Fakt, że właśnie on zaangażował się w tego rodzaju batalię, wydał mi się bardzo wymowny. Bo przecież trudno było mieć lepszą reputację niż on. I właśnie dlatego Parnell – gdyby powiązano go z czymś tak szemranym, choćby nawet potem okazało się to bzdurą wyssaną z palca – miał bardzo wiele do stracenia. Musieli się naprawdę blisko przyjaźnić z sędzią Claflinem.

Rozmyślałem również nad powodem, dla którego się ze mną skontaktowali. Czy Parnell powiedział prawdę, że woli pomoc kogoś spoza Waszyngtonu? W sytuacji takiej jak ta, w której szybkość działania i dyskrecja mają najwyższą wagę, o wiele rozsądniej byłoby zatrudnić kogoś, kogo się dobrze zna. Dlatego jak refren powracało do mnie pytanie: dlaczego ja?

Gdyby prezes sądu zgodził się ze mną spotkać, musiałbym natychmiast polecieć do Waszyngtonu, czyli przełożyć spotkania i wizyty, jakie miałem zaplanowane na jutro, a prawdopodobnie

także na pojutrze.

Wysiadłem z taksówki na High Street w bostońskiej dzielnicy finansowej, przy starej ceglanej fabryce rur ołowianych zmienionej w biurowiec, gdzie mam swoją siedzibę. Było jeszcze wcześniej, ale moja sekretarka-recepcjonistka, Jillian Alperin, już się tam krzątała. Stała zwrócona do mnie tyłem i walczyła z kserokopiarką, usiłując załadować do niej papier.

Jillian była trochę po dwudziestce, a jej ciało zdobiły wszelkie możliwe tatuaże i wykwyty piercingu. Gdyby moje biuro odwiedzały tabuny klientów, raczej nie nadawałaby się na to stanowisko. Za młoda, zbyt nieokrzesana, raczej niepasująca do środowisk biznesowych. Ale odznaczała się kompetencją i ciężko pracowała, a ja zdążyłem ją polubić.

– Nick – powiedziała – Dorothy cię szuka. Poza tym przyszło parę pytań od klientów, które przesłałam ci mejlem.

Dorothy Duval była moim technikiem kryminalistyki i researcherką.

Zwracanie się do mnie po imieniu sprawiało Jillian kłopot, widziałem, że czuje się z tym niezręcznie. Bardzo długo trwało, zanim przestała mi mówić per „panie Heller”.

– Dziękuję.

Odwróciła się do mnie.

– Poza tym dzwonił jakiś klient. Shearing? I chciał natychmiast z tobą rozmawiać.

Miała zaczerwienioną twarz; odniosłem wrażenie, że przed chwilą płakała.

– Hej – powiedziałem łagodnie. – Wszystko w porządku?

Nie znałem Jillian zbyt dobrze, ponieważ staram się trzymać z daleka od osobistych spraw moich pracowników. Jednak musiałem zapytać, w przeciwnym razie okazałbym się bez serca.

Pociągnęła nosem.

– Raczej tak.

– To dobrze.

– Po prostu... ten facet, Shearing, wiesz...

– Co się stało?

Shearing był prawnikiem w średniej wielkości firmie z Nowego

Jorku, który kiedyś zatrudnił mnie do prześwietlenia pewnego niemieckiego biznesmena. Niemiec zajmował stanowisko dyrektora jakiejś firmy w Düsseldorfie, ale rozważano jego kandydaturę do zarządu w amerykańskiej centrali. O załatwienie tej sprawy poprosiłem kolegę z Monachium. Większość klientów podsuwają mi prawnicy, co ma swojej plusej i minusej. Radzenie sobie z prawnikami jest często łatwiejsze niż bezpośredni kontakt ze zleceniodawcą, ponieważ bywa, że wtedy w grę wchodzi nadmierne emocje. Mecenasi są zwykle bardziej profesjonalni. Tylko że trafiają się między nimi skończone dupki, wśród których Bob Shearing mógłby robić za egzemplarz pokazowy.

– Dzwonił przed chwilą. Szukał cię, ale powiedziałam, że jesteś na spotkaniu z klientem. Wtedy zażądał numeru twojej komórki. – Znowu parę razy pociągnęła nosem. – A kiedy odpowiedziałam, że nie mogę go nikomu podawać, on się... wściekł. Zrobił się naprawdę agresywny. Powiedział: „Do jasnej cholery, to chyba ja tu jestem klientem! Masz mi natychmiast podać ten numer!”. A potem: „Słuchaj, dziwko, albo mi go dasz, albo wylecisz z roboty, już ja tego dopilnuję!”. – Dziewczyna wyglądała na zdruzgotaną, oczy i nos miała zaczerwienione.

– Tak powiedział?

Jillian skinęła głową, sięgnęła po chusteczkę na biurku i wydmuchała nos. Potem dodała:

– Nie wiem, może popełniłam błąd. Bo zdenerwowałam klienta. Ale wcześniej ostrzegałeś, że numer swojej komórki możesz podawać tylko ty sam. A teraz chyba straciliśmy kontrahenta.

– Nazwał cię dziwką?

Potwierdziła.

– Bardzo przepraszam, Nick, jeśli schrzaniłam.

– Możesz mnie połączyć z Shearingiem za dwie minuty?

Znowu kiwnęła głową.

Poszedłem do aneksu kuchennego. Dorothy stała już przy ekspresie marki Keurig i napełniała kubek z napisem „Jezus zbawia, a ja wolę się zabawiać”. Miała na sobie turkusową bluzkę z surowego jedwabiu, czarne spodnie oraz buty na bardzo

wysokich obcasach. Zawsze ubierała się ze smakiem, chociaż wcale nie musiała – jako technik rzadko widywała klientów. Wystarczyłyby dzinsy, gdyby je wolała. Ale zwykle ich nie wybierała.

Dorothy rzuciła mi pytające spojrzenie. Wiedziała, że wracam z supertajnego spotkania z potencjalnym klientem, i chciała się dowiedzieć, jak mi poszło. Odpowiedź nie była aż tak prosta, by wystarczył kciuk skierowany w górę albo w dół. Sam jeszcze nie zdecydowałem, czy przyjmę to zlecenie.

– Wpadnij do mojego gabinetu o siedemnastej, okej?

Kiwnęła głową.

A w moim biurze, które mieściło się w narożnym pomieszczeniu z widokiem na ulicę oraz fragment nabrzeża, właśnie dzwonił telefon. Przez interkom usłyszałem głos Jillian.

– Pan Shearing czeka na linii.

Podniosłem słuchawkę.

– Cześć Bob, tu Nick Heller.

– No wreszcie jesteś, Heller. Ta cholerna sekretarka nie chciała mi podać twojego numeru na komórkę.

– Wiem, mówiła mi.

– Muszę mieć info o Kleinschmidcie, jeszcze dzisiaj.

– Czy nazwałeś moją recepcjonistkę dziwką?

– Powiedziałem jej, że sprawa jest pilna, ale ona ciągle gadała swoje, że nie wolno jej podawać numeru. Wtedy stwierdziłem: „Hej, to ja tu jestem klientem”. Musisz lepiej przeskolić swoje dziewczyny.

– No cóż, Bob, obawiam się, że tobie nie mogę już pomóc.

– O czym ty...?

– To znaczy w sprawie pana Kleinschmidta. Nie przyjmę jej, bo jestem zajęty.

– Zajęty? Przecież już przyjąłeś tę cholerną sprawę.

– Nagle się okazało, że mam pełen grafik. I nie zostało w nim miejsca na zlecenia od gnojków. – Z tymi słowami się rozłączyłem.

Zauważyłem, że w progu mojego gabinetu stoi Dorothy. Weszła do środka, oczy miała wielkie ze zdumienia.

– Czy dobrze słyszysz? Właśnie odprawiłeś klienta?

Pokiwałem głową.

– I tak go nie lubiłem.

– Nick, przecież chętni nie walą do nas drzwiami i oknami. Stać nas na utratę choćby jednego?

– Dorothy... – zacząłem, ale właśnie w tym momencie zadzwoniła moja komórka. To był Gideon Parnell.

– Prezes sądu zgodził się spotkać – rzekł. – Możesz przyjechać do Waszyngtonu jeszcze dziś po południu?

– Oczywiście – odpowiedziałem.

– Będzie czekał na ciebie o szesnastej. Twoje nazwisko jest już na liście gości odwiedzających sąd.

Rozłączyłem się i spojrzałem na Dorothy.

– Wygląda na to, że jednak mamy nowego klienta.

5.

Budynek Sądu Najwyższego jest, jak sądzę, najpiękniejszy w całym Waszyngtonie. To lśniąca grecka świątynia z bieluteńskiego marmuru, który sprowadzono specjalnie z Vermontu, ponieważ jest o wiele jaśniejszy niż ten na innych, otaczających sąd gmachach, włącznie z Kapitołem. Kształt budowli, zdobionej fryzami, kolumnami korynckimi i tak dalej, wzorowano na świątyni Artemidy, jednym z siedmiu cudów starożytnego świata.

Dla mnie jednak gmach Sądu Najwyższego stanowił przede wszystkim triumf sprawnego kreowania marki.

Wzniesiono go całkiem niedawno, bo w tysiąc dziewięćset trzydziestym piątym roku. Wcześniej sędziowie tłoczyli się w ciasnych kwaterach usytuowanych w podziemiach Kapitolu. Nikt ich nie szanował. Gdy jednak dostali własną świątynię sprawiedliwości, własny klub, kwaterę główną, własne logo – otoczył ich również nimb tajemniczości. Mistyczna aura. A wraz z nią pojawiła się władza.

Władza ta, wraz z legitymizacją społeczną, zasada się w dużej mierze na percepcji i perswazji. Mamy więc lśniący marmurami obiekt, rozpoznawalny i imponujący, w którym dziewięciu niewidzialnych sędziów w całkowitej tajemnicy debatuje i roztrząsa sprawy niczym wielki i potężny czarnoksiężnik z Oz, popisujący się dymem i zielonym ogniem, choć tak naprawdę tym wszystkim steruje mały człowieczek ukryty za kurtyną.

Kiedy jeszcze mieszkałem w Waszyngtonie i pracowałem jako tajny agent wywiadu w Departamencie Obrony, wystarczyło pokonać te wspaniałe schody przed budynkiem Sądu Najwyższego i spokojnie wejść do środka przez wykonane z brązu wrota. Niestety, po jedenastym września zostały one zamknięte na stałe. Obecnie wejście znajdowało się na poziomie suterenu, po południowo-zachodniej stronie budynku.

Załapałem się na przedpołudniowy lot do Dystryktu Kolumbii. Po wylądowaniu miałem jeszcze trzy godziny, które dzieliły mnie od spotkania. Odpowiednia ilość czasu na szybką kwerendę.

Stojąc na placu przed sądem, zadzwoniłem w parę miejsc. Kiedy zdobyłem już to, czego potrzebowałem, wybrałem numer Dorothy.

– Jakież postępy? – zapytałem.

– Na razie tkwię w ślepych zaułku.

Wcześniej poprosiłem ją, żeby dowiedziała się wszystkiego, czego tylko zdoła, na temat niejakej Heidi L'Amour, prostytutki dostępnej za pośrednictwem portalu LilySchuyler.com, który reklamował się jako najbardziej ekskluzywny serwis z usługami erotycznymi w Dystrykcie Kolumbii.

– Na stronie LilySchuyler znalazłam informację, że dziewczyna jest na wakacjach. Czyli nie można umówić się z nią na randkę. Mamy więc tylko imię i nazwisko, przy czym istnieje małe, maleńkie prawdopodobieństwo, że oba są fałszywe.

– Myślisz? – Uśmiechnąłem się. – A gdyby spróbować ją znaleźć w Google'u? Kto wie, czy fotka tej laski nie wyskoczy na jakiejś innej stronie dla dorosłych.

– Już próbowałam. I nic.

– To znaczy, że chyba nie występuje na innych portalach tego typu. Bo pewnie korzystałaby z tych samych zdjęć.

– Możesz zadzwonić pod podany numer i zaproponować dodatkową kwotę, jeśli dziewczyna zechce wrócić z wakacji. Że niby to twoja ulubienica, bardzo ci się podoba i tylko z nią jest ci dobrze.

– Mogę. Ale wydaje mi się, że ona się ukrywa. Zdaje sobie sprawę, że gdy artykuł ujrzy światło dzienne, rozpęta się prawdziwe piekło.

– Będę jeszcze nad tym pracować – rzekła Dorothy. – Może uda mi się coś wymyślić w nagłym porywie.

Zakończyliśmy rozmowę. Przyłączyłem się do długiej kolejki zwiedzających, a następnie – po kontroli w wykrywaczu metali – krótką klatką schodową wspiąłem się do wielkiego holu, w którym roiło się od turystów. Tylko kilka osób przemieszczało

się tu szybkim, zdecydowanym krokiem, najwyraźniej w jakimś konkretnym celu. Prawnicy, pomyślałem. Zbyt dobrze ubrani jak na reporterów.

Zgodnie z instrukcjami od Gideona wjechałem windą jeszcze piętro wyżej, a kiedy z niej wysiadłem, zacząłem się rozglądać za biurem ochrony, gdzie miałem się stawić najpierw. Nagle podszedł do mnie wielki, napakowany funkcjonariusz w mundurze, o blond włosach przyciętych na jeża i rumianych policzkach, z metalową podkładką do pisania w ręku.

- Czym mogę służyć?
- Gdzie jest biuro ochrony?
- Ma pan przepustkę dla gości?
- Jestem tu umówiony.
- Z kim?
- Z sędzią Claflinem.

Kiwnął głową i spojrzał na podkładkę.

- Pańska godność?
- Nicholas Heller.
- Mógłbym zobaczyć jakiś dokument ze zdjęciem?

Pokazałem mu swoje prawo jazdy.

- Proszę tędy.

Poszedłem za nim w stronę rzędu szafek na monety ustawionych obok szatni.

- Nie wolno wnosić laptopów, telefonów komórkowych, tabletów, iPadów ani żadnych innych urządzeń elektronicznych. Jeśli pan sobie życzy, może skorzystać z jednej z szafek.

Skinąłem głową i zacząłem grzebać w kieszeniach w poszukiwaniu ćwierćdolarówki, ale niczego nie znalazłem. Mężczyzna wrzucił monetę w szczelinę, wyjął kluczyk z zamka i mi go wręczył. Podziękowałem.

- Zawsze lepiej zostawiać rzeczy w szafkach - powiedział policjant. - Dziś nikomu nie można ufać.

6.

Jeremiah Claflin, prezes Sądu Najwyższego Stanów Zjednoczonych Ameryki, prezentował się dość nijako, by nie rzec: pospolicie. Krótkie szpakowatobrazowe włosy, mały nos, przyjemne proporcje. Atrakcyjny, choć niekoniecznie przystojny. W jego twarzy nie było nic interesującego. Gdy tylko zniknął z pola widzenia, człowiek właściwie zapominał, jak facet wygląda. Czoło miał poorane głębokimi bruzdami, a obok oczu kurze łapki. Sprawiał wrażenie, że wiele czasu spędza na słońcu, prawdopodobnie żeglując jachtem.

Przywitał się ze mną uprzejmie, ale jego mowa ciała zdawała się sugerować, że ma wiele innych, znacznie ważniejszych spraw na głowie.

– Jerry Claflin – wymamrotał, kiedy uścisnęliśmy sobie ręce w wykładanej boazerii poczekalni jego gabinetu. Był w samej koszuli i krawacie, bez marynarki.

Gestem wskazał mi jeden z dwóch wysokich foteli z zagłówkami, obok dużego kominka. Gabinet miał pełen starych książek prawniczych, z perskimi dywanami na podłodze oraz zabójczym widokiem na kopułę Kapitolu.

– A zatem, panie Heller – powiedział – jest pan... kim? Prywatnym detektywem? – Wymówił te słowa z lekkim, pełnym niesmaku wydęciem warg, jakiego można by się spodziewać przy wyrazach „czyrak mnogi” lub „ropny wrzód”.

– Skoro to panu odpowiada...

– A jak pan siebie określa?

– Prywatnym agentem zbierania informacji.

– Czyli przez analogię: grabarz, który mianował się przedsiębiorcą pogrzebowym?

Uśmiechnąłem się. Facet był znany ze złośliwego poczucia humoru. Postanowiłem nie być mu dłużny.

– Jest lepsza analogia: sędzia, który przemianował się na

prezesa sądu. Bo to przecież różnica.

Roześmiał się uprzejmie. Trafiony zatopiony. Jego wzgarda nie robiła na mnie wrażenia. On potrzebował mnie o wiele bardziej niż ja jego.

Claflin kilka razy zamrugał i lekko się uśmiechnął.

– Muszę powiedzieć, że zupełnie nie rozumiem, po co się spotykamy.

– Też zaczynam się nad tym zastanawiać. Jest pan człowiekiem zajęтым, więc przejdźmy od razu do rzeczy. Podobno portal Slander Sheet ma wkrótce opublikować duży artykuł o pańskich relacjach z pewną dziewczyną na telefon. Co, jak zakładam, jest całkowitym fałszem, zgadza się?

Sędzia zacisnął wargi i spojrzał na mnie wilkiem.

– Nie zamierzam się zniżać do takiego poziomu.

– Obawiam się, że będzie się pan musiał zniżyć. Czy miał pan jakieś stosunki z dziewczyną na telefon, która reklamuje się w serwisie erotycznym LilySchuyler?

– Od razu widać, że to niedorzeczna supozycja.

– To znaczy? Miał pan czy nie?

Spojrzał na mnie z ukosa, jakby się zastanawiał, czy ma do czynienia z idiotą.

– Niech mi pan to przełoży na normalny język – poprosiłem. – Czasem niektóre subtelności mi umykają.

– Pyta pan, czy uprawiałem seks z prostytutką? Odpowiedź brzmi: absolutnie nie. Nie, nie uprawiałem. Czy to dostatecznie mało subtelne dla pana?

– I nie zna pan kobiety posługującej się imieniem i nazwiskiem Heidi L'Amour, tak?

– Tak. Nigdy wcześniej się nie zetknąłem z tym nazwiskiem. Pierwszy raz w mejlu, który do mnie przyszedł. – Machnął niedbale w kierunku wydruku w moim ręku.

– Dziennikarka pyta tu między innymi, i to najpoważniejsze oskarżenie, czy owa dziewczyna lekkich obyczajów, której pan nie zna, stanowiła swego rodzaju prezent dla pana. Czy opłacał ją niejaki Tom Wyden, magnat hazardu. Przyjaźni się pan z nim, zgadza się?

– Nie, nie zgadza się.

Uniosłem jedną brew.

– Raz byłem na jakimś przyjęciu w jego domu w Las Vegas. Zanim mianowano mnie sędzią.

– Czy po tym mianowaniu utrzymywał pan z nim jakieś kontakty?

– Wielokrotnie zapraszał mnie na rozmaite imprezy, ale zawsze odmawiałem.

– Czyli od rozpoczęcia pracy w tym gmachu nie widział się pan z Wydenem?

– Zgadza się. Czyżby pańskie pytania zakładały coś przeciwnego?

Pokręciłem głową.

– To pański znajomy?

– Nie. Raz lub dwa wymieniliśmy uścisk dłoni.

– Mógłby mieć jakiś powód, żeby panu zaszkodzić?

– Wręcz przeciwnie. Kilka miesięcy temu wydaliśmy orzeczenie w sprawie Wyden Desert Resorts przeciwko PokerLeader. Korzystne dla tego pierwszego podmiotu.

– No dobrze. Teraz tak: dziennikarka stawia panu zarzut, że w ciągu minionego miesiąca trzykrotnie odbył pan, hm, wieczorne sesje z ową Heidi L'Amour.

– Jak już wspominałem, zarzuty te są całkowicie bezzasadne.

– Owszem, ale czy mógłby mi pan powiedzieć, gdzie przebywał we wspomniane wieczory?

Sędzia zawahał się chwilę, lecz na tyle długo, by w mojej głowie odezwał się dzwonek alarmowy.

– Byłem wtedy w domu.

– A czy jednego z tych wieczorów nie spędził pan na dorocznej kolacji, połączonej z inscenizacją procesu sądowego, wydanej przez Towarzystwo Szekspirowskie w Sidney Harman Hall przy F Street? – Informacja ta znajdowała się w danych, które Dorothy zdążyła dla mnie przygotować, nim jeszcze wylądowałem na międzynarodowym lotnisku imienia Ronalda Reagana. Sędziowie Sądu Najwyższego co roku bywali na tej imprezie, pełnej celebrytów i innych osobistości.

– Nie. Musiałem odwołać swój udział w tym wydarzeniu. Źle się czułem.

Dorothy tego nie odnotowała. Pewnie facet znajdował się na liście zaproszonych, ale strona internetowa towarzystwa nie została zaktualizowana pod kątem ich obecności.

– Zatem wszystkie trzy wieczory, o które chodzi, spędził pan w domu?

W zadumie pokiwał głową.

– Znakomicie. Czyli pańska żona potwierdzi to alibi.

Znów się zawahał.

– Jesteśmy z żoną w separacji. Mało kto o tym wie. Zresztą, to wyłącznie nasza sprawa.

Ja, oczywiście, wiedziałem. Ciekawiło mnie, czy sędzia będzie próbował tę kwestię przede mną zataić.

– To Waszyngton – powiedziałem. – Tutaj wszyscy interesują się sprawami innych. Które z państwa mieszka w domu w Chevy Chase?

– Żona. Ja w Watergate.

– Rozumiem.

– Mieszkam sam. A to znaczy, że... hmm... nie posiadam żadnego alibi.

Mógłbym dalej męczyć pana prezesa sądu pytaniami o to, czy na przykład ktoś z obsługi albo któryś z odźwiernych nie zeznałby na jego korzyść, ale miałem już dość.

– Bo tak naprawdę wcale pana nie było w Watergate w tamte wieczory, prawda?

Posłał mi spojrzenie, którego nie potrafiłem zinterpretować. Zaskoczyłem go, obraziłem, a może tylko zbiłem z tropu? Nie odpowiedział, więc kontynuowałem, przyglądając mu się uważnie.

– Przez cały tamten tydzień przebywał pan w innym miejscu.

Tuż przed spotkaniem z Claflinem wybrałem się do Watergate i troszkę popytałem, wydając co nieco forsy. Dołożyłem należytej staranności.

Sędzia odwrócił wzrok. Zauważyłem, że jego policzki się zaczerwieniły, ale nie byłem pewny, czy z gniewu, czy

z zawstydzenia. Milczałem. Głęboko wierzę w potęgę milczenia.

– To, gdzie byłem, jest dla sprawy zupełnie nieistotne – rzekł wreszcie Claflin.

– Jeśli chcemy ukłębcić jej łeb, to obawiam się, że jednak bardzo istotne. Najmocniejszą bronią jest żelazne alibi.

– W takim razie sądzę, że mamy problem.

Czekałem, nic nie mówiąc.

– Pańskim zadaniem jest wykazać, że nigdy nie spotkałem się z tą prostytutką. Obawiam się jednak, że bardziej nie mogę panu pomóc. Powiedziałem już wszystko.

Nie ustępowałem.

– W tamtym okresie trwała przerwa w pracach sądu. Nie występował pan publicznie, nigdzie nie przemawiał. Całe siedem dni ani jednego materiału w mediach. Dzięki kamerom monitoringu w Watergate, a także tym w garażu, będzie można ustalić, że w inkryminowanym terminie nie przebywał pan u siebie. Dokąd się pan wybrał? – Oczywiście blefowałem. Nie miałbym czasu na sprawdzenie kamer monitoringu.

Nadal unikał mnie wzrokiem.

– Mogę panu zaufać? – spytał, wreszcie zwróciwszy się w moją stronę.

– Naturalnie.

– Jeśli to wyjdzie na jaw, będę miał prawdziwe problemy.

– Rozumiem.

– Nie było mnie wtedy w domu, ponieważ leżałem w szpitalu Sibley, w klinice zdrowia psychicznego. Przechodziłem terapię elektrowstrząsową.

Z trudem ukryłem zdumienie.

– Terapię szokową?

Sędzia skinął głową.

– Leczenie depresji. Dlatego rozumie pan, jak to dla mnie ważne, by zachować poufność.

– Dysponujemy więc alibi, którego nie można wykorzystać – odezwał się po dłuższej chwili, ponieważ tylko tyle potrafiłem wymyślić.

7.

– Kto jeszcze o tym wie?

Claflin wzruszył ramionami.

– Tylko pan, moja żona oraz Gideon, o ile mogę mieć pewność. Z żoną dzieli nas to i owo, ale ona nigdy by nie zawiodła mego zaufania. Jestem tego pewien.

– Kontynuuje pan terapię?

– Nie. W Sibley odbyłem dwanaście sesji.

– Zadziały?

Uśmiechnął się nieoczekiwanie.

– Owszem, dziękuję.

– Może to nie przypadek.

– Co takiego?

– Że te domniemane pańskie spotkania z dziewczyną na telefon miały się odbywać w tym samym czasie co pobyty w ośrodku Sibley. Ktokolwiek pana wrabia, musiał wiedzieć o leczeniu psychiatrycznym.

– Zupełnie nie pojmuję skąd. Chyba że ktoś ze szpitala...

– Wszystko jest możliwe. – Zastanawiałem się przez moment. – Oni twierdzą, że spotykał się pan z tą dziewczyną w hotelu Monroe. – Hotel Monroe należał do najelegantszych w Dystrykcie Kolumbii, znajdował się kilka przecznic od Białego Domu. – Zatrzymał się pan tam kiedyś?

– Po co miałbym to robić? Przecież mieszkam w tym mieście.

– Na przykład wtedy, gdy wyprowadził się pan ze swojego domu.

Pokręcił głową.

– Nigdy nie korzystałem z hoteli w Waszyngtonie.

– Pytanie dotyczy ksiąg rejestrowych hotelu Monroe; podobno według nich rezerwował pan tam pokój trzykrotnie, za każdym razem w inkryminowanych datach.

– Skąd ktoś miałby taką wiedzę?

– Najwyraźniej tamci dysponują źródłem informacji w samym

hotelu i mają dostęp do rejestru gości.

– Ale to nieprawdziwe dane. Ile zostało nam czasu do publikacji tego artykułu?

Spojrzałem na zegarek.

– Czterdzieści osiem godzin, licząc od siedemnastej wczorajszego dnia. Czyli jeśli się nie mylę, jeszcze dwadzieścia siedem.

– Nedorzecznosc. Jest pan w stanie cokolwiek załatwić przez dwadzieścia siedem godzin?

– Przekonamy się. – Wstałem. – Nie ma już czasu do stracenia.

Biały, wykładany marmurem hol na parterze budynku świecił teraz pustkami. Posadzki lśniły czystością. Odgłos moich kroków rozbrzmiewał odległym echem. Znalazłem rząd szarych metalowych szafek, zlokalizowałem swoją i ją otworzyłem.

I zagapiłem się w pustą przestrzeń.

Wszystko zniknęło. Mój laptop oraz iPhone przepadły.

Jeszcze raz sprawdziłem numer na kluczu. Pasował do skrytki. Czyli przegródka się zgadzała, tylko że moje rzeczy się z niej ulotniły.

Na końcu rzędu szafek znajdowała się szatnia, gdzie można było zostawić płaszcz, parasol bądź cokolwiek innego, co nie mieściło się w skrytce. Pełniła tam dyżur czarnoskóra kobieta o wyglądzie matrony i wielkich sennych oczach schowanych za okularami w misternych oprawkach, które zakrywały jej skroń i ocieniały uszy. Ciemne włosy lśniły od żelu. Mówiła szorstkim, głębokim kontraltem.

– Kotku, masz pan pojęcie, jaki ruch tu panuje przed każdą rozprawą? Kolejka wychodzi aż na ulicę. Nawet gdybym widziała stąd te szafki, a nie widzę, i tak nie miałabym czasu się im przyglądać. Przykro mi, kochany. Nie mogę panu pomóc.

– Ale trzyma pani u siebie zapasowe klucze, prawda? Jestem pewny, że ludzie ciągle je gubią.

Zamrugła kilka razy, jakby zwalczając ogarniającą ją senność.

– Rzadziej, niż się panu wydaje. Sorry, ale chyba czegoś nie rozumiem. Twierdzi pan, że ktoś zabrał z szafki pańskie rzeczy,

tak? No to po co panu zapasowy klucz?

Staralem się nie okazać zniecierpliwienia.

– Być może ktoś wziął taki klucz i otworzył nim mój schowek. Zechce pani sprawdzić, czy go nie brakuje?

Kobieta wzruszyła ramionami, ale sięgnęła pod ladę, za którą stała. Potem trzymanym w rękę kluczem otworzyła szarą stalową skrzynkę wmurowaną w ścianę. Ujrzałem cały zestaw zielonych plastikowych breloczków; choć stałem zbyt daleko, aby odczytać znajdujące się na nich numery, wcale nie było to konieczne. Żadnego nie brakowało.

Szatniarka odwróciła się do mnie i pokręciła głową.

– Nie.

– Gliniarz, który mnie tu przyprowadził... – zacząłem.

– Jaki gliniarz, proszę pana?

– Wyszedł mi na spotkanie zaraz przy wejściu do budynku, mniej więcej godzinę temu, i przyprowadził mnie tutaj. Wielki, wysoki blondyn, ostrzyżony na jeża. Widziała pani, żeby się tu później kręcił?

Powoli pokręciła głową, tym razem z wyraźną przesadą, kołysząc nią na boki.

– Dziwne, nie znam go. To ktoś z ochrony Sądu Najwyższego?

Zamyśliłem się, próbując przypomnieć sobie jego mundur.

– Z waszyngtońskiej policji metropolitalnej.

– Wątpię. Mamy własną policję sądową. Widział pan na lewym ramieniu brązową odznakę?

Nie zauważyłem żadnej brązowej odznaki.

– Dziękuję – powiedziałem, obróciłem się na pięcie i ruszyłem w głąb holu.

8.

Nie wiedziałem, czy facet, który podprowadził mnie do skrytki, a nawet uprzejmie zaoferował ćwierćdolarówkę, był prawdziwym gliniarzem czy nie. Pewne było tylko, że to właśnie on wyczyścił moją szafkę. Sam ją zresztą wcześniej wybrał, co znaczyło, że dysponował kluczem do niej. Żaden zapasowy nie był mu potrzebny. Odczekał, aż udam się do sędziego, a potem zabrał mój laptop i iPhone. Gdybym miał się na baczności i wiedział, czego się spodziewać, na pewno zwróciłbym uwagę na jego mundur policyjny. Numer był tyleż prosty, co bezczelny, a udał się wyłącznie dlatego, że na moment straciłem swoją zwykłą czujność.

Pozostawało pytanie: kim był ten człowiek i skąd wiedział, że tu przyjdę?

Tego jeszcze nie mogłem rozgryźć.

Nagle stanąłem w pół kroku, ogarnięty przemożnym wrażeniem, że jestem obserwowany. Że facet gdzieś tu się kręci, w zasięgu wzroku.

Oczywiście było to coś więcej niż tylko wrażenie, raczej przejaw świadomości sytuacyjnej. Ten elegancki wojskowy termin oznacza wiedzę na temat wszystkiego, co się dzieje wokół. W warunkach bojowych życie człowieka zależy od tego, czy w porę dostrzeże wszelkie anomalie: ślad buta, błysk broni. Na godzinie jedenastej za sobą wyczuwałem dziwną znieruchomiałą ciszę. Odwróciłem się. U szczytu schodów, z drugiej strony wielkiego holu, mignęła mi znana blond czupryna. Mężczyzny w policyjnym mundurze.

Niedbałym krokiem ruszyłem w tym kierunku, jakbym niczego wcześniej nie zauważył, ale w tym momencie facet zaczął schodzić po stopniach. Przyspieszyłem tak, że prawie biegłem. Musiał się zorientować, że go śledzę, bo kiedy dotarłem do stromych marmurowych schodów, zniknął mi z pola widzenia.

Bądź co bądź, te schody były przeznaczone do uroczystych procesji, nie do pościgów. Nie miałem najmniejszej ochoty się potknąć i zlecieć z nich na łeb na szyję.

Problem polegał też na tym, że nie znałem rozkładu pomieszczeń w budynku. Wcześniej nie zaistniała przecież potrzeba rozpoznania wyjść awaryjnych, skoro miałem się tylko dyskretnie spotkać z sędzią Sądu Najwyższego w prywatnej sprawie. Nie spodziewałem się żadnych kłopotów, bo uważałem, że nikt o tym spotkaniu nie wie.

Ale najwyraźniej ktoś wiedział.

Zatrzymałem się na parterze i spróbowałem zorientować się w sytuacji. Po lewej miałem wejście dla zwiedzających. Nie wyjście, tylko wejście. Możliwe, że ktoś w policyjnym mundurze zdołałby się tamtędy wymknąć. Długi i szeroki korytarz zdobiły nieliczne gabloty wystawowe. Na jego drugim końcu zobaczyłem kawiarnię i sklep z pamiątkami. Najwyraźniej dla publiczności przeznaczono tylko dwa wyjścia z budynku. Jedno na piętrze, przed salą rozpraw, przez wielką bramę z brązu. Wejść nią się nie dało, lecz wyjść już tak. Drugie znajdowało się na poziomie, na którym stałem, bezpośrednio przede mną. Prowadziło zapewne na plac za gmachem sądu, przy Second Street, i nikt go nie pilnował. Ludzie wysuwali się na zewnątrz bez pośpiechu.

Musiałem podjąć decyzję. Albo wydostanę się przez drzwi wejściowe, a potem pobiegnę ku wyjściu na Second Street, albo zostanę w środku i tu zacznę faceta szukać. Niewykluczone, że wciąż znajdował się w budynku.

Wybrałem wyjście na Second Street. Rozglądałem się we wszystkich kierunkach, lecz bezskutecznie. Mężczyzna zniknął.

No i dobrze. Nie miałem już czasu, by się nim zajmować. Czekają mnie znacznie pilniejsze sprawy do załatwienia.

9.

Zdążyłem już zapomnieć, jak wygląda życie bez telefonu komórkowego. Musiałem pilnie zadzwonić w kilka miejsc, a nie miałem jak. Aby znaleźć czynny automat, należało pokonać pieszo dwie przecznice. Słuchawkę oblepiały reklamy Red Bulla, w dziurkach ustnika zalegała tajemnicza brązowa substancja, która nie wyglądała mi na ów napój energetyzujący. Przypomniałem sobie, że przecież nie mam monet, wszedłem więc do sklepiku spożywczego na East Capitol Street rozmienić trochę pieniędzy. Po powrocie do budki telefonicznej w kieszeni marynarki wymacałem wizytówkę Gideona Parnella i wybrałem numer jego komórki.

Odebrał natychmiast.

- Gideon Parnell, słucham – powiedział swoim basso profundo.
- Tu Nick Heller.
- Już po rozmowie z moim przyjacielem?
- Tak. Biorę tę sprawę.
- Świetnie. Masz wszystko, czego ci trzeba?

Odpowiedziałem, że tak sądzę, i dodałem, że będę dzwonił, gdyby jednak czegoś mi brakowało. Zdawałem sobie sprawę, iż czas nas goni – pozostało zaledwie dwadzieścia sześć godzin do terminu uzgodnionego ze Slander Sheet.

Następnie spróbowałem zatelefonować do Dorothy, ale jej numer pozostał przecież w iPhone, nie znałem go na pamięć. A jeszcze nie tak dawno temu szczyliłem się swoim talentem do zapamiętywania wszelkich numerów. Talent ten najwyraźniej zanikał, jako jedna z ofiar ewolucyjnego postępu technicznego. Dlatego zadzwoniłem do swojego biura i poprosiłem o połączenie z Dorothy.

- Kilka razy próbowałam cię złapać – powiedziała, odebrawszy telefon. – Ale chyba akurat miałeś spotkanie z tym sędzią.
- Co się dzieje?

– Doznałam nagłego olśnienia, zgodnie z zapowiedzią. Jak się włamać na portal LilySchuyler.com.

– Mów.

– Zastosowałam pewien stary i niezawodny hakerski trik: zastrzyk SQL. Zlokalizowałam obszar logowania się klientów na tej stronie, a następnie użyłam skryptu do zaatakowania loginów i haseł, próbując przeciążyć bufor.

– No tak – powiedziałem, chociaż nie miałem zielonego pojęcia, o czym ona mówi.

– Potem utworzyłam kod dialogowy długości trzydziestu znaków i wpisałam go w pole loginów. Przerzuciło mnie do samego korzenia witryny, czyli indeksu.

– Myślałem, że takie hakerskie zagrywki budzą w tobie sprzeciw.

– Owszem. Ale czasu jest bardzo mało, byłam zdesperowana. Poza tym chodzi o Gideona Parnella. Dla niego zrobiłabym wszystko. Wiesz, że maszerował razem z Martinem Lutherem Kingiem?

– Tak. Godne podziwu.

– Wyślę ci wiadomość mejlem, jeśli znajdę coś konkretnego.

– Słuchaj, właśnie sobie o czymś przypomniałem. Nie mam ani telefonu, ani laptopa.

– Nie masz?

– Chwilowo tkwię w mrokach średniowiecza, a ten fakt nie podoba mi się aż tak bardzo, jak bym się tego spodziewał.

Opowiedziałem jej wszystko.

– No cóż, oba urządzenia, to znaczy telefon i MacBook Air, są chronione hasłami – rzuciła Dorothy – dlatego nie ma ryzyka przecieku informacji. Bardzo ciekawe, że... – Słyszałem, jak stuka w klawisze. Najwyraźniej mówiła już tylko do siebie.

To Dorothy skonfigurowała oba moje urządzenia mobilne i przygotowała tak, że wystarczyło je po prostu włączyć. Nie jestem fanem komputeryzacji, nie znam się na tym zbyt dobrze, ale w moim biznesie nie można nie korzystać z nowoczesnej technologii, niestety. A przynajmniej należy zatrudnić kogoś, kto jest w tym dobry, i pozwolić mu robić swoje. Dorothy zapewniała

mnie, że maki to absolutnie bezpieczne urządzenia, a najlepiej chronionym telefonem, jaki można dostać na rynku, jest iPhone. W tych sprawach trzymam się jej zaleceń.

– Poczekaj sekundkę – powiedziała. – No proszę, proszę. Widzę w aplikacji Find My iPhone, że twój jest włączony. To pięknie, ale... cholera jasna!

– Co znowu?

– Ktoś właśnie wyłączył telefon.

– Skąd to wiesz?

– Widzę, że miałeś go w Sądzie Najwyższym, a potem pustka. Innymi słowy: złodzieje wyłączyli telefon natychmiast po jego kradzieży, laptop pewnie też, aby utrudnić namierzenie. Znają się na tym. Niedobrze.

– Muszę mieć nowy telefon i nowy komputer.

– Wpadnij do któregoś ze sklepów Apple'a. Masz ich kilka w okolicy. Albo może sama ci dostarczę sprzęt.

– To znaczy?

– Na pewno będziesz w Waszyngtonie jeszcze ze dwa dni. Mój brat leży w szpitalu Prince George, chciałabym go odwiedzić.

– Przykro mi z powodu twojego brata. – Nawet nie wiedziałem, że Dorothy ma rodzeństwo. Bardzo strzegła swojej prywatności. – Poproś Jillian, żeby zarezerwowała nam dwa pokoje w jakimś waszyngtońskim hotelu – poleciłem. – Na rachunek kancelarii Shays Abbott, dlatego niech znajdzie coś fajnego, z górnej półki. Przywiozłabyś mi coś jeszcze?

– Twoją torbę „na wszelki wypadek”?

– Tak. – Trzymam w biurze na podorędziu małą walizkę podróżną z ubraniami na parę dni, zestawem do golenia oraz innymi niezbędnymi drobiazgami. W razie gdybym musiał nagle wyjechać.

– Jasne. Nick, jak oni cię rozpoznali?

– Masz na myśli faceta, który ukradł mi laptop?

– Właśnie.

– Jeszcze do tego nie doszedłem, ale dojdę. – Na koniec powiedziałem Dorothy, że odezwę się do biura trochę później sam, skoro nie można mnie już złapać przez telefon, i się

rozłączyłem.

Oczywiście wyobraźni ujrzałem postać fałszywego policjanta, który w budynku Sądu Najwyższego zaprowadził mnie do rzędu skrytek. Skoncentrowałem się i przewinałem w myślach taśmę pamięci. Był mniej więcej mojego wzrostu, ale szerszy w ramionach i cięższy. Miał jasne, krótko ostrzyżone włosy i rumianą twarz. Kolor oczu? Chyba szary, może błękitny, w każdym razie jasny. Wiek? Trochę po trzydziestce. Próbowałem sklecić z odprysków pamięci coś, co ornitologowie i wojskowi określają mianem OWWK, czyli „ogólnym wrażeniem wielkości i kształtu”. Obserwatorzy ptaków korzystają z tej formuły do identyfikowania nieznanych sobie gatunków.

Właśnie odwracałem się plecami do automatu telefonicznego, kiedy nagle zadzwonił. Podniosłem słuchawkę.

– Nick Heller na linii, słucham.

– Nick? – To była Dorothy.

– Noo.

– Och, to dobrze. Trzymaj się blisko tej budki telefonicznej, a jakoś damy radę. Znalazłam naszą dziewczynkę.

10.

– Naprawdę nazywa się Kayla Pitts. Kayla pisane przez K. Ma dwadzieścia dwa lata, pochodzi z Tupelo w stanie Missisipi.

- Skąd to wszystko wiesz?
- Z akt osobowych na ich serwerze.
- Zdobyłaś też numer telefonu?

Dorothy przeczytała go na głos. Zaczynał się od pięćset siedemdziesiąt jeden, kierunkowy wskazywał na Wirginię. Zapisałem go sobie w małym czarnym notatniku.

– Adres?

Przeczytała na głos, a ja znów zanotowałem.

- I co teraz?
- Teraz pojedę się z nią spotkać.
- Jak?
- Coś wymyślę.

Trzy godziny później siedziałem w wypożyczonym wozie marki Chevy Suburban, zaparkowanym przy Glebe Road w Arlington pod domem Kayli Pitts. Był to ogromny, podobny do kraba kompleks bloków mieszkalnych z białej cegły, który pasowałby raczej do podmiejskich dzielnic Moskwy: przypominał schyłkowe i tanie sowieckie budownictwo socjalne, i tym właściwie był.

Miałem ze sobą nowy telefon i nowy laptop MacBook Air – nie chciało mi się czekać na Dorothy, wolałem sam wstąpić do sklepu Apple'a. Szperałem sobie po zawartości portalu LilySchuyler.com, nielegalnie korzystając z czyjegoś wi-fi, zapewne sąsiada Kayli.

Ekran wypełniały kolorowe fotki kobiet w różnym stopniu roznegliżowania, po cztery w rzędzie. Niektóre były kompletnie nagie, a intymne części ich ciał zostały zamazane. Jedne miały na sobie wyrafinowane, czarne topy bez ramiączek, kabaretki oraz

buty na szpilkach. Inne – prześwitujące lateksowe gorsety, odsłaniające boki, a z przodu zdobione koronką. Albo też stringi czy ledwie widoczny dół od bikini. Wszystko razem przypominało katalog sklepu odzieżowego, tyle że pełen kobiet odpowiadających wszelkim heteroseksualnym gustom. U samej góry witryny internetowej widniała jej nazwa, „LilySchuyler”, wykaligrafowana złotą czcionką, z pretensjami do elegancji. Kliknąłem w zakładkę „O nas” i dowiedziałem się, że odwiedzam „ekskluzywną i dyskretną platformę społecznościową, która wyrafinowanym i wymagającym dżentelmenom pomaga poznać wysokiej klasy osoby do towarzystwa”. Oferuje ona „najpiękniejsze, najwyborniejsze i najbardziej zmysłowe młode damy, które kiedykolwiek pracowały w tej branży”. Wszystkie dziewczyny były tu damami, a ich potencjalni klienci – dżentelmenami.

Kilka z owych wybornych dam cechowała jakoby „swojskość dziewczyny z sąsiedztwa”, aczkolwiek żadna podobna osoba nigdy nie mieszkała w sąsiedztwie mojego domu. Te tutaj sprawiały wrażenie niewinnych, nieskałanych „studentek”. Niemalże skromnych i dobrze ułożonych, jeśli kobietę pozującą w różowym koronkowym staniku na takiej stronie internetowej można nazwać skromną.

Wszystkie zdjęcia nosiły ślady obróbki w Photoshopie, niektóre bardziej wyraźne, inne mniej. Część dziewczyn miała zamazane twarze, część – całkowicie odkryte. Posługiwały się imionami w rodzaju Savannah, Sabrina, Bethany, Kendra, April, Sydney, Sierra i Giselle.

Heidi L’Amour – alias Kayla Pitts – należała do owych dobrze ułożonych studentek. I najładniejszych spośród całej oferty, o ile potrafiłem to ocenić. Jej twarz była wyraźnie widoczna. Zdjęcie przedstawiało dwudziestoparoletnią kobietę o jasnych włosach sięgających obojczyków. Nosiła prosty czarny top z krótkim kimonowym rękawem, z wycięciem na tyle głębokim, by ukazało szczelinę między piersiami, lecz na tyle płytkim, że nie sprawiało wrażenia tandety. Albowiem fotki dziewczyn na telefon z podobnych stron internetowych nie powinny wydawać się

tandetne, Boże uchowaj! Podbródek opierała na lewej dłoni.

Photoshop potrafi ukryć wszelkie wady i niedoskonałości, sprawić, że nawet talia puszystej dziewczyny będzie wyglądała jak u osy, nie jest jednak w stanie stworzyć naturalnego piękna, tak jak w tym wypadku. Kayla miała delikatne łuki brwi, zadarty nosek i słodki uśmiech. Miłą twarz, spojrzenie osoby otwartej i wrażliwej.

Podpis pod zdjęciem informował: „Heidi Wakacje”, jak gdyby wyraz „wakacje” robił tutaj za nazwisko. Kiedy kliknąłem w fotkę, na monitorze pojawił się profil dziewczyny. Kolejne zdjęcia, w tym jedno w nieusztynianym koronkowym biustonoszu i dopasowanych do niego G-stringach wiązanych z boku. Dziewczyna trzymała ręce za głowę, jej oczy przybrały marzycielski wyraz. Tu również pojawiała się notka, że Heidi L’Amour przebywa na wakacjach. O dacie jej powrotu nie znalazłem ani słowa.

Wiek: 22 lata, wzrost: 165 cm, waga: 56 kilogramów, biust: 80D, całkowicie naturalny. Zdecydowanie wolna od uprzedzeń. GFE.

Heidi to młoda piękna blondynka o uderzającej urodzie i akcencie słodkim jak brzoskwinka z Georgii. W Dystrykcie Kolumbii od niedawna. Studentka college’u, inteligentna i utalentowana, emanująca swojską aurą dziewczyny z sąsiedztwa. Uwielbia wykwintne jedzenie, doskonale odnajduje się w pięciogwiazdkowych hotelach oraz podczas koktajli, a także siedząc przed kominkiem i popijając czerwone wino. Miewa nienasycone żądze i pragnie ich zaspokojenia, dlatego zawsze możesz liczyć na wyjątkowe doświadczenia w jej towarzystwie.

Wiedziałem, że GFE znaczy „jak z własną dziewczyną”, czyli oferta obejmowała także pocałunki, oprócz – oczywiście – wszystkiego innego. Mężczyźni gotowi byli płacić prostytutce dodatkowo, by udawała, że jest w nich zakochana – co napełniło mnie pewnym smutkiem.

Nigdzie nie podawano żadnych cen, jedynie rzędy diamentów

obok zdjęcia. Może dlatego, że jeśli ktoś pyta o koszt, z góry wiadomo, że go nie stać. Poklikałem trochę po zawartości portalu i zauważyłem, że niektóre dziewczyny miały zaledwie po trzy diamenty. Żadna nie więcej niż pięć.

Odpowiedź na zagadkę dotyczącą cen znalazłem w zakładce „Usługi i stawki”. Pięć diamentów oznaczało „nasze modelki z najwyższej półki”. Innymi słowy – te najdroższe. Portal oferował również pięciogwiazdkowe pakiety. Godzina w towarzystwie takiej dziewczyny kosztowała cztery tysiące dolarów, pakiet o nazwie „trzy nieśpieszne godziny dekadencji z drinkami i deserem” szedł po dziesięć tysięcy. Jeszcze inny, dla „dżentelmenów będących prawdziwymi koneserami” (cała noc „ostatecznego rozpieszczania”), wiązał się z wydatkiem rzędu dwudziestu dwóch tysięcy dolarów.

Heidi L'Amour nie sprzedawała się tanio.

Czyżby z tą właśnie dziewczyną miał się zadać sędzia Claflin? Nie mogłem w to uwierzyć.

Wiedziałem już mniej więcej, jak Heidi wygląda. A przynajmniej wyrobiłem sobie jej OWWK. Od pół godziny obserwowałem ludzi wchodzących i wychodzących z apartamentowca. Na widok kogokolwiek choć trochę podobnego do Kayli gotów byłem wyskoczyć z samochodu i natychmiast podejść. Nikt jednak nie wyglądał jak ona, choćby w przybliżeniu. Wypatrywałem niskiej, jasnowłosej kobiety o drobnej budowie ciała, ale zauważyłem tylko paru chłopaków tuż po dwudziestce, jakąś starszą panią z balkonikiem oraz damę w średnim wieku z kilkorgiem dzieci. Lecz nie Heidi. Jeśli była w domu, należało oczekiwać, że kiedyś z niego wyjdzie. Tylko że musiałbym spędzić w tym wypożyczonym samochodzie ze dwadzieścia cztery godziny, a tyle czasu nie miałem.

Poza tym nie było pewności, czy dziewczyna rzeczywiście tam jest.

Postanowiłem spróbować metody bezpośredniej. Wsiadłem z auta i wszedłem do holu budynku, rozległego i jaskrawo oświetlonego. Po jego obu stronach wisiały rzędy skrzynek na listy, a na półce leżały zbyt duże, niewymiarowe koperty, które

się do nich nie mieściły.

Z przodu znajdował się interkom, pozwalający wyszukać nazwisko lokatora i numer jego mieszkania, który następnie wpisywało się na klawiaturze. Dla wygody złapałem jedną z kopert i przebiegłem spis lokatorów, aż wreszcie znalazłem Pitts, K.

Wpisałem numer w interkom i czekałem na dźwięk dzwonka. Owszem, usłyszałem go w maleńkim głośniku, ale nic więcej się nie wydarzyło.

Po minucie wybrałem numer ponownie i znów odczekałem chwilę.

Mój plan zakładał, że gdy dziewczyna otworzy drzwi, przedstawię się jako kurier z przesyłką, której odbiór musi potwierdzić podpisem. Stary trik, ale zazwyczaj działał. Istniała szansa, że Heidi wyjdzie z mieszkania i zejdzie do mnie na dół.

Jednakże po pięciu minutach oczekiwania zacząłem podejrzewać, że nie ma jej w domu. Musiałem więc rozważyć inne możliwości.

Ponieważ dysponowałem numerem telefonu komórkowego Heidi, otwierało się przede mną całe spektrum sztuczek. A nawet więcej, gdybym wciągnął do zabawy także Dorothy, tylko że ona prawdopodobnie znajdowała się teraz w samolocie.

W swoim iPhone miałem aplikację – młodziak w Apple Store „odzyskał” wszystkie dane, które znajdowały się w skradzionym aparacie (ten już dezaktywowałem) i wprowadził je do nowego telefonu – umożliwiającą mi udawanie, że łączę się z innego numeru. Innymi słowy: dzwoniąc do kogokolwiek, kto miał system identyfikowania abonenta – nie tylko w komórce – mogłem sprawić, że ta osoba zobaczy dowolny numer, jaki tylko przyjdzie mi do głowy.

Mógłbym na przykład zadzwonić do Heidi albo napisać do niej esemesa z komórki należącej do Mandy Seeger, dziennikarki portalu Slander Sheet. Numer znajdował się w piśmie, które wysłano do biura komunikacji społecznej Sądu Najwyższego. Przepuszczalnie w ciągu ostatnich dwóch tygodni – mniej więcej – reporterka utrzymywała z Kaylą bliski kontakt. Możliwe,

że wymieniały się esemesami. Wiadomość od Mandy Seeger z prośbą o spotkanie powinna wywabić Heidi z miejsca, w którym akurat przebywała.

Ale ta sztuczka miała swoje ograniczenia. W chwili, w której dziewczyna odpisała by dziennikarce, na jej prawdziwy numer oczywiście, podstęp spaliłby na panewce. „O czym ty mówisz? Wcale nie prosiłam cię o spotkanie!” – odpowiedziałyby Mandy.

Jednakże... istniała pewna wersja tego triku, która powinna sprawdzić się trochę lepiej.

Miałem na swoim iPhone'ie jeszcze inną apkę, zwaną Burner, która pozwalała mi pozyskać tymczasowy numer telefonu z każdego niemal obszaru na świecie (z wyjątkiem, nie wiedzieć czemu, kierunkowego dla metropolii nowojorskiej – dwieście dwanaście), i to ją właśnie mógłbym wykorzystać, żeby nawiązać z Kaylą kontakt, ustny bądź esemesowy. A wtedy dziewczyna odpisze albo oddzwoni pod ten sam numer, ale moich prawdziwych zamiarów nie pozna; te zdradziłby jej dopiero kierunkowy do Bostonu, czyli sześćset siedemnaście. Potrzebowałem więc numeru z okolic Waszyngtonu.

Pomysł z udawaniem reporterki bardzo mi się podobał. Kayla musiała jej chyba ufać, jak to bywa między dziennikarzem a jego źródłem. Jeśli Mandy poprosi o spotkanie, Kayla prawdopodobnie się zgodzi. A gdyby i to nie podziałało, wymyślę coś nowego.

Wyszedłem z holu i wróciłem do swojego wozu. Potem wyjąłem komórkę i odpaliłem Burnera. Zdecydowałem się na kierunkowy waszyngtoński, czyli dwieście dwa, po czym napisałem do Kayli esemesa: „Kaylo, tu Mandy. Mam nowy numer komórki. Musimy się spotkać”.

Czekałem. Ponad minutę.

W końcu przyszedł esemes: „Kiedy?”.

Z pewną ulgą – bo przecież się udało – odpisałem: „Teraz. Za pół godz”.

Paauza, tym razem krótsza, a potem: „OK. Gdzie?”.

Zastanawiałem się przez chwilę. Wystarczy, że dziewczyna mnie zobaczy, a od razu się zorientuje, że podałem się za

dziennikarkę ze Slander Sheet. Musiałbym mówić bardzo szybko albo zrobić coś, co ją przekona, że nie stanowią zagrożenia. A do tego najlepiej nadaje się jakieś miejsce publiczne.

Wysłałem jej esemesem adres lokalu Starbucks, który wcześniej mijałem, a który znajdował się niedaleko jej bloku.

„OK”, odpowiedziała. „30”.

Czyli będzie za pół godziny.

Dotarłem na miejsce dziesięć minut później, znalazłem stolik z widokiem na oba wejścia, po czym spokojnie sączyłem czarną kawę. Stolik się chwiał. Rozejrzałem się po wnętrzu, ciekaw, czy nie przyszła wcześniej, ale nie zauważyłem nikogo podobnego do Kayli. Tylko zwykły przegląd klientów sieciowej kawiarni. Młody stażysta w wygniecionej białej koszuli składający zamówienie na jedenaście napojów, w tym bananowo-czekoladowe Vivanno, cokolwiek to jest. Para hipsterów. Biznesmen w garniturze i krawacie, wpatrzony w iPada, pewnie między jednym spotkaniem a drugim. Facet z dziewczyną w wieku studenckim, rozmawiający ze skrzepowaniem, być może w trakcie randki.

Siedziałem już tam z piętnaście minut, gdy nagle do środka weszła drobna blondynka. Nosiła ciężkie okulary w czarnych oprawkach, zbyt obszerną bluzę z kapturem oraz japonki. Na bluzie widniały duże czerwone litery „Ornelius College”. Sprawiała wrażenie bezbronnej. Włosy, zaczesane do tyłu, zebrała w kucyk. Lustrowała uważnie otoczenie, tam i z powrotem.

Bała się. To przede wszystkim zwróciło moją uwagę. Ale czego?

Wreszcie usiadła za stołem i wyjęła telefon. Spojrzała na niego, a potem znów rozejrzała się po całej sali. Wstałem i podszedłem do niej. W kawiarni było na tyle tłoczno, że moje pytanie niekoniecznie musiało przyprawić ją o gęsią skórkę.

– Mogę się przysiąść?

Uniosła na mnie wzrok i zmrużyła oczy.

– Sorry, czekam na kogoś.

Skinąłem głową.

– Mandy mnie tu zaprosiła.

– Kim pan jest? – zapytała podejrzliwie.

Wyciągnąłem rękę.

– Kaylo – powiedziałem – nazywam się Nick Heller.

11.

– Co z Mandy? – zapytała Kayla Pitts. Nie miała makijażu, ale była tak młoda, że i bez niego wyglądała pięknie. Jej skóra wydawała się nieomal przezroczysta. Pod szaroniebieskimi oczami zauważyłem fioletowawe kręgi, podobne do siniaków. Same oczy miała piękne, ale mocno zaczerwienione.

– Będę tylko ja – odparłem.

– Nie rozumiem. Kim pan jest, Nicku jakiś tam? To znaczy: prawnikiem, dziennikarzem, coś w tym stylu? – mówiła z bardzo mocnym akcentem z Południa.

– Jestem prywatnym detektywem zatrudnionym przez Slander Sheet w celu zweryfikowania twojej opowieści.

Na kolanach trzymała torebkę. Marki Chanel. Nie byłem pewny, ale ze sposobu, w jaki ją ścisnęła, wnioskowałem, że to chyba autentyk.

– Detektywem? – Jej oczy zwężyły się podejrzliwie.

– Oni bardzo ryzykują, publikując tę historię, dlatego chcą mieć pewność, że ma solidne podstawy. – Kłamałem oczywiście, ale usprawiedliwiałem się przed sobą tym, że ona również kłamała. – Zależy im, żeby się nie sparzyć nieprawdziwym artykułem, tak jak kiedyś magazyn „Rolling Stone” tą historią z Uniwersytetu Wirginii.

– Nie wiem, o czym pan mówi.

– To nieistotne.

Rozejrzała się po kawiarni.

– Więc Mandy nie przyjdzie?

– Nie.

Wyglądała na bardzo zaniepokojoną.

Poznałem kiedyś parę dziewczyn na telefon i wiedziałem, jakie są mniej więcej. To na ogół materialistki. Lubią swoje markowe

torebki i buty od Jimmy'ego Choo. Chcą się ładnie ubierać, ponieważ wiedzą, że wtedy są jeszcze bardziej atrakcyjne. W przeciwieństwie do zwykłych prostytutek te określane jako call girls czy „osoby do towarzystwa” cieszą się pewnym szacunkiem i względami. Mężczyźni dobrze płacą za samą ich obecność, nie tylko za seks. To jak posiadanie kochanki, ale bez żadnych zobowiązań. Dziewczynom natomiast pozwala to na bywanie w sympatycznych restauracjach i na bardzo eleganckich przyjęciach, i kosztowanie życia, którego w innym wypadku nie miałyby szansy nawet spróbować. W jakimś sensie nie jest to zła fucha.

– A skąd mam wiedzieć, że mówi pan prawdę? – natarła.

– Oto moja wizytówka. – To nie była odpowiedź na jej pytanie, ale wzięła kartonik i szybko rzuciła na niego okiem. Na odwrocie zapisałem swój numer komórki.

– Ma pan licencję? Chciałabym ją zobaczyć.

Zaimponowała mi. Bylibyście zaskoczeni, wiedząc, jak niewielu ludzi prosi mnie o okazanie licencji. Wyciągnąłem więc portfel, a z niego licencję detektywistyczną wydaną przez władze stanu Massachusetts. Obrzuciła ją wzrokiem.

– Tutaj jest nieważna, obowiązuje tylko w Massachusetts. Trzeba mieć licencję na każdy stan z osobna, w którym się działa, a teraz nie jesteśmy w Massachusetts.

Nie mogłem powstrzymać uśmiechu. Bystra dziewczyna! Miała rację. Pogrzebałem trochę w portfelu i znalazłem licencję na Dystrykt Kolumbii, którą zachowałem od czasu pracy na terenie okręgu stołecznego. Na zdjęciu widniał młodszy Nick Heller. A także mniej zblazowany. Wtedy kiedy zaczynałem, niewiele jeszcze wiedziałem o świecie i jego funkcjonowaniu. Miałem się tego dopiero dowiedzieć, i to sporo.

Podaliśmy jej kartę. Spojrzała i pokręciła głową.

– Jesteśmy w Wirginii, nie w Dystrykcie Kolumbii.

Tego dokumentu akurat przy sobie nie miałem, choć go posiadam, a także licencję na stan Maryland; wszystkie leżą sobie gdzieś w Bostonie.

– Kaylo, muszę ci zadać kilka pytań na temat sędziego Sądu

Najwyższego.

– Już wszystko powiedziałam Mandy.

– Wiem. Po prostu chcę usłyszeć jeszcze raz twoje odpowiedzi. Wiesz, odhaczyć ptaszki. Mieć pewność, że wszystko jest oparte na solidnych podstawach.

Wzruszyła ramionami.

– Co chce pan wiedzieć? – zapytała czujnie.

– Jak go poznałaś?

– Jak? Po prostu kazali mi iść do hotelu Monroe, pokój numer taki a taki, to wszystko. Pomyślałam sobie: luksusowy hotel, co za ulga. Bo to znaczy, że klient raczej nie okaże się jakimś obrzydliwcem.

– Kazali? Kto ci kazał?

– Moja szefowa. Menedżerka.

Burdelmama, pomyślałem. Osoba, która zajmuje się odbieraniem telefonów i kierowaniem dziewczyn do klientów.

– I... od razu się zorientowałaś, że ten facet to prezes Sądu Najwyższego?

Wzruszyła ramionami.

– Często oglądasz wiadomości, Kaylo? Jesteś uzależniona od C-SPAN-u? Niewiele osób wie, jak wygląda ten sędzia, i niewielu potrafiłoby go rozpoznać. A ty poszłaś do hotelu, zobaczyłaś go i pomyślałaś sobie: „Jasna cholera, to przecież prezes Sądu Najwyższego”?

– Oczywiście, że nie. To był po prostu jakiś facet. – Jej oczy nieustannie wędrowały po całej kawiarni, szukając czegoś lub kogoś. Odwróciła się do mnie plecami i uważnie zlustrowała lokal.

– A jednak domyśliłaś się, kim on jest.

Zaczerpnęła powietrza.

– Po naszym drugim spotkaniu zobaczyłam w telewizji jakiś program o Sądzie Najwyższym. On był na zdjęciach, rozpoznałam faceta z hotelu Monroe. Pomyślałam sobie, że to... hm... fajnie.

– Więc zobaczyłaś go w telewizji.

– Raz, jak poszedł do łazienki, zajrzałam mu do portfela.

Kiwnąłem głową. Dobra odpowiedź. Gdyby twierdziła, że od

razu rozpoznała w swoim kliencie sędziego Sądu Najwyższego, wiedziałbym, że kłamie. Albo więc mówiła prawdę – istniała taka mało prawdopodobna ewentualność – albo miała gotową odpowiedź. Oddech, pauza, sposób, w jaki reagowała, podpowiadały mi, że chyba odgrywa rolę, do której ją przygotowano.

– Czy on prosił konkretnie o ciebie?

– To... to nie było tak, o ile mi wiadomo. Ale czasami spotykam się z tym Tomem Wydenem, kiedy akurat jest w Waszyngtonie. On zawsze o mnie pyta.

– Wyden, gość od kasyn?

Kiwnęła głową.

– Wydaje mi się, że chciał mnie sprezentować temu drugiemu.

– Sprezentować cię?

– Zapłacił z góry. Że to niby podarunek dla przyjaciela.

– A skąd o tym wiesz?

– Cindy mi powiedziała, moja menadżerka. Że jest specjalne życzenie od klienta. Dlaczego muszę jeszcze raz przez to wszystko przechodzić?

– Bo Slander Sheet bardzo nalega. Ja tylko wykonuję swoją pracę. Jaka jest twoja stawka?

Podsunęła swoje krzesło bliżej, kurczowo ściskając torebkę od Chanel.

– Od czterech do sześciu tysięcy. To zależy.

– Od czego?

– Od ilości czasu, od tego, czy muszę dojechać czy nie. A także od oczekiwań.

– To sporo pieniędzy.

Wzruszyła ramionami, wydawała się skrupowana.

– Więc może jestem ich warta – odpowiedziała półszepem.

– Jaki procent masz z tego?

– Dlaczego chce pan to wiedzieć?

– To część procedury weryfikowania faktów. Chodzi o to, żeby później uniknąć jakichkolwiek problemów. Usłyszysz wiele tego typu pytań. Zapewne dużo bardziej natarczywych.

– Zwykle dostaję tysiąc pięćset z czterech tysięcy.

– W jaki sposób ci to wypłacają?
– Przeważnie gotówką. Oddaję im całość, a oni zwracają mi moją działkę. Ale sędzia był już opłacony z góry. Swoją część dostałam później.

– Za każdym razem tysiąc pięćset?

– Zgadza się.

– Teraz muszę ci zadać parę pytań bez owijania w bawełnę.

Wzruszyła ramionami, jakby mówiła: „Co tam, wszystko mi jedno”.

– Śmiało – zachęciła.

– Czy Claflin to zbok? Perwers?

Zawahała się, ale tylko chwilę. Znów rozejrzała się po sali.

– Raczej normalka. Głównie misyjka.

Miała na myśli pozycję klasyczną, misjonarską.

– Bez gumki?

– *Full service*, ale w płaszczyku.

Czyli stosunek z użyciem prezerwatywy. Albo faktycznie była profesjonalistką, albo świetnie przeszkoloną aktorką. Jedno i drugie, zdecydowałem. Biegłe posługiwała się językiem zawodowej dziewczyny do towarzystwa, a jednocześnie bardzo się czegoś bała. Mogłem to odczytać z wyrazu jej twarzy, usłyszeć w głosie. Ktoś wywierał na nią presję, aby opowiedziała całą tę historię, tego byłem coraz bardziej pewien.

– Jest obrzezany? – Pytanie nie należało do przyjemnych, ale musiałem je zadać.

Potrząsnęła głową, wywróciła oczami i westchnęła z irytacją.

– Pięćdziesiąt procent szans na właściwą odpowiedź – rzuciłem.

Nie zamierzała jej udzielić. Nie miała pojęcia, czy Claflin posiada napletek czy nie.

– Chrzań się, zbrojeńcu – zachnęła się nagle. – Wiem, że mam zeznawać, ale może byśmy pozostawili facetowi tę resztkę godności?

To mi się spodobało.

– Nie musisz tego robić, wiesz? – oświadczyłem.

Zamrugła kilka razy.

– Robić czego?

– Wpakowałaś się w kłopoty, prawda?

Uśmiechnęła się niepewnie. Jeden z jej przednich zębów sympatycznie wystawał.

– Chyba mógłbym ci pomóc.

Uśmiech zgasł.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz – zaprotestowała bez przekonania.

– Ktoś wywiera na ciebie nacisk, nieźle cię wystraszył. Wiedz, że potrafię pomóc.

– Chrzań się!

– W życiu czasem trzeba komuś zaufać. Wydaje ci się, że jesteś sprytna, bo nikomu nie wierzysz, ale to nic nie daje. Pewnie sądzisz, że tkwisz w tym zupełnie sama. Ale tak wcale nie musi być.

Przez chwilę wyglądała na poruszoną, jakby udało mi się do niej dotrzeć.

– Ktoś ci zapłacił, żebyś kłamała, to dla mnie jasne. Ale nie robisz tego tylko dla pieniędzy. Nastraszyli cię, prawda? – sondowałem głębiej.

W zaczerwienionych oczach dziewczyny zalśniły łzy.

– Kimkolwiek oni są, mogę cię ochronić – powiedziałem. – Nie musisz się sama z tym borykać.

Nagle na jej twarzy pojawił się strach. Oczy znów omiotły pomieszczenie.

– Wcale nie pracujesz dla Slander Sheet! Jesteś cholernym oszustem!

– Kaylo, zaczekaj, wysłuchaj mnie.

Zerwała się z krzesła.

– Odwal się ode mnie! – Chwyliła torebkę i ruszyła między stolikami.

Wstałem i poszedłem za nią. Właściwie już biegła przez kawiarnię. Ludzie przerywali rozmowy, wykręcali głowy i gapili się na mnie. Cała sprawa wyglądała na kłótnię, może nieudaną randkę.

Wtedy zauważyłem kogoś, kto wielkimi susami ruszył w ślad za dziewczyną: potężnego mężczyznę około trzydziestki,

kompletnie łysego, w garniturze i krawacie. Cofnąłem taśmę pamięci i przypomniałem sobie, że wszedł do Starbucksa pół minuty po Kayli. Nie przykuł mojej uwagi, ponieważ wyglądał jak typowy biznesmen, może większej postury niż przeciętna.

Kiedy dotarłem do drzwi kawiarni, Kayla znajdowała się już w połowie ulicy. Zwalisty, łysy facet kroczył za nią. Zastanawiałem się, czy nie dogonić dziewczyny, uznałem jednak, że nie warto. Już dostałem od niej to, czego potrzebowałem. A poza tym ten gościu niewątpliwie był jej gorylem, strażnikiem i opiekunem. Doszła do końca przecznicy i wgramoliła się do jakiegoś samochodu, chyba volkswagena, który oderwał się od krawężnika, zanim łysy zdołał się z nim zrównać.

Szybka była.

Facet wyciągnął telefon.

Postanowiłem mu się przedstawić.

12.

Łysy wklepywał w komórkę jakieś cyfry. Podchodząc, zmierzyłem go wzrokiem. Był o kilka lat ode mnie młodszy, wyższy i potężniejszy. Miał niskie, pochyłe czoło oraz głęboko osadzone oczy. Zbliżywszy się, zobaczyłem, że głowę wygolił do zera dla ukrycia faktu, że na szczycie czaszki stracił wszystkie włosy, w sposób typowy dla łysienia męskiego. Wyglądał na kogoś, kto dużo czasu spędza w siłowni i czuje się nieswojo w garniturze, ponieważ nie chadza w nim zbyt często.

Podniósł wzrok, popatrzył na mnie i przestał pisać. Dostrzegłem kalafiorowate, zniekształcone uszy; musiał być bokserem. Potrzebował paru chwil, aby rozpoznać we mnie faceta, który gadał z Kaylą. Widziałem, jak na jego twarzy kolejno malują się uczucia, niczym u postaci z kreskówki: podejrzliwość, rodzące się zrozumienie, wrogość, potem agresja. Nie był szczególnie szybki w myśleniu.

– Spieprzyłeś sprawę, stary – powiedziałem.

– O czym ty gadasz, do diabła? – Głos miał wysoki i zdławiony.

– O tym, że ci uciekła. Szef nie będzie zadowolony.

Zmrużył oczy, a na jego twarzy uwidocznili się kolejny cykl reakcji: konsternacja, jeszcze więcej podejrzliwości, gniew. W skrócie: „Kim ty, u diabła, jesteś?”

– No, ty śledzisz ją, a ja śledzę ciebie. Operacyjna ocena sytuacji, tak to się nazywa – powiedziałem.

– Gówna prawda.

– Zadzwoń do szefa i się przekonaj. Śmiało. No dawaj, dzwoń od razu.

Łysy zawahał się, zmarszczył brwi, a potem uniósł komórkę. Spojrzał na nią i wcisnął parę klawiszy.

Wyrzuciłem do przodu prawe ramię i złapałem za jego telefon, ale refleks miał szybszy niż proces myślowy; natychmiast zacisnął palce lewej dłoni na aparacie tak, że nie byłem w stanie

go wyrwać. W kolejnej sekundzie prawą pięścią wyprowadził cios w kierunku mojego podbrzusza, w sam środek ciężkości ciała, celując w splot słoneczny. Bokser, bez dwóch zdań. Dobra technika. Wykonałem półobrót i pięść mężczyzny chybiła, otarłszy się tylko o moją przeponę. W lewej ręce wciąż zaciskał telefon, co działało na jego niekorzyść, ograniczając możliwość ruchu tylko do prawego ramienia.

Bokserzy uczą się walić z całej siły i tak szybko, jak to tylko możliwe, poza tym muszą się stosować do regulaminu sali treningowej. Jedna z tych zasad powiada, że nie wolno kopać przeciwnika po jajach. I to właśnie teraz zrobiłem; sztywny szpic mojego skórzanego półbuta wbił się mocno w krocze tamtego i zanurzył w nim zdźwiękiem, od którego zrobiło mi się niedobrze.

Jeśli chodzi o walki uliczne, nie obowiązuje żaden regulamin.

Przez chwilę facet wyglądał na zdumionego. Wydał z siebie niskie „uff”, jego prawa pięść się rozluźniła, potem z lewej wypadł mu telefon. Pochylił się do przodu i zwalił na ziemię. Słyszałem, jak z płuc uchodzi mu powietrze. Skulił się w sobie, objął ramionami, a następnie kwiknął wysokim, prawie kobiecym głosem, jakby z prędkością stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę natarł na niego pociąg towarowy agonii i gościu znalazł się nagle w świecie niezmiernego bólu, niepodobnym do niczego, czego mężczyzna może doświadczyć – bólu, który dopiero osiągnie swoje apogeum, a potem eksploduje, redukując go do żalostnej kupki łachmanów.

Podniosłem telefon z chodnika, gdzie upadł ze stukotem kilka sekund wcześniej, a następnie wepchnąłem łapę do kieszeni jegomościa i wyjąłem z niej portfel. Potem biegiem przebyłem przecnicę albo dwie, zanim zwolniłem do marszu i zniknąłem w tłumie.

13.

Wciąż nieco oszołomiony adrenaliną, której stężenie bardzo wolno opadało, schowałem się w jednym z lokali sieci Panera, usiadłem przy stoliku i zacząłem badać telefon, tanią jednorazówkę bez nazwy producenta. Wyglądała okej, nieco podniszczona, ale raczej nie uszkodzona wskutek upadku na chodnik. Być może iPhone ma lepsze zabezpieczenia od innych, ale i on miałby rozbity wyświetlacz po czymś takim. Ten tutaj natomiast był cały. Zalety tanich aparatów.

Łysy zdążył wprowadzić sekwencję cyfr, nie miał jednak szansy wcisnąć zielonego klawisza. Zachowany numer, pod który chciał zadzwonić, widniał jako Home Base. Baza. Niczym „baza operacyjna”. Czyli kontaktował się ze swoim szefem, kontrolerem.

Co oznaczało, że zdobyłem numer telefonu jego przełożonego. Potencjalnie niezwykle ważna informacja. Ktokolwiek śledził dziewczynę – czy to sprawdzając, dokąd chadza, ponieważ jej nie ufał, czy to dla jej ochrony – znajdował się w zasięgu jednej rozmowy telefonicznej.

Teraz przynajmniej rozumiałem, dlaczego Kayla była przestraszona: ktoś za nią łąził, otwarcie i bez żenady, zupełnie się nie kryjąc. Tak aby czuła zagrożenie.

Schowałem komórkę do kieszeni, na później, i przejrzałem portfel Łysego. Nazywał się Curtis Schmidt, zamieszkiwał stan Maryland i posiadał około stu dolarów w dwudziestkach, niewielki plik kart kredytowych, kartę medyczną oraz wydane przez Maryland pozwolenie klasy A na broń palną.

A potem znalazłem coś znacznie bardziej interesującego.

Był to dokument tożsamości wydany przez Policję Metropolitalną Dystryktu Kolumbii, taki z czerwonym paskiem. Potwierdzał, że Curtis Schmidt jest emerytowanym sierżantem policji.

A zatem Kaylę śledził były gliniarz.

Ponownie zacząłem rozmyślać o tej dziewczynie. Nauczyłem się ufać własnym instynktom, jeśli chodzi o ludzi. Kłamała, to zdawało się pewne. Ale szczególnie intrygujące było to, w jaki sposób to robiła. Jak gładko. Wiarygodne, dobrze przemyślane kłamstwa, przećwiczone i precyzyjnie zapamiętane. Spreparowane tak, żeby mogły się oprzeć szczegółowemu badaniu ze strony mediów. Ona sama została dobrze przygotowana.

Założywszy, że przez pewien czas Łysy nie będzie nadawał się do użytku, posiedziałem jeszcze w lokalu, aby wykonać kilka telefonów.

Zerknąłem na zegarek. Pozostały dwadzieścia dwie godziny. Czas uciekał nieubłaganie.

Niestety, nadal miałem mnóstwo pytań i niewiele czasu, aby znaleźć na nie odpowiedzi.

Kto stał za Slander Sheet? Kim jest właściciel tego portalu? Gdybym się tego dowiedział, zbliżyłbym się do ustalenia, kto kieruje akcją mającą na celu zniszczenie Claflina.

Wciąż miałem swoje źródła w Waszyngtonie, na przykład pewnego senatora, dla którego wcześniej pracowałem, wykonując poufne zlecenie. Działo się to jeszcze w czasach, gdy tu mieszkałem. Senator James Patrick Brennan został moim przyjacielem; był modelowym wręcz typem faceta, który doskonale wie, co w trawie piszczy. Znał od podszewki sposób funkcjonowania politycznego Waszyngtonu. Bystry, z obyciem i koneksjami, kręcił się wokół Kapitolu od kilku dziesięcioleci. Być może coś wie o Slander Sheet. O ile w ogóle zechce się ze mną spotkać, bo to człowiek bardzo zajęty.

Zadzwoiłem do szefowej gabinetu Pata Brennana, Kelly Packowski. Gdy mieszkałem w Dystrykcie Kolumbii, Kelly właśnie weszła w skład personelu senatora Brennana. Była urocza, elegancka i wściekle inteligentna. Na szczęście nadal tam pracowała. Natychmiast podniosła słuchawkę.

– Nick Heller! – zawołała. – Jak się masz, u diabła?

Chwilkę pogawędziliśmy – nie lubiła gadek towarzyskich

traktujących o niczym, tak samo jak ja, dlatego odbębniłmy to pro forma, a potem Kelly oznajmiła:

– Odnoszę wrażenie, że tak naprawdę dzwoniisz do senatora.

– Muszę z nim porozmawiać. Najlepiej osobiście. – Pomyślałem, nie mówiąc tego na głos, że wolałbym spotkać się rano niż po południu. Pat Brennan popijał – co było w Waszyngtonie tajemnicą poliszynela – dlatego pod koniec dnia, po wielu szklaneczkach whisky, stawał się lekko niezborny. Tyle że późne popołudnie właśnie mijało. Czyli spotkamy się, kiedy on zechce. O ile zechce.

– Mamy ciężki dzień, Nick.

– Chyba jak zwykle?

Westchnęła.

– Dzisiaj jest gorzej niż zwykle. Teraz senator jest na jakimś zebraniu, ale zapytam go, kiedy skończy. Zobaczę, co da się zrobić.

Podaliśmy jej numer swojej komórki i rozłączyłem się. Potem zadzwoniłem do Dorothy. Darowała sobie wszelkie wstępy.

– Myślę, że znalazłam coś na temat tej dziewczyny do towarzystwa.

– Serio?

– No. Jej siostrę trzykrotnie aresztowano za amfę. Jeszcze raz, a czeka ją dożywocie bez prawa do zwolnienia warunkowego.

– Kayla też figuruje w kartotekach?

– Nie znalazłam niczego takiego. Ojciec nie żyje, matka przebywa w domu opieki. Dwa lata studiowała w college'u Corneliusa. To uczelnia dla kobiet w Wirginii, ale wygląda na to, że stamtąd wyleciała. Jaka była na waszym spotkaniu? Milczała jak zaklęta?

– Cóż, raczej mówiła, ale to wszystko było wyuczone. Ktoś ją naprawdę nastraszył. Współczuję jej. Nie ma pojęcia, w co wdepnęła.

– Ta dziewczyna jest prostytutką, prawda? Sama wybrała takie życie.

– To trochę ostra uwaga, nie sądzisz?

– Po prostu mówię.

- Ona ma coś w sobie. Podoba mi się jej charakter. Jest twarda.
 - Mhm.
 - Słuchaj, chciałbym, żebyś znalazła mi jeden numer telefonu. I poszperaj trochę za pewnym byłym gliniarzem z Waszyngtonu nazwiskiem Curtis Schmidt.
 - Kto to taki?
 - Facet, który jeszcze przed chwilą śledził Kaylę.
 - Skąd znasz jego nazwisko?
 - Pożyczyłem sobie jego portfel.
 - Dobra, więcej wolę nie wiedzieć.
 - Poza tym zobacz, co uda ci się znaleźć na temat właściciela Slander Sheet. Jestem pewien, że to jakaś korporacja medialna należąca do firmy wydmuszki czy coś w tym stylu, ale przekonajmy się, czy cokolwiek z tego wyjdzie. Postaraj się maksymalnie zbliżyć do prawdziwego właściciela portalu.
 - A co z tym hotelem? Claflin miał się rzekomo spotykać z dziewczyną do towarzystwa w Monroe, i to trzykrotnie. Hotel musi mieć jakieś nagrania. Chyba. Ale pieniędzy bym na to nie postawiła.
 - Za chwilę tam pojedę.
 - Jeśli Claflin nigdy nie wynajmował u nich pokoju, cała ta oszukańcza afery posypie się jak domek z kart.
 - Powinna - przyznałem. - Szybko się okaże.
- Ale z jakiegoś dziwnego powodu nie czułem szczególnego optymizmu w tej kwestii.
- Nie miałem pojęcia, co mnie czeka.

14.

Dyrektorem do spraw bezpieczeństwa hotelu Monroe był niespokojny, mały mężczyzna nazwiskiem Kevin Chung. Miał na sobie obcisły szary garnitur i białą koszulę z krótkim kołnierzykiem, a także cienki czarny krawat. Boki jego głowy były tak mocno wygolone, że widać było biel skóry na czaszce, natomiast na czubku zwartym szeregiem sterczała krótka czarna szczecina. Gdyby włosy były dłuższe, facet wyglądałby jak Irokez.

Na ścianach jego niewielkiego, pozbawionego okien biura wisiały certyfikaty w tanich ramkach zaświadczające o ukończeniu różnych kursów z zakresu ochrony osób i mienia oraz o przynależności właściciela do stowarzyszeń branżowych. Na blacie biurka panował schludny porządek: stały tam tylko monitor komputera, zestaw do notowania oraz tabliczka z nazwiskiem, zwrócona w kierunku krzesła dla gości, w razie gdyby zapomnieli, z kim rozmawiają. Była niewspółmiernie duża: bez wątpienia facet uważał się za kogoś ważnego.

– Żałuję, że nie mogę pomóc, panie...

– Heller.

– Panie Heller. Ale tu chodzi o prywatność. Złamałbym prawo, gdybym potwierdził obecność tej osoby w naszym hotelu. Z pewnością pan to rozumie. Coś jeszcze?

Ta odpowiedź mnie nie zaskoczyła. Większość hotelowych szefów ochrony nie chce współpracować z prywatnymi detektywami. Trzeba kogoś znać, albo znać kogoś, kto kogoś zna, i dopiero wtedy wyświadczą ci tę łaskę. Tylko że ja tu przyszedłem w ciemno. Zdarza się, że wystarczy dać któremuś z tych gości stowę, a wykazuje chęć kooperacji. Czasem jednak wymagana jest solidniejsza łapówka.

Jednakże Kevin Chung był urzędniczym palantem; od razu zrozumiałem, że kasa raczej nie zadziała. Należało zmienić podejście.

– Wielka szkoda – powiedziałem. – Liczyłem, że załatwimy tę sprawę po cichu, bez podawania nazwy hotelu do mediów.

Zauważyłem w jego oczach przeblysłk frasunku, zanim zdążył go zamaskować wystudiowaną obojętnością.

– Nie nadażam – odparł.

– Pamięta pan tę całą sprawę z Eliotem Spitzerem, w której padła nazwa hotelu Mayflower. Brzydko wyszło.

Policzki faceta się zaróżowiły i trochę bardziej wyprostował się w krzesle. Oczywiście dobrze wiedział, o czym mówię. Wszyscy w Waszyngtonie pamiętali historię gubernatora Nowego Jorku, który kilkakrotnie spotykał się z dziewczyną do towarzystwa, między innymi w hotelu Mayflower. Wybuchł wielki skandal. Przez chwilę tamtejszy pokój numer 871, gdzie doszło do zbliżenia z prostytutką, okrył się sławą, jednak reputacja Mayflowera co nieco ucierpiała. Nie bardzo, ale wystarczająco. Nawet dzisiaj po wygooglowaniu hasła „Hotel Mayflower, Waszyngton”, wśród pierwszych trafień powtarza się słowo „skandal”.

Oczywiście wiadomo, że dziewczyny do towarzystwa regularnie bywają także w najlepszych hotelach. Tyle że w temacie obowiązuje dyskrecja. Kierownictwo o wszystkim wie, lecz milczy. Jeśli nie robi się tego w sposób jawny i bezczelny, nikt się nie wtrąca. Niemniej eleganckim hotelom nie są potrzebne tego typu historie o call girls, zwłaszcza nagłaśniane w mediach. Bo to wygląda źle. A nawet fatalnie. Może zniszczyć markę.

– Co Mayflower ma z nami wspólnego?

– To proste – westchnąłem. – Portal Slander Sheet opracowuje artykuł, w którym twierdzi, że prezes Sądu Najwyższego Jeremiah Claflin spotykał się z prostytutką tutaj, w hotelu Monroe, i to trzykrotnie.

– Slander Sheet? – Mężczyzna sprawiał wrażenie przerażonego.

Potwierdziłem skinieniem głowy.

– Tak. To oczywiście kaczka dziennikarska. Pewnie ktoś zdobył numer jednej z kart kredytowych sędziego, podrobił dowód osobisty i zameldował się w hotelu pod jego nazwiskiem.

– Ale... po co?

– Żeby go zrobić. Chyba chodzi o szantaż. Nie wiem. Pan natomiast może zaraz zajrzeć do swojego komputera i udowodnić, że prezesa nigdy u was nie było. Koniec pieśni, sprawa zakończona. I nazwa „Monroe” nie pojawi się na Slander Sheet. Nic więcej nie trzeba.

Chung wysunął sobie szufladę z klawiaturą i wpatrywał się groźnie w monitor. Jego palce śmigały po klawiszach.

– Ale... rzeczywiście, pan Claflin zatrzymał się u nas. Trzy razy w zeszłym roku.

Znów kiwnąłem głową. To mnie nie zaskoczyło. Gdybym chciał tylko ustalić, czy Claflin był gościem tego hotelu w określonych dniach, wsunąłbym pięćdziesiątkę tej lalce Barbie z recepcji. Tyle zapewne zrobiła też dziennikarka ze Slander Sheet.

Zanim pofatygowałem się do Kevina Chunga, odbyłem mały spacer po hotelu. Pozwoliłem sobie zapoznać się z nieruchomością. Zauważyłem kamery monitoringu nad blatem recepcji, a także w holu, w windach oraz w ciągach korytarzy.

– Może pan puścić nagranie z kamery nad recepcją i pokazać mi faceta, który się wtędy zameldował?

Chung się zawahał.

– Zależy, jak dawno to było.

– A ile czasu trzymacie nagrania?

– Firma wymaga, żeby siedem dni.

– A tak naprawdę?

– Różnie. Kamery są aktywowane przez czujniki ruchu. Zależy, jak długa była ta aktywność.

Chwilę mi zajęło, zanim zrozumiałem, o czym on mówi. Zapis z kamer bezpieczeństwa nie odbywa się teraz na taśmach, lecz na twardych dyskach komputerów. Cyfrowo, nie analogowo. Im więcej aktywności wykrywa dana kamera, tym więcej rejestruje i tym więcej wymaga miejsca na dysku. A kiedy ten się zapełnia, nagrywanie zaczyna się od nowa, na starym materiale.

– No cóż, wszystkie trzy daty, o których mowa, są dużo starsze niż siedem dni – powiedziałem. – Ostatnia wizyta miała miejsce trochę ponad miesiąc temu.

– Nie będziemy mieć tak starego nagrania.

Kiwnąłem głową. Pech.

A potem coś sobie przypomniałem. Ten hotel, jak większość w dzisiejszych czasach, zamiast zwykłych kluczy oferuje klientom karty zbliżeniowe. Wystarczy przyłożyć taką kartę do elektronicznego czytnika w drzwiach pokoju, a zapiszczy, mrugnie zielono i już otwarte.

– Może pan stwierdzić, czy wydano karty elektroniczne do tego pokoju?

Klik, klik, klik.

– Tak. Po dwie za każdym razem.

Jeśli w Monroe obowiązywały takie same zasady jak we wszystkich hotelach, w których mieszkałem, to musiano tutaj korzystać z oprogramowania zarządzającego nieruchomością, które zapisuje każde otwarcie drzwi do pokoju z zewnątrz. Stały wgląd w taki rejestr umożliwiał tak zwany dziennik kontroli.

– Okej. Proszę spojrzeć na pierwszą datę. Czy potrafi pan stwierdzić, że wspomnianego klucza użyto, aby wejść do tego konkretnego pokoju?

– Oczywiście – odrzekł Chung obrażonym tonem. Znów postukał i poklepał w klawiaturę. – On... To dziwne... Tego klucza nigdy nie używano.

– No właśnie. Proszę sprawdzić kolejną datę.

Jeszcze więcej klikania i stukania.

– Wtedy też nie.

– Z ostatnią datą będzie prawdopodobnie tak samo. Czyli ktoś przyszedł do waszego hotelu trzykrotnie, za każdym razem innego dnia, zameldował się, jednak tak naprawdę nigdy nie wszedł na piętro do swojego pokoju.

Mój klient był prezesem Sądu Najwyższego, reprezentował go, niemal ucieleśniał: im mniej czasu spędził w tym budynku, tym lepiej. Mniejsza była szansa, że jego wizerunek został utrwalony na nagraniu wideo.

Z drugiej strony bez nagrania postaci oszusta, który podawał się za sędziego Claflina, dysponowałem tylko faktem negatywnym: tym mianowicie, że nikt nie wszedł do jego pokoju. Ale to już było coś – dowodziło, że Claflin nie mógł się tutaj

spotykać z dziewczyną.

Na pewno nie w pokoju, w którym nie stanęła jego stopa.

Czy to wystarczy do podważenia prawdziwości artykułu w Slander Sheet – nie wiedziałem. Miałem się o tym wkrótce przekonać.

15.

Siedząc w taksówce mocno zalatującej curry, dodzwoniłem się do Gideona Parnella. Jadł kolację. W tle słyszałem stukot porcelanowej zastawy i szcęk srebrnych sztućców, harmider typowy dla klubu, oraz czyjś ochrypy śmiech.

– Rozmawiałem z tą dziewczyną do towarzystwa.

– Co takiego? Jakim cudem?

– Trochę poszukiwań w necie i drobna praca nóg. – Im mniej mu mówiłem o tym, co zrobiliśmy, tym lepiej. Złamaliśmy zbyt dużo paragrafów, a on był przecież prawnikiem. – Zła wiadomość jest taka, że dziewczyna jest świetnie przygotowana i wyćwiczona. Nie mogłem podważyć jej opowieści, a próbowałem.

– Nie sądziłem, że uda ci się do niej zbliżyć. Jestem pod wrażeniem.

Rozważałem, czy opowiedzieć mu o obserwatorze, byłym gliniarzu z Dystryktu Kolumbii, uznałem jednak, że zatrzymam to dla siebie do czasu, aż rozgryzę, czy Curtis Schmidt zamierzał ją chronić, czy raczej kontrolować. Poza tym miałem Parnellowi ciekawsze rzeczy do przekazania.

– Ktokolwiek wrabia Claflina, z pewnością jest w tym dobry. Osoba podająca się za sędziego zameldowała się w hotelu Monroe, korzystając z fałszywego dokumentu tożsamości i podrobionej karty kredytowej. Znaleźliśmy jednak dziurę w tym misternym planie. Tak naprawdę nikt do tego wynajętego pokoju nie wchodził. Zameldowano się w hotelu, ale to wszystko.

– Naprawdę? Możesz to udowodnić?

– Tak. To powinno wystarczyć, żeby obalić tę ich historyjkę.

Nastąpiła długa pauza.

– Nie sądzę – odezwał się w końcu Gideon. – Sprawa jest delikatna. Zbyt delikatna.

– Myślisz?

– Musimy ustalić, kto za tym stoi. Kto to robi. Jeśli zamierzamy kontratakować, będziemy musieli uderzyć naprawdę mocno. Dysponować możliwie najpełniejszą wiedzą. Musimy pokazać tym handlarzom plotek, jak gigantycznym oszustwem jest ta sprawa.

Westchnąłem. Właściwie Gideon miał rację. Fakt, że nikt nie wszedł do pokoju hotelowego wystarczyłoby, aby całą tę historyjkę zdyskredytować przed sądem, ale nie przed opinią publiczną. Tak byłoby w przypadku prawdziwego dziennikarstwa, my jednak mieliśmy do czynienia z plotkarskim portalem. Slander Sheet operował w świecie wrażeń, nie przepisów prawa.

– No cóż, jest jeszcze trochę czasu – powiedziałem. – Nieco ponad dwadzieścia cztery godziny, według mojego zegarka. O której masz rozmowę z tą dziennikarką?

– Spotykam się z panną Seeger jutro o dziewiątej rano.

– Myślałem, że co najmniej o siedemnastej.

– O tej godzinie oni wcisną odpowiedni klawisz i historia pójdzie w świat. Chyba że wcześniej zadamy jej kłam. W ramach umowy, jaką z nimi zawarłem, aby kupić sobie dwie doby, jest obietnica udzielenia wywiadu. Nawiasem mówiąc, chciałbym, żebyś przy tym był.

– Oczywiście. Ale i tak wolałbym porozmawiać z tą Seeger nieco wcześniej. Na przykład dziś wieczorem, jeśli to możliwe.

– Nie jestem pewien, czy to dobry pomysł.

– Muszę się jej przyjrzeć. Zobaczyć, czy kryje w zanadrzu coś jeszcze.

– W takim razie bardzo proszę. Ale bądź ostrożny. Ci ludzie ze Slander Sheet to skorpiony.

Usłyszałem, że mam połączenie przychodzące. Numer zaczynał się od kierunkowego dwieście dwa, a potem zobaczyłem dwieście dwadzieścia cztery, które to trzy cyfry wskazywały, że dzwoni ktoś z Senatu. Pożegnałem się z Gideonem i odebrałem drugi telefon.

– Nick, tu Kelly.

– Cześć, Kelly.

– Senator ma okienko w kalendarzu, jedno spotkanie zostało odwołane. Jeśli przyjedziesz do jego sekretnego biura za piętnaście minut, wprowadzę cię jeszcze przed kolacją z wyborcami.

Spojrzałem na zegarek. Była dziewiętnasta. Czyli dla senatora Brennana najwyższa pora na szklaneczkę bourbona.

– Jak on się czuje? No wiesz, bo jest już późno.

Kelly odpowiedziała trochę oschle. Wiedziała, o co mi chodzi – jak bardzo facet jest pijany? – ale go chroniła, była zachowującym dyskrekcję członkiem jego personelu.

– Dziś po południu odbywa jedno spotkanie za drugim, non stop, więc raczej powinien czuć się okej.

To chyba znaczyło: gościu nie miał szansy sobie strzelić kielicha. Chociaż zastanawiało mnie, czy przypadkiem Pat Brennan nie nosi przy sobie piersiówki. Nie byłbym zaskoczony, gdyby się okazało, że tak. Kelly podała mi namiary na biuro. Podziękowałem jej i przywołałem taksówkę.

16.

Dyskretne biuro senatora Pata Brennana mieściło się na drugim piętrze gmachu Kapitolu, za nieoznakowanymi drzwiami. Nigdy bym go nie znalazł, gdyby nie wysłano młodej, ładnej dziewczyny o rudych włosach, która wyszła mi na spotkanie przy kontroli bezpieczeństwa i zaprowadziła na miejsce. Szliśmy marmurowymi korytarzami, a następnie po wijących się schodach, przechodząc przez kolejne drzwi zamknięte na klucz.

Wszyscy senatorowie, oprócz swych oficjalnych gabinetów zlokalizowanych w sąsiednim budynku Senatu, posiadają takie dyskretne biura. Niektóre ładne, inne mniej przyjemne. Niekiedy jest w nich ciasno jak w małej szafie. Wszystko zależy od szczebla w urzędniczej hierarchii. Pokoje te służą zwykle jako miejsca spotkań ad hoc, schronienia przed natłokiem zajęć i dziennikarzami, a czasem także do krótkiej drzemki. W okresie prohibicji niektórzy senatorowie organizowali w tych lokalach tajne bary. Lyndon Johnson miał zwyczaj do swojej kryjówki zapraszać młode kobiety, aby im „coś podyktować”, jak to określał. Większość parlamentarzystów bardzo się stara, żeby lokalizacja ich samotni pozostała tajna dla wszystkich z wyjątkiem najbliższych współpracowników.

Drzwi otworzył mi sam senator Brennan, w koszuli, bez marynarki i z przekrzywionym krawatem. Był to wysoki, pucułowaty mężczyzna, lekko zgarbiony, o rumianym obliczu chochlika i wysoko sklepionym czole z burzą siwych włosów, zwykle w stanie nieładu.

– Nicholas Heller! – zagrzemiał. – Dobry Boże, ileż to czasu?

– Ze dwa lata, panie senatorze.

– W tym biurze mów mi Pat. Proszę.

Kiwnąłem głową.

– Dzięki, że znalazłeś dla mnie czas, Pat.

– Darowałem sobie wieczorne telefony z prośbą o finansowe

wsparcie, czego szczerze nie znoszę, dlatego to ja powinienem dziękować tobie. Chodź, chodź!

Położył mi rękę na ramieniu i wprowadził do środka. Poczułem w jego oddechu alkohol, ale na podstawie płynności i artykulacji mowy doszedłem do wniosku, że senator jest dopiero po pierwszym bourbonie. Bardzo dobrze. Przez dwa, trzy kolejne drinki zachowa zdolność logicznego myślenia.

Sekretne biuro składało się z długiego i wąskiego pomieszczenia o wysokim, łukowato sklepionym suficie. Były tam marmurowy kominek, wbudowane w ściany regały na książki i łazienka. A także, w jednym z rogów pokoju, bar z minilodówką, do którego mnie zaprowadził.

– Ty, przyjacielu, dostaniesz najlepszy trunek – powiedział Pat. – Dwudziestoletnią Pappy Van Winkle Family Reserve.

– Jestem zaszczycony.

Z bulgotem wlał whisky do dwóch szklaneczek na wysokość kilku palców i jedną z nich podał mnie. Potem stuknął się ze mną szkłem.

– Aby przywołać Horacego fecundi calices quem non fecere disertum? – I przetłumaczył: – Kogóż pełen kielich nie uczynił wymownym?

Brennan był kiedyś profesorem Harvardu, który pracował dla Białego Domu jako doradca prezydenta, a następnie został wybrany na senatora ze stanu Massachusetts. Na Harvardzie wykładał filologię klasyczną, był erudytą i oczywiście nie miał najmniejszych oporów, aby się z tym obnosić. Im więcej pił, tym chętniej przemawiał po łacinie.

Należał ponadto do największych zwolenników Jeremiaha Claflina. To on przepchnął nominację Claflina do Sądu Apelacyjnego Stanów Zjednoczonych, a później lobbował w Białym Domu, aby mianowano go sędzią Sądu Najwyższego. Byli nie tylko kolegami z Harvardu – Claflin wykładał tam prawo – lecz także przyjaciółmi; Brennan kierował procesem zatwierdzania kandydatury Claflina przez Senat.

Pociągnąłem łyk.

– Znakomita – powiedziałem. Whisky smakowała wybornie

i bez wątpienia szkoda ją było marnować na mnie.

Kilka lat temu, kiedy pracowałem jeszcze w Stoddard Associates w Dystrykcie Kolumbii, wykonywałem zadanie zlecone mi przez senatora Brennana. Wśród członków jego personelu znajdował się donosiciel, który wyrządził wielkie szkody. Ujmując tę długą i skomplikowaną historię jak najprościej: wykurzyłem zdrajcę z kryjówki.

Pat opadł ciężko na obitą żółtym brokatem składaną sofę stojącą obok niskiego stolika, a ja zasiadłem na krześle naprzeciwko niego.

– Przejdę od razu do rzeczy – zacząłem. – Wiem, że twój harmonogram jest napięty. To, co chcę ci powiedzieć, zdradzę w absolutnej tajemnicy. – Podpisałem wprawdzie umowę poufności ze zleceniodawcą, jednak zdecydowałem, że nagląca sytuacja usprawiedliwia takie posunięcie. – Pieczęć milczenia, dobrze?

Uniósł otwartą dłoń, niczym ksiądz udzielający błogosławieństwa.

– *Sigillum confessionis* – rzekł. – Tajemnica spowiedzi.

Wtedy zrelacjonowałem mu całą tę historię ze Slander Sheet i sędzią Claflinem.

– O mój Boże – powiedział, kiedy skończyłem, i pociągnął spory łyk. Popatrzył w okno. Widok na pomnik Waszyngtona oraz National Mall był pocztówkowo idealny. – Slander Sheet. Nienawidzę tego portalu każdą cząstką swojej istoty.

– Jak każdy, ale i tak wszyscy to czytają.

– Zabawne, Nicholasie. To, co stare, znów staje się nowe. Takie szkalowanie i obmowy istniały w naszej republice zawsze, zanim jeszcze pojawiły się gazety. Ludzi, którzy się tym zajmowali, nazywano łowcami skandali. Każdy drukarz należał kiedyś do jakiegoś stronnictwa politycznego i wypuszczał pamflety rozsiewające kłamstwa o przeciwnikach politycznych. Potrafiły krążyć bez końca. Oszczerstwa wylewały się z ich stronic niczym ścieki. Adamsa ogłoszono sodomitą, Madisona szpiegiem, a o Jeffersonie napisano – jakżeby inaczej? – że podobno trzyma jedną z niewolnic jako kochankę!

– No właśnie, o tym...

– Dlatego chętnie przyznam: nasz ówczesny, pochodzący z wyborów rząd był powalany gównem jak, nie przymierzając, pielucha niemowlęcia. Ale coś się zmieniło, Nicholasie. Internet przydał plotkom nowej żywotności. Uczynił z nich broń. Te szmatławe brukowce są niczym zakażone bakcylem czarnej ospy koce, które rozdawaliśmy Indianom. Zarazki z dawnych czasów wracają, powodując permanentne zmiany chorobowe. W wyniku czego cała amerykańska polityka ulega zasadniczej deformacji.

Kiwnąłem głową.

– Pozwól, że opowiem ci pewną historię. W poufności. – Senator wygiął swoje wspaniałe białe brwi. – Wiem, że mogę ci zaufać.

– Oczywiście.

– Któregoś wieczoru, mniej więcej półtora roku temu, wypilem kilka drinków z kolegami senatorami. W tym pokoju, szczerze mówiąc. Chyba o kilka za dużo. Właściwie to żadne chyba – wypilem o kilka drinków za dużo. Wracałem samochodem do domu na Foxhall Road i podobno przejechałem skrzyżowanie na czerwonym świetle, chociaż ja wciąż uważam, że było pomarańczowe. Zatrzymała mnie policja. Pytali, czy coś piłem.

– Akurat trwało posiedzenie Kongresu?

– Och, dobre pytanie. Niestety nie.

Mało kto wie, że podczas sesji Kongresu parlamentarzystów nie można aresztować ani zatrzymać, chyba że pod zarzutem popełnienia zdrady albo zbrodni.

– Powiedziałem policjantowi, kim jestem, a on na to: „Cholera!”, i poszedł do kogoś zadzwonić. Długo trwało, zanim wylazł z radiowozu, kazał mi wsiadać, po czym odwiózł mnie do domu. Na tym się właściwie skończyło, nie licząc paskudnego kaca. Udało nam się zachować całą sprawę w sekrecie. Ale kilka miesięcy później do mojego biura zatelefonował dziennikarz ze Slander Sheet. Jakimś cudem dowiedzieli się o incydencie i grozili, że opublikują artykuł na ten temat. Jak możesz sobie wyobrazić, wpadliśmy w panikę. Co robić? Jak ich skłonić, żeby nie publikowali? W tamtych czasach, gdyby chodziło na przykład o „Washington Post”, zadzwoniłbym do Bena Bradlee’ego

i dobilibyśmy targu. Zaoferowałbym mu wywiad na wyłączność czy coś takiego... Jeszcze kropelkę, Nicholasie? – Dolał sobie whisky na grubość kilku palców.

Potrząsnąłem głową.

– Wystarczy mi.

– Ale Slander Sheet to zupełnie coś nowego. Kto jest jego właścicielem? Kto pociąga za sznurki? Redaktorem naczelnym jest ten mały odrażający gad Julian Gunn, ale portal do niego nie należy. Facet nie jest głównym rozgrywającym. Moi współpracownicy próbowali z nim negocjować, ale daj spokój. Więc sam do niego zadzwoniłem i powiedziałem mu: „Słuchaj no pan, o co tu w ogóle biega? Przecież waszych czytelników nic nie obchodzi jakiś stary senator z Massachusetts ani to, co robi po godzinach!”. Obiecałem mu wyłączność na wszystkie materiały i szczególne ułatwienia w dostępie do mojej osoby, ale nie był zainteresowany ani jednym, ani drugim.

– Chciał krwi – rzuciłem.

– Właśnie. Czegoś paskudnego na temat prezydenta, wiceprezydenta, sekretarza stanu i tak dalej. Chciał usłyszeć o brudach i nie zamierzał odpuścić.

– A ty mu to dałeś, jak przypuszczam, ponieważ nigdy nie czytałem żadnego artykułu o tej jeździe po pijaku.

Brennan spuścił wzrok. Na jego czole pojawiła się linia utworzona z kropelek potu.

– Zrobiłem coś, czego żałuję po dziś dzień.

Pokiwałem współczująco głową i czekałem. Wyglądał na autentycznie udręczonego.

– Dałem im to, czego chcieli, coś paskudnego. Dałem im Steve’a Frazier’a.

– Tego kongresmena?

– Byłego. – Przytaknął. – I byłego przyjaciela.

Członek Izby Reprezentantów Steve Frazier był potężnym konserwatywnym kongresmenem z północnej części stanu Nowy Jork. Niedawno zrezygnował ze swojej funkcji po tym, jak Slander Sheet opublikowało artykuł na jego temat. Z publikacji wynikało, że w trakcie bardzo burzliwego procesu rozwodowego

żona polityka wniosła przeciwko niemu oskarżenie o stosowanie przemocy, które później wycofała.

– Ktoś z mojego biura dowiedział się o tych zarzutach od ludzi Frazier. I to właśnie dałem tym palantom ze Slander Sheet. Dostarczyłem im głowę Steve’a Frazier na srebrnej tacy. A tak naprawdę wymieniłem jego głowę za swoją. Dlatego ja tu wciąż jestem, a Steve’a już nie ma.

– Jest jednak pewna różnica – powiedziałem – pomiędzy tym incydentem z jazdą po pijanemu a historią Claflina. To, że prowadziłeś samochód, będąc pod wpływem alkoholu, jest faktem. Natomiast wszystko na temat sędziego Claflina to kłamstwo.

Senator milczał przez dłuższą chwilę.

– Pozwól, że uzupełnię twojego drinka – odezwał się w końcu. Tym razem podstawiłem mu swoją szklaneczkę, po prostu dla towarzystwa. Dolał trochę płynu najpierw mnie, a potem sobie.

– Gideon i Claflin... – zacząłem.

– Dobrzy koledzy. Tworzą prawdziwą spółkę.

– To znaczy?

– No cóż, Jerry Claflin to jakby protegowany Gideona.

– Domyśliłem się.

– Wiem, że przepchnięcie jego kandydatury przez Senat powszechnie przypisuje się mnie, ale prawda jest taka, że to Gideon pociągał za sznurki za kulisami i smarował wszystkie trybiki. Przygotował Claflina na okres, w którym opo zacznie dogłębnie szperać w życiu kandydata do Sądu Najwyższego. – Przez „opo” senator rozumiał opozycję i jej dochodzenia. – Należałoby to właściwie uznać za zamianę ról, jak sądzę, ponieważ gdy przed laty Gideon startował na stanowisko sędziego, na co dziś jest za stary, Jerry odegrał taką samą rolę. Był jego powiernikiem, obrońcą i skrzydłowym ataku. Rozumiesz, jeśli chodzi o Gideona i Claflina, ich związek opiera się na absolutnej lojalności. Dwukierunkowej. I to w mieście, w którym lojalność spotyka się równie rzadko co puszczyki płamiste.

Powoli kiwałem głową, wchłaniając te informacje.

– Jerry Claflin to człowiek głębokiej prawości – ciągnął Brennan. – Może trochę za bardzo służbista, jak na mój gust. Ale doskonały prawnik. Wiesz na pewno o jego wkładzie w wyklarowanie definicji mens rea.

– Mens rea? Nie pamiętam, co...

– Premedytacja. Zdolność rozpoznawania czynu zabronionego. Dosłownie „świadomość przestępstwa”.

– Zgadza się.

– To ważne, czy oskarżony miał uprzedni zamiar popełnić dane przestępstwo czy nie. Czy o to mu chodziło. W każdym razie, Jerry zawsze będzie otoczony wdzięcznością za doprecyzowanie dokuczliwego problemu „intencji warunkowej” w mens rea. Adam Liptak z „Timesa” w „Hagedornie” porównał tę definicję do „szpitalnego łóżka, na którym prześcieradło jest tak starannie i mocno zaścielone, że można od niego odbijać monetę”. – Senator zachichotał z uciechy.

– Nie wiedziałem.

– Ale i ten artykuł jest kłamliwy i zaszkodzi sędziemu. Jak pisał Wergiliusz w „Eneidzie”, fama malum qua non aliud velocius ullum. Nie ma zła szybszego od plotki.

– Więc kto właściwie próbuje zniszczyć Claflina? – zapytałem. – Kto żywi aż taką nienawiść i jednocześnie ma środki, aby to zrealizować?

– Właściwe pytanie brzmi: kto kieruje tym całym zamieszaniem? Może to ktoś wściekły z powodu jakiegoś wyroku sądowego, natomiast samo Slander Sheet jest niewinne? Czy może jednak ów atak zainicjowało Slander Sheet?

Ponownie kiwnąłem głową.

– Jeśli pomysł powstał w Slander Sheet, to sądzisz, że z pobudek politycznych?

– Rzecz wygląda następująco, Nicholasie. Na ogół właściciele gazet i czasopism nie ukrywają swojej tożsamości. Chcą, żeby wiadano, że są ich właścicielami, prawda? Żeby się do nich umizgiwano i im schlebiano. To, że nie znamy prawdziwego właściciela Slander Sheet, wskazuje, moim zdaniem, że jest nim osoba spoza świata polityki. Jeśli przeanalizować ich ataki, to

raczej nie widać jakiegoś politycznego wzorca. Rzucili się na mnie, liberała, ale zadowolili się także Steve'em Frazierem, który należał do prawicy. Ale być może gdzieś tu kryje się jakieś drugie dno. Trudno stwierdzić.

– Więc kto skorzysta na zniszczeniu kariery Jeremiaha Claflina?

– Ach. Oto stara, odgrzewana fraza cui bono, na czyją korzyść? Powiem ci szczerze, jakbym przysięgał przed Panem Bogiem: nie mam zielonego pojęcia. To jakaś cholerna zagadka.

Wstałem. Miałem jeszcze trochę do załatwienia dziś wieczorem.

– Odstawić cię do domu?

– Bez obaw – odrzekł senator. – Mam kierowcę.

17.

Waszyngtońskie biura portalu Slander Sheet mieściły się na drugim piętrze starej przemysłowej piekarni w dzielnicy Shaw, u zbiegu Siódmej i S Street, kilka przecznic od stacji metra. Aż do zamieszek z 1968 roku Shaw stanowiło główne skupisko czarnej klasy średniej w Dystrykcie Kolumbii. Wkrótce potem większość tych, których było na to stać, wyprowadziła się na przedmieścia. Obecnie dzielnicę zamieszkiwała dobrze prosperująca społeczność etiopska, a także liczni świeżo upieczeni absolwenci college'ów, którzy zajmowali piękne niegdyś wiktoriańskie domy szeregowo. Ostatnimi czasy ulokowało się tam również wiele nowych, odjechanych biznesów, organizacji typu non profit oraz firm internetowych w rodzaju Reddit.

Był wczesny wieczór, zmrok dopiero nadchodził, ale w starej piekarni paliły się światła. Również na drugim piętrze. Hol budynku stał otworem, niepilnowany. Wszędzie rzucały się w oczy naga cegła, szkło i stal. Przygnębiający, stary gmach został przerobiony na kipiącą życiem i werwą przestrzeń. Ludzie właśnie wychodzili z pracy, większość z nich wyglądała na osoby tuż po dwudziestce, maksymalnie dwudziestopięcioletnie. Tabliczka na murze informowała, że biura Slander Sheet znajdują się pod numerem 301.

Wsiadłem do windy, wielkiej i brzęczącej, która wyglądała, jakby kiedyś przewożono nią wyłącznie towar, i wjechałem na drugie piętro. Byłem jedynym pasażerem. Wszyscy pozostali zjeżdżali na dół, w stronę wyjścia z budynku. Po przejściu kilkunastu metrów wąskim korytarzem stanąłem przed szklanymi drzwiami z logo Hunsecker Media. Nazwa wydała mi się jakby znajoma; po paru sekundach przypomniałem sobie, że padła podczas rozmowy o działalności portalu Slander Sheet.

Szarpięciem otworzyłem drzwi, zaskoczony, że nie są zamknięte na klucz, i rozejrzałem się po wnętrzu. Była to jedna

wielka otwarta przestrzeń. Znowu odsłonięte cegłówki, trochę rur tu i ówdzie, sufit z wytłaczanych cynowych kasetonów. Za kilkoma długimi stołami, które biegły wzdłuż całego pomieszczenia, siedziało kilkanaście osób, wszystkie ledwo po dwudziestce; po obu stronach blatu stały komputery. Zmieściłoby się tu co najmniej pięćdziesięciu ludzi. Nikt nie wyglądał mi na szefa. Do sufitu przymocowano ogromny telewizor, na którym wyświetlano nagłówki artykułów. Obok każdego z nich znajdowała się jakaś liczba, prawdopodobnie odsłon internetowych, oraz zielona strzałka skierowana w górę bądź czerwona w dół, które wskazywały chyba aktualny trend danego postu. Najbardziej popularny, czyli ten na samej górze, nosił tytuł „Kongresmen Dick: Republikanin Dick Compton seksemesuje zdjęcia swojego przyrodzenia jednemu z młodocianych stażystów w Kongresie”.

Chyba każda z osób stukających w klawiatury komputerów miała na uszach słuchawki. Wszyscy milczeli, jeśli nie liczyć sporadycznych wybuchów śmiechu. Cyfrowy wyzysk pracowników.

Zatrzymałem się przy pierwszym z brzegu tęgim facecie z głupawymi pekaesami. Dotknąłem jego ramienia. Zdjął słuchawki.

– Tak?

– Szukam Mandy Seeger.

Mężczyzna rozejrzał się dokoła.

– Normalnie siedzi na samym końcu. – Wskazał podbródkiem. – Ale coś jej nie widzę. Chyba już wyszła.

– Można się z nią jakoś skontaktować? To ważne.

Przyglądał mi się chwilę w sposób pozbawiony ciekawości. Potem wzruszył ramionami.

Na ekranie jego monitora, trochę z boku, zauważyłem mały kwadrat przypominający okno dialogowe.

– Może pan wysłać jej wiadomość? – spytałem.

– A, hm, kim pan jest?

– Proszę jej powiedzieć, że chodzi o Gideona Parnella.

– Gideona Parnella?

Potwierdziłem skinieniem głowy.

– Nie wygląda pan na kogoś od niego. – Nawet szeregowy członek personelu Slander Sheet wiedział, kim jest Gideon Parnell.

– Ale dla niego pracuję. A Mandy Seeger chciała ze mną rozmawiać.

Wpisał coś w okienko dialogowe. Odpowiedź nadeszła po kilku sekundach.

– Ona mówi, że jest umówiona z Parnellem jutro o dziewiątej rano.

– Proszę przekazać, że o tym wiem. To byłby dodatkowy wywiad, o ile pani redaktor jest zainteresowana. Oferta specjalna.

Znów poklepał w klawisze.

– Pyta o pańskie nazwisko.

– Nick Heller.

Wpisał w okienko dialogowe to, co usłyszał. Po kilku sekundach oczekiwania nadeszła odpowiedź.

– Mówi, że spotka się z panem za pół godziny w barze Lobby na Capitol Hill.

Znałem tę spelunkę: browar po dwa dolary, sznapsy z piwem i gra w Skee-Ball.

– Już jadę.

18.

Knajpa była dokładnie taka, jaką ją pamiętałem: woniejąca piwem i frytkami, zatłoczona, z niskim sufitem i klientelą składającą się z prawdziwej klasy robotniczej. Bar nadal odznaczał się czerwienią, a dostępne w ofercie gatunki piwa wypisano na tablicy różnokolorową kredą. Na ścianach wisały blaszane tablice rejestracyjne z wszystkich pięćdziesięciu stanów. Przychodzili tu rozmaici ludzie: studenci, budowlańcy, personel Kapitolu, marines z koszar przy skrzyżowaniu Ósmej oraz I Street, policjanci, pielęgniarki ze szpitala DC General, lobbyści. Lokal otwierano o ósmej rano, zamykano zaś o drugiej w nocy, zgodnie z przepisami.

Mandy Seeger znalazłem w boksie, który zajmowała samotnie. Miała około trzydziestu pięciu lat, bladą cerę i włosy barwy miedzi, a także rozbawione jasnopiwne oczy i twarz znamionującą żywą inteligencję. Nie była piękna, ale zdecydowanie atrakcyjna; ubrała się we wzorzystą, trochę hippisowską sukienkę, a z jej uszu zwisały wielkie kolczyki w kształcie kół. Nie wyglądała na dziennikarkę, choć sam nie bardzo wiem, jak niby dziennikarka powinna wyglądać. Na pewno jednak nie tak. Przed nią stała szklanka z colą. Dietetyczną, jak się domyślałem.

Pomachała do mnie.

– Pan to pewnie Nick Heller.

Usiadłem po drugiej stronie stołu.

– Skąd pani wie?

– Jest pan za stary jak na studenta oraz za mało nerdowaty, żeby pracować na Kapitolu. Poza tym sprawia pan wrażenie faceta, który potrafi skopać komuś dupę.

– Absolutnie nie. Jestem pacyfistą. Wolę mediacje.

– A jednak wygląda pan na człowieka, który mógł kiedyś pracować w służbach specjalnych. Albo żołnierza, pięć kilo temu.

Nie miałem wątpliwości, że Kayla Pitts zdążyła już o mnie opowiedzieć. Brnąłem w to dalej.

– Wygooglowała mnie pani.

Zaśmiała się. Miała piękny, gardłowy śmiech.

– Pan prawie w ogóle nie istnieje w Google’u. Nie ma pan nawet strony internetowej.

– Nie potrzebuję jej.

– Tere-fere. Musiałam w to włożyć znacznie więcej wysiłku niż samo googlowanie.

– A mimo to zgodziła się pani ze mną spotkać.

– Chorobliwa ciekawość.

Zjawiała się kelnerka z notatnikiem.

– Jeszcze raz dietetyczna cola – powiedziała Mandy.

Kelnerka obróciła się do mnie.

– A ja poproszę Natty Boh.

Kiedy dziewczyna odeszła, Mandy skomentowała:

– Natty Boh, co?

Wzruszyłem ramionami. To było lokalne spieszczenie nazwy piwa National Bohemian, o którym wiedziałem, że podaje się je tu z kija.

– Nawiasem mówiąc, browar należy do Rosjan – powiedziałem.

– Nie, jest własnością Pabsta.

– No tak. A Pabsta kupił jeden rosyjski oligarcha.

– Kogo to obchodzi? – Wzruszyła ramionami, ustępując. Odniosłem wrażenie, że nie lubi nie mieć racji. – Więc jest pan prawie chłopakiem stąd, nieprawdaż?

– Parę najważniejszych lat kształtujących osobowość spędziłem w Dystrykcie Kolumbii.

– Pracując w jakiejś supertajnej jednostce wywiadu wojskowego. Wiem.

– W Pentagonie wszystko jest tajne. Na przykład menu obiadowe w stołówce. Na pewno pani o tym wie.

– Słowo „tajne” to dla mnie przynęta. – Uśmiechnęła się. – Po pracy dla Pentagonu podjął pan prywatną działalność. Zatrudnił się pan u Jaya Stoddarda.

Kiwnąłem głową.

– Praca dla wielkich firm, polityków, dla możnych i bogatych tego świata.

– Najczęściej. Ale nie zawsze.

– Niewiele osób wie o pańskim istnieniu. A ci, którzy wiedzą, dobrze o panu mówią. Przeważnie.

– W takim razie widzę, że nie rozmawiała pani ze wszystkimi.

– Zatem Gideon Parnell wynajął detektywa. To najlepsza wiadomość, jaką dzisiaj usłyszałam.

– A to czemu?

– Gdyby mój artykuł był kompletnie bezpodstawny, nie zadawaliby sobie trudu, żeby prosić o pomoc kogoś takiego jak pan.

– Nieprawda. Większość ludzi boi się Slander Sheet. A kłamstwo, które jest horrendalne, traktuje się poważnie. I robi się wszystko, co tylko można, aby umarło szybką i słuszną śmiercią.

– Myślę, że Gideon wynajął pana, aby pan tu posprzątał.

– Ja się czymś takim nie zajmuję.

– Hola, hola! Przecież jest pan psem bojowym potężnych i bogatych.

– Nie na wyłączność.

– Tylko potężnych i bogatych na pana stać.

Nie miałem ochoty jej mówić, że przyjąłem to zlecenie, ponieważ uważałem tę całą historię za kłamstwo. Ale rozumiałem już, dokąd zmierza nasza rozmowa, zdecydowałem się więc na małe zboczenie z tematu. Trzeba było tę kobietę pozbawić kłów jadowych.

– Dokonała pani wielkich rzeczy w „Washington Post”.

– Nie ma pan pojęcia, na czym ta moja praca polegała – odparła z szerokim uśmiechem.

– Nieprawda, mam. Kilka lat temu napisała pani parę ważnych artykułów na temat wycieków i braku kontroli nad sprawami niejawnymi w amerykańskim rządzie. Wielka rzecz. Wspomniała pani, że prawie milion osób w kraju jest dopuszczonych do tajemnic państwowych. Czyli więcej niż cała populacja Waszyngtonu, tak?

Mandy wzruszyła ramionami.

– Zgadza się.

– I to pani jako pierwsza napisała o tajnych więzieniach CIA poza granicami kraju, także ten artykuł odbił się szerokim echem. Podobnie jak ten o nadużyciach i molestowaniu w szpitalu Waltera Reeda.

Naprawdę się zarumieniła. Tego się nie spodziewałem.

– Pan też sporo googlował – powiedziała.

– Nie musiałem. Po prostu pamiętam. Dobra pani była.

– Nadal jestem. Tylko teraz lepiej mi płacą. A pan przyszedł tu po to, żeby mi grozić, założę się. Przestraszyć mnie, abym się odczepiła od Claflina. No cóż, marnuje pan czas.

– Ja nigdy nie grożę. Nie potrzebuję tego.

– Fakt, nie z takim wyglądem. Z takim wyglądem faktycznie nie musi pan tego robić. Pan po prostu patrzy na człowieka, a on wykonuje, co mu pan każe.

Nie byłem pewien, czy to jest komplement, ale mimo wszystko podziękowałem.

Podano moje piwo w wysokim plastikowym kubku, a także dietetyczną colę dla mojej rozmówczyni. Stuknąłem się pojemnikiem ze szklanką dziennikarki.

– Za chorobliwą ciekawość.

Wendy uśmiechnęła się i upiła łyk napoju.

– Jest pan bardzo czarujący i bardzo układny. No i przystojny. W innych okolicznościach mogłabym dać się poderwać.

– Czyli przeszła pani od tajnych więzień CIA do zdjęć kutasa kongresmena Comptona?

– Teraz był pan mniej czarujący. Szczerze mówiąc, akurat tym się nie zajmuję.

– Ale to zajawka numer jeden, z największym wzięciem, prawda? Już ponad milion wejść.

– Hej, to Compton wysłał esemesem fotkę swojego fiuta młodemu stażystce. Nie my.

– Jednak to wy ów obraz udostępniacie masom.

– Zamazujemy go. Trzeba się sporo naklikać, żeby zobaczyć niegrzeczną wersję w całej krasie. Która to krasa nie jest zbyt

wielka, nawiasem mówiąc.

– Co to jest Hunsecker Media? Kim jest Hunsecker?

– Burtem Lancasterem – powiedziała.

– Słucham? Chodzi mi o to logo na drzwiach waszego biura. Z napisem „Hunsecker Media”.

– No tak. Już mówiłam. To nawiązanie do starego filmu pod tytułem „Słodki smak sukcesu”. Burt Lancaster gra tam wpływowego felietonistę i komentatora prasowego, J.J. Hunseckera.

– Teraz rozumiem.

– Hunsecker Media to spółka matka firm Slander Sheet Nowy Jork, Slander Sheet Dystrykt Kolumbii i Slander Sheet Los Angeles.

– Więc pani jest Hunseckerem portalu Slander Sheet?

– Jeśli mam do napisania ciekawą historię i zmierzam do ujawnienia prawdy, to owszem.

– Widzi pani, z artykułem o Claflinie jest pewien problem. Nie jest oparty na prawdzie.

– Co mówi poplecznik zainteresowanego.

– Będzie tak samo jak z moim piwem i Ruskimi. Przekona się pani, że mam rację.

– Doprawdy. – Znów się uśmiechnęła, lecz tym razem był to niemiły, sardoniczny uśmiezek. – A co, Heidi L’Amour też nie istnieje?

– Właściwie, gwoli ścisłości, to nie. Heidi L’Amour nie istnieje. Nazywa się Kayla Pitts i pochodzi z Tupelo w stanie Missisipi.

– Pan rzeczywiście jest detektywem – rzuciła wyniośle. – I jak przypuszczam, pańskim zdaniem Kayla kłamie.

– To pewne. Aczkolwiek jest w tym bardzo dobra. Zapewne nabiera większość ludzi wokół siebie. Jestem przekonany, że świetnie wypada przed kamerą. Nie wątpię również, że sporo jej płacicie.

– Płacenie źródłu za informacje jest całkowicie legalne.

– Nie chodzi mi to, czy to legalne czy nie. Po prostu solidna wypłata to skuteczny bodziec, żaby kłamać.

– Tylko dlaczego jest pan aż tak pewny, że ona kłamie?

– Po pierwsze, ja to widzę. Nazywam to zaufaniem własnemu instynktowi. Nauczyłem się rozpoznawać tysiąc drobniotkich sygnałów i odruchów. Umieję czytać język ciała. Ludzie mówią bardzo dużo, kiedy milczą.

– Och, doprawdy?

– Jestem przekonany, że również pani zwraca baczną uwagę na swój instynkt, kiedy pracuje nad jakimś artykułem.

– Owszem, i właśnie ten instynkt podpowiada mi, że sprawa jest autentyczna. Zresztą, fakty na to wskazują.

– W takim razie coś z pani instynktem jest nie tak. Z faktami również. Choćby z tym, że dziewczyna nie znała pewnych intymnych szczegółów dotyczących sędziego.

– Ach tak? – To miało zabrzmieć sarkastycznie, ale usłyszałem w głosie Mandy Seeger ciekawość. Nie potrafiła ukryć zaintrygowania.

– Tak.

– I zamierza się pan podzielić tymi szczegółami?

– Jasne. Dziewczyna nie wie, czy sędzia jest obrzezany czy nie.

To odebrało dziennikarce mowę. Na chwilę. Potem roześmiała się lekceważąco.

– Pewnie nie chciała o tym z panem rozmawiać. Co jeszcze nie znaczy, że nie wie.

– No, zapewne jest zbyt dobrze wychowaną panną, żeby dyskutować o tak nieobyčajnych kwestiach. Więc jest pani jej pewna? Na tyle, żeby postawić na szali całą swoją dziennikarską reputację, na którą tak ciężko pani pracowała?

– Mam nagrane zeznanie Kayli, dysponuję danymi z hotelu, no i mam napalonego prezesa Sądu Najwyższego w średnim wieku, który rozstał się z żoną i potrzebuje towarzystwa. A także prostytutkę opłaconą przez Toma Wydena, który miał sprawę w tymże sądzie, a wyrok wydano na jego korzyść. – Znów łyknęła trochę coli. – To duży temat. I sądzę, że okaże się wybuchowy. Rozumiem, dlaczego chce mnie pan zniechęcić. Albo zastraszyć czy odsunąć, nieważne. Proszę mi wierzyć, grożono mi już chyba czterdziestoma procesami, ale nigdy mnie nie pozwano. Ani razu.

– Ja nie grożę pani procesem. Wyjaśnijmy to sobie od razu. Nie

jestem prawnikiem, nigdy nie chciałem nim być.

– A ja tak, dawno temu.

– Przyszedłem powiedzieć pani, że w tej całej historii są luki. Weźmy na przykład jeden mały szczegół. Jeśli Kayla rzeczywiście spotkała się z Jeremiah Claflinem, i to trzykrotnie, to gdzie to było, pani zdaniem?

– W hotelu Monroe. Sędzia meldował się tam trzy razy, w trzech różnych datach.

– Oczywiście, przecież pani dysponuje wglądem w hotelowe księgi rejestrowe.

Uśmiechnęła się i kiwnęła głową.

– Które stwierdzają, że ktoś mający kartę kredytową wystawioną na nazwisko Jeremiah Claflina wynajął w tym hotelu pokój.

– Miał też prawo jazdy Claflina. – Pociągnęła długi łyk coli, aż do samego dna.

Poczułem, że coś z tyłu głowy zaczyna mi pikać, ale nie bardzo potrafiłem stwierdzić, o co chodzi.

– No pewnie – powiedziałem. – Kimkolwiek była ta osoba, nigdy nie weszła do wynajętego pokoju. Ani razu.

– Skąd pan to wie?

Milczałem przez chwilę. Normalnie nie ujawniam nikomu tego rodzaju detali operacyjnych. Ale to nie były normalne okoliczności. Musiałem przekonać tę kobietę, że mam rację i że powinna odpuścić.

– Hotel Monroe korzysta z oprogramowania, które rejestruje każde otwarcie drzwi pokoju kluczem elektronicznym. A także liczbę wydawanych kart magnetycznych i daty ich użycia. Ilekroć ktoś wchodzi do dowolnego pokoju, system to zapisuje. Stąd wiem, że owszem, osoba podająca się za Claflina zameldowała się w hotelu, ale nigdy, ani razu, nie wkroczyła do wynajętego przez siebie pokoju.

W oczach Mandy coś błysnęło.

– Ach, i oczywiście nie ma szans, żeby coś pozmieniać w hotelowych komputerach, prawda? Musi pan się jednak znacznie bardziej wykazać. Kayla opowiedziała mi o pańskim

podstępnie. Nabrał ją pan; myślała, że ma się spotkać ze mną. Tacy jak pan nie mają żadnych zahamowań.

– Zajmuję się tą sprawą dopiero od kilku godzin, a już znalazłem w pani narracji poważne luki.

– Posłuchaj no, Nick. Ja mam całą kupę dowodów, natomiast jedyne, czym ty dysponujesz, to jakieś komputerowe dane, które można łatwo zmanipulować, tak? Słabo. Musisz się o wiele bardziej postarać. Wobec takich rewelacji mój naczelny nawet nie kiwnie palcem.

– A twój naczelny to...?

– Nazywa się Julian Gunn. Zaprawiony w bojach facet, skoro o tym mowa. Jeśli przekażę mu twoje nowiny, zaśmieje mi się w twarz.

– Wiesz co, wydaje mi się, że nie dostrzegasz drugiego dna tej sprawy, tego prawdziwego. A masz je tuż pod nosem.

Zauważyłem, że Mandy zaczyna się irytować.

– To znaczy?

– Nie widzisz faktu, że ktoś wrabia Jeremiah Claflina, bo chce go zniszczyć, zdyskredytować. Kto chciałby zrobić coś takiego? Wiesz co, moim zdaniem ktoś cię wykorzystuje. Pytanie: jak?

– Raczej: po co?

– Jak wolisz. – Czekałem.

– No cóż, Nicku Heller. Przynajmniej próbowałeś, całkiem nieźle ci poszło. Dzięki za fajną rozgrywkę.

Nie zostało już chyba nic więcej do powiedzenia, więc wyjąłem pieniądze i położyłem je na stole.

– Ja płacę.

– Wrzucisz to sobie w koszty – skwitowała Mandy.

19.

Hotel, który zarezerwowała dla nas Jillian, moja sekretarka-asystentka, był przyjemniejszy niż te, w których się normalnie zatrzymuję. Kiedy podróżuję za własne pieniądze, mam słabość do niedrogich zajazdów, gdzie w pokojach można się spodziewać ekspresu do kawy oraz lodóweczki, natomiast w sali śniadaniowej na parterze – metalowej gofrownicy. Gdy jednak za wszystko płaci ktoś inny – no cóż, wtedy lubię dobrze pożyć. Ciężko pracuję dla swoich klientów, dlaczego więc nie korzystać z bonusów? Ten hotel był urządzony z przepychem, miał najbardziej elegancką pościel, jaką widziałem. W apartamencie przewidziano osobny salonik oraz ergonomiczny fotel biurowy. Naprawdę fajny hotel, aczkolwiek bez ekspresu do kawy w pokoju.

Szybko rozpakowałem walizkę, przebrałem się w spodnie od dresu i T-shirt, po czym zadzwoniłem do Dorothy. Jej pokój znajdował się dokładnie naprzeciw mojego, po drugiej stronie korytarza. Oświadczyła, że jest już w piżamie, ale szybko ją zmieni na coś innego i zapuka do moich drzwi. Zamówiłem u obsługi hotelowej stek, natomiast Dorothy, jak się okazało, zdążyła wcześniej zjeść kolację.

Kilka lat temu ukradłem Dorothy prywatnej firmie detektywistycznej w Dystrykcie Kolumbii, w której oboje pracowaliśmy, czyli Stoddard Associates. Jay Stoddard też ją komuś kiedyś ukradł, a tym kimś była Narodowa Agencja Bezpieczeństwa (NSA). Dorothy miała znakomite kwalifikacje, jeśli chodzi o informatykę śledczą, znała się też na odzyskiwaniu danych z wszelkich urządzeń cyfrowych, a poza tym odznaczała się niewzruszoną lojalnością względem mojej osoby. Ja odpłacałem jej tym samym – z pewnością istnieli lepsi od niej fachowcy we wspomnianej dziedzinie, ale żaden nie był tak uparty i zdeterminowany jak Dorothy. Wyrwałem ją

z wygodnego życia, jakie wiodła w Waszyngtonie, i choć nigdy mi tego nie wypominała, wciąż o tym fakcie pamiętałem.

Zapukała do moich drzwi na długo przed pojawieniem się hotelowej obsługi z gotowym zamówieniem. Miała na sobie dżinsy i biały T-shirt. Włosy zawsze nosiła krótkie, ostatnio jednak przystrzyżone praktycznie na jeża, a do tego skomplikowany zestaw kolczyków przebijających uszy, zwanych helix piercingiem. (Byłem jedyną osobą w naszym biurze, która nie miała przekłutych uszu). Stała w progu boso. Paznokcie u stóp i u rąk pomalowała na ten sam jaskrawy odcień różu.

- Jak tam twój brat?
- Lepiej nie pytaj.
- Za późno, właśnie zapytałem.
- Długa historia. Opowiem ci innym razem.
- Opowiedz teraz.

Zlustrowała wnętrze pokoju i weszła do środka.

- Jak to się stało, że dali ci apartament dyrektorski, z osobnym salonem i tak dalej? Pewnie masz ze dwie łazienki, co?

- Tylko jedną. To mi wystarczy. - Zignorowałem pytanie. - Opowiesz mi wreszcie o swoim bracie?

- Innym razem.
- Okej. - Zazwyczaj wiedziałem, kiedy sobie odpuścić.
- Nawiasem mówiąc, Internet działa tu naprawdę z szaloną prędkością, jak na hotelowe wi-fi.

Dorothy wzięła sobie szklankę i w łazience napełniła ją wodą z kranu. Potem usiadła w wielkim fotelu uszaku, stojącym w rogu salonu.

- Widziałeś członek kongresmena Comptona?
- Nie doklikałem się aż tak głęboko. Ale czytałem artykuł.
- Po co zajmujemy się jakimś gównianym plotkarskim portalem, który publikuje zdjęcia fiutów polityków? Kogo to w ogóle obchodzi, o czym oni piszą?

Nalałem sobie szkockiej z minibaru. Chętnie dołożyłbym trochę lodu, ale nie miałem ochoty szukać maszyny ani znów dzwonić po obsługę, poza tym bez kostek też było okej.

- Rzecz polega na cyklu życiowym danego skandalu -

powiedziałem. – Wszyscy czytają Slander Sheet, chociaż nie wszyscy się do tego przyznają. Ale poważne media, takie jak „New York Times” czy „Wall Street Journal”, nie napiszą o żadnym skandalu, który wywołał Slander Sheet, dopóki nie stanie się on tak wielki, że nie będzie się dało go zignorować. A jeśli już napiszą, to ujmą sprawę we własny sposób. Wspomną co najwyżej o samym zaistnieniu kontrowersyjnej sytuacji. Zatkają nos. A jednocześnie wyślą własnych dziennikarzy, żeby sprawę zbadali. I niedługo dorobią się swoich artykułów. Potem pojawią się zajawki zapowiadające główny temat. Pewnie oczyma wyobraźni widzisz już artykuł o Kayli Pitts, prawda? Młoda studentka college’u z rolniczego stanu Missisipi przyjeżdża do stolicy i ulega deprawacji. Niewiniątko skonfrontowane z wątpliwą moralnością Waszyngtonu. Normalnie „House of Cards”.

– Znasz się na tym.

– A potem przejmują już całą historię na własność. Sami prowadzą narrację, stają się w niej udziałowcami.

– Ale skoro masz dowód, że ta historia nigdy się nie wydarzyła...?

– Pamiętasz tę sprawę z Uniwersytetu Duke’a? Trzech biednych studentów, członków uczelnianej drużyny lacrosse’a, oskarżono o gwałt. Ich życie stanęło na głowie. Oskarżenia okazały się fałszywe. Kompletnie zmyślane przez kogoś, kto już wcześniej robił takie rzeczy. Jednak mainstreamowe media potrzebowały aż ośmiu miesięcy, zanim przyznały, że ta cała historia jest wyssana z palca.

– Wiem. Pamiętam.

– Dlatego nawet bezpodstawne oskarżenia, takie jak te, które ma opublikować Slander Sheet, mogą wyrządzić Claflinowi poważne szkody. Kiedy już temat podłapią media głównego nurtu.

– Myślisz, że Slander Sheet naprawdę z tym wystrzeli?

– Na to wygląda, przynajmniej w tej chwili. – Opowiedziałem Dorothy o rozmowie przy piwku z Mandy Seeger oraz o przykrym zakończeniu tego spotkania. – Mogłabyś trochę

pogrzebać i czegoś się o niej dowiedzieć? – spytałem.

– To znaczy?

– Dlaczego, u diabła, odeszła z „Washington Post” do Slander Sheet, skoro jest tyle innych redakcji. Nie kumam tego.

Dorothy kiwnęła głową.

– Powiedziałeś jej o dowodzie, który znalazłeś, tak?

– Nie wierzy mi. Ale odniosłem wrażenie, że decyzja i tak nie zależy od niej.

– Więc od kogo?

– Wygląda mi na to, że od jej szefa. To on postanowi, czy materiał pójdzie do publikacji, czy ukręci się sprawie łeb.

– Kto jest jej szefem?

– Julian Gunn, gnojek. Redaktor naczelny portalu Slander Sheet. Kawał niezłego dupka. Zrobi wszystko, żeby liczba odsłon każdej zakładki tego portalu sięgnęła zenitu.

– Nawet jeśli ucierpi na tym jego własna witryna?

– Z pewnością facet nie działa celowo przeciwko własnej firmie, puszczając w obieg informację, która potem okaże się fałszywa.

– No tak.

– Ale nie ma też większego problemu z nagłośnieniem jakiejś ohydnej historii, której nie da się obalić. To kojarzy mi się z tymi naklejkami, które pozostawiają po sobie taki gumowaty ślad, choćby nie wiadomo jak go szorowała.

– Więc zdaniem Mandy Seeger okłamywałeś ją w żywe oczy?

– Ona chyba naprawdę uważa, że próbowałem wciskać jej kit. Że, powiedzmy, zmanipulowaliśmy ten cały system komputerowy w hotelu. Wykasowaliśmy prawdziwy zapis.

Dorothy się roześmiała.

– No, ja bym w to uwierzyła. Widziałam, jak się robi takie rzeczy. I wiem, jak tego dokonać.

Milczałem przez kilka sekund. Czyżby to było możliwe?

– Myślisz, że ktoś mógł tak właśnie zrobić? Włamać się do hotelowego programu zarządzania nieruchomością i zmienić go tak, żeby po pobycie sędziego nie został ślad?

– Ktoś działający z polecenia prezesa sądu?

– Właśnie.

– Bez sensu. – Pokręciła głową. – Jeśli już chce się ingerować w hotelowy system zarządzania nieruchomością, to czemu nie wykasować całej księgi gości? Żeby nigdzie nie pojawiło się nawet nazwisko Jeremiah Claflina, który meldował się w tym obiekcie.

– Słuszna uwaga.

– Chyba nie traktujesz tej możliwości serio, co?

– Rozważam wszystkie opcje. Ale nie, tak naprawdę nie biorę jej pod uwagę.

– To dobrze.

– Pozostaje jednak fakt, że ktoś zwędził mi laptop i telefon, a nie sądzę, żeby w budynku Sądu Najwyższego zdarzało się to często. Ktoś bardzo się interesował, kim jestem i co tam robię. A to znaczy, że miałem ogon.

– Nie dziwi mnie to specjalnie. Gra toczy się o wysoką stawkę. Na celowniku jest przecież sam prezes Sądu Najwyższego. Ten, kto go wrabia, chce mieć pewność, że wszystko pójdzie po jego myśli. Kto śledził Kaylę Pitts?

Z tylnej kieszeni spodni wyciągnąłem portfel zabrany facetowi, którego kopnąłem w jaja.

– Były gliniarz z Dystryktu Kolumbii, niejaki Curtis Schmidt.

– Jego telefon też posiadasz?

– Owszem – odrzekłem, wyjąłem komórkę i podałem Dorothy.

– Tanie gówienko na kartę – powiedziała, odwracając aparat na drugą stronę. – Jednorazówka, którą można kupić w Costco, od razu z półgodzinną kartą przedpłaconą czy coś w tym stylu. Twoim zdaniem ten były gliniarz ochrania dziewczynę czy raczej ją szpieguje?

– Instynkt podpowiada mi, że ochrania. Pilnuje, żeby nic jej się nie stało. Ona będzie im jeszcze potrzebna.

– To znaczy: do udzielania wywiadów i tak dalej?

Kiwnąłem głową.

– Dziewczyna się boi. Jakby musiała zrobić coś, czego nigdy by nie chciała.

– Niezależnie od tego, czy obsługiwała Claflina czy nie, teraz zwali się na nią lawina publicznego zainteresowania. A to

zabawne nie będzie.

– Niezależnie od tego, czy spała z sędzią czy nie? – powtórzyłem. – Oczywiście, że nie. To nie miało miejsca. Jestem całkowicie pewny.

– Skoro tak twierdzisz. Jeśli chodzi o mężczyzn i ich popęd seksualny, lepiej się nie zakładać, przynajmniej ja tak uważam. Wszystko jest możliwe. I nieważne, czy chodzi o prezydenta, czy nawet o papieża.

– Zgoda. Ale i tak do niczego nie doszło.

– Okej. – Dorothy uniosła telefon z klapką. – Historia połączeń na tym urządzeniu powinna nam bardzo dużo powiedzieć.

– Facet dzwonił tylko pod jeden numer.

– Swojego szefa, obstawiam.

– Oczywiście.

– Więc co chcesz z tym zrobić? Też zadzwonisz do szefa?

– Najpierw chcę się dowiedzieć, do kogo należy ten numer.

– Już próbowałeś?

Kiwnąłem głową. Zacząłem od zwykłych baz danych – Skip Smasher, Tracers Info, TLO, IRB – za pośrednictwem których poszukuje się numerów telefonów komórkowych albo próbuje ustalić, do kogo należą. Ale dowiedziałem się tylko tego, co wiedziałem już wcześniej: że to aparat na kartę typu prepaid. Niezarejestrowany. Żadnego przypisanego nazwiska.

– To jednorazówka, tyle ustaliłem.

– A próbowałaś z Montellem?

Frank Montello był „brokerem informacji”, który mieszkał i pracował w małym miasteczku w stanie Maryland. Ani mi brat, ani swat, za to bardzo cenny kontakt. Nie bardzo wiedziałem, w jaki sposób uprawia tę swoją mroczną sztukę; wystarczyła mi świadomość, że jeśli zechcę znaleźć niezarejestrowany numer telefonu albo ustalić czyjś adres – a w tradycyjnych bazach danych spotka mnie zwykły pech – należy się zwrócić właśnie do niego. Gościu wiedział, gdzie grzebać. Potrafił stwierdzić, czy konkretna osoba miała kiedyś problemy psychiczne albo czy była alkoholikiem, wydobyć jej świadectwo urodzenia bądź dane pojazdu. Kiedyś te jego umiejętności przyprawiły mnie o gęsia

skórkę, ale z czasem przywykłem. W każdym razie facet był cholernie drogi i dość nieprzyjemny w kontakcie. Zwykle zapracowany i powolny. Korzystałem z niego rzadko i niechętnie.

– Niczego nie znalazł, ale prosiłem, żeby nadal nad tym pracował.

Zadzwoił dzwonek u drzwi, otworzyłem je osobie z obsługi hotelowej. Kobieta wjechała wózkami bufetowymi do pokoju i zaczęła nakrywać do stołu. Befszyk z polędwicy wyglądał na idealnie wysmażony. Podziękowałem, wręczyłem napiwek, kobieta wyszła.

– Wiesz, że ja jadłam na lotnisku tylko zwykłą pizzę – powiedziała Dorothy – a ty pałaszujesz sobie stek na kolację.

– Chętnie się z tobą podzielę. Całego nie dam rady.

– Nie jestem głodna. Po prostu się droczę.

– Proszę bardzo, jeśli dzięki temu poczujesz się lepiej. – Odkroiłem kawałek mięsa, nabiłem na widelec i nadgryzłem. Było gorące i pyszne. Solidna porcja białka. W hotelach rzadko podają do pokoiów tak świetnie wysmażone steki. Trudno jest im obliczyć właściwy czas przeznaczony na obróbkę mięsa. Ale ten okazał się wyśmienity. – Chciałbym się dowiedzieć, kto za tym wszystkim stoi – powiedziałem. – Zdaje się, że sprawa krąży wokół redaktora naczelnego Slander Sheet, tego całego Juliana Gunna, i motywów, które nim kierują. Gunn jest tam szefem, ale założę się, że dostaje polecenia od kogoś, kto jest prawdziwym właścicielem tej głównianej witryny. Kiedy już odkryjemy tego kogoś, czającego się za Slander Sheet, kogoś, kto ma tam faktyczną władzę, i wywlecemy to na światło dzienne, wtedy będziemy mieli wszystkie elementy układanki. I dowiemy się, dlaczego zainicjowano tę sprawę. A także zyskamy sposób na zdyskredytowanie tej bujdy w sposób niebudzący wątpliwości.

– Tylko że to nie będzie takie łatwe, gwarantuję.

– Czego się dowiedziałaś?

– Właścicielem strony SlanderSheet.com jest HunseckerMedia.com. Z kolei właścicielem HunseckerMedia.com jest figurant, jakaś spółka z ograniczoną odpowiedzialnością o nazwie... hm... Patroon LLC. Pewnie firma wydmuszka. Nic nie

udało mi się znaleźć na jej temat. I nie sądzę, żebym znalazła cokolwiek w ciągu najbliższych osiemnastu godzin, czy ile nam jeszcze zostało.

– Siedemnaście.

– No właśnie.

– Może jednak poszukiwać właściciela Slander Sheet nie należy prowadzić w cyberprzestrzeni. Nie lepiej użyć staroświeckiej metody pukania do różnych drzwi i dzwonienia w różne miejsca?

– Będę próbowała.

– Obudź mnie, jeśli coś znajdziesz.

– Obudzę. Zostało siedemnaście godzin. Powoli wyczerpują mi się baterie, Nick, ale zrobię, co w mojej mocy.

– Zamówić ci kawę?

Dorothy zerknęła na zegarek.

– Nie wiem, czy o tej godzinie kawa mi jeszcze pomoże.

– Jutro rano Mandy ma wywiad z Gideonem, ten nieoficjalny, a ja chcę przy tym być.

– Więc ona to dla ciebie już Mandy?

Wzruszyłem ramionami.

– Nie jest naszym wrogiem. Jeśli moja teoria ma sens, to również Mandy ktoś wykorzystuje do swoich celów. Wydaje jej się, że trafiła na coś wielkiego, prawdziwą gratkę, i nie chce odpuścić. Pewnie dlatego, że to jej szef nie zamierza odpuszczać.

– W takim razie kto jest naszym wrogiem?

Uniosłem telefon Curtisa Schmidta.

– Ten, kto kryje się tutaj.

Sprawdzając mejle, wypięłem jeszcze jedną szkocką. Potem napisałem wiadomość do Montella, brokera danych. Czułem się wykończony – to był długi dzień, a miałem wrażenie, że jutro będzie jeszcze gorzej.

Bardzo wysokiej jakości pościel była gładka jak jedwab, a jednocześnie chłodna i przyjemna w dotyku. Materac solidny, lecz nie nazbyt twardy, łóżko więcej niż wygodne. Zasnąłem prawie natychmiast.

Po pewnym czasie obudził mnie warkotliwy, nieznanym dzwonek

telefonu.

- Trafiłaś na coś – powiedziałem.
- Mówi Gideon.
- Och, przepraszam! Gideon? Co się... – Spojrzałem na cyfrowy zegar. Było pięć po szóstej rano. Spałem co najmniej pięć godzin.
- Jest w Internecie – powiedział Gideon Parnell.
- Co jest w Internecie? – Potrzebowałem chwili, żeby zrozumieć. – Chodzi o Slander Sheet? Myślałem, że dali nam czterdzieści osiem godzin.
- Nie dotrzymali słowa.

20.

Czekając, aż Dorothy narzuci na siebie jakieś ubranie, wszedłem na stronę SlanderSheet.com. Pierwszą rzeczą, która się pojawiła, był właśnie ten artykuł. Wielkimi, czerwonymi drukowanymi literami na ostrym białym tle napisano:

SKANDAL Z UDZIAŁEM SĘDZIEGO SĄDU NAJWYŻSZEGO I DZIEWCZYNY NA TELEFON

Ponad nagłówkiem widniało zdjęcie nieszczęsnego Jeremiah Claflina, w czarnej todze i pod krawatem, uśmiechającego się jak kot do kocimiętki.

Kliknąłem w czerwone litery. Pojawił się krótki artykuł, na samej górze opatrzony imieniem i nazwiskiem Mandy Seeger. Otaczały go różne reklamy przedstawiające kobiety w bikini, z wielkimi cyckami. Poniżej głównego tytułu zobaczyłem inny nagłówek:

NAJWAŻNIEJSZY SĘDZIA W KRAJU SWAWOLI Z DZIWKĄ OPŁACONĄ PRZEZ WYDENA

I jeszcze jedno zdjęcie Claflina, tym razem ubranego swobodnie, wysiadającego z samochodu. Obok fotka Heidi skopiovana ze strony LilySchuyler.

Artykuł zaczynał się od słów:

Jak dowiedziało się Slander Sheet od swojego źródła na wyłączność, prezes Sądu Najwyższego Stanów Zjednoczonych Jeremiah Claflin co najmniej trzykrotnie spotkał się w tajemnicy z ekskluzywną i drogą prostytutką pracującą w Dystrykcie Kolumbii. Osoba ta, posługująca się pseudonimem Heidi L'Amour (lat 22), pracuje dla agencji

towarzyskiej LilySchuyler, w której ceny za godzinę zaczynają się od trzech tysięcy dolarów.

Według naszych wiarygodnych źródeł najważniejszy prawnik w kraju, który podobno rozstał się z żoną, nie płacił za usługi wspomnianej prostytutki z własnej kieszeni. Owe brudne schadzki zostały sfinansowane przez Toma Wydena, magnata hazardowego i kolegę Claflina, który niedawno uzyskał w Sądzie Najwyższym korzystny dla siebie wyrok.

Randki odbyły się trzykrotnie, wiosną, miejscem akcji zaś był elegancki hotel Monroe w Waszyngtonie. [...]

Biuro prezesa Sądu Najwyższego Stanów Zjednoczonych nie odpowiedziało na prośbę portalu Slander Sheet o skomentowanie sprawy.

Pod artykułem zobaczyłem kolejne nagłówki, jeden o Kardashianach, drugi o Angelinie Jolie, jeszcze jeden na temat Britney Spears, a także doniesienie, że Beyoncé kupiła „buty z brylantami za 312 tysięcy dolarów”.

Dorothy zapukała do moich drzwi i po chwili wyszliśmy z pokoju.

Siedząc w taksówce, moja współpracownica sprawdziła strony Drudge Report, Gawkera, Pereza Hiltona, TMZ, a także RadarOnline.com i Celebitchy. Wszystkie plotkarskie portale, jakie tylko przyszły jej na myśl. Historia Claflina nie pojawiła się jeszcze na żadnej z nich. Ale było dość wcześnie, artykuł wrzucono do sieci niedawno.

– Popatrz na to – powiedziała, wręczając mi swój telefon. Na wyświetlaczu widniała kolumna SlanderSheet.com, która cieszyła się największą liczbą odwiedzin, czyli artykuł pod tytułem: „Skandal z udziałem sędziego Sądu Najwyższego i dziewczyny na telefon”. A dochodziła ledwie siódma rano.

– To tylko kwestia kilku minut, zanim Drudge poda linki do tego artykułu – oświadczyła Dorothy. – Albo Wonkette. A potem wybuchnie wielkie zamieszanie.

– Spróbujemy do tego nie dopuścić – powiedziałem.

Kwadrans później dojechaliśmy do waszyngtońskiej siedziby kancelarii Shays Abbott Burnham przy M Street, tam gdzie przecina się z New Hampshire Avenue. Gideon wyszedł nam na spotkanie do recepcji budynku. Miał na sobie spodnie khaki oraz błękitną koszulę rozpiętą pod szyją. Koszula wyglądała na świeżą i pozbawioną wszelkich fałd, jakby założył ją dosłownie przed chwilą.

Jednak w odróżnieniu od ubrania sam Parnell sprawiał wrażenie wyczerpanego i nieświeżego. Wprawdzie słabo go znałem, ale nie dało się nie zauważyć emanującego zeń napięcia. Tkwiło w głębokich bruzdach twarzy, wydatnych workach pod oczami, w skupisku zmarszczek pomiędzy brwiami. Jego wielkie oczy błyszczały, zapewne od łez, a może ze zmęczenia.

Wyłączono sufitowe lampy fluorescencyjne, lecz nawet w przyćmionym świetle zauważyłem, że wnętrze waszyngtońskiej siedziby firmy Shays Abbott odznacza się tym sam wystrojem co jej biura w Bostonie – twarde, gładkie, lśniące powierzchnie, podłogi z białego kamienia wypolerowane niczym szkło, ściany z matowych szyb, białe skórzane kanapy o ostrych krawędziach.

Dorothy sprawiała wrażenie lekko zdenerwowanej spotkaniem z Gideonem Parnellem. Nawet w tak napiętej sytuacji była niczym młoda fanka mająca poznać swojego idola. Starła się nie okazywać ekscytacji, jaką wywołał u niej fakt uściśnięcia ręki oraz obecność tej historycznej postaci, ale przede mną nie mogła niczego ukryć. Nigdy jeszcze nie widziałem tak wielu uśmiechów na jej twarzy i takiego szacunku wobec kogokolwiek. Jakby sam Jezus Chrystus przyszedł do niej z wizytą.

Gideon zachowywał się uprzejmie, acz mało wylewnie, wyraźnie rozkojarzony. Poprowadził nas przez labirynt korytarzy do swojego gabinetu.

– Co z tymi dwiema dobami, które mieliśmy? – zapytałem.

– Kilka sekund przez opublikowaniem artykułu – odpowiedział Gideon – otrzymałem mejla od redaktora Juliana Gunna, z informacją, że lada chwila ich konkurencja zrobi to samo,

dlatego zdecydowali się działać bez zwłoki.

– To kłamstwo – wtrąciła się Dorothy. – Zorientowali się, że bardzo mocno naciskamy na wycofanie tematu, i chcieli z nim wyjść na zewnątrz, zanim go skutecznie podważymy.

– Nie – powiedziałem. – To nie dlatego. Gdyby sądzili, że naprawdę zdołamy udowodnić im fałszywkę, nie ryzykowaliby z publikacją w necie. To by za bardzo zaszkodziło ich reputacji.

– Mamy więc różnicę zdań – zwróciła się Dorothy do Gideona.

Kwestionowanie moich opinii w trakcie spotkania z klientem nie leżało w jej naturze. Uznałem to zachowanie za mało profesjonalne. Nie żeby mnie to jakoś szczególnie obeszło. Dałem jej spokój; w końcu nie była sobą, lecz przemawiała w obecności geniusza.

– A co z tym wywiadem dla Mandy Seeger dziś rano? – zapytałem.

– Odwołałem. Sami złamali umowę.

– Zastanawiam się, czy opublikowali artykuł wcześniej dlatego, że zacząłem grzebać i węszyć – rzuciłem, ale Gideon milczał.

Jego gabinet wyglądał dokładnie tak, jak się spodziewałem: przestronny, klasyczny, pedantycznie schludny. Wystrój miał imponować, robić wrażenie na odwiedzających. Długi stół konferencyjny z mahoni. Butelka whisky Old Overholt na półce. Dwie ściany przeznaczone na własne ego, tak zwane ściany chwały, zasłonięte fotografiami Gideona z całą światą wielkich, sławnych i potężnych tego świata. Mój wzrok przykuło zdjęcie, na którym siedzi w wózku golfowym z Barackiem Obamą i Billem Clintonem.

Asystentka Parnella, niezbyt ładna blondynka w średnim wieku, o imieniu Rose, która chyba wcześniej zaczynała swoją pracę, zaproponowała nam kawę. Kawa okazała się trochę słaba, ale wykonała swoje zadanie.

– Musimy porozmawiać – powiedział Gideon.

21.

Zgromadziliśmy się wokół mahoniowego stołu. Gideon zasiadł u jego szczytu.

– Mamy przerąbane wzdłuż i wszerz – zaczął. – Czy inne portale internetowe podjęły już temat?

Pokręciłem głową.

– Zrobią to lada moment – odezwała się Dorothy.

– Bardzo mi przykro – zabrałem głos. – Naprawdę myślałem, że zdążymy ukręcić sprawie łeb.

– Nie miej do siebie żalu – odrzekł Gideon. – To i tak była tylko desperacka próba.

– Jeszcze nie wszystko stracone – powiedziałem.

Gideon spojrział na mnie, przekrzywiając głowę.

– O czym ty mówisz, do cholery? Sprawa wyszła już do opinii publicznej, Heller.

– W Internecie można znaleźć mnóstwo różnych rzeczy, które docierają do opinii publicznej. Na przykład są strony, według których rządem amerykańskim kierują istoty pozaziemskie przypominające gady.

Parnell potrząsnął z niesmakiem głową i zamknął oczy.

– Świat się bardzo zmienił od czasów, kiedy władzę w kraju sprawował Kennedy. Wtedy każdy wiedział, że prezydenta odwiedza w Białym Domu cały wianuszek kobiet, ale nigdy ani jedno słowo na ten temat nie przedostało się do gazet. Teraz w mediach jest wszystko o wszystkich. Absolutne bzdury przekazywane są tylko dlatego, że gdzieś krąży jakaś plotka.

– O nie – rzuciłem. – To znacznie bardziej skomplikowane.

– Gdyby w dzisiejszych czasach ktoś zrobił prezydentowi zdjęcie z prostytutką, znalazłoby się online w ciągu paru minut.

– Oczywiście. Zawsze znajdą się witryny gotowe upublicznić wszystko. Ale media mainstreamowe jeszcze nie podjęły sprawy Claflina. To znaczy, że nie została ostemplowana. A to chwilę

potrwa.

Gideon przekrzywił głowę niczym terier rasy Jack Russell wsłuchujący się w głos swojego pana.

– Mam nadzieję, że się nie mylisz. Mów dalej.

– W tym momencie rzecz istnieje tylko w Internecie. Tak długo, jak pozostanie historią z sieci – obracaną przez Slander Sheet, Gawkera, TMZ, Drudge, Vice czy co tam jeszcze jest – to po prostu plotka. Nie wiadomość. Nie wejdzie na trwałe do obiegu dopóty, dopóki tradycyjne media nie nadadzą jej statusu prawdy. Czyli media głównego nurtu: „Washington Post”, „New York Times”, „Wall Street Journal”. Wieczorne serwisy telewizyjne stacji NBC, NPR, CNN. Dopiero wtedy sprawa nabierze mocy. Jakby była napisana trwałym atramentem.

– A kiedy to się stanie?

– Ty zapewne wiesz to lepiej ode mnie. Nie znam dokładnego dnia ani godziny. W „Timesie” mają poranną odprawę redakcji informacyjnej, czy jak to się nazywa?

Gideon spojrzał na zegarek.

– Dziś o dziesiątej rano odbędzie się zebranie zespołu redakcyjnego „New York Timesa”, zajmującego się redagowaniem pierwszej strony.

– No właśnie. I na tym zebraniu ktoś nagle napomknie o pogłoskach na temat Claflina i dziewczynki do towarzystwa. Nie zostawią tego ot tak sobie.

– Nie, prawdopodobnie nie zostawią.

– Kto poprowadzi to zebranie? Bo zawsze jest to jedna osoba. Redakcja to nie demokracja.

– Redaktor wykonawczy. Znam go.

– Okej, więc ten redaktor zapyta tak: „Ktoś się tym zajmuje?”. Tak naprawdę będzie chodziło mu o to, czy tę sprawę prowadzi ktoś z mediów mainstreamowych. Któryś z wielkich graczy. Oczywiście okaże się, że żaden. To byłoby za szybko. Miną przecież dopiero dwie i pół godziny.

– Jednak temat rozejdzie się po mediach z szybkością trypra.

– Niewątpliwie tak. Za chwilę podejmą go BuzzFeed, Drudge albo TMZ. Ale to jeszcze za mało, żeby przepchnąć go do

mainstreamu. Co najwyżej „Times” wydeleguje dwoje redaktorów, by trochę powęszyli na temat tej historyjki przedstawionej przez Slander Sheet i sprawdzili, czy ma solidne podstawy.

– Mimo wszystko zajmą się tym bardziej szanowane portale, w rodzaju Politico i Roll Call.

– Być może. Ale nie najwięksi gracze. Na razie. Czy „New York Times” ma dzisiaj jeszcze jedno zebranie redakcyjne?

– O szesnastej trzydzieści.

– To właśnie ono jest naszą główną troską. Szesnasta trzydzieści. Upłynie dość czasu, żeby przynajmniej wysmażyć artykułik na temat reakcji, z jaką spotkała się wiadoma pogłoska.

– Masz rację. Byle do wpół do piątej.

– Dziewięć godzin. Niewiele. – Wstałem. – A my co robimy? Siedzimy tutaj i gadamy? Dorothy, chodź. Mamy zadanie do wykonania.

22.

Gideon udostępnił nam salę konferencyjną.

Wyglądała jak każda inna sala konferencyjna, tyle że była ładniejsza. Stał tam długi mahoniowy stół w kształcie trumny, wokół krzesła z wysokimi oparciami, tapicerowane – jak sądzę – naturalną skórą. Co cztery miejsca rozmieszczono zestawy głośnomówiące podobne do rozgwiezdy. Pod jedną ze ścian ciągnął się długi kredens.

Dorothy wcisnęła jakiś guzik i panel na przeciwległej ścianie rozsunął się, ukazując wielki ekran projekcyjny. Następnie podłączyła swój laptop do portu wbudowanego w stół – pracowała bez zawahania, najwyraźniej dobrze wiedząc, co robi – i na ekranie wyświetliło się jasnoczerwone logo Slander Sheet.

Nadal najczęściej odwiedzaną zakładką był artykuł pod tytułem „Skandal z udziałem sędziego Sądu Najwyższego i dziewczyny na telefon”. Dorothy coś kliknęła i przeniosła nas na stronę portalu TMZ. I tutaj pisano o Claflinie. Nagłówek głosił:

OJOJOJ

NIEZŁY GNÓJ W WYMIARZE SPRAWIEDLIWOŚCI

PREZES SĄDU NAJWYŻSZEGO PIEPRZY SIĘ Z KIM POPADNIE

– Cholera – powiedziałem.

– Zajęło im to prawie godzinę – podsumowała Dorothy. – Dłużej, niż się spodziewałam. Mam przeczucie, że teraz pójdzie znacznie szybciej.

Wartko przeleciała całą serię innych witryn internetowych – OK! Magazine, Radar Online, Star Magazine, National Enquirer, PopSugar, EOnline – ale niczego tam nie znalazła. Wpisała więc w Google’a hasło „Jeremiah Claflin”; wyskoczył brytyjski tabloid „Daily Mail”.

– Tutaj też o tym wiedzą – zdziwiła się Dorothy. – Czy to jest portal informacyjny?

– Absolutnie nie. Balansuje gdzieś na granicy między plotkarstwem a prawdziwymi informacjami. No dobra, posłuchaj. Dysponujemy żelaznym alibi dla sędziego, nie możemy go jednak wykorzystać. Skupmy się więc na Kayli.

– Nick, udowodniłeś już przecież, że żadne z nich nie mogło być wtedy w hotelu Monroe. Co jeszcze zdołamy znaleźć, twoim zdaniem?

– Brak dowodów nie jest dowodem ich braku. Musimy się skoncentrować na udowodnieniu tego, co rzeczywiście zaistniało, a nie tego, co nie nastąpiło. Wiemy już, że w trzy inkryminowane wieczory Kayli w tym hotelu nie było. A ty dysponujesz wytrychem do strony internetowej LilySchuyler. Zobaczmy, czy dziewczyna miała wtedy jakichś klientów.

– Sprawdziałam. Niczego nie znalazłam.

– Przecież gdzieś musiała być. A co z jej profilem na Facebooku?

– Tam zajrzałam najpierw. I też niczego nie znalazłam. Sprawdziłam Tumblr, Pinterest i w ogóle wszystko, co przyszło mi do głowy. I nic. Ale mam pewien pomysł.

Spojrzałem na nią wymownie.

– Wiesz, że można wrzucić na Facebooka zdjęcie, a on sam podsuwa imiona i nazwiska osób, które są na tej fotce?

– Przecież nie mam konta na fejsie.

– No tak. Facebook wykorzystuje oprogramowanie umożliwiające rozpoznawanie twarzy. Wkurza mnie to. W przypadku większości użytkowników zamieszczane przez nich zdjęcia może oglądać miliard innych ludzi. Dlatego sądzę, że można by sprawdzić wszystkie konta z Dystryktu Kolumbii na Facebooku z wykorzystaniem fotki Kayli i triku z rozpoznawaniem twarzy.

– Hm. Można spróbować, chyba. Ale właśnie podsunęłaś mi inny pomysł. Kamery monitoringu.

– Jasne.

– Kamery uliczne, kamery w miejscach poboru opłat na autostradach, w aptekach, na podziemnych parkingach,

w supermarketach, na stacjach paliw, w siłowniach, w bankach... bardzo dużo kamer. Potrzebujemy tylko datowanego zdjęcia dziewczyny z wieczoru, o który chodzi.

- Masz na myśli skontrolowanie wszystkich kamer monitoringu w jej okolicy? W ciągu dziewięciu godzin? To niemożliwe. Będziemy mieć szczęście, jeśli sprawdzimy jedną stację benzynową, jeden supermarket.

- Nie, musimy się skupić na miejscach, o których wiemy, że tam bywa.

- Jak?

- Na podstawie wyciągów z kart kredytowych. Sprawdźmy, czy w tamte wieczory dokonywała jakichś transakcji.

- A skąd weźmiemy wyciągi z jej kart kredytowych?

Rozległo się pukanie do drzwi. Teraz Gideon Parnell miał na sobie garnitur.

- Wygląda na to, że za chwilę moja skrzynka mejlowa rozwali nasze firmowe serwery - powiedział. - Dostaję wiadomości od kolegów, przyjaciół i dziennikarzy z całego świata. Sprawa naprawdę zatacza coraz szersze kręgi.

- Róbmy swoje - odparłem. - Nim nadejdzie zmrok, cały Internet będzie o wszystkim wiedział. Ale dopóty, dopóki sensację firmuje Slander Sheet, a nie uznane portale informacyjne, wszystko jest okej.

- Nie rozumiem, dlaczego wciąż jesteś taki pewny, że uda ci się ukręcić tej sprawie łeb?

- Ponieważ medialny establishment jeszcze jej nie przejął. Gideonie, z całym szacunkiem, pozwól nam działać i nie przeszkadzaj. Tak będzie lepiej dla nas wszystkich.

Po chwili milczenia Parnell kiwnął głową.

- Przepraszam - powiedział, długo wpatrując się we mnie nieruchomym wzrokiem. - Masz absolutną rację. - Wysunął się z sali konferencyjnej i zamknął za sobą drzwi.

- Heller - odezwała się Dorothy. - Nie mówi się w ten sposób do Gideona Parnella.

- Nic mu nie będzie, przeżyje.

- Ale ja nie.

– Miałem nadzieję, że znalazłaś już jakiś sposób zdobycia tych wyciągów z kart kredytowych.

– Dziewczyna ma kartę American Express i Citibanku. Spróbowałam dostać się do danych zwykłą metodą, czyli domyślić się haseł, tych najbardziej oczywistych, ale nic z tego. Sądzisz, że Montello mógłby coś wskórać?

Pokręciłem głową. Poprzedniego wieczoru mój broker informacji, Frank Montello, wysłał mi mejla z odpowiedzią. Jedyne, co zdołał ustalić, jeśli chodzi o numer w komórce Curtisa Schmidta, to to, że był on przypisany do telefonu jednorazowego użytku, na kartę przedpłaconą. Tyle to sam mogłem się domyślić.

– Nie sądzę, żebyśmy uzyskali coś na czas.

– Ale chyba warto spróbować.

Niechętnie kiwnąłem głową.

Montello odebrał telefon po sześciu długich sygnałach. Głos miał słaby i przytłumiony, jak chyba zawsze. Odnosiłem wrażenie, że przerwałem mu czynność o wiele ważniejszą niż rozmowa ze mną. Facet funkcjonował w szarej strefie pomiędzy oficjalnym wymiarem sprawiedliwości a prywatną branżą detektywistyczną, czyli w miejscu, którego wolałem unikać, chyba że in extremis. Pieniądze przechodziły tam z rąk do rąk, prawo nagminnie łamano: wystarczający powód, aby na dobre stracić licencję. W owych rewirach należało postępować bardzo ostrożnie.

Montello znał odpowiednich ludzi w firmach telekomunikacyjnych, w bankach i instytucjach wydających karty kredytowe, ludzi gotowych sprzedać poufne, wewnętrzne informacje. Co do mnie, to nie żywiłem moralnych obiekcji przed płaceniem za dane, których potrzebowałem; po prostu wolałem utrzymywać ze źródłem informacji pewien dystans. Montello ryzykował własną głową i o tym wiedział. Dlatego za usługi liczył sobie bardzo słono i wykazywał dużą nerwowość.

Spytałem go, czy posiada jakieś źródła informacji w departamencie kart kredytowych Citibanku albo American Express.

– Żadnego, któremu bym ufał – odparł i rozłączył się, nie

dodając ani słowa.

Spojrzałem na Dorothy i pokręciłem głową.

– Czyli nie mamy szczęścia – skwitowała.

– Niestety nie – zgodziłem się, po czym przedstawiłem jej swój plan.

23.

Gdy jeszcze pracowałem w Stoddard Associates, w Silver Spring działał sklep z uniformami, w którym czasem bywałem. Sprzedawano tam wszystko, od wielkich czapek kucharskich przez kitle laboratoryjne i blezery funkcjonariuszy ochrony po stroje chirurgiczne. Miałem w tej placówce dobrą znajomą, Marge jakąś tam, która potrafiła załatwić wszystko, czego tylko potrzebowałem, nie zadając zbyt wielu pytań. Kiedy człowiek działa pod przykryciem, warto mieć dostęp do rozmaitych mundurków.

Tak się szczęśliwie złożyło, że posiadali w tym sklepie to, na co liczyłem, a Marge nadal tam pracowała.

Czterdzieści pięć minut później dzwoniłem do drzwi mieszkania Kayli Pitts. Nie zareagowała, co niekoniecznie musiało o czymkolwiek świadczyć. Równie dobrze mogła być w domu; pewnie spała, bo nie minęła jeszcze dziesiąta. Kiedy tu ostatnio byłem, też mi nie otworzyła, chociaż prawdopodobnie była u siebie.

Musiła się bać, przyczajona we własnym mieszkaniu, przygotowując się do eksplozji zainteresowania, które ją czekało i być może już stało się jej udziałem. Dziennikarze całego świata googlowali teraz hasła „Heidi L’Amour” i „LilySchuyler”, po czym z uwagą oglądali profil dziewczyny na stronie internetowej agencji towarzyskiej. Pozostawało tylko kwestią czasu, nim jakiś bystry i przedsiębiorczy reporter odkryje, że za pseudonimem Heidi L’Amour stoi młoda kobieta nazywająca się Kayla Pitts. A może to któraś z dawnych przyjaciółek, na przykład z college’u Corneliusa, poda prawdziwą tożsamość Heidi, udzielając wywiadu dla pisma „National Enquirer”? Do grona podejrzanych należały również koleżanki z witryny LilySchuyler.

Lecz jak dotąd nic takiego się nie wydarzyło. Parkingu pod

blokiem nie zajmowały telewizyjne wozy transmisyjne.

Jeśli Kayla była w domu, czekało ją zaskoczenie.

Miałem nadzieję, że mnie nie.

Odczekałem kilka minut, aż pojawi się ktoś, kto wpuści mnie do budynku. Pora była jednak wczesna, wokół żywego ducha. Zdecydowałem się więc na stary trik z kurierem: zadzwoniłem do paru wybranych na chybił trafił mieszkań. Ktoś w końcu odebrał domofon. Rzuciłem słowo „paczka” i parę sekund później usłyszałem brzęczyk oznaczający otwarcie frontowych drzwi.

Naturalnie, gdy przenikałem do środka, jakaś osoba właśnie wychodziła z bloku. Była to kobieta w średnim wieku o kasztanowych włosach, ubrana w zieloną garsonkę i takąż spódnicę. Spojrzała na mnie, po czym odwróciła wzrok. Nawet gdybym nie miał na sobie uniformu, zapewne by mnie nie zatrzymała. W tym budynku mieszkało zbyt dużo ludzi, aby wszyscy się znali. Wolałem jednak nie ryzykować.

Wjechałem windą na szóste piętro. Długi korytarz – pokryty wytartą beżową wykładziną w brzydki wzorek, z identycznymi drzwiami po obu stronach oraz migającymi świetlówkami sufitowymi – okazał się pusty. Większość mieszkańców mających stałą pracę pewnie już wyszła. W powietrzu unosił się zapach jajecznicy.

Mieszkanie numer siedemset dwanaście znajdowało się w połowie korytarza, po prawej.

Wcisnąłem przycisk dzwonka, który wykonał przyjemne ding-dong. Stałem bokiem, aby Kayla nie mogła zobaczyć mnie przez wizjer. Z pewnością pamiętała moją twarz.

Czekałem. W żyłach pulsowała mi adrenalina. Jeśli jest w domu i jeśli otworzy drzwi, muszę działać szybko. Dostać się do środka, bez względu na to, czy mnie zaprosi czy nie.

Żadnej reakcji. Nasłuchiwałem jakiegokolwiek ruchu, lecz nic nie usłyszałem. Znów zadzwoniłem i ponownie zastygłem. Po paru kolejnych minutach byłem prawie pewien, że dziewczyny nie ma w domu.

Ale istniała również możliwość, że po prostu siedzi sobie w łóżku ze słuchawkami na uszach i ma gdzieś cały świat. Biorąc

pod uwagę to, co ją czekało, nie zdziwiłbym się taką chęcią ucieczki. Ani trochę. Wkrótce życie tej dziewczyny zostanie wywrócone do góry nogami. Kłamała, owszem – nie miałem co do tego najmniejszych wątpliwości – i powinienem czuć do niej pogardę, nie potrafiłem jednak przemóc w sobie współczucia. Kto wie, pod jaką presją się znajdowała. Kto wie, jaka straszna życiowa sytuacja zmuszała ją do wzięcia udziału w tym przekręcie.

Rozpiąłem zamek małej czarnej teczki z nylonu i wyjąłem z niej zestaw wytrychów pożyczonych od pewnego znajomego, który mieszkał i pracował w Old Town Alexandria, żyjąc mniej więcej z tego samego co ja. Nie dysponował wprawdzie pistoletem do otwierania zamków, czyli moim ulubionym narzędziem włamywacza, ale ciągle jeszcze pamiętałem, jak się używa staromodnego wytrycha i klucza termodynamicznego.

Kłęknałem pod drzwiami i po paru minutach uświadomiłem sobie, że co nieco wyszedłem z formy. Otwieranie zamków wytrychem jest czynnością wymagającą umiejętności technicznych, ja natomiast się z tym niezdarnie męczyłem. Wszystko trwało o wiele dłużej, niż powinno. W końcu nie robię tego na co dzień.

Po drugiej stronie korytarza otworzyły się drzwi.

Stała w nich starsza, siwowłosa kobieta z grzywką i w czarnych okularach w grubych oprawkach, ciasno opatulona kimonem z motywem kwiatu wiśni.

– Dzień dobry?

Odwróciłem się.

Zobaczyła mój uniform. Był to wielozadaniowy strój złotej rączki: granatowa bluza z napami narzucona na biały T-shirt, a w kieszeni na piersiach zestaw długopisów w specjalnej wkładce ochronnej. Wszystko dopasowane do marynarskich spodni. Na lewej piersi widniał napis „CO-Klimatyzacja-Wentylacja”. Marge przeszła mi ten emblemat z ubrania przygotowanego dla innego klienta. Zawsze zamawiają kilka dodatkowych sztuk. Zresztą nie miałem większego wyboru – tylko tym dysponowała w tej chwili, nie licząc kitli

laboratoryjnych i strojów chirurgicznych – uznałem więc, że mundurek powinien się nadać. Idealny byłby uniform ślusarza, tylko takich akurat nie mieli na stanie.

– Co słysząc? – rzuciłem.

– Naprawia pan zamek tej dziewczyny? – Kobieta miała wysoki, bardzo ptasi głos.

– No.

– Mój też się blokuje.

Odwrociłem się z powrotem ku drzwiom mieszkania Kayli.

– Zobaczą, co da się zrobić, jak skończę reperować ten.

– Pan nie pracuje w DC Locksmiths. A wydawało mi się, że tylko do nich musimy się zwracać o interwencję.

Tym razem się nie odwróciłem.

– No cóż, po prostu mnie wezwano.

– Ale dlaczego akurat firmę „CO-Klimatyzacja-Wentylacja”? Sądziłam, że zajmujecie się ogrzewaniem, klimą itepe, itede.

– Mamy też dział ślusarski. – Jedyne tyle umiałem naprędce wymyślić.

– „CO-Klimatyzacja-Wentylacja”?

Właśnie wtedy cylindry w zamku ustawiły się w jednym rzędzie i puściły. Przekręciłem klamkę i otworzyłem drzwi mieszkania Kayli.

Z uśmiechem na twarzy odwróciłem się znów do kobiety.

– Jak tu skończę, zaraz do pani zajrzę.

Starsza dama popatrzyła na mnie bez słowa, po czym zamknęła drzwi.

Miałem w związku z nią złe przeczucia. Widziałem na jej twarzy nieufność oraz pewien rodzaj determinacji, a tak właśnie wygląda ktoś, kto ma rychły zamiar wezwać policję. Nie łknęła mojej niezdarnej konfabulacji.

Musiałem działać szybko. Jeśli kobieta zadzwoni po gliny – a należało założyć, że tak – miałem najwyżej dziesięć minut. Optymistycznie licząc.

24.

Po wejściu do mieszkania Kayli cicho zamknąłem za sobą drzwi. Światła były wyłączone. Rozejrzałem się pośpiesznie: salon, w którym się znajdowałem, miał na jednej ścianie przesuwne szklane drzwi, które prowadziły na wąski balkon. Zastony zaciągnięto do połowy.

Silne słońce poranka tworzyło spory, oślepiający prostokąt we wnętrzu pomieszczenia, padało na krótką kanapę, dwa dopasowane do niej fotele oraz szklany stolik do kawy. Na prawo znajdował się aneks kuchenny, oddzielony od salonu barkiem z trzema stołkami. Po drugiej stronie pokoju dziennego zobaczyłem otwarte drzwi sypialni. Zacząłem się cicho skradać, na wypadek gdyby dziewczyna tam spała.

Będąc w połowie salonu, ogarnąłem wzrokiem wnętrze drugiego pokoju. Pościelone łóżko. Pusto. Nikogo.

Zmieniłem kierunek skradania i zbliżyłem się do szklanych przesuwanych drzwi. Balkon wychodził na parking przed budynkiem.

Nie zauważyłem żadnych glin, ale na to było jeszcze za wcześnie. Ponownie zerknąłem na zegarek. Za dziewięć minut pobyt w tym miejscu przestanie być bezpieczny.

W sypialni unosił się słaby zapach perfum. Obok okna stało niewielkie drewniane biurko, a na nim lampa, jakiś podręcznik, notes, srebrny zegar, żółty zakreślacz oraz mała pluszowa żyrafa. Żadnego laptopa. Przejrzałem notatnik. Nic interesującego w nim nie znalazłem. Powtórnie rozejrzałem się po pokoju, a także po przylegającej do niego łazience. Była zdumiewająco skromna. Galeria szminek, buteleczka płynu do płukania ust, elektryczna szczoteczka do zębów. Nic więcej.

Wróciłem do salonu, wyjrzałem przez okno i nie zobaczyłem policyjnych radiowozów. Jeszcze nie. Odwróciwszy się, na niskim stoliku obok kanapy nagle spostrzegłem laptop, mocno zużyte

lenovo z nalepkami na całej obudowie.

No proszę. Jest i to, co miałem nadzieję znaleźć.

Otworzyłem komputer i wsadziłem weń mały przekonfigurowany napęd USB. Kiedy na ekranie pojawiła się ikonka, kliknąłem w nią dwukrotnie. Ten drobiazg zaprogramowano tak, aby instalował na danym urządzeniu tak zwany keylogger, który miał potajemnie zapamiętywać wszystkie uderzenia w klawisze komputera Kayli i bezprzewodowo przekazywać je Dorothy.

Wpisałem polecenia, które podała mi współpracownica.

Kiedy skończyłem, usłyszałem syreny.

Podsoczyłem i wybiegłem na balkon. Na parking wjeżdżał policyjny radiowóz, syrena milkła z warkotem. Czyli tak jak się spodziewałem, sąsiadka zadzwoniła pod dziewięćset jedenaście. Zareagowali szybciej, niż obliczyłem. Słowa uznania dla policji w Arlington.

Ale dla mnie niedobrze.

Miałem przecież jeszcze dużo do zrobienia.

Podszedłem do drzwi frontowych, przyłożyłem do nich ucho i słuchałem. Cisza. Teraz wszystko zależało od tego, jak szybko policjanci dostaną się do budynku. Wreszcie ktoś ich wpuści i dotrą na górę w ciągu minuty lub dwóch. A gdy usłyszę odgłos zbliżającej się windy, kiedy rozlegnie się ciche ding, oznaczając jej przybycie na szóste piętro, będzie już za późno.

Należało wszystko dobrze skalkulować.

Wróciłem do laptopa, otworzyłem przeglądarkę i wyświetliłem historię. Ujrzałem ją w całej okazałości: dni, a nawet wszystkie poprzednie tygodnie, z zarejestrowanymi stronami. Każdą witrynę, którą dziewczyna odwiedziła. Jak większość ludzi, także Kayla nie czyściła swojej historii przeglądania.

Moją uwagę natychmiast zwróciła jedna nazwa:

„Karty kredytowe American Express...
Usługi biznesowe, Podróże”.

Czyli sprawdzała przez Internet swój wyciąg z karty American

Express, może ją spłacała. Znalazłem kolejną interesującą rzecz:

„American Express Login”

Kliknąłem w ten link; ukazała się strona logowania. Pole z nazwą użytkownika było już wypełnione: KPitts. W prostokącie zarezerwowanym dla hasła widniał ciąg czarnych kropek. Wcisnąłem „Zaloguj się” i po chwili zobaczyłem wyciąg z konta karty kredytowej Kayli Pitts.

Znalazłem listę transakcji bieżących. Płatności dokonane w CVS/Apteka. Wiele innych w supermarkecie Giant. Przelewy dla Amazona i Vzwrlss, czyli Verizon Wireless, operatora telefonii komórkowej. Dużo opłat za taksówki i usługi Ubera. Równie sporo poszło do iTunes.com/billituncupertinoca; jak przypuszczałem, były to opłaty za zakup albo wypożyczenie filmów na portalu iTunes. Wielokrotnie płaciła kartą w Starbucksie, a także Grubhub Seamless – chyba jakiejś firmie dostarczającej zakupy spożywcze.

Potem zauważyłem coś ciekawego: US Airways Phoenix. Kliknąłem na link, co spowodowało otwarcie się osobnego okna. W jego prawym narożniku widniał napis „Dane lotu”. Z Waszyngtonu do Jackson w stanie Missisipi. Numer biletu, nazwisko i imię pasażera (Pitts/Kayla) oraz data odlotu. Szósty czerwca.

Dzień przed pierwszą rzekomą randką z sędzią Claflinem dziewczyna wyleciała do miasta Jackson w stanie Missisipi. Powrót nastąpił ósmego czerwca. Zapisałem sobie te informacje w małym notesie, który zawsze noszę przy sobie.

Musiałem się związać. Im dłużej tu posiedzę, tym większe prawdopodobieństwo, że mnie złapią.

Do tego nie mogłem dopuścić.

Teoretycznie policjanci powinni odczekać w holu budynku jakieś dziesięć, może piętnaście minut, zanim dyspozytor dotrze do dozorczy nieruchomości i sprawi, że zostaną wpuszczeni do środka.

Niewykluczone jednak, że ów dozorca już czekał na nich na

parterze. Winda mogła więc wjechać na szóste piętro w każdym momencie.

Wszystko sprowadzało się do przypadku. Tylko że ja miałem jeszcze jedną sprawę do załatwienia. Dorothy przywiozła mi z Bostonu parę małych lokalizatorów GPS pracujących w czasie rzeczywistym. Zamierzałem podłożyć je tak, aby móc śledzić ruchy dziewczyny, no i żeby ich nie znalazła. Oczywiście celem wydawał się jej samochód. Ale czy w mieszkaniu nie ma czegoś, co Kayla chętnie ze sobą zabiera? Torebki od Chanel nie zauważyłem nigdzie; pewnie miała ją przy sobie. Płaszcz, kurtka? To by oznaczało, że lokalizator spędzi większość czasu w szafie. Jedyne, co przychodziło mi do głowy i wydawało się w tym kontekście sensowne, to torba na laptop, choć najwyraźniej nie nosiła komputera zbyt często. Może zabierała go z mieszkania tylko czasami, na przykład udając się w dłuższą podróż.

Wsunąłem lokalizator do jednej z wielu przegródek i mocno zacisnąłem rzep. Większość ludzi nie zagląda do wszystkich zeluści swoich toreb na laptopy. Prawdopodobieństwo, że nadajnik zostanie wykryty, było niewielkie.

Ponownie podszedłem do drzwi frontowych i wyjrzałem przez judasza, ale w korytarzu nikogo nie zauważyłem. Sąsiadka z naprzeciwka pewnie chowała się w domu, czekając na gliny. Nasłuchiwałem. Cisza. Żadnego brzęczenia windy.

Już wcześniej ustaliłem sobie lokalizację klatki schodowej. Znajdowała się na prawo od mieszkania Kayli, winda natomiast była po lewej. Skorzystanie z niej oznaczałoby absurdalnie wysokie ryzyko wpadnięcia w ręce policji. Przecież funkcjonariusze nie wspinaliby się po schodach na szóste piętro. Dlatego klatka wydawała się o wiele bezpieczniejszym rozwiązaniem.

Serce waliło mi jak młotem. Cała rzeczywistość została sprowadzona do jednego, krystalicznie czystego wyboru. Zostać tutaj i kontynuować badanie historii przeglądania w komputerze dziewczyny, ryzykując złapanie, czy też odtrąbić odwrót i opuścić lokal, zanim wpadnie policja.

Uznałem, że czas zniknąć. Wyrwałem napęd USB, schowałem go

do kieszeni, zamknąłem i odłożyłem laptop na niski stolik. Potem rozejrzałem się szybko po salonie, czy przypadkiem czegoś nie zostawiłem. Wróciłem do drzwi wejściowych, zerknąłem przez wizjer i znów chwilę nasłuchiwałem.

Usłyszałem brzęk windy.

Droga ucieczki była prosta: na prawo, a potem korytarzem jakieś siedemdziesiąt metrów do drzwi, które wiodły ku schodom.

Usłyszałem zbliżające się głosy. Policja, któż by inny. Za długo się ociągałem. Gdybym teraz wyszedł z mieszkania, zauważyliby, jak się wymykam. A już na pewno, gdybym puścił się biegiem po korytarzu.

Doszedłem do wniosku, że mam następujący wybór: schować się gdzieś w środku, najlepiej w szafie w sypialni, licząc, że gliniarze nie przeprowadzą starannego przeszukania. Nie żebym chciał podejmować takie ryzyko.

Albo...

Otworzyłem przesuwne szklane drzwi i wyszedłem na balkon. Wykonałem szybkie obliczenia. Wysokość mieszkania to dwa i pół metra, czyli jedno piętro budynku mierzy około trzech, trzech i pół metra. Sześć pięter to jakieś dwadzieścia parę metrów ponad ziemią. Bezpośrednio poniżej rozciągał się wąski pas trawy i krzewów. Teoretycznie powinienem więc przeżyć upadek z balkonu.

Albo i nie.

Nawet przy założeniu, że spadnę na trawę, co najmniej skrzyłbym sobie nogę, co w tych okolicznościach byłoby wysoce niedogodne.

Najbliższy sąsiadujący balkon znajdował się cztery, cztery i pół metra ode mnie. Za daleko, żeby się rozbujać, skoczyć i mieć jakąkolwiek nadzieję, że się uda.

Wysokość balustrady wynosiła około metra dwadzieścia, może troszkę mniej. Od balkonu poniżej dzieliło mnie trzy i pół. Mierzę metr dziewięćdziesiąt cztery, rozpiętość moich ramion sięga prawie dwóch i pół metra. Co oznaczało konieczność pokonania zaledwie jednego metra do balkonu bezpośrednio pode mną.

Gdyby nikt nie obserwował budynku, mógłbym nawet...

W tym momencie usłyszałem stłumione głosy dobiegające zza drzwi wejściowych do mieszkania.

Nie było już czasu na dalsze kalkulacje, należało zacząć działać.

Zaciskając mocno ręce na poręczy, podciągnąłem się, przerzuciłem najpierw jedną nogę, a potem – szybko poprawiwszy uchwyt dłoni – drugą. Znalazłem się po przeciwnej stronie balustrady. Zawisłem na ramionach i znieruchomiałem. Czulem zimny wiatr we włosach, zapach świeżo skoszonej trawy i gorącego asfaltu. Obniżyłem się nieco; moje nogi zadyndały w powietrzu, ale balustrada poniżej wciąż znajdowała się poza zasięgiem.

Z mieszkania dobiegł metaliczny chrobot klucza obracającego się w zamku.

Trzeba coś zrobić.

Albo spadnę prosto na trawę, albo trafię w asfalt. Pewna kontuzja, prawdopodobna śmierć.

Nie, lepiej się rozhuścić i skierować nogi ku ścianie budynku. W stronę mieszkania pode mną. Wykonałem jeden wielki zamach i zwolniłem uchwyt rąk; opadłem na posadzkę balkonu poniżej, na ugięte kolana, starając się chronić głowę. Lądowanie było twarde, poczułem vibracje w rzepkach i udach, a moje plecy uderzyły mocno o szklane drzwi.

Zapuściłem żurawia i przez do połowy rozsunięte zasłony, sięgające podłogi, zobaczyłem, że w mieszkaniu na piątym piętrze pali się światło.

Ktoś był w środku.

25.

Nie widziałem żadnej ludzkiej postaci, co zapewne oznaczało, że i ja pozostaję niezauważony. Jednak prawie na pewno w mieszkaniu ktoś przebywał.

Szybko zbadałem swoje kończyny. Żadnych złamań i zwichnięć. Tylko nogi trochę mi dygotały wskutek lądowania.

Potem nadeszła ta niepokojąca myśl: czy drzwi nie są aby zamknięte na klucz?

Bo przecież nie było wykluczone, że te przesuwane szyby prowadzące do wnętrza mieszkania mają własny zamek. A to by znaczyło, że utknąłem tu na dobre. Musiałbym wtedy spróbować dostać się na kolejny, jeszcze niższy balkon i tam liczyć na łut szczęścia.

Następna myśl: Czy mieszkając na piątym piętrze, zamyka się drzwi balkonowe na klucz? Że niby ktoś miałby przez nie wejść?

Pociągnąłem za wbudowany we framugę uchwyt, wbiwszy w niego palce; szklane drzwi przesunęły się ze zgrzytem i jękiem o kilkanaście centymetrów. Nie były zamknięte na klucz, ale najwyraźniej rzadko używane.

Znieruchomiałem, nie chcąc alarmować tego, kto zapewne znajdował się w pokoju po drugiej stronie szyby. A może leżał w łóżku. Albo siedział w łazience.

Zaczerpnąłem głęboko powietrze do płuc.

Ściętno w mojej prawej łydce zapulsowało boleśnie.

Czekanie na tym balkonie na dogodny moment to jednak zły pomysł. A jeżeli lokator mieszkania zechce nagle wyjrzeć przez okno? Natychmiast mnie zauważy. Balkon był wąski i niezbyt duży; nie było gdzie się ukryć.

Musiałem wejść do środka, licząc, że nie zostanę zauważony.

Bardzo powoli przesunąłem drzwi po szynie, spokojnie i tak cicho, jak to było możliwe, aż ukazał się otwór na tyle duży, bym mógł się prześliznąć. Rozsunąłem zasłony, zamknąłem za sobą

drzwi i znalazłem się wewnątrz mieszkania. W czymś, co wyglądało na salon.

Z sąsiedniego pomieszczenia dobiegał głośny ryk telewizora, który to łoskot wprowadzał ściany w wibrację.

I bardzo dobrze.

Lokator tego przybytku oglądał w drugim pokoju telewizję.

Na pierwszy rzut oka układ mieszkania wydawał się taki sam jak u Kayli, piętro wyżej. W zależności więc od usytuowania łóżka w sypialni jego właściciel mógł mieć widok na wnętrze salonu, choć z drugiej strony – niekoniecznie.

Musiałem założyć, że może mnie zobaczyć. Choćby tylko kątem oka.

Ze względu na mój wzrost i posturę chyba nie mogłem liczyć, że przemknę niezauważony. Zarówno poruszając się bardzo wolno, jak i sprintem.

Lokator mieszkania z całą pewnością mnie spostrzeże.

Stojąc w salonie zupełnie nieznanego mi człowieka, z nadzieją, że jestem niewidzialny, zacząłem się trochę rozglądać; zauważyłem balkonik oraz kulę inwalidzką. Więc to starsza osoba, kobieta albo mężczyzna. A może dwoje starych ludzi. Ale chodzik był tylko jeden, więc pewnie i jeden użytkownik.

Założmy, że to leciwa dama. Jeśli zobaczy mnie w swoim mieszkaniu, prawie na pewno zacznie krzyczeć, a potem wezwie policję. Do tego nie mogłem dopuścić.

Ponieważ w domu paliło się światło, przyjąłem również, że kobieta musiała się już obudzić, wstać i włączyć oświetlenie. Być może zjadła też śniadanie, a potem wróciła do łóżka, żeby oglądać telewizję.

Na podstawie głośności, na którą był ustawiony odbiornik, doszedłem do wniosku, że staruszka niedosłyszy. Ale to jeszcze nie znaczyło, że jest niewidoma. Miejsce, w którym stałem, dzieliło od drzwi frontowych pięć do siedmiu metrów, jednakowoż pośrodku tej drogi ziało wejście do sypialni.

Nie miałem pojęcia, co zrobić.

Zacząłem analizować różne ewentualności.

Jedna: zachowam się jakby nigdy nic, podejść śmiało do drzwi

frontowych, otworzę je i wyjdę. Kobieta mnie prawdopodobnie zauważy i wpadnie w panikę. Zacznie krzyczeć, zadzwoni pod dziesięćset jedenaście. Dyspozytor natychmiast zawiadomi funkcjonariuszy, którzy są na miejscu. Nie będę miał czasu, żeby zbiec po schodach pięć pięter w dół ani skorzystać z windy.

Raczej zła opcja.

Druga: popatrzyłem na lekkie, koronkowe zasłony, które wisały tuż obok szklanych przesuwanych drzwi. Były podzielone na sześć części, każda szerokości około pół metra.

Jeśli związać je razem, tracąc na każdy węzeł trzydzieści centymetrów, otrzyma się linę długości prawie dziesięciu metrów.

Gdybym musiał, pewnie zniósłbym upadek z takiej wysokości na rozciągające się niżej trawę i krzewy. O ile upadłbym szczęśliwie, nie pechowo.

Szybko przeanalizowałem tę możliwość. Nie uda mi się jej zrealizować bezgłośnie. Poza tym na zdjęcie zasłon potrzebowałbym co najmniej dziesięciu minut, a potem jeszcze trochę czasu na usunięcie żabek i związanie tkaniny w sznur, po którym mógłbym zejść z balkonu. A ponieważ to mieszkanie, tak samo jak lokal Kayli, znajdowało się od frontu budynku, ryzykowałem, że zauważy mnie każda osoba wjeżdżająca na parking – także policjanci, jeśli akurat będą się stąd związać.

Ta opcja nie wchodziła w grę. Czepiałem się samych fatalnych możliwości.

Lepiej już pójść na całość. Czyli predefilować przez salon, możliwie jak najciszej, po prostu licząc, że jakimś cudem nikt mnie nie zauważy.

Wzięłem głębszy oddech, wypuściłem powietrze z płuc, a potem zacząłem się wolno przemieszczać, stąpając bardzo delikatnie, wprost ku frontowym drzwiom. Jedna stopa, potem druga.

Kiedy wykonałem krok numer trzy, sypialnia znalazła się w zasięgu mojego wzroku. Zobaczyłem kawałek łóżka i brązową narzutę albo kapę. I jakąś bryłę pod pościelą. Zapewne czyjeś nogi. Błady, szaroniebieski poblask niewidocznego stąd

telewizora.

Następny ostrożny krok. Teraz widziałem już głowę i ramiona kobiety. Ona również mogłaby dostrzec mnie, gdyby nie fakt, że całą uwagę skupiała na ekranie. Być może jej głowa znajdowała się pod takim kątem, że nie zauważy mnie nawet w widzeniu peryferyjnym. Drzwi wyjściowe znajdowały się nieco ponad trzy metry ode mnie. Telewizor trąkotał i huczał, warczał i pobrzmiwał echem.

Pod moimi stopami wyraźnie skrzypnęła podłoga.

Wszystko się we mnie skuliło.

Czy usłyszała to skrzypnięcie mimo huku odbiornika? Może tak. A może nie.

I wtedy zrozumiałem, że łóżko jest puste.

To, co jeszcze chwilę temu wydawało mi się ludzkim torsem bądź nogami pod kołdrą, tak naprawdę było tylko stosem pościeli.

Skoro więc kobiety nie ma w łóżku, a telewizor jest włączony, to gdzie...?

W toalecie spłynęła woda.

Musiałem myśleć szybko. On czy też ona jest w łazience, nie w sypialni, i zaraz stamtąd wyjdzie.

Przez ułamek sekundy stałem jak sparaliżowany.

Zatrzymać się czy iść dalej? Kiedy wyjdzie z łazienki, szanse, że zobaczy mnie choćby kątem oka, ogromnie wzrosną.

Podjąłem decyzję.

Zrobiłem trzy szybkie kroki i dotarłem do drzwi frontowych.

Zamek był tu identyczny jak piętro wyżej, u Kayli. Podwójny ryglowy, który należało przekręcić w kierunku przeciwnym do wskazówek zegara, aby bolce puściły.

Przekręciłem najpierw górny rygiel. Rozległ się głuchy łomot, słyszalny bez wątplenia w całym mieszkaniu.

Potem to samo zrobiłem z drugą zasuwką i szarpnięciem otworzyłem drzwi.

Nie czekając już ani sekundy, wystrzeliłem na zewnątrz, pozostawiając skrzydło otwarte, po czym pobiegłem korytarzem w kierunku klatki schodowej.

26.

Nie można oczekiwać, że człowiekowi zawsze będzie dopisywać szczęście, nawet jeśli ktoś uważa się za farciarza, tak jak ja. Udało mi się wyrwać z opałów – jeśli nie uniknąć totalnej katastrofy – ale niewiele brakowało. Przynajmniej był tego jakiś efekt, tłumaczyłem sobie, zdobyłem coś cennego: dowód, że Kayla zakupiła bilety lotnicze do stanu Missisipi na dzień przed swoją domniemaną schadzką z sędzią Sądu Najwyższego.

Wracając czarnym suburbanem do biura firmy Shays Abbott przy M Street i New Hampshire, uznałem, że skórka okazała się warta wyprawki. Musiałem sobie tylko przypominać, że nie zawsze towarzyszy mi będzie aż taki fart.

Włamałem się do mieszkania Kayli, licząc, że dotrę do rachunków z jej kart kredytowych, a dzięki nim poznam miejsca, w których bywała – kluby fitness, bary, restauracje. Zbrojny w tę wiedzę – zakładałem – być może zdołam ostatecznie zlokalizować kamery monitoringu, które ją zarejestrowały. Ryzykowna gra, niewątpliwie.

Odkrycie, że dziewczyna kupiła bilety na samolot, okazało się jednak znacznie bardziej wartościowe niż wszystkie ewentualne analizy nagrań z kamer CCTV w całym Dystrykcie Kolumbii.

– Nie udało ci się dostać do jej mieszkania – rzuciła Dorothy, kiedy pojawiłem się w sali konferencyjnej. Uniform z naszywką „CO-Klimatyzacja-Wentylacja” zdążyłem już zmienić na swoje zwykłe ubranie. Lekko utykałem; najwyraźniej coś sobie naciągnąłem w prawej łydce.

– Och, człowieczku małej wiary. – Szybko streściłem Dorothy ostatnie wydarzenia.

– Heller – powiedziała. – Chłopie. – A potem się roześmiała. – Przynajmniej nie było jej wtedy w domu. Podłożyłeś lokalizator GPS?

Kiwnąłem głową i opowiedziałem współpracownicy o biletach

na samoloty linii US Airways.

– Jackson w stanie Missisipi – powtórzyła Dorothy. – Ciekawe, dlaczego akurat tam.

– Pewnie wybrała się do domu.

– Ale ona mieszkała w Tupelo, a Jackson leży prawie trzysta kilometrów dalej.

– To prawdopodobnie najbliższe lotnisko. Wątpię, żeby były jakieś bezpośrednie loty z Waszyngtonu do Tupelo w stanie Missisipi.

Dorothy pokręciła głową.

– No nie wiem. I wróciła już dwa dni później. Dużo latania jak na tak krótką wizytę. Jak na tak krótki wyjazd do rodzinnego domu. Dlaczego nie skorzystała z połączenia do Memphis?

– Dobre pytanie – powiedziałem.

– Cóż, ważne, że przynajmniej mamy dowód na to, że nie mogła być w hotelu Monroe razem z Claflinem w tamte dwa wieczory.

– Prawie dowód.

– Sądzisz, że to nie wystarczy?

– Mamy dowód, że dziewczyna kupiła bilety na samolot. Co jeszcze nie znaczy, że faktycznie do Missisipi poleciała. Ani że tam naprawdę była. Ostateczne rozstrzygnięcie dawałoby nam jej CDR.

Dorothy jęknęła.

– Nie mogę, Nick. Niewykonalne.

CDR to informacje generowane przez telefony komórkowe i przechowywane w bazach danych operatorów sieci telefonicznych. Wszelkie możliwe informacje, na przykład numery połączeń przychodzących i wychodzących oraz czas rozpoczęcia i trwania każdej rozmowy – a także naprawdę przydatne dane: namiary miejsc, w których użytkownik komórki przebywał, rozmawiając przez telefon.

Jak wie każdy, kto ogląda filmy lub telewizję, nasze komórki nieustannie kontaktują się z masztami transmisyjnymi. Przez cały czas operatorzy sieci znają miejsca pobytu naszych telefonów – czyli nas. Budzi to pewną groźbę, nie da się zaprzeczyć. W arkuszach CDR zapisywane są wszelkie kontakty

między konkretną wieżą bazową a danym telefonem komórkowym. Jeśli zna się lokalizację nadajnika, jego położenie na mapie oraz nazwę najbliższej ulicy, można ustalić, gdzie znajdowała się osoba dzwoniąca.

Gdybyśmy zdobyli CDR telefonu Kayli, moglibyśmy udowodnić, że w określonych dniach przebywała w stanie Missisipi, nie w Waszyngtonie.

Problem polegał na tym, że jeśli człowiek nie pracuje w wymiarze sprawiedliwości, uzyskanie dostępu do tych danych – nawet własnych – graniczy z cudem. Jeszcze nie tak dawno temu wystarczyło znać kogoś w firmie telekomunikacyjnej. Pieniądze przechodziły z rąk do rąk, pod stołem. Ostatnio jednak firmy te zaczęły wdrażać u siebie oprogramowanie śledzące wszystkie logowania do baz danych. Dorothy miała rację: nie było sposobu wydostania CDR komórki Kayli.

– Niechętnie, ale muszę poprosić Franka Montello – powiedziałem. – Po prostu nie mamy wyboru.

Kiedy przekazałem facetowi, czego potrzebuję, odparł:

– Żadnych szans, Heller. Już nie. Verizon Wireless wprowadziło rygory. Jak wszystkie inne firmy telekom. Ludzie się boją.

– To kwestia pieniędzy?

– Sprawa polega na tym, że nikt już nie chce ryzykować utraty pracy.

– Mój klient chętnie zapłaci dodatkowo, i to bardzo hojnie. – Wymieniłem kwotę.

Zamiast mnie olać albo się rozłączyć, Montello wykazał nagłe zainteresowanie. Podbił stawkę.

Zgodziłem się, a wtedy on całkiem szybko wspomniał, że być może zna jednego programistę, który pracował w Verizon Wireless, który być może jest w stanie obejść system logowania i zdobyć potrzebne mi CDR. Podejrzywałem, że owym źródłem w firmie Verizon jest osoba, z którą Montello niechętnie się kontaktuje i nie robi tego zbyt często, ktoś bardzo płochliwy, jednakże za odpowiednią cenę...

Prawie zawsze jest jakaś odpowiednia cena.

Montello oświadczył, że skontaktuje się z tym człowiekiem i przekaże mi, na czym stoimy. Co może chwilę potrwać. Sam dobrze nie wiedział ile. Zaproponowałem mu dwadzieścia procent premii od i tak już niezwykle szczodrej oferty, jeśli zdobędzie informacje jeszcze dziś po południu.

Zanim skończyłem rozmowę z Montellem, Dorothy wrzuciła na ekran projekcyjny widok jakiejś strony internetowej. Plotkarskiego portalu o nazwie TMZ. Lead, umieszczony w prostokącie z czerwoną obwódką, epatował wielkimi czarnymi literami: „Balangi sądowe”. Znajdował się nad dużym zdjęciem sędziego Claflina z dzikim, chytrym albo pożądlivym wyrazem twarzy. Poznałem tę fotkę. Została zrobiona na imprezie z okazji jego sześćdziesiątych urodzin, tuż przed tym, jak sędzia miał zdmuchnąć świece na torcie.

Odłożyłem telefon i jęknąłem.

– Ta historia zaczyna się bardzo szybko roznosić, robi się powszechnie znana – powiedziała Dorothy. Wrzuciła na ekran Drudge Report. Ukazało się to samo zdjęcie, tyle że pod nagłówkiem „Sędzia miłości”.

– Cholera.

Drudge było wprowadzie portalem plotkarskim, ale to on jako pierwszy napisał o Billu Clintonie i Monice Lewinsky, miał więc pewną śladową wiarygodność.

– A jak sytuacja w „Timesie” i w „Washington Post”? – zapytałem.

– Jeszcze nic.

– To dobrze. Perez Hilton?

– Też nic. Ale popatrz na to. – Dorothy kliknęła link do portalu Politico. Na pierwszej stronie widać było mały prostokąt ze zdjęciem Claflina, zrobionym chyba podczas dorocznego orędzia prezydenta o stanie państwa. Nad nim biegły litery nagłówka: „Sędzia Claflin zamieszany w skandal z dziewczyną na telefon?”.

– Niedobrze – oznajmiłem. – Politico to już mainstream. Ale przynajmniej jest znak zapytania.

Chyba najlepszy nagłówek zaprezentowała witryna Vox: Czy wymiar sprawiedliwości STANAŁ na wysokości zadania?

Natomiast BuzzFeed oferował czytelnikom listę największych waszyngtońskich skandali seksualnych, od Moniki Lewinsky w dziewięćdziesiątym ósmym roku po senatora Gary'ego Harta i jego partnerkę Donnę Rice z roku osiemdziesiątego siódmego. Byli na niej również pewien kongresmen przyłapany na pisaniu sprośnych wiadomości do młodego stażysty w dwa tysiące szóstym oraz senator aresztowany w toalecie na lotnisku w Minneapolis w dwa tysiące siódmym, ponieważ domagał się seksu od policjanta pracującego po cywilnemu.

Niełatwe zadanie – ograniczyć tę listę do zaledwie dziesięciu pozycji. Mnie przychodziło do głowy jeszcze kilka dodatkowych.

- Ile mamy czasu? – zapytałem Dorothy.
- Mniej więcej sześć godzin.
- Sześć godzin, żeby wysadzić tę całą historię w powietrze.
- Nick, ona roznosi się jak pożar. O wiele szybciej, niż się spodziewałam. Myślę, że mamy już dość materiałów, aby pójść do Slander Sheet i zażądać wycofania artykułu.

Wsparłem podbródek na dłoniach i się zamyśliłem. To prawda, ta historia z Claflinem stawała się własnością publiczną szybciej, niż zakładaliśmy. Żadne z wyznaczających standardy mediów starej gwardii nie podjęło jeszcze tematu, ale nie zdziwiłbym się, gdyby w ich internetowych wydaniach pojawiły się za chwilę małe zajawki ze znakami zapytania. Ta kwestia była po prostu zbyt mocna i potencjalnie zbyt wybuchowa, by móc ją zignorować.

- Idę porozmawiać z Gideonem – oświadczyłem.

27.

Wędrowałem przez labirynt korytarzy, aż w końcu znalazłem biuro Gideona Parnella. Drzwi jego gabinetu były zamknięte, ale tuż przed nimi, za biurkiem, siedziała Rose, asystentka. Rozmawiała przez telefon. Kiwnęła mi głową, uśmiechnęła się i uniosła palec wskazujący.

Kiedy się rozłączyła, powiedziałem:

– Rose, muszę zająć Gideonowi pięć minut.

Popatrzyła na zamknięte drzwi, a potem znowu na mnie.

– Jego telefon ciągle dzwoni. Czy to nie może poczekać, dopóki sytuacja się troszkę uspokoi?

– Nie sądzę, aby to miało szybko nastąpić – odparłem.

– Rozmawia teraz z prezesem sądu. Dam mu znać, że pan tu jest.

Rose zaczęła stukać w klawiaturę, a ja zasiadłem w jednym z foteli dla gości, stojących rzędem pod gabinetem szefa.

Po chwili przypomniałem sobie o łysym mężczyźnie, który chodził za Kaylą, Curtisie Schmidcie. Przecież dysponowałem źródłem informacji w waszyngtońskiej policji metropolitalnej: była to osoba, z którą pracowałem nad jedną z poprzednich spraw, dotyczącą mojego brata Rogera. O ile wiedziałem, porucznik Arthur Garvin, zatrudniony w sekcji brutalnych przestępstw, jest już właściwie emerytem. Kiedy współpracowaliśmy, czyli parę lat temu, właśnie przekroczył sześćdziesiątkę, a ten wiek został określony przez policję jako obowiązkowy census emerytalny. Czasem czyniono wyjątki, acz tylko wtedy, gdy dany funkcjonariusz miał nie więcej niż sześćdziesiąt cztery lata. Co oznaczało, że Gavin już musi być na emeryturze.

Zadzwoiłem na jego prywatną komórkę. Odebrał natychmiast, głosem rześkim i mocnym jak u prawdziwego gliniarza, którym pozostawał tak długo.

- Garvin, słucham.
- Art, mówi Nick Heller.

Pauza.

- Heller! Ohoho. Więc wpadłeś w tarapaty?

Roześmiałem się i od razu przeszedłem do rzeczy.

- Nie znasz przypadkiem Curtisa Schmidta, emerytowanego sierżanta policji?

Kolejna pauza.

- Nie przypominam sobie.
- Muszę się jak najwięcej dowiedzieć na jego temat. Co porabia, dla kogo pracuje, cokolwiek, co zdołałbyś ustalić.
- Mogę wykonać parę telefonów, troszkę pogrzebać. A o co chodzi?

Otworzyły się drzwi gabinetu i wszedł Gideon.

- Spadam, Art. Powiem ci więcej następnym razem. Jestem twoim dłużnikiem. - Zakończyłem rozmowę i wstałem. - Masz dwie minutki? - zwróciłem się z pytaniem do Gideona.

- Oczywiście. Wejdz. - Wprowadził mnie do swojego biura i zamknął za nami drzwi. - Trafiłeś na coś?

Kiwnąłem głową.

- Jak się trzyma pan sędzia? - zapytałem.
- Jest przybity, jak sobie pewnie wyobrażasz. Jego personel kieruje ciekawskich do biura komunikacji społecznej Sądu Najwyższego. Niedługo wydadzą oświadczenie, które ja im opracowałem. Z czym przychodzisz?

- Mamy dość materiału, aby zażądać od Slander Sheet wstrzymania publikacji - odpowiedziałem, po czym wprowadziłem Parnella w szczegóły.

- Wiemy na pewno, że dziewczyna była na pokładzie samolotu? Uśmiechnąłem się. Sam zadałem wcześniej to pytanie. A przecież nawet nie jestem prawnikiem.

- Nie będziemy tego wiedzieć bez manifestu lotu od linii US Airways, a coś takiego zdoła uzyskać tylko oficjalny wymiar sprawiedliwości.

- To chyba pewien szkopuł, nie sądzisz? Kupno biletów na samolot jeszcze nie znaczy, że odbyło się dany lot.

- Owszem, szkopał, ale drobny. Mamy niecałe sześć godzin i myślę, że rozsądnie będzie pójść do Slander Sheet od razu, z tym, czym dysponujemy. Jest tego wystarczająco dużo.

- Wciąż jeszcze nie – powiedział Gideon. – Musimy dysponować dowodem, że w tamtym konkretnym momencie dziewczyna była w stanie Missisipi, a nie w Waszyngtonie.

- Wydaje mi się, że nasza pozycja jest już wystarczająco silna.

Pokręcił głową.

- Chcę zdyskredytować to oskarżenie raz na zawsze, bez żadnych dwuznaczności, gierek, bez pustostłowa.

- Rozumiem, ale sądzę, że zdołamy to zrobić tym materiałem, który już mamy. – Znajdowałem się w nietypowej sytuacji. Zwykle to ja reprezentuję drugą stronę, domagam się kolejnych dowodów, bardziej rozstrzygających. – Byliby idiotami, gdyby nie wycofali artykułu.

- Jestem twoim klientem – rzekł Gideon twardo. – I proszę cię o coś więcej.

- Problem w tym, że zdobycie solidniejszych dowodów zajmie mi parę dni, a wtedy będzie za późno. Mamy przecież niecałe sześć...

Zadzwoił mój telefon. Zerknąłem na wyświetlacz: Frank Montello.

- Przepraszam – powiedziałem i odebrałem. – Słucham cię, Frank.

- Nie odpowiedziałeś na mój mejl.

- Zdobyłeś coś?

- Sprawdź skrzynkę – polecił. – Wisisz mi kupę kasy.

Kiedy wyjaśniłem Gideonowi, co to jest CDR, na jego twarzy pojawił się bardzo szeroki uśmiech.

28.

Gideon wciągnął głęboko powietrze, a potem powoli je wypuścił.

– Dzięki Bogu. No i tobie. – Teraz trzymał głowę trochę wyżej. – Czas, żebyśmy złożyli Slander Sheet małą wizytę.

– Ty nie – zaproponowałem.

– Ja nie? A czemuż to, u diabła?

– Bo wtedy znalazłbyś się od razu na celowniku. Zwróciłbyś na siebie ich uwagę. Myślę, że powinieneś nadal pozostawać za kulisami, a mnie wypuścić jako frontmana. Na pierwszy ogień. Za to mi przecież płacisz.

– Masz rację – powiedział po długiej chwili milczenia.

Przez telefon przekazałem Dorothy arkusz CDR – byłem zaskoczony dużym rozmiarem tego pliku – a potem spędziłem z Gideonem jeszcze dziesięć minut. Instruował mnie w kwestii prawniczego żargonu, którego powinienem użyć podczas spotkania z kierownictwem portalu Slander Sheet.

Gdy wróciłem do sali konferencyjnej, Dorothy wstała i zarzuciła mi ramiona na szyję. Nie pamiętałem, żeby ostatnio coś takiego zrobiła.

– Udało ci się – powiedziała.

– Będziemy świętować, jak Slander Sheet wycofa artykuł. Dlaczego ten plik jest taki wielki?

– Bo to mnóstwo danych. Dziewczyna bardzo często używała nawigacji w swoim telefonie, przez co ciągle kontaktowała się z masztami transmisyjnymi. Komunikacja i nadawanie non stop. Dlatego to prawie nieprzerwany ciąg informacji następujących jedna po drugiej. Widać, dokąd szła albo jeździła. Niemal idealnie zachowany ślad jej podróży.

– A dokąd jeździła?

– Po wylądowaniu w Jackson udała się do wypożyczalni samochodów Budget na terenie portu lotniczego. Potem

pokonała jakieś sześć kilometrów do miasteczka o nazwie Pearl w stanie Missisipi, położonego właściwie na przedmieściach Jackson. Tam spędziła większość czasu. W Pearl.

- Co tam jest?

- Zakład karny dla środkowej części stanu Missisipi.

- Kogoś odwiedziła?

Dorothy skinęła głową.

- Sprawdziłam nazwisko Pitts w Vinelinku, czyli katalogu osób skazanych i osadzonych, i znalazłam niejaką Raelyn Pitts, lat dwadzieścia siedem.

- Starsza siostra?

- Zgadza się. Kayla odwiedziła w więzieniu swoją siostrę. Obie noce, to znaczy z szóstego na siódmy i z siódmego na ósmy czerwca spędziła w hotelu Comfort Inn, niedaleko zakładu karnego. Przychodziła do więzienia dwukrotnie.

- Wiesz to wszystko ze współrzędnych geograficznych stacji przekąźnikowych?

Dorothy potrząsnęła głową.

- Dane zawierają też parę adresów. Połączyłam jedno z drugim.

- Czyli zostaje nam jedna noc, o której nic nie wiemy. Dwunasty czerwca.

- Nieprawda. Coś mamy.

- To znaczy?

- Dostaliśmy miesięczny wyciąg z billingów, za pełny okres rozliczeniowy. Wieczór dwunastego czerwca, a przynajmniej jego większość, Kayla spędziła w pubie w Arlington w Wirginii, takim, który ściąga fanów różnych rozgrywek sportowych. Nie wyjechała z Arlington nawet na chwilę.

Co oznaczało, że mieliśmy dowody na to, gdzie Kayla spędziła wszystkie trzy inkryminowane wieczory, kiedy to rzekomo spotykała się z prezesem sądu. Tymczasem ona była zupełnie gdzieś indziej i mogliśmy to wykazać.

Zadzwoiłem do redakcji Slander Sheet, aby umówić się na spotkanie z założycielem i szefem portalu, Julianem Gunnem. Usłyszałem, że jest bardzo zajęty. Gdy jednak poinformowałem, że występuję w imieniu Gideona Parnella, okazało się, że znajdzie

dla mnie odrobinę czasu. Pewnie uznał, że skorzysta z okazji, aby zaprezentować przede mną taniec zwycięstwa.

Czułem się dobrze. Mieliśmy niepodważalny materiał dowodowy, lepszy nawet, niż spodziewałem się uzyskać.

W tej sprawie jednak wciąż było coś, co mi się nie podobało i co zaczynało mnie uwierać, choć nadal nie potrafiłem tego bliżej określić.

29.

Godzinę dzielącą mnie od spotkania z Julianem Gunnem spędziłem, grzebiąc w telefonie, podczas gdy Dorothy przeczesywała Internet; rychło miałem przed sobą całkiem niezły roboczy profil tego faceta.

Był Brytyjczykiem, absolwentem Uniwersytetu Cambridge. Po studiach przez kilka lat pracował w czasopiśmie „Private Eye”. Następnie przeniósł się do Nowego Jorku, gdzie założył parę różnych firm działających w Internecie, i całkiem niezłe się wzbogacił. Na pomysł uruchomienia portalu pod nazwą Slander Sheet Gunn wpadł razem ze swoim kumplem z Cambridge. Początkowo miejscem wykonywania ich działalności było mieszkanie Gunna, położone w kwartale TriBeCa na Manhattanie, szybko jednak doszło do konfliktu i rozstania z owym znajomym.

Stopniowo portal zdobywał popularność, rozrósł się nawet na Los Angeles, gdzie żywił się plotkami z Hollywoodu, a także na Dystrykt Kolumbii, ze względu na plotki polityczne. Wkrótce stał się prawdziwą skarbnicą netowych pogłosek. Slander Sheet publikowało dosłownie wszystko o wszystkich. Jedynymi osobami nietykalnymi dla tego portalu byli przyjaciele Gunna (głównie dziennikarze) oraz jego dawni szkolni koledzy. Choć właściwie nie miał zbyt wielu przyjaciół i kolegów. „To taki facet, którego nie lubią nawet jego kumple” – usłyszałem od jednego ze swoich rozmówców telefonicznych. Ciągle powtarzały się dwa przymiotniki: „wstrętny” i „odrażający”.

Kilka lat temu Gunn sprzedał Slander Sheet, ale nikt nie wiedział na pewno komu. Transakcję przeprowadzono w wielkiej tajemnicy, Gunn pozostał redaktorem naczelnym. Dzielił swój czas między Los Angeles, Nowy Jork i Waszyngton.

Przybyłem do siedziby portalu, mieszczącej się w starej piekarni, dokładnie na czas, jednak Gunn kazał mi na siebie

czekać. Jeden z jego popychadeł, biały gostek w wieku około dwudziestu pięciu lat, z dredami, wyjaśnił mi, że przez cały dzień Julian udziela różnych wywiadów mediom z całego świata, telewizyjnym, radiowym i prasowym. I że przyjdzie do mnie, gdy tylko oderwie się od telefonu.

Gunn nie miał własnego gabinetu. Pracował przy długim stole, tak jak wszyscy jego podwładni. Pewnie chciał podkreślić wielce demokratyczny charakter polityki kadrowej Slander Sheet. Zaprowadzono mnie więc do przeszklonej sali konferencyjnej i posadzono za kolejnym długim stołem.

Po dwudziestu minutach pojawił się redaktor naczelny Julian Gunn w towarzystwie atrakcyjnej, lecz ponurej blondynki w różowym kostiumie, którą przedstawił jako swojego głównego radcę prawnego. Sam był małym mężczyzną o nadmiernie dużej głowie, twarzy zniszczonej trądzikiem oraz łysiejącej czaszce, pokrytej bardzo jasnymi rzadkimi włosami. Nosił ciemne spodnie i lśniącą ciemnogatową koszulę w paski.

– Bardzo przepraszam, że musiał pan czekać – oznajmił. – Mamy tu urwanie głowy. Jeszcze nigdy nie widziałem takiego ruchu. Istne szaleństwo. Artykuł o Claflinie ma już prawie dziesięć milionów odsłon.

– Ojej – rzuciłem bez entuzjazmu.

– Zbliżamy się do rekordu wszech czasów, jeśli chodzi o oglądalność, który jak dotąd dzierżą fotki tyłka Kim Kardashian w magazynie „Paper”. One miały jedenaście milionów wejść – powiedział Gunn, zwracając się do swojej radczyni.

Zajął miejsce u szczytu stołu, a prawniczka usiadła po prawej stronie szefa. Ja po lewej.

– Więc nazywa się pan Nicholas Heller i przychodzi porozmawiać o naszym artykule na temat Jeremiaha Claflina, zgadza się?

Kiwnąłem głową.

– Zakładam, że wielki Gideon Parnell jest zbyt zajęty, żeby pofatygować się osobiście?

Uśmiechnąłem się.

– Będzie pan musiał zadowolić się mną.

– A zatem, panie Heller. – Gunn rozłożył ręce dłońmi do góry. – Proszę zaczynać, śmiało.

– Ustalił już pan cenę sprzedaży?

– Słucham? – Facet mrugał powoli. Przypominał mi jaszczurkę albo żabę, która zaraz wystrzeli językiem i złapie nim muchę.

– Swojej skromnej hacjendy na Dominikanie. Wydaje mi się, że dostałby pan za nią dwa i pół miliona. Te pieniądze będą panu bardzo potrzebne w całości. A nawet więcej.

Gunn wyglądał na zdezorientowanego, tak jak tego chciałem. Niedawno kupił dom przy plaży na terenie Republiki Dominikany, o czym wiedzieli nieliczni.

– Myślałem, że przyszedł pan porozmawiać o Jeremiahu Claflinie.

– Właśnie tak. Jeśli dziś do godziny szesnastej nie zdejmie pan tej oszukańczej historii z Internetu, a następnie nie złoży pokornych przeprosin na własnym portalu, czeka pana bezwzględny pozew sądowy, który spowoduje upadek Slander Sheet, a także pańską osobistą klęskę i wymazanie z życia publicznego. A wtedy będzie pan zmuszony sprzedać wszystko, co posiada.

– Och, proszę bardzo. Pozywajcie mnie. – Pomachał palcami. – Tylko ustawcie się w kolejce. Już straciłem rachubę liczby pozwów, którymi mi grożono. – Odwrócił się do swojej prawniczki. – Mamy pewnie z dziesięć takich gróźb tygodniowo, prawda, Emily?

– Co najmniej – odpowiedziała.

Gunn skierował wzrok na mnie.

– Wiem, kim pan jest, Nicholasie Heller. Mandy Seeger troszkę posprawdzała, tu i ówdzie. Zrezygnował pan ze studiów na Yale, żeby wstąpić do sił specjalnych, działających w Iraku, Afganistanie i w tych wszystkich zapomnianych przez Boga miejscach. I cóż pan tam porabiał? Jestem pewien, że gdybyśmy co nieco poszperali, także w pańskiej przeszłości znaleźlibyśmy odpowiednik masakry w My Lai. Jakieś gwałty na Irakijkach, zakłutego bagnetem afgańskiego chłopca, kto wie. Poza tym, matko święta!, przecież pańskim ojcem jest ten łajdak Victor Heller! Który aktualnie odsiaduje wyrok dwudziestu ośmiu lat

pozbawienia wolności. – Gunn pokręcił głową. – Nie wyobrażam sobie, aby pańscy klienci ucieszyli się z tej brutalnej prawdy o pana przeszłości i pochodzeniu. W każdym razie, skoro przychodzi pan w imieniu Gideona Parnella, to zakładam, że po to, by wnieść zastrzeżenia. – Zaplótł palce i ustawił je w piramidę. – No cóż. Proszę sobie wnosić. Ma pan wątpliwości co do dziennikarskich kompetencji Mandy?

– Mandy Seeger jest pierwszorzędną reporterką, ale padła ofiarą sprytnej mistyfikacji. Jeremia Clafin nigdy nie spotkał się z żadną prostytutką. Koniec, kropka.

– No jasne, że nie – rzekł Gunn z ironicznym uśmiechem.

– Zbyttno się pospieszyliście. Wypuściliście artykuł, nie dając Mandy szansy na spotkanie z Gideonem Parnellem, który by wszystko odkłamał. Coś takiego prawnicy nazywają lekkomyślnym brakiem szacunku dla prawdy.

– Artykuł ukazał się dzisiaj rano, ponieważ zostaliśmy poinformowani, że za chwilę ktoś nas uprzedzi. To wszystko. Ta historia okazała się najpoważniejszą, jaką kiedykolwiek mieliśmy na swoich łamach, i budzi zainteresowanie na całym świecie. Ja to nazywam sukcesem prasowym.

– Gdybyście zaczekali, jak wcześniej uzgodnił to pan z Gideonem, dowiedzielibyście się prawdy. Na przykład tego, że pokoje w hotelu Monroe faktycznie rezerwowano na nazwisko Clafina, trzykrotnie, jednak ani razu nikt do nich nie wszedł. Sędzia nigdy nie zatrzymał się w tym hotelu. Oto wydruk stosownych raportów. – Przesunąłem po blacie stołu teczkę z dokumentacją.

Gunn wzruszył ramionami.

– To wszystko, czym pan dysponuje?

Kontynuowałem, ignorując jego drwiny.

– Zostaliście wykorzystani przez panienkę na telefon. Ktoś jej zapłacił, żeby skontaktowała się z Mandy Seeger, a wy daliście się na to nabrać. W rezultacie wyrządziliście poważną krzywdę prezesowi Sądu Najwyższego, zakwestionowaliście jego prawość.

Gunn ponownie mrugnął powoli. Raz, dwa, trzy.

– Pan pracuje dla osób trzymających władzę, Heller. Ja działam

przeciwko nim. Daruje pan, że nie uwierzę w pańskie twierdzenia. Poza tym to tylko słowa. Skończyliśmy już? Mam wywiad z TMZ.

Przesunąłem po stole inny stosik papierów.

– Kolejne wydruki z hotelu Monroe? – zapytał Gunn.

Pokręciłem głową.

– To tak zwane CDR, informacje generowane przez infrastrukturę telefonii komórkowej. Dotyczące telefonu Kayli Pitts. To prawdziwe imię i nazwisko Heidi L'Amour, gdyby pan nie wiedział. Te dane stanowią niepodważalny dowód, że dziewczyna nie mogła się spotykać z sędzią Claflinem w hotelu Monroe. Dwie inkryminowane noce spędziła bowiem w Jackson w stanie Missisipi, gdzie odwiedziła siostrę odbywającą karę pozbawienia wolności. Natomiast trzeciego wieczoru przebywała w pubie sportowym o nazwie End Zone w Arlington, w Wirginii.

Gunn ponownie powoli zamrugał, dwukrotnie, po czym odsunął dłonie od sterty wydruków, jakby parzyły. Spojrzał na kartkę leżącą na samej górze, a potem na swoją prawniczkę. Wymamrotał coś do niej i wyciągnął telefon komórkowy. Wcisnął jakiś klawisz, a następnie przyłożył aparat do ucha.

– Eric, chcę, żebyś coś zobaczył. Tak.

I zakończył rozmowę.

Chwilę później do sali konferencyjnej wszedł kościsty rudzielec, ubrany w koszulkę polo barwy limonki. Zbliżył się do Gunna i postukał w stertę dokumentów.

– To? – zapytał.

Gunn kiwnął głową.

– Eric Ziegler, mój główny informatyk – powiedział.

Eric chwycił stos papierów i wyszedł z pokoju.

– Hm, prezes sądu jest osobą publiczną – odezwała się Emily rzeczowo. – A osobom publicznym jest ogromnie trudno wytoczyć komuś proces o zniesławienie.

– Wcale nie – zaoponowałem. – Jak pani wie, wystarczy, żeby jego prawnicy udowodnili wam działanie w złej wierze. A w tym wypadku dochodzi jeszcze brak szacunku dla faktów. Wszystko pójdzie jak po maśle, ponieważ wasza dziennikarka miała szansę

spotkać się z Gideonem Parnellem i poznać prawdę. Zanim jeszcze puściliście tę historię w obieg. Mam na myśli spotkanie, które odwołaliście.

– Czy to prawda? – Emily zwróciła się do Gunna.

Wzruszył lekceważąco ramionami.

– A zatem nie dochowaliście państwo należytej staranności – ciągnąłem. – Fakt, że mieliście sposobność skorygować swoje wymysły, ale z niej nie skorzystaliście, dowodzi działania w złym zamiarze. Nie wiem, na jaką kwotę wyceniacie reputację prezesa Sądu Najwyższego, lecz my zaczniemy od żądania stu milionów dolarów, a potem będziemy podbijać stawkę. Co ostatecznie doprowadzi do zniknięcia portalu Slander Sheet z rynku, a pana do osobistego bankructwa.

– Nigdy się wam nie uda – powiedział Gunn.

– Widzi pan, panie Julianie, w dzisiejszych czasach sędziowie zwracają się przeciwko władzy nieodpowiedzialnych mediów, niszczących życie Bogu ducha winnych ludzi. Może sto milionów dolarów za wyrządzone szkody to jednak zbyt mało? Może powinniśmy zażądać pół miliarda?

Odezwała się komórka Gunna. Odebrał z pewnym siebie uśmiechem.

– Eric?

Przez chwilę słuchał. Obserwowałem, jak wyraz jego twarzy zmienia się z aroganckiego, chełpliwego i zadowolonego z siebie w coś, co przypominało minę człowieka owładniętego chorobą morską. Bez słowa przerwał połączenie. Wyglądał teraz, jakby miał wymiotować. Wstał z trudem.

– Emily? – powiedział, a wtedy podniosła się również jego doradczyni prawna. Oboje opuścili salę konferencyjną.

Czekając, sprawdziłem pocztę elektroniczną, a potem skrzynkę głosową. Próbował się ze mną skontaktować znajomy gliniarz z Waszyngtonu, Art Garvin. Rozpoznałem numer jego komórki. Już miałem oddzwonić, kiedy do pomieszczenia weszli Gunn i jego prawniczka.

– Okej, Heller – rzekł cicho Gunn. – Wygląda na to, że wygrałeś tę bitwę. Ale jednocześnie wkroczyłeś na długą drogę, z której

nie ma powrotu.

– Co to w ogóle znaczy? – zdziwiłem się.

– Spuszczę na ciebie wszystkie psy gończe, całą zgraję detektywów. Zruję cię. Zapewniam, że nie chcesz mieć we mnie wroga, jak się niedługo...

– Co mamy zrobić? – przerwała mu Emily. Nagle zdałem sobie sprawę, że to ona wydaje tu polecenia. Nie Julian Gunn. – Czego pan sobie życzy, panie Heller?

30.

Jadąc suburbanem do biura kancelarii Shays Abbott, sprawdziłem zmiany na portalu SlanderSheet.com. Oczywiście, artykuł o Claflinie zniknął, zastąpiony przez oświadczenie w czarnej obwódce:

Notka do naszych Czytelników

Dziś rano portal Slander Sheet opublikował artykuł dotyczący prywatnego życia prezesa Sądu Najwyższego, pana Jeremiah H. Claflina. Uczyniliśmy to w przekonaniu, że artykuł oparto na solidnych i wiarygodnych informacjach. Mając jednak na względzie nowe dane pozyskane przez nasz portal, uznaliśmy, że publikacja ta była niewłaściwa i że zostaliśmy wprowadzeni w błąd. Sędziemu Claflinowi i jego rodzinie przekazujemy niniejszym głębokie wyrazy ubolewania.

Normalnie odczuwałbym satysfakcję, pławiłbym się w blasku zwycięstwa – zrealizowałem to, do czego mnie zatrudniono i do czego się zobowiązałem – ale absolutnie tak się nie czułem. Byłem niespokojny. Wiedziałem, że coś tu nie gra.

Nie ulegało wątpliwości, że owa call girl, Kayla Pitts, została przez kogoś zmuszona do wniesienia fałszywych oskarżeń. Bała się. Łaził za nią były gliniarz, ni to w celu ochrony, ni obserwacji. Co się za tym kryło? Dlaczego dziewczyna zaangażowała się w przekręt dotyczący sędziego Claflina? Kto jeszcze był w to zamieszany? Kto za tym wszystkim stał i jaki przyświecał mu cel?

Teoretycznie sprawa została załatwiona, ale ja wcale nie miałem takiego wrażenia.

Zadzwoiłem do swojego biura w Bostonie. Odebrała Jillian i opowiedziała mi o wszystkim, co się działo podczas mojej nieobecności. A działo się niewiele.

– Postanowiłem zostać w Waszyngtonie jeszcze jeden dzień – poinformowałem ją. – Żeby pozamykać różne kwestie. Dawaj mi znać mejlowo o bieżącej sytuacji, w sprawach pilnych dzwoń.

Wróciłem do hotelu i przekazałem Dorothy, jakie mam plany.

– Mnie pasuje – oznajmiła. – I tak zamierzałam tu zostać parę dni dłużej, wziąć mały urlop. Poza tym wydaje mi się, że powinniśmy oblać nasze zwycięstwo w jakimś miłym lokalu, przy kolacji.

– Oczywiście.

– Może być Nora?

– Jeśli zdołasz nas tam wprowadzić, to pewnie, że tak.

– Ach, Nick, proszę, żebym sprawdziła, dlaczego Mandy Seeger odeszła z „Washington Post”.

– Owszem. – Roześmiałem się. – Sam zupełnie o tym zapomniałem.

– Wylali ją.

– Serio?

– No, serio. Najwyraźniej pogwałciła zasady obowiązujące w „Washington Post”, które zakazują okłamywania źródeł informacji. Podczas zbierania materiałów do dużego artykułu na temat korupcji w Pentagonie Seeger podawała się za osobę z branży zbrojeniowej. A gazeta nie pozwala swoim dziennikarzom przyjmować fałszywej tożsamości ani kłamać w celu uzyskania dostępu do informacji. Ta pani posunęła się za daleko.

– Hm.

– Brzmi znajomo?

Uśmiechnąłem się niewinnie.

– Co masz na myśli?

– Cholernie dobrze wiesz, co mam na myśli. Dla ciebie też nie ma żadnych świętości, kiedy pracujesz nad jakąś sprawą.

– No cóż, nie twierdzę, że nie potrafię zełgać, jak już muszę to zrobić. Nie jestem dziennikarzem.

– No właśnie.

– Interesujące – uciąłem dyskusję. – Dzięki. – Nagle przypomniałem sobie o wiadomości, którą zostawił mi znajomy

policyjny detektyw. Nie odsłuchałem jej, od razu zadzwoniłem do Garvina.

– Nick – powiedział. – Chodziło ci o tego całego Curtisa Schmidta, tak?

– No.

– To gagatek.

– No coś ty!

To miał być sarkazm, ale Garvin odpowiedział jakby nigdy nic.

– Facet jest zakałą, czarną owcą. Narozrabiał i wyleciał.

– Dlaczego?

– Poprosiłem kumpla, żeby sprawdził go w SESF-ie, czyli Systemie Ewaluacji Służby Funkcjonariuszy Policji Metropolitalnej. Razem z paroma innymi gliniarzami wyłudził prawie milion dolców za nadgodziny, których nie było. Miał się wtedy rzekomo stawiać na różnych rozprawach sądowych.

– Ale gość posiada legitymację z czerwonym paskiem. Emerycką. Nie został wyrzucony z pracy.

– Wydział musiał zachować tę sprawę w tajemnicy, obawiając się, że inaczej mógłby narazić na szwank dochodzenia w sprawach kryminalnych, które prowadziły te gnojki. Cztery, pięć lat temu wysłano ich wszystkich na przymusową emeryturę.

A zatem Curtis Schmidt był złym gliniarzem. Wiedziałem to od chwili, w której natrafiłem w jego portfelu na legitymację z czerwonym paskiem. Najwyraźniej znalazł sobie nowe źródło utrzymania. Ale czy miał jakieś związki ze Slander Sheet? Jeśli tak, to jakie?

– Chcesz, żebym poszperał głębiej? – zapytał Garvin.

Zastanawiałem się przez moment. Właściwie nie miało to już większego znaczenia. Chyba.

– Nie trzeba – powiedziałem. – Dostałem to, co było mi potrzebne. Dzięki.

I zakończyłem rozmowę.

31.

Slander Sheet stało się pośmiewiskiem.

Kiedy wróciliśmy z kolacji do hotelu, włączyłem telewizor i przeskakiwałem z kanału na kanał, a Dorothy buszowała po necie. Mimo że media głównego nurtu nie podjęły tematu Claflina, sprawa rozlała się szeroko. Ponieważ tym razem nie doszło do zdyskredytowania artykułu z zewnątrz, lecz przez sam portal internetowy, z którego drwiono, który wyszydzono i który stał się przedmiotem satyry.

Jimmy Fallon, prowadzący program „Tonight Show” w stacji NBC, zaczął swój monolog wstępny od pokazania zdjęcia Władimira Putina. „Sensacyjna wiadomość dnia” – powiedział. „Prezydent Rosji Władimir Putin przemienia się w kobietę. Naprawdę”. Ukazała się przerobiona w Photoshopie fotka Putina jako babochłopa, uszminowanego i z opadającymi puklami włosów, w sukience z dekoltem. „To musi być prawdziwa informacja” – ciągnął Fallon z poważną miną. „Bo przeczytałem o tym na Slander Sheet”.

Jeśli chodzi o stację ABC, to Jimmy Kimmel oznajmił, że jego talk-show ma obecnie największą oglądalność w danym przedziale czasowym, a po brawach dodał z kamiennym spokojem: „Pisali tak na Slander Sheet, chyba czytaliście?”. Każdy z prowadzących późnowieczorne programy rozrywkowe pozwolił sobie na improwizowane żarty ze Slander Sheet. W internecie natomiast szyderstwom i wykpiwaniu nie było końca.

– Musisz przyznać, że to całkiem fajne uczucie – powiedziała Dorothy.

Skinąłem potakująco głową.

– No – odrzekłem bezbarwnie.

Gideon Parnell zadzwonił do mnie, aby okazać swą wdzięczność. Nie wiedziałem, że człowiek jego formatu i statusu

potrafi tryskać aż taką egzaltacją. Potem przekazał telefon Claflinowi, który był bardziej powściągliwy, lecz mimo to serdeczny w swych podziękowaniach.

Powinienem się cieszyć. Coś w tym zwycięstwie jednak mnie uwierało.

Tamtej nocy w mojej głowie kotłowały się różne myśli. Bardzo źle spałem.

32.

Następny dzień wydał mi się rozmazanym ciągiem spotkań, wiadomości z gratulacjami, nieustannego dopytywania o szczegóły ze strony kancelarii Shays Abbott. Dorothy znów pojechała odwiedzić brata. Ja napisałem swojemu bratankowi, Gabe'owi, esemesa i umówiłem się z nim zaraz po szkole na późny lunch w wegańskiej kafejce, którą lubił, niedaleko prywatnej szkoły dla chłopców im. św. Grzegorza, której z kolei nie cierpiał, lecz musiał tam chodzić. Lokal był maleńki, nastawiony głównie na dania na wynos, mieścił tylko parę stolików. Ledwie go zobaczyłem, powziąłem decyzję, że nic tu nie zjem. Serwowano tam kanapki z fałszywym mięsem zrobionym z tempehu, a także zupy i sałatki. Gabe zamówił burgera. Ja kawę. Upiłem łyk i odstawiłem. Smakowała tak, jakby parzył ją ktoś żywiący do kawy najwyższą pogardę.

Gabe był ubrany na czarno, jak to miał w zwyczaju. Obcisłe spodnie, nabijany ćwiekami skórzany pasek, czarne conversy i T-shirt z nazwą zespołu Bullet for My Valentine, na którym widniała czaszka przystrojona w czerwone róże. I tylko włosy miał inne niż zwykle. Kiedyś farbował je na atramentowo czarno, teraz pozwalał im odrastać w naturalnym, ciemnobrązowym kolorze. Wydaje mi się, że można go było zaklasyfikować do kategorii emo, chociaż nigdy nie posunął się do tego, co było dla tej subkultury najbardziej charakterystyczne: kolczyków w wargach, makijażu oczu i tak dalej. Cały jego piercing ograniczał się do złotego ćwieka w płątce lewego ucha.

Chłopak był interesującym młodzieńcem, pasierbem mojego brata Rogera, który siedział teraz w więzieniu, a Gabe niespecjalnie dogadywał się ze swoją matką, Lauren. Przejawiał nadzwyczajną inteligencję i niesamowity wręcz talent: pisał i ilustrował powieści graficzne – nie komiksy, jak ciągle mnie korygował – które nie były w niczym gorsze od tego wszystkiego,

co widywałem w księgarniach. Bardzo mnie lubił i ja lubiłem jego. Stanowił najlepszy możliwy ekwiwalent posiadania własnego dziecka, na jaki kiedykolwiek mogłem liczyć.

Gabe spałaszował dwie trzecie swojego burgera, zanim zrobił sobie przerwę na rozmowę.

– Od kiedy jesteś w mieście? – zapytał.

– Od dwóch dni.

– Dzięki, że mnie uprzedziłeś. – Nie mógł sobie darować wyraźnego sarkazmu.

– To był wyjazd na łapu-capu. Poza tym cała sprawa bardzo mnie pochłonęła.

– Jaka sprawa?

– Słyszałeś kiedyś o Slander Sheet?

Uśmiechnął się krzywo.

– No. Gówniana plotkarska stronka.

– Mniej więcej. Należało zmusić ich do usunięcia pewnego kłamliwego artykułu na temat sędziego Sądu Najwyższego.

– Coś słyszałem. Więc to ty?

– Ta. Heller i wspólnicy.

Gabe wziął kolejnego gryza wegetariańskiego burgera.

– Super.

– Jak tam ostatni rok szkoły?

Milczał przez chwilę.

– A jak ci się wydaje?

– Wyobrażam sobie, że czujesz do niej tę samą niechęć co w pierwszej klasie.

Odwrócił wzrok.

– Większą.

– Ze względu na konieczność wyboru studiów?

Paznokciem narysował jakiś wzór na serwetce.

– Studia są dla frajerów i mięczaków. Nie wybieram się do żadnego college'u – odpowiedział po kilku sekundach.

– Złożyłeś papiery i się nie dostałeś?

– Proszę cię. Nie składałem papierów.

– Na czym polega problem? – Od jego matki nie miałem wcześniej żadnych informacji na ten temat. Musiała być bardzo

zdesperowana.

– Studia to jedno wielkie gówno. To znaczy proces rekrutacji. Facet, który założył PayPala, stwierdził, że college jest po prostu ostatnim etapem powszechnej rywalizacji. Ci, którzy dostają się na najlepsze uczelnie, pokonali wszystkich swoich, powiedzmy, konkurentów. Tak jak w „Igrzyskach śmierci”. Tyle.

Wzruszyłem ramionami.

– To zwykły pas transmisyjny umożliwiający społeczny awans – ciągnął Gabe. – Ale przecież Mark Zuckerberg rzucił studia, podobnie jak Bill Gates i Steve Jobs. Hej, ty przecież też odszedłeś z Yale, prawda?

– Nie używaj mnie jako przykładu. Odszedłem, żeby wstąpić do wojska. Chcesz się zaciągnąć?

– Ja? Nie ma mowy!

– Więc może jesteś już samodzielnym przedsiębiorcą, jak Steve Jobs albo Mark Zuckerberg?

– Co? Nie. Po prostu nie chcę być lemingiem. Nie przyłączę się do stada.

– Ponieważ jesteś kimś wyjątkowym i zasady cię nie obowiązują?

Teraz to on wzruszył ramionami.

– Są na tym świecie ludzie, którzy uważają, że reguły ich nie dotyczą – powiedziałem – a moja robota polega na tym, żeby ściągać ich na ziemię. – Zamilkłem na chwilę. Zabrzmiało to jak świętoszkowate pierdoły. Zaskakujące, lecz Gabe nie stanął do konfrontacji.

Może i świętoszkowate, ale nagle zmusiły mnie do zastanowienia. Są na tym świecie ludzie, którzy uważają, że reguły ich nie dotyczą...

Dlaczego szukając organizatora nagonki na sędziego Sądu Najwyższego, braliśmy pod uwagę tylko jakąś zorganizowaną grupę? Przecież to równie dobrze mógł być jeden człowiek, kierujący się bardzo osobistymi względami, mający ważne, osobiste powody, aby utracić Claflina. A skoro tak, to należało rozglądać się za innym materiałem dowodowym.

Uświadomiłem sobie, że zaczynam się mentalnie oddalać od

rozmowy z Gabe'em, że nie jestem w pełni obecny.

Godzinę później wróciłem do hotelu i zacząłem wydzwaniać w różne miejsca.

Mój telefon odezwał się około osiemnastej, gdy brałem prysznic. Pozwoliłem mu brzęczeć, aż do uruchomienia się poczty głosowej. Przecież nie czekałem na żadną wiadomość, z nikim nie musiałem pilnie pogadać.

Po chwili komórka znów się rozdzwoniła, ale ponieważ właśnie nabrałem w dłonie szampon, musiałem raz jeszcze odczekać do poczty głosowej.

Kiedy wycierałem się wielkim grubym ręcznikiem kąpielowym, aparat odezwał się po raz trzeci.

Podniosłem go.

Na wyświetlaczu widniał numer zaczynający się od kierunkowego pięćset siedemdziesiąt jeden, który z czymś mi się kojarzył. Postanowiłem odebrać.

– Pan Heller? – wyszeptał jakiś głos.

– Tak?

– Nicholas Heller? – Nadal szeptał.

– Tak? – powtórzyłem, już zirytowany. To wyglądało na głupi żart.

– Panie Heller... Przepraszam... Potrzebuję pańskiej pomocy. Proszę.

– Kto mówi?

– Kayla.

Przez chwilę nie byłem pewny, czy się nie przestyszałem.

– Kto?

– Kayla Pitts.

Dziewczyna na telefon, której kłamstwa zapoczątkowały całą aferę. Akurat ona ze wszystkich znanych mi osób musiała do mnie zadzwonić? Skąd wzięła mój numer? Nagle przypomniałem sobie, że przecież dałem jej swoją wizytówkę.

Mówiła szeptem, ale w jej głosie pobrzmiwała panika.

– Proszę mi pomóc. Oni chcą mnie zabić. Proszę. Boże mój... Niech mi pan pomoże. Nie, ja...

33.

Rozmowa urwała się raptownie, potem rozległ się jakby odgłos przepychanki i zapadła cisza.

Odniosłem wrażenie, że ktoś wyrwał dziewczynie telefon z ręki.

Stałem przez chwilę nieruchomo, ociekając wodą i usiłując zrozumieć, co się właśnie wydarzyło. Przerażony głos dziewczyny sugerował, że znajdowała się w autentycznym niebezpieczeństwie, tylko dlaczego zadzwoniła akurat do mnie? Odnalazłem jej numer w połączeniach przychodzących i wcisnąłem „Oddzwoń”. Po wielu sygnałach usłyszałem komunikat poczty głosowej: „Cześć, tu Kayla. Wiesz, co robić”. To był ten sam numer, którego użyłem, kiedy pisałem do niej esemesy, podając się za Mandy Seeger.

Wysuszyłem się szybko i ubrałem, cały czas rozmyślając o sytuacji. O co tej dziewczynie chodziło? Moja komórka informowała, że mam dwie wiadomości na poczcie, obie właśnie od Kayli. Odsłuchiłem je.

Znany mi głos szeptał: „Czy to... Nicholas Heller? Mówi... Kayla... Pitts, pamięta pan... Potrzebuję pomocy. Jestem... Jestem w jakiejś furgonetce, nie wiem, dokąd mnie zabierają... Proszę, niech mnie pan ratuje”.

A potem kolejna wiadomość: „Tu jeszcze raz Kayla. Jeśli pan to odsłucha... bardzo proszę, musi mi pan pomóc. Oni nie chcą mi powiedzieć, dokąd jadę, i... Niech pan do mnie zadzwoni, proszę. Boję się”.

Oba nagrania były tak przerywane i gorączkowe, że brzmiały bardzo autentycznie. Ale czy takie rzeczywiście były? Podniosłem słuchawkę hotelowego telefonu i zadzwoniłem do pokoju Dorothy.

– Nie ma wątpliwości, że to pułapka – powiedziała moja współpracownica, odsłuchawszy obie wiadomości.

Ona również wyszła właśnie spod prysznic i pachniała szamponem albo odżywką. Jej krótko przycięte włosy lśniły kropelkami wody. Miała na sobie biały T-shirt i szare spodnie od dresu.

– Wynajęli tę dziewczynę, bo umie udawać, prawda? Jak aktorka. Potrafiła przekonująco kłamać, że uprawiała seks z sędzią Sądu Najwyższego, którego nawet nie widziała na oczy. A teraz wykorzystują ją, aby cię dokądś zwabić, a wtedy... – Dorothy umilkła, zamyślona.

– Wtedy co?

– Ten, kto próbował wrobić Claflina, musi być na ciebie nieziemsko wkurzony, ponieważ udaremniał jego plan. A ta osoba... – Znowu przerwała. – No nie wiem, Heller, ale to mi się nie podoba. To musi być jakaś pułapka.

– Dziewczyna wydawała się naprawdę przerażona. Jakby ktoś ją porwał.

– Niby dlaczego miałyby dzwonić akurat do ciebie? Przecież pracujesz dla drugiej strony.

– Nie wiem. Dla mnie to brzmiało autentycznie.

– Więc co chcesz z tym zrobić?

– Możesz zlokalizować jej telefon?

Dorothy spojrzała na mnie wielkimi oczami i wzruszyła ramionami. Nie chciała mnie rozczarować.

– Bez fizycznego dostępu do niego to się nie uda.

– A może wykorzystać ten program Find My iPhone, dzięki któremu namierzyłem swoją skradzioną komórkę?

Pokręciła głową.

– Nic mi nie przychodzi do głowy. Nie znamy jej identyfikatora Apple. Jej... A co z lokalizatorem GPS?

Skinąłem głową.

– Włożyłem go do torby z laptopem. Ale jeśli została naprawdę uprowadzona, to chyba nie ma ze sobą kompa, prawda?

– Kto wie. Poczekaj chwilę, przyniosę laptopa i zaraz się przekonamy.

Dorothy poszła do swojego pokoju i po chwili wróciła, niosąc komputer oraz iPad. Ustawiała oba urządzenia na stole, przy

którym wcześniej pracowaliśmy, i zainstalowała w nich program obsługujący GPS.

- Nadal jest w Arlington - powiedziała moja współpracownica. - Chwileczkę. Właśnie się przemieszcza.

Podszedłem bliżej i zerknąłem na ekran laptopa. Zielona kropka posuwała się powoli na mapie północnej części stanu Wirginia, wzdłuż drogi oznaczonej jako trasa numer 66.

- Jedziemy - poleciłem.

34.

Wcześniej zaparkowałem swojego suburbana na ulicy, a nie w hotelowym garażu, przewidując właśnie takie sytuacje, kiedy trzeba działać szybko. Ja manewrowałem SUV-em po arteriach Waszyngtonu, a Dorothy na iPadzie śledziła ruchomą kropkę. Mostem Memorial przejechaliśmy na drugą stronę Potomaku i wtoczyliśmy się na słynną drogę międzystanową numer 66, która zmierzała najpierw na północ, a potem na zachód.

Kusiło mnie, aby mocniej nacisnąć pedał gazu, wolałem jednak nie ryzykować zatrzymania przez policję. Kropka, na iPadzie niebieska, wciąż wskazywała na Arlington, ciągle dość daleko na zachód od nas. Jechaliśmy prosto na północ po Custis Memorial Parkway, której to nazwy używa się w Arlington na określenie drogi 66. Trwały godziny szczytu, ściemniało się, ruch był intensywny, metalowa rzeka pojazdów płynęła ospale.

– Nadal uważam, że to zasadzka – odezwała się Dorothy.

– Słyszałem. Mamy więc różnicę zdań. – Rzuciłem jej wymowne spojrzenie. – Zauważyłaś, że po przerwaniu połączenia nie otrzymałem już żadnych wiadomości od Kayli?

– I co z tego?

– Bez sensu, gdyby to rzeczywiście była zasadzka. Skoro tamci chcą mnie zwabić, to powinni kazać jej nawiązywać ze mną ciągły kontakt, stale wodzić mnie za nos. Ale wygląda to tak, że po prostu przyłapali dziewczynę, jak rozmawia przez telefon, i go jej zabrali.

– Już mówiłam, co o tym myślę. – Dorothy popatrzyła na mnie, a potem na swój iPad. – Teraz są w Falls Church.

– Jak często lokalizator aktualizuje pozycję?

– Co minutę.

– Naładowałaś go, zanim przekazałaś w moje ręce, prawda?

– Hm. Na śmierć zapomniałam. Bardzo dowcipne, Heller.

– Ile wytrzyma bateria?

– W stanie spoczynkowym trzydzieści dni. Będąc w ruchu, znacznie krócej, ale na luzie powinna pociągnąć do wieczora. A może nawet do jutra. Oni ciągle są na międzystanowej, w Falls Church, zmierzają na zachód, północny zachód.

– Weź mój telefon – poleciłem – i spróbuj wysłać do niej esemesa, tak na wszelki wypadek. – Wyciągnąłem komórkę z kieszeni kurtki i podałem Dorothy.

– Co mam napisać?

– Może wystarczy „Gdzie jesteś?”.

Właśnie zaczynało padać, o przednią szybę rozbiło się kilka kropli deszczu. Uruchomiłem wycieraczki, które tylko rozmazały smugi na szkle. Pomogły dopiero spryskiwacze. Rozpadało się na dobre, ulewa bębniła o dach samochodu.

– Żadnej odpowiedzi? – zapytałem.

– Nic. – Dorothy milczała przez chwilę, a potem podjęła: – Nick, o co tu chodzi, twoim zdaniem? Masz jakąś teorię, dlaczego ta dziewczyna zadzwoniła akurat do ciebie?

– Wie, czym się zajmuję. Wie, że ja wiem, w co się wpakowała. Myślę, że zatelefonowała do mnie z desperacji, nie miała pojęcia, co robić ani do kogo innego się zwrócić. Boi się. Oto moja teoria.

– Ale co jej się przydarzyło? Zaczekaj... Są na skrzyżowaniu z drogą numer dwieście sześćdziesiąt siedem, przed chwilą zjechali na płatną autostradę w kierunku Dulles. Dokąd oni jadą?

– Na lotnisko Dulles – odpowiedziałem.

– Czemu?

– Cały ich plan się zawalił, dlatego chcą wywieźć dziewczynę z miasta, zanim będzie jeszcze gorzej.

– Kim oni są?

– Oto jest pytanie. Pewnie tymi samymi, którzy chcieli pogrążyć Jeremia Clafina.

– A fakt, że wywożą dziewczynę z miasta, co oznacza?

– Tego też nie wiem. Ona stanowiła najważniejszy element spisku, na czymkolwiek ten spisek polegał, a jednocześnie, jak sądzę, jego najsłabszy punkt, miękkie podbrzusze. Kayla to przerażona młoda kobieta, która łatwo może się wygadać. I zdradzić, kto za tym wszystkim stoi.

– Nick, zjechali z autostrady. Chyba zbliżają się do lotniska.
– Niemożliwe, Dulles jest znacznie dalej.
– To nie Dulles, to... jakiś mały prywatny port lotniczy. Regionalne lotnisko Middleton. Przeznaczone do obsługi lotnictwa ogólnego. Wjeżdżają tam.

– Cholera.

– Co?

– Musimy przyspieszyć. Lotnictwo ogólne to samoloty prywatne, a prywatne to brak stałego harmonogramu lotów. Mogą startować, kiedy tylko chcą.

Deszcz padał naprawdę ulewnie, ściana wody rozpryskiwała się na asfalcie. Widoczność zmalała. Jechaliśmy w pełnym niepokoju milczeniu, wycieraczki wybijały szybki rytm. Skręciłem na drogę numer 267, która prowadziła na lotnisko Dulles.

Wyprzedziłem kilka samochodów, ale nie mogłem wcisnąć gazu do dechy. Pojazdy przede mną toczyły się wolniutko, uniemożliwiając szybszą jazdę. Czteropasmowa autostrada zmieniła się w dwupasmówkę, poza tym zaczęły się pojawiać światła sygnalizacji drogowej.

– Kropka się zatrzymała. Stoją.

– Lotnisko leży w odległości około dziesięciu minut stąd. Sprawdź mapę, jest jakaś szybsza droga?

– Jesteśmy na trasie prowadzącej bezpośrednio na miejsce. Zjazd znajduje się sześć kilometrów stąd.

Poruszaliśmy się z prędkością nie większą niż trzydzieści kilometrów na godzinę, dlatego minął kolejny kwadrans, nim wreszcie zobaczyliśmy tablicę ze strzałką w lewo i informacją „Lotnisko Middleton”.

– Kropka nadal stoi?

– Właśnie zaczęła się poruszać.

– Cholera!

Włączyłem lewy kierunkowskaz, wjechałem na pas skrętu i czekałem na czerwonym świetle. Nie miałem innego wyboru, z naprzeciwka nieustannie płynęły pojazdy. Zdenerwowany walnąłem w kierownicę. Wreszcie pokazało się zielone światło.

Wdepnąłem pedał gazu. Po przejechaniu około

siedemdziesięciu metrów w polu naszego widzenia ukazał się następny znak informujący o lotnisku; skręciłem na drogę dojazdową. Po chwili dotarliśmy do parkingu, na którym stało najwyżej pięć, może sześć samochodów. Tuż obok biegł płot z drucianej siatki, otaczający asfaltową płytę lądowiska. Dalej wznosił się niewielki ceglany budynek terminalu, natomiast nie było widać wieży kontroli lotów. Małe, prywatne lotnisko. Znalazłem miejsce postojowe, zaparkowałem SUV-a i zostawiłem go na jałowym biegu.

– Jaki jest plan, Nick?

– Kropka się nadal porusza?

– Nie.

– Jak precyzyjne jest to urządzenie?

– Bardzo. Do trzydziestu centymetrów.

– Potrafisz więc ustalić, gdzie dokładnie są?

Dorothy spojrzała na swój iPad i przesunęła palcem kilka razy w górę i w dół.

– Dziewczyna stoi na płycie lotniska.

– A przynajmniej jej torba na laptop.

Dorothy coś wskazała.

– Przy wejściu na płytę jest budka strażnika.

– Okej. Podaż lornetkę?

– Lunetę...?

– Canona.

Moja współpracownica wyciągnęła ze swojej torby lornetkę i mi ją podała. Przyłożyłem urządzenie do oczu, kierując w stronę asfaltowej nawierzchni. Wyostrzywszy obraz, zlokalizowałem jakiś samolot i podkręciłem wizjer tak, aby dostrzec numer na jego ogonie.

– Mogłabyś zapisać? – poprosiłem Dorothy. – En, jeden, pięć, pięć, iks.

– Co to jest?

– Numer na ogonie.

– Jaki to samolot?

– Nie mam pojęcia. A teraz może być poszła do budynku lotniska i poszukała Kayli? Zobacz, czy gdzieś tam nie czeka. To

niewielki terminal, nie powinno długo potrwać.

- A ty co zamierzasz robić?
- Wjadę na płytę.
- Nie wolno.
- Przekonamy się.

Dorothy wysiadła z SUV-a i – skulona w rzęsim deszczu – skierowała się prosto do terminala. Podjechałem bliżej bramy w płocie otaczającym lądowisko. Owszem, stała tam budka, ale była ciemna i pusta. Wjazd blokował szlaban. Dobiłem do budki strażniczej i znalazłem zamontowany z boku interkom oraz słuchawkę telefonu. Około metra powyżej tkwiła kamera monitoringu. Opuściłem szybę w oknie samochodu, wcisnąłem guzik i podniosłem słuchawkę. Deszcz momentalnie zalał mi bark i rękaw.

Po kilku sekundach odezwał się jakiś głos:

- Ta?
- Mam ładunek dla en, jeden, pięć, pięć, iks.
- Chwileczkę... – Pauza. – En, jeden, pięć, pięć, iks. Droga wolna.

Odwiesiłem telefon i zamknąłem okno. Szlaban się uniół, przejechałem.

Nie zdziwiło mnie to. Na większości lotnisk, nawet tych dużych, strefa bezpieczeństwa jest ograniczona do minimum, o ile w ogóle istnieje. Po tych wszystkich absurdalnych wręcz środkach kontroli, jakie stosuje się wobec pasażerów, sama płyta lotniska jest najsłabiej chronionym elementem. A już porty lotnictwa ogólnego, obsługujące samoloty prywatne, cechują się jeszcze większą niefrasobliwością. Poza tym jechałem czarnym suburbanem, który wyglądał jak oficjalny, służbowy pojazd.

Mimo to nie miałem zielonego pojęcia, dokąd się teraz udać.

Minąłem cysterne z paliwem, nieoznakowany niski budynek z cegły, a potem jednokondygnacyjny terminal lotniska, również ceglany. Na chodniku przed nim nie było nikogo widać. Żadnych pasażerów sposobujących się do zajęcia miejsc w samolocie. Ale jakieś siedemdziesiąt metrów dalej na płycie lotniska stała niewielka cessna, która tankowała z ciężarówki cysterny. To był ten samolot. Poczułem to, tak mi podpowiedział instynkt. Nikt

nie zastawił na mnie pułapki. Kaylę Pitts przywieziono na to lotnisko, żeby zabrać ją gdzieś samolotem. Dokądś, dokąd nie miała najmniejszej ochoty lecieć.

Podjechałem jeszcze trzydzieści metrów, aż wreszcie dotarłem do jakiegoś przypominającego hangar budynku, którego opuszczana brama była podniesiona na całą wysokość. Z wnętrza sączyło się jaskrawe światło. Widziałem automaty sprzedające drobne towary, stoliki i biurka, a także kilku stojących tu i ówdzie facetów. Całość sprawiała wrażenie sali odpraw dla pilotów. Od razu dostrzegłem to, czego potrzebowałem.

Zaparkowałem suburbana tuż obok budowli, równolegle z cysterną. Ponownie rzuciłem okiem na iPad. Zielona kropka trwała w bezruchu. Wyglądało na to, że znajduje się jakieś trzydzieści metrów przed terminalem. Czyli dokładnie tam, gdzie stała tankująca cessna. Doszedłem do wniosku, że bagaż Kayli, w tym jej torba na laptop, został już zapakowany do frachtowego samolotu.

Zgasilem silnik, wysiadłem z auta i podszedłem do hangaru. Wystarczyło przejść zaledwie kilkanaście metrów, by deszcz zmoczył mnie do suchej nitki. Wkroczyłem do środka, wyglądając zapewne jak ociekający wodą szczur. Wokół ekspresu do kawy stało trzech facetów, którzy trzymali w rękach styropianowe kubki. Jeden z nich obrzucił mnie wzrokiem. Uśmiechnąłem się, spytałem „Jak leci?” i szedłem dalej na tył hangaru, gdzie z haków zwisały szeregiem przeciwdeszczowe płaszcze, tuż obok kamizelek odblaskowych. Przeznaczone zapewne dla obsługi lotniska i mechaników. Chwyciłem sztormiak, jakby widniało na nim moje nazwisko, nałożyłem go na siebie, a następnie przywdziałem pomarańczowo-żółtą kamizelkę odblaskową. Na wąskim stoliku pod kamizelkami zauważyłem duże latarki Maglite. Wziąłem jedną i wsadziłem sobie do kieszeni płaszcz. Był to model generujący supersilne światło o wysokim natężeniu, przeznaczony do sygnalizacji na lotniskach. Zdolny wyłonić strumień świetlny wartości prawie pięciuset lumenów.

Jeśli ktoś się zachowuje tak, jakby był w danym miejscu u siebie, większość ludzi przyjmuje, że tak właśnie jest. Trzej faceci

w hangarze musieli uznać, że należę do personelu technicznego lotniska i właśnie zaczynam swoją nocną zmianę, tylko złapał mnie deszcz. Śmiali się, dyskutując o meczu Redskinsów, który odbył się poprzedniego wieczoru. Żaden się do mnie nie odezwał. Byłem swojakiem.

Zabrzęczała moja komórka. Wyjąłem ją z kieszeni spodni.

– Znalazłam ich – powiedziała Dorothy. – Dwóch facetów i dziewczyna podobna do Kayli. Są w poczekalni.

– Czy ona wygląda jak ktoś, kto nie przebywa tu z własnej woli?

– I tak, i nie. Nie ma kajdanek ani nic takiego, ale ci dwaj goście budzą grozę. Dziewczyna jest przestraszona.

– Możesz stwierdzić, czy któryś z nich jest uzbrojony?

– Nie mam w tym takiej wprawy jak ty. Chyba nie, o ile mogę wnioskować z tego miejsca.

– Okej.

– Ale nie polegaj na moim słowie, Nick.

Zamyśliłem się.

– Wydaje mi się, że ich samolot właśnie tankuje. Spróbuj pokręcić się trochę po tej poczekalni, nie zwracając na siebie uwagi. Miej ich na oku. Muszę wiedzieć, że nigdzie się nie wybierają po drodze, tylko prosto na płytę lotniska. Dzwon, jeśli zobaczysz jakieś nadzwyczajne zachowanie.

Naciągnąłem sobie na głowę kaptur nieprzemakalnego płaszcza i ponownie wyszedłem w noc. Deszcz co nieco osłabł, był mniej rześisty, spokojniejszy. Ciężarówka cysterna właśnie odrywała się od cessny, zakończywszy proces tankowania.

Stałem w strugach wody, kilkadziesiąt metrów od terminala, i obserwowałem jego szklane drzwi.

Szybko zerknąłem na samolot. Na jego ogonie widniał numer, który zapisałem sobie w pamięci: N483C.

Telefon zadzwonił po mniej więcej pięciu minutach.

– To oni. Wychodzą na płytę lotniska.

– Dobrze.

Zobaczyłem troje ludzi zbliżających się do szklanych drzwi od strony wnętrza hali. Po chwili wyszli na deszcz. Dwie wielkie męskie postacie w czarnych płaszcach z kapturami na głowie

posuwały się po obu stronach mniejszej, kobiecej. Jeden z facetów trzymał parasol nad jej głową. Okazywali jej więc względy, co mnie zaskoczyło. Była ich zakładniczką czy nie? Urowadzono ją czy raczej poszła z nimi z własnej woli?

Na czele grupki kroczył mężczyzna bez parasola, poruszając się bardziej energicznie niż pozostali. Właściwie truchtał. Szybko pokonał krótkie schody prowadzące do samolotu i schronił się w jego wnętrzu.

Wyciągnąłem latarkę, skierowałem w ich stronę i kilkakrotnie prawym kciukiem włączałem i wyłączałem światło, aby zwrócić na siebie uwagę pozostałej dwójki. Facet i kobieta spojrzeli na mnie, starając się przebić wzrokiem ciemności i zobaczyć moją twarz.

Zwróciłem strumień światła latarki lekko w bok i znów zamigałem. Nie chciałem ich oślepić – pięćset lumenów mogłoby to zrobić z łatwością, poza tym tak jasny błysk może być bardzo niebezpieczny dla rogówki oka – lecz przede wszystkim chciałem zobaczyć ich twarze. Stożek jaskrawego światła rozblęsnął na chwilę i zgasł, lecz to mi wystarczyło, aby rozpoznać Kaylę.

A także eskortującego ją łysego mężczyznę. Curtisa Schmidta.

35.

Czy on mnie poznał?

– Przepraszam – odezwałem się do Schmidta. – Potrzebne jest CRM waszego lotu.

– Słucham?

– Wasze CRM, proszę pana. Nie otrzymaliśmy dokumentu.

Oczywiście gadałem bzdury.

– Nie macie pozwolenia na start – mówiłem dalej. – Musicie zaczekać z kołowaniem przed punktem B.

Szybkim, nagłym ruchem złapałem za wolną rękę Kayli i szarpnąłem dziewczynę ku sobie. Liczyłem, że z bliska zdążyła mnie już rozpoznać – bądź co bądź nagrywała mi wiadomości – a przynajmniej okaże teraz uległość.

– Tam – zwróciłem się do niej, wskazując kierunek. – Uciekaj.

– Heller, ty pierdolony sukinsynu – zawołał Schmidt swoim wysokim, zdławionym głosem i rzucił się na mnie.

Zamierzyłem się latarką w prawą stronę jego głowy, celując w skroń w celu szybkiego nokautu. Ale on zwinnie uchylił się w lewo, dlatego trafiłem tylko w policzek. Coś chrupnęło.

Facet wykrzywił się, wrzasnął, nie przestawał jednak nacierać, co chwila wymachując ku mnie prawą pięścią. To było dość głupie: powinien raczej spróbować wytrącić mi latarkę z ręki. Dysponowałem bronią, on zaś nie, o ile mogłem na razie stwierdzić. Czyli miałem przewagę, której należało mnie pozbawić.

Postanowiłem maksymalnie to wykorzystać. Tamten do mnie krzyczał, coś paskudnego. Ponownie wziętem zamach i od poziomu talii trzasnąłem go mocno, na ukos przecinając powietrze, w podbródek, w otwarte usta, w zęby.

Schmidt potrząsnął głową jak rozwścieczony byk i przyjął postawę bokerską. Jego lewa pięść wystrzeliła w moim kierunku, zahaczając o brodę. Głowa mi odskoczyła. Ujrzałem

gwiazdy przed oczami.

– Orientuj się!

Ale ja wiedziałem, że facet gotuje się do nokautującego ciosu prawą ręką. Bokserzy są niebezpieczni, a jednocześnie przewidywalni i zupełnie nie myślą o tym, co mają poniżej pasa. Gdy więc zrobił krok w moją stronę, aby zwiększyć swój zasięg, z całej siły kopnąłem go prawą stopą w lewe kolano.

Poskutkowało. Noga znalazła się w doskonałym pionie, a ból był tak silny, że facet zgiął się wpół.

Usłyszałem kobiecy krzyk. Głos Kayli.

Od razu uniosłem wzrok i zdążyłem zobaczyć, jak z samolotu wypada ten drugi facet i zbiega po stopniach. Gwałtownie poszukiwał czegoś pod płaszczem przeciwdeszczowym. Zapewne broni. Niedobrze.

Chwyciłem Schmidta, który wrzeszczał z bólu, słaniając się na nogach. Mocno szarpnąłem za kaptur jego sztormiaka i przyciągnąłem go do siebie jako ludzką tarczę.

W mroku majaczyła sylwetka drugiego faceta. Widziałem, że trzyma w ręku pistolet. Próbował się ustawić tak, żeby móc strzelić, nie trafiając Schmidta.

A ja robiłem wszystko, by mu to utrudnić.

Zaczął podchodzić coraz bliżej; był już jakieś trzy, cztery metry ode mnie, z wycelowaną bronią, ustawioną pod takim kątem, aby oszczędzić kumpla.

Wtedy prawym kciukiem włączyłem swoją latarkę Maglite i skierowałem w jego oczy oślepiający strumień światła o wartości pięciuset lumenów. Mężczyzna natychmiast zasłonił twarz rękoma, ale pistolet wypalił; kula wydrążyła dziurkę w asfalcie jakieś półtora metra na lewo ode mnie.

Popchnąłem Schmidta tak, że upadł na ziemię, po czym złapałem za lufę broni drugiego mężczyzny. Była piekielnie gorąca. Szarpnąłem, wykręciłem mu ją z ręki i natychmiast upuściłem, bo za bardzo parzyła.

Z góry kopnąłem tamtego w krocze. Niezbyt to oryginalne, ale skuteczne. Ryknął z bólu i padł na płytę lotniska tuż obok Curtisa Schmidta.

Pochyliłem się, poparzoną dłonią podniosłem pistolet, po czym pobiegłem tam, gdzie stała Kayla, czyli jakieś sto metrów dalej.

Płakała.

– Chodźmy – powiedziałem, chwytając ją pod łokieć i prowadząc w kierunku suburba. – Musisz uciekać.

Ale ona nadal stała, zanosząc się płaczem. Nie mogłem zrozumieć, co mówi, oprócz słów „Och, mój Boże”.

– Idziemy – powtórzyłem, tym razem łagodnie, i wziąłem ją za rękę. – Szybko. Już nic ci nie grozi.

36.

Zanim jeszcze znaleźliśmy się na głównej drodze przed lotniskiem, Kayla Pitts się uspokoiła. Teraz sprawiała wrażenie zawstydzonej całą sytuacją. Kilkukrotnie pociągnęła nosem i powtórzyła:

– O Jezu, o Jezu.

Jej jasne włosy zwisały potargane i zmierzwione, ich kosmyki pociemniały od wody i tworzyły mokre strąki.

Dorothy, która zajmowała miejsce z tyłu, przyglądała się jej uważnie i z rezerwą. Najwyraźniej nie bardzo wiedziała, co sądzić o naszej pasażerke.

– Dokąd mnie zabieracie? – spytała Kayla słabym, drżącym głosem.

– Na pewno nie do twojego mieszkania – odparłem.

– Okej. – Otarła oczy wierzchem prawej ręki. – To dobrze. W takim razie dokąd?

– Do hotelu. Mam prośbę – zwróciłem się do Dorothy. – Zadzwoń do naszego hotelu i zarezerwuj jeszcze jeden pokój. Może uda się załatwić jakiś tuż obok mojego.

– Jak mnie znaleźliście? – spytała Kayla.

Ulewa zmieniła się w delikatny deszczyk. Dałem lewy kierunkowskaz i włączyłem się do ruchu, teraz już znacznie mniejszego. Najgorsze godziny szczytu minęły.

Ponieważ nie odpowiedziałem, dziewczyna znów zadała pytanie:

– Namierzyliscie mój telefon czy coś w tym stylu?

– Coś w tym stylu – odrzekłem. Nie chciałem jej mówić, że podłożyłem jej lokalizator GPS, gdyż wtedy musiałbym ujawnić, że włamałem się do jej mieszkania. A to by tylko wprowadziło w nasze relacje element nieufności i paranoi, którego wolałem uniknąć. – Opowiedz, co się stało.

– Ci dwaj przyszli do mnie do domu i kazali się pakować. Dali mi

na to piętnaście minut. Oświadczyli, że zabierają mnie z miasta.

– Wtargnęli siłą?

– Wpuściłam ich.

– Bo ich znałaś?

Pokręciła głową.

– Kojarzyłam jednego, tego łysego. Niby miał mnie pilnować.

Pragnąłem zadać jej całe mnóstwo pytań, wolałem jednak, aby sama mówiła jak najdłużej.

– Nie powiedzieli ci, dokąd jedziesz?

– Tylko tyle, że poza miasto. Wsadzili mnie do furgonetki, na pakę.

– Dlaczego uznałaś, że zamierzają cię zabić?

– Siedziałam z tyłu, ale kiedy przyłożyłam ucho do ścianki, słyszałam, że o mnie gadają. Jeden powiedział coś w stylu: „Ona musi zniknąć bez śladu”. A drugi na to mniej więcej: „Niech to wygląda na ucieczkę”, a potem dodał coś jakby: „Zanim znajdą zwłoki”. Kiedy zabierali mnie do vana, zauważyłam, że jeden z nich ma broń. Bałam się potwornie. Kompletnie nie wiedziałam, co robić, do kogo zadzwonić. Gliniarzom nie ufam. Dlatego chciałam się skontaktować z tą dziennikarką ze Slander Sheet, ale tylko usłyszałam automatyczną wiadomość, że jej numer został anulowany. Więc... zadzwoniłam do ciebie.

– Dlaczego?

Przez dłuższy czas milczała. Potem pokręciła głową.

– Kiedy cię poznałam... odniosłam wrażenie, że... sama nie wiem... że jesteś dobrym facetem.

– Okej – skwitowałem. Niech jej będzie.

– Wiele razy dzwoniłam, ale ciągle włączała się poczta głosowa. A kiedy mi się wreszcie udało, któryś z tych dwóch to usłyszał i wyrwał mi komórkę.

– Wykazałaś się odwagą. I sprytem.

– No, ale co teraz? Co ze mną będzie?

– Zostaniesz z nami, będziesz bezpieczna. Potrzebuję twojej pomocy, żeby ustalić, kto za tym wszystkim stoi.

– Tylko że ja nie mam pojęcia, kim są ci ludzie!

– Spokojnie. Pogadamy, pomożemy sobie wzajemnie. Chodzi

o drobne detale, które dla ciebie nic nie znaczą, ale dla mnie tak.

Przez chwilę jechaliśmy w milczeniu. Wyłączyłem wycieraczki; deszcz ustał. W końcu Kayla się odezwała:

- Chciałabym wiedzieć jedno.
- Co takiego?
- Czegoś tu nie rozumiem. Po co po mnie przyjechałeś?
- Bo sądzę, że znasz odpowiedzi na interesujące mnie pytania.
- A jeśli nie znam?
- To i tak bez znaczenia - powiedziałem. - Warto cię było uratować.

37.

Hotel dysponował wolnym pokojem, przylegającym do mojego apartamentu. Umieściliśmy tam Kaylę, a drzwi łączące oba pomieszczenia zostawiliśmy otwarte. Chciałem mieć ją stale na oku. Zakładałem, że Curtis Schmidt i jego towarzysz będą przez pewien czas niezdatni do użytku, ale zamiast nich mogli pojawić się inni.

Dziewczyna również o tym wiedziała. Bała się, wyglądała na strapioną.

Kiedy Dorothy wyszła kupić najpotrzebniejsze przybory toaletowe dla Kayli, mieliśmy okazję porozmawiać w cztery oczy.

– Niech zasuwka na drzwiach twojego pokoju będzie cały czas zamknięta – powiedziałem. – Tych drzwi już nie otwieramy, nikomu. Nieważne, czy przyjdzie obsługa, czy pokojówka, nikt nie może wejść. I nie dzwoń po room service. Jeśli będziesz czegoś potrzebować, poproś Dorothy albo mnie. Przyjdź sama, ewentualnie zadzwoń przez hotelowy telefon. – Przygotowałem dziewczynie wódkę z tonikiem z minibaru, ponieważ bardzo potrzebowała drinka. Nie mogłem znaleźć odpowiednich szklaneczek, dlatego użyłem kieliszka do wina. Do drugiego nalałem sobie szkockiej.

– A mogę przynajmniej skorzystać z komputera? – spytała. – Swój zostawiłam na tym lotnisku. Poza tym zabrali mi komórkę, a chciałabym się skontaktować z paroma znajomymi. Inaczej zaczną się o mnie niepokoić. Powiem im tylko, że u mnie w porządku.

Pokręciłem głową.

– Nie wolno ci się ujawniać. Nikt nie może wiedzieć, że jesteś w Dystrykcie Kolumbii.

– Czyli właściwie zostałam więźniem.

– Chwilowo. Ze względów bezpieczeństwa.

– Jak długo to potrwa?

– Aż minie zagrożenie.

– To znaczy kiedy?

Znów pokręciłem głową, tylko wolniej.

– Poinformuję cię.

Upiła łyk drinka.

– Dlaczego jesteś dla mnie taki dobry?

– Bo potrzebuję twojej pomocy. – Najprostsze odpowiedzi są zwykle najlepsze.

– Okej.

– Opowiedz, jak się w to wszystko wpakowałaś.

– W co? W całe to życie? Czy w ten... przekręt?

– Przekręt.

Kayla usiadła na skraju łóżka. Ja zająłem fotel obok biurka i łyknąłem szkockiej. Czuję słaby zapach wonnej paczuli emanujący od dziewczyny.

Westchnęła głęboko.

– No dobrze. Mniej więcej trzy miesiące temu miałam spotkanie z klientem w hotelu Willard. No wiesz, z Garym jakimś tam. Kiedy weszłam do jego pokoju, od razu mi zapłacił, z góry – to raczej nietypowe. Faceci zawsze płacą po. Był ładnie ubrany, garnitur, krawat i tak dalej. Powiedział, że chce tylko porozmawiać. Pomyślałam, że chodzi mu o coś naprawdę zбочzonego, ale nie, wcale nie przyszedł po seks. Oświadczył, że pracuje dla jakiejś organizacji zrzeszającej biznesmenów, która chce mnie wynająć. Miał dla mnie pewną propozycję, jak się wyraził.

– Poznałaś jego nazwisko?

– Nie. Tylko imię. Gary. Powiedział, że chcą, abym pogadała z dziennikarką portalu Slander Sheet. Miałam stwierdzić, że trzykrotnie spotykałam się z sędzią Sądu Najwyższego Jeremiahem Claflinem. Obiecywał, że tamci ludzie przygotowują mnie do rozmowy z reporterką, że wszystkim się zajmą, a w ogóle to zapłacą mi sto tysięcy dolarów, dziesięć tysięcy z góry, resztę później.

– I się zgodziłaś.

– Nie. Nie od razu. Bardzo się wystraszyłam. Spytałam, po co to wszystko.

– Okej. Co odpowiedział?

– Tylko tyle, że tego całego Claflina trzeba po prostu zdjąć ze stanowiska, dla dobra kraju.

– Czy wymienił nazwę tej organizacji biznesmenów?

Kayla pokręciła przecząco głową i wypila drinka duszkiem, jakby to była lemoniada.

– Nie pytałam. Nie obchodziło mnie to. Bałam się, że jeśli się zgodzę i zrobię to, co chcą, pójdę siedzieć. On przekonywał, że nic mi nie grozi. Że prawdopodobnie dostanę jeszcze własny program w telewizji.

– Właśnie o tym marzyłaś?

– Żartujesz sobie ze mnie?

– Ale w końcu przyjęłaś tę propozycję.

– Nie, nie przyjęłam. Oni mi... zagrozili.

– W jaki sposób?

Dopiła drinka i postawiła kieliszek na wezgielciu łozka, koło siebie.

– Krótko mówiąc, odmówiłam temu facetowi. – Nie odpowiedziała na moje pytanie. Czekałam.

– Powiedziałaś „nie” stu tysiącom dolarów?

– Byłam przerażona jak wszyscy diabli. Chyba mu nie uwierzyłam, jeśli chodzi o te pieniądze. To znaczy, on naprawdę wyjął dziesięć tysięcy dolarów w gotówce, pokazał mi i powiedział, że dostanę je tu i teraz, jeśli tylko się zgodzę. To wszystko byłoby moje. Wystarczyło zrobić, czego chcieli. Ale jaką miałam gwarancję, że on faktycznie przyjdzie z resztą forsy, kiedy będzie już po wszystkim?

– I co mu odpowiedziałaś?

– Ponownie odmówiłam. To znaczy, sto tysięcy dolarów to więcej, niż kiedykolwiek widziałam na oczy, wystarczyłoby na kupienie sobie nowego życia. Ale czy mogłam mieć pewność, że moje kłamstwa nie wyjdą na jaw? Powiedziałam gościowi, że muszę się zastanowić.

– Jasne.

– Kazał mi się pospieszyć. Dodał, że wiedzą o mojej siostrze. Ona... siedzi w więzieniu. W Missisipi. Za handel narkotykami.

Dilowała amfą.

Ten fakt był mi znany, ale nie chciałem się z tym zdradzić.

– Okej.

– Facet powiedział, że mogą ją stamtąd wyciągnąć. A jeśli się nie zgodzę na ich propozycję albo komuś o niej powiem, siostrze stanie się krzywda. Albo coś gorszego. Poleciałam więc do Jackson odwiedzić ją w więzieniu. Niedawno opuściła izbę chorych, ale pozwolono mi się z nią spotkać. Ktoś dźgnął ją nożem w udo. Bardzo poważna rana. Siostra powiedziała, że to się wydarzyło na stołówce, kiedy stała w kolejce po jedzenie. Podeszła do niej inna osadzona, pchnęła ją i oznajmiła, że to dopiero początek, jeśli ja nie zacznę współpracować. Więc po powrocie do Waszyngtonu zadzwoniłam do tego całego Gary’ego i powiedziałam: „Okej, zrobię to”. – Kayla spojrzała na mnie. Oczy jej błyszczały, zdawała się całkowicie bezbronna. – Nie miałam wyboru, rozumiesz? Wcale nie chodziło o pieniądze.

– Rozumiem. Masz gdzieś numer Gary’ego?

Pokręciła przecząco głową.

– Był w mojej komórce. Poproszę jeszcze jednego drinka.

– Nigdzie go sobie nie zapisałaś? – Wstałem i zacząłem przygotowywać drugą wódkę z tonikiem.

– Nie pamiętam. Chyba nie. Spotkałam się z nim jeszcze raz, wtedy dał mi te dziesięć tysięcy.

– Przygotowali cię do rozmowy? Mówili, co masz powiedzieć?

– Owszem. Ten cały Gary.

– Ile razy się z nim widziałaś?

– Tylko dwa razy. Za drugim razem poinstruował mnie, jak mam gadać z dziennikarką.

– Podał ci jej nazwisko?

– Ta. Mandy Seeger.

– I wymienił tylko ją? Żadnej innej reporterki?

– Tylko ją.

– Nie wiesz dlaczego?

Kayla ponownie pokręciła głową.

– Wypłacili ci resztę z tych stu tysięcy?

– Nie. Myślę, że chcieli to zrobić, ale sprawa się rywała. Uznali, że

sypnęłam się przed tobą. Tłumaczyłam, że to bzdura, mimo to upierali się, że wiedzą lepiej, bo przecież się z tobą spotkałam. Facet cały czas miał mnie na oku, wiesz, ten łysy.

– Widziałem go. Ten sam, który przyszedł po ciebie do domu i zamierzał cię wsadzić do samolotu.

– Zgadza się. On i jeszcze jeden typek.

– Gary?

– Nie. Tego faceta nigdy wcześniej nie widziałam. Ale dzisiaj zadzwonił do mnie Gary i powiedział, że wywiozą mnie z miasta. Ja... bardzo się martwię o siostrę. Jeśli coś jej zrobią przeze mnie... – Głos jej się załamał, jakby miała się zaraz rozpląkać. – Bardzo się... boję – załkała. Gwałtownie opadła do przodu, rozlewając trochę płynu na kołdrę. Wstałem z fotela, odebrałem jej drinka i usiadłem obok na łóżku. – Chcę iść spać – powiedziała Kayla. – Jestem wykończona.

– Proszę bardzo. Porozmawiamy rano.

Rozległo się pukanie do drzwi. Podszedłem do wizjera i zobaczyłem Dorothy. Otworzyłem. Niosła dwie foliowe torby na zakupy, jedną z CVS, drugą od Macy's. Zerknęła na Kaylę, a potem na mnie, zaskoczona.

Ponownie otworzyłem drzwi pokoju i od strony korytarza zawiesiłem na klamce tabliczkę „Nie przeszkadzać”. Potem zamknąłem zatrask. Bardzo łatwo pokonywało się te hotelowe zabezpieczenia zwykłym sztywnym drutem. Sam to robiłem. Udałem się więc do łazienki po ręcznik, zrolowałem go i wsadziłem pod klamkę. To powinno udaremnić wszelkie próby pokonania zatrasku.

Należało zabrać stąd Kaylę jak najszybciej. Jeszcze tego samego wieczoru planowałem podzwonić w kilka miejsc i znaleźć jej bezpieczną kryjówkę z dala od Waszyngtonu.

– Kupiłam ci szczoteczkę i pastę do zębów, kochanie – powiedziała Dorothy łagodnie, kładąc obie siatki na łóżku, obok Kayli. – A także koszulę nocną i parę T-shirtów. Spodnie będą pewnie za duże, jak tak teraz na ciebie patrzę.

– Dziękuję – pociągnęła nosem Kayla. – Wiecie co, w moim zawodzie ciągle trafiają się faceci, którzy chcą mnie ratować. Ci są

najgorsi. Człowiek marzy, żeby się po prostu odwalili. Ale wszystko wygląda zupełnie inaczej, kiedy naprawdę potrzebuje się... – Raz jeszcze jej słowa utonęły we łzach.

– Chodź – zwróciłem się do Dorothy. – Niech Kayla się trochę prześpi. Mam pilne sprawy do załatwienia.

38.

– Nick – szepnęła Dorothy – co my wyrabiamy?

Siedzieliśmy w salonie mojego apartamentu, a drzwi łączące go z pokojem Kayli pozostawały otwarte. Odłożyłem już szklaneczkę ze szkocką i zamówiłem sobie kawę z room service’u.

– Z czym?

– Z nią. Przecież to naciągaczka i kanciarą, a także, pozwól, że ci przypomnę, prostytutka.

– Oraz ofiara.

– Na własne życzenie.

– Sprawa jest bardziej skomplikowana.

– Nie dla mnie. Gdyby nie ta dziewczyna, nie siedzielibyśmy tutaj.

– Gdyby nie ta dziewczyna, byłby ktoś inny. Tak czy owak, ona nam się jeszcze przyda.

– Ale przecież nie dlatego ją uratowałeś.

Wzruszyłem ramionami. Cóż mogłem powiedzieć? Dorothy miała rację; uratowałem dziewczynę, ponieważ została wykorzystana, była tylko pionkiem w rozgrywce, której sensu jeszcze nie rozumiałem. A także dlatego, że z jakiegoś powodu ją polubiłem. Nie chciałem jednak spierać się ze swoją współpracownicą. Dorothy kierowała się własnym kodeksem moralnym, dość złożonym, a ja to szanowałem. Lecz mimo wszystko nie widziała w Kayli ofiary splotu okoliczności, osoby zagonionej w ślepy zaułek, tak jak postrzegałem ją ja.

Rozległo się pukanie do drzwi. Przez judasza zobaczyłem młodą kobietę w hotelowym uniformie z wózkiem gastronomicznym. Otworzyłem, kobieta wjechała do środka i zaczęła rozstawiać naczynia.

Zaproponowałem Dorothy kawę; przyjęła ofertę. Miała przed sobą sporo pracy. Z całą determinacją zamierzała wytropić

prawdziwego właściciela portalu Slander Sheet, dysponowała już kilkoma śladami w Internecie. Siedziała za stołem, a właściwie stanowiskiem roboczym w moim apartamencie, wpatrując się w swój laptop. Ja tymczasem, wypiwszy parę łyków kawy, zadzwoniłem na komórkę Mandy Seeger i usłyszałem nagrany kobiecy głos – nie wspomnianej reporterki, lecz mechanicznej lali zatrudnionej przez operatora sieci: „Numer, pod który dzwonisz, został anulowany, odłączony albo abonent znajduje się poza zasięgiem”.

Połączyłem się więc z głównym biurem portalu Slander Sheet w Waszyngtonie, założywszy, że ktoś z redakcji pracuje nawet w późnych godzinach nocnych.

Wnioskując po głosie, telefon odebrał młody mężczyzna.

– Slander Sheet, słucham.

– Poproszę z Mandy Seeger.

Pauza.

– Hm, no cóż, ona już u nas nie pracuje. Przykro mi.

Szybko to załatwili, pomyślałem.

– A ma pan do niej jakiś numer kontaktowy? Jestem znajomym.

Pauza.

– Chwileczkę – powiedział tamten z niechęcią.

I odłożył słuchawkę na blat. W tle słyszałem głosy. Facet wrócił i podyktował mi numer. Podziękowałem i się rozłączyłem.

Miałem zamiar pogadać z Mandy Seeger, gdyż ona również była ofiarą sprawy Claflina. Ją także wykorzystano, tak jak Kaylę, tylko że w inny sposób. A skoro dziennikarkę wyrzucono z pracy, podejrzewałem, że chętnie opowie mi wszystko, co wiedziała o właścicielu Slander Sheet.

Dzwoniłem i dzwoniłem, ale za każdym razem włączała się tylko poczta głosowa z głosem Mandy. Zostawiłem wiadomość.

Potem wyciągnąłem portfel Curtisa Schmidta, ten, który mu zabrałem, i wydobyłem jego prawo jazdy wystawione w stanie Maryland. Widniał na nim adres zamieszkania. Wyszukałem go sobie na Google Earth, a potem przeszedłem w tryb Street View.

Jedną z wielkich zalet programów typu Mapy Google i Google Earth jest to, że dają wszystkim możliwość dokładnego

rozpoznania budynków mieszkalnych. Dlatego właśnie przestępcy tak bardzo lubią Google'a. Mogą sobie pozwolić na zdalny rekonesans kolejnych celów włamań.

Curtis Schmidt mieszkał w Bethesda, przy Moorland Lane. Miał ładny, dwupiętrowy dom w stylu kolonialnym z cegieł, z osobnym garażem, usytuowany na małej, lecz przyjemnie urządzonej działce ozdobionej starymi drzewami. Zarówno dom, jak i cała działka wydawały się nazbyt eleganckie i nazbyt kosztowne jak na gliniarza; zacząłem się zastanawiać, kiedy Schmidt zszedł na złą drogę. Obejrzałem sobie ten budynek oraz sąsiednie pod każdym możliwym kątem. Wszystkie stały niezwykle blisko siebie, co natychmiast rzuciło mi się w oczy.

Sprawdziłem ten adres w powszechnie dostępnych bazach danych, chcąc się dowiedzieć, czy Schmidt ma żonę i rodzinę. Wszystko wskazywało na to, że mieszka sam. Potem, korzystając ze swojego telefonu na kartę, wybrałem domowy numer Schmidta, który ustaliła dla mnie Dorothy. Po ośmiu sygnałach włączyła się poczta głosowa, a stłumiony męski głos powiedział tylko: „Po sygnale zostaw swoje nazwisko i numer telefonu”.

Przebrałem się w uniform z naszywką „CO-Klimatyzacja-Wentylacja”, chwyciłem niewielką torbę z narzędziami, pożegnałem się z Dorothy i zszedłem do suburbana.

Kiedy jechałem po Connecticut Avenue, zmierzając na północny zachód ku Maryland, odezwał się mój iPhone. Mandy Seeger.

– Dzwonił pan, żeby się przede mną chełpić, prawda?

– Dzwoniłem, ponieważ potrzebuję pani pomocy. Pani nie ponosi tu żadnej winy. Kayla kłamała. Zapłacono jej za to, a także zaszantażowano ją.

– Skąd... skąd pan to wie?

– Sama mi powiedziała. Dostała forszę dwukrotnie. Nie tylko od Slander Sheet. Nawiasem mówiąc, ile jej zapłaciliście?

– Dziesięć tysięcy dolców. Co to znaczy, że jej zarazem płacono i ją szantażowano? Kto?

– No właśnie. Ona nie wie.

– A gdzie teraz jest? Próbowałam się do niej dodzwonić, ale nie odbiera. Uznałam, że selekcjonuje rozmowy przychodzące i nie

chce ze mną rozmawiać.

– Jest u mnie.

– *U pana?*

– W bezpiecznym miejscu. Ludzie, którzy jej płacili, próbowali ją uprowadzić i wywieźć z miasta samolotem, w nieznane.

– Ludzie? Jacy ludzie?

– Właśnie próbuję to ustalić. Pomyślałem, że mogłaby mi pani pomóc.

Portal Slander Sheet zniszczył dziennikarską reputację tej kobiety, a potem wyrzucił ją z pracy. Po prostu musiała być na nich niezmiernie wściekła.

– Cholera jasna, pewnie, że chcę panu pomóc. Ale nie dzisiaj. Jestem wykończona. Ledwo mam siłę rozmawiać.

– Jutro, jak tylko pani wstanie, proszę o telefon.

– Zadzwoń. I... Heller?

– Ta?

– Dzięki.

39.

Dom Schmidta znalazłem z łatwością – rozpoznałem go dzięki Google'owi – i powoli przejechałem obok niego. Stał ciemny, z wygaszonymi światłami. Ponownie wybrałem numer stacjonarny na swojej niezarejestrowanej komórce i ponownie nikt nie odebrał.

Należało zatem przyjąć, że w domu nikogo nie ma, ale nie mogłem mieć stuprocentowej pewności. Gdzie ten facet się podziewał? Może w szpitalu, żeby ratować swoje nadwyrężone kolano? Aczkolwiek niewiele już można było z nim zrobić. Operacja chirurgiczna wydawała się koniecznością, bo pewnie więzadło zostało zerwane. A potem długa fizjoterapia. Dużo lodu.

Rejestry podatkowe i nieruchomości potwierdzały, że gość mieszka samotnie, bez żony i dzieci. Ale to jeszcze nie znaczyło, że nie ma na przykład dziewczyny, która przyjechała go odwiedzić i śpi sobie gdzieś na piętrze. Albo że gościu siedzi na chacie, ale nie ma ochoty odbierać telefonu.

Okrążyłem posesję i zatrzymałem się na podjeździe przed domem Schmidta, za osobno stojącym garażem. Tam zaparkowałem. Wydawało mi się to mniej podejrzane niż zostawienie wozu kilka ulic dalej i przebycie reszty drogi na piechotę. Jeśli sąsiedzi mają zwyczaj podglądać, zobaczą po prostu wielkiego, czarnego służbowego suburbana na podjeździe, stojącego sobie jakby nigdy nic. Dlatego właśnie ubrałem się w uniform serwisanta. Bezpośrednie zagrywki często są najlepsze.

Wysiadłem z samochodu i podeszedłem od razu do drzwi frontowych, jak zrobiłby każdy prawdziwy serwisant. Nacisnąłem dzwonek. Czy w domu był system alarmowy? W końcu facet był eksplinierzem – musiałem założyć, że ma alarm. Wprawdzie ani na trawniku, ani na drzwiach nie zauważyłem żadnych znaczków informujących o jego istnieniu,

ale to jeszcze nic nie znaczyło.

Ponownie zadzwoniłem. Na lewo od drzwi znajdowało się okno, przez które widziałem wnętrze domu, a dokładniej hol. Gdzieś w głębi, w mroku dostrzegłem też czerwoną ledową poświatę. Spora szansa, że był to panel sterowania systemem alarmowym. Eksperci od spraw bezpieczeństwa uważają, że taki panel należy umieszczać z dala od głównego wejścia, żeby był niewidoczny, ponieważ w przeciwnym razie sprytny włamywacz mógłby łatwo podejrzeć kod dostępu. Ale Schmidt, jako były gliniarz, prawdopodobnie założył coś zupełnie przeciwnego – uznał wyświetlacz za czynnik odstrasżający i chciał, aby się rzucał w oczy.

Zauważyłem magnetyczny czujnik ruchu ulokowany przy ościeżnicy okna. Oznaczało to, że w domu zamontowano klasyczny, staroświecki system alarmowy. Nie ma w tym nic złego. Właściwie te stare systemy są praktycznie nie do sforsowania.

Aczkolwiek istnieją sposoby, żeby je obejść.

Wróciłem do garażu, którego opuszczane drzwi były solidnie zamknięte. Przez jedno z małych okienek zaświeciłem kieszonkową latarką do wnętrza i zobaczyłem to, czego się spodziewałem: wajchę automatycznego otwierania bramy garażowej.

Bardzo dobrze.

W torbie na narzędzia miałem, między innymi, zwój stalowej linki, w rodzaju tych, których używa się do zabezpieczania palet z drewnem i nie tylko. Na jednym końcu linka zginała się na kształt litery V. Rozwinąłem ją i wsunąłem za górną krawędź drzwi, między framugę a taśmę uszczelniającą. Wewnątrz znajdował się ręczny mechanizm otwierający, czyli zwisający luźno sznur z czerwoną rączką na końcu. Standard we wszystkich automatycznych bramach garażowych, wykorzystywany w razie awarii zasilania.

Po mniej więcej minucie mój improwizowany wytrych zadziałał: linka zaczepiła o rączkę manualnego zwalniacza drzwi, a ja mocno szarpnąłem.

Podniesienie samej bramy przy użyciu rąk było już czystą formalnością.

W garażu pachniało benzyną i olejem silnikowym. Znalazłem włącznik światła i go przekręciłem. Samochodu nie było. Przeszukałem najbardziej oczywiste miejsca, w których zostawia się klucz od domu. Nic.

Potem zauważyłem dwuipółmetrową aluminiową drabinę zwisającą z wielkich stalowych haków na ścianie. Zdjąłem ją, zgasiłem światło, wyszedłem z garażu i zasunąłem za sobą drzwi.

Drabinę zaniósłem na tyły domu, po czym oparłem ją o elewację tuż pod jednym z okien na pierwszym piętrze, pośród jakichś krzaków, które otaczały budynek pierścieniem. Na wyższych kondygnacjach domów mieszkalnych nie montuje się czujników alarmowych; gdybym na nie trafił, byłaby to rzecz absolutnie nadzwyczajna. Zdarza się, ale coś takiego widziałem tylko raz.

Okno nie było zabezpieczone. Również nic niezwykłego. Udało mi się je otworzyć, naciskając na szczeblinę tak długo, aż wreszcie framuga uniosła się o kilka centymetrów. Wtedy chwyciłem ją od dołu i popchnąłem do góry. Włożyłem w otwór stopy i wśliznąłem się do środka.

Znajdowałem się zapewne w pokoju dla gości, sądząc po wystroju. Schludnie zaścielone łóżko, niski stolik, biurko i krzesło. Nic więcej. Żadnych oznak, by ktoś tu mieszkał.

We wnętrzu domu panowały ciemności, w powietrzu unosił się ledwie uchwytny zapach pleśni i papierosów. Podłogę w holu pokrywała wykładzina. Włączyłem swoją kieszonkową latarkę, aby oświetlić sobie drogę. Następnym pomieszczeniem była łazienka, a dalej kolejna sypialnia. Ta wyglądała na zajmowaną przez samego Schmidta: królewskich rozmiarów łóżko i lampy na nocnych stolikach po obu stronach. Gigantyczny płaski telewizor na ścianie, a przed nim stacjonarny rower do ćwiczeń. Komoda. Wysunąłem górną szufladę i zobaczyłem skarpetki.

Nagle coś mi przyszło do głowy; zajrzałem pod poduszki leżące na łóżku. Pod tą z prawej strony leżał pistolet, glock 26. Schowałem go do torby na narzędzia. Do Dystryktu Kolumbii nie

zabrałem żadnej broni – pozostała w domu, w Bostonie – a olśniło mnie, że pewnie mogłaby się przydać.

Zgasilem latarke i po okrytych wykładziną schodach zszedłem na parter.

Tutaj musiałem zachować ostrożność, ponieważ czujniki ruchu mogły być wszędzie. Są tanie i łatwe w instalacji, często też wchodzi w skład najprostszych systemów alarmowych. Zatrzymałem się więc na przedostatnim stopniu i zlustrowałem ciemność.

Zobaczyłem czerwoną ledową poświatę panelu alarmowego w holu i nic więcej.

Znowu włączyłem latarke, a następnie strumieniem światła przebiegłem wzdłuż listwy podsufitowej w poszukiwaniu czujników ruchu. Żadnego nie znalazłem. Zaczęłem schodzić dalej. Na chwilę się zatrzymałem. Parter był czysty, schludny i wyglądał na niezamieszany.

Przez jakieś otwarte drzwi ujrzałem rozległą kuchnię ze sporym stołem, pokrytym plastikowym laminatem. Za kolejnymi drzwiami, tym razem zamkniętymi, znalazłem ubikację. Jedna rolka papieru toaletowego w pojemniku, jeden wymięty ręcznik. Otworzyłem następne drzwi, skierowałem do środka światło latarki i zobaczyłem biurko, szafkę na dokumenty, jeszcze jeden duży telewizor z płaskim ekranem i regał z książkami. A także sejf. To musiał być gabinet. W sejfie facet zapewne trzymał broń, nie licząc tej ukrytej pod poduszką. A być może i inne rzeczy. Na biurku stał komputer stacjonarny, wyglądający na dość leciwy, oraz dwa zdjęcia w ramkach. Zerknąłem na nie. Jedno przedstawiało Schmidta obejmującego jakąś kobietę na plaży, zapewne w Cancun. Na drugiej fotce również był Schmidt, ale w towarzystwie mężczyzny ze szczeciniastym wąsem, który w triumfalnym geście podnosił wielkiego tasergala. Szarpnąłem za górną szufladę szafki na dokumenty, okazała się jednak zamknięta na klucz.

Nagle moje oko zarejestrowało błysk. Podniosłem wzrok i zobaczyłem czerwone światełko czujnika ruchu.

Serce zaczęło mi walić. Nieopatrznie go aktywowałem.

A zatem tutaj Schmidt umieścił czujniki. Tu, gdzie prawdopodobnie przechowywał najcenniejsze rzeczy, w pokoju, o który martwił się najbardziej.

W całym domu rozległ się głośny ryk syreny, ogłuszający hałas podobny do bicia dzwonów. Nagrany wcześniej, metaliczny głos polecił: „Proszę natychmiast wyjść! Proszę natychmiast wyjść!”.

A potem zabrzączał telefon na biurku.

To musiała być centrala firmy ochroniarskiej. Chcieli się upewnić, że alarm nie włączył się przez przypadek lub wskutek błędu właściciela domu.

Podniosłem słuchawkę.

– Tu Bethesda Alarm Service – rzekł kobiecy głos.

– Tak, to moja wina – powiedziałem. – Trochę dałem ciała. Możecie wyłączyć ten cholerny alarm? Zaraz ogłuchnę.

– Jak się pan nazywa?

– Curtis Schmidt.

– Proszę podać hasło – mówiła z indyjskim akcentem.

– Mój kod... do diabła, nie pamiętam, żona go wybierała. – Nagle przypomniałem sobie, że Schmidt wcale nie jest żonaty. Jednakże firma ochroniarska nie musiała o tym wiedzieć.

– Musi mi pan podać hasło, w przeciwnym razie moim obowiązkiem jest zawiadomić policję.

– Ja nie... Proszę posłuchać. Zaraz zobaczę, czy nie przykleiła gdzieś karteczki z tym hasłem, a pani mogłaby w międzyczasie wyłączyć alarm?

– Nie, proszę pana, nie wolno mi tego zrobić, dopóki nie poda pan hasła.

– Poczekaj pani chwilę?

– Oczywiście, proszę pana.

Rzuciłem słuchawkę, gorączkowo rozejrzałem się po pokoju i zrozumiałem, że muszę stąd natychmiast uciekać. Policja w Bethesda mogła zareagować w ciągu zaledwie pięciu, jak i dwudziestu minut. Nie było już czasu pobiec na górę i zejść po drabinie, a ponieważ alarm i tak się uruchomił, równie dobrze mogłem wyjść frontowymi drzwiami. Wyjąłem swoją komórkę i zrobiłem zdjęcie fotografii w ramce, na której widnieli Schmidt

i jego kumpel wędkarz, po czym pędem pognałem do kuchni. Otworzyłem podwójny zamek w tylnych drzwiach i wyszedłem na zewnątrz.

Alarm wył potwornie, niweczając nocną ciszę, tak głośny, że mógł spokojnie postawić na nogi wszystkich sąsiadów. Okrążyłem dom w kierunku podjazdu, idąc, nie biegnąc, a potem wsiadłem do suburbana.

Wycofałem wóz na ulicę i z umiarkowaną prędkością odjechałem, kryjąc się w mroku.

40.

Miałem nadzieję znaleźć w tym domu jakieś akta, na przykład w szufladzie bądź w komputerze, czy też cokolwiek innego, co mogłoby rzucić światło na osobę, dla której pracował Schmidt. Ale moim jedynym osiągnięciem okazała się fotka byłego gliniarza i jego kumpla, amatora ryb.

Teraz facet będzie wiedział, że ktoś się włamał do jego domu. I domyśli się kto.

Nerwy wciąż miałem napięte, tętno jeszcze nie powróciło do normy. Lepiej poczułem się dopiero, jadąc po Connecticut Avenue.

Zaparkowałem suburbana na wolnym miejscu przy ulicy Szesnastej i wróciłem do hotelu. Skinąłem portierowi głową, a następnie ruszyłem w kierunku wind. Mieszkaliśmy na drugim piętrze. Mój apartament nosił numer trzysta dwadzieścia dwa, pokój Dorothy, po drugiej stronie korytarza – trzysta dwadzieścia trzy. Kartą magnetyczną dotknąłem czujnika nad klamką; zamrugła zielona lampka oznaczająca zgodę na wejście.

Zbliżała się dwudziesta druga, miałem za sobą długi dzień. Czuję się wyczerpany. Sprawdziłem jeszcze mejle, żeby zobaczyć, czy przyszło coś ciekawego, lecz nie znalazłem nic, co przykułoby moją uwagę. Drzwi łączące mój apartament z pokojem Kayli były zamknięte. Choć zostawiłem je otwarte. Może chciała mieć trochę prywatności. Mimo wszystko wolałem, żeby zostawiła je uchylone.

Przebrałem się w T-shirt i spodnie od dresu, a potem zapukałem delikatnie do pokoju Kayli, na wypadek gdyby dziewczyna spała. Brak reakcji. Otworzyłem drzwi i rozejrzałem się po wnętrzu. Pomieszczenie spowijał mrok, włączone było tylko światło w łazience.

Łóżko wyglądało na puste. Pewnie robiła coś w toalecie. Wszedłem do pokoju i zapukałem do drzwi łazienki.

Były lekko uchylone.

– Kaylo?

Żadnej odpowiedzi.

Ponownie zapukałem, a drzwi same przesunęły się o kilka centymetrów.

– Kaylo?

Znowu brak reakcji. Dziwne. Może wcale nie ma jej w łazience; pewnie gdzieś poszła, opuściła pokój. A właśnie tego zabroniłem jej robić.

Niepewnie popchnąłem drzwi jeszcze bardziej. To, co zobaczyłem, w pierwszej chwili do mnie nie dotarło.

Poczułem zapach krwi, mroczny, słodkawy i metaliczny. Zakotłowało mi się w żołądku, serce zaczęło walić młotem. Kayla znajdowała się w wannie pełnej krwi, zgięta wpół, jakby zapadnięta w sobie. Jej otwarte oczy wpatrywały się w nicość. Twarz miała bladą i bez życia, wargi sinawe. Piersi i podbrzusze były pokryte czerwienią. Zrobiłem krok przed siebie i ujrzałem jedną rękę zaciśniętą na brzuchu; wzdłuż nadgarstka biegły długie równoległe nacięcia. Kilka kolejnych ran znajdowało się na szyi, w tym jedna, która najwyraźniej musiała doprowadzić do przerwania tętnicy szyjnej. Nagły błysk światła zmusił moje oczy do spojrzenia w innym kierunku. Odwróciłem się; w umywalce leżał stłuczony kieliszek do wina, odłamki szkła wałały się po całej toaletce. Jeden, szczególnie duży, umazany krwią, migotał na krawędzi wanny. Przyłożyłem dwa palce do szyi dziewczyny, tuż obok tchawicy, ale nie wyczułem tętna, jedynie zimne ciało. Zrozumiałem, że jest już za późno.

41.

Ratownicy medyczni odwołali przyjazd erki, gdy tylko znaleźli się na miejscu zdarzenia. Nie była tu potrzebna, fakt śmierci ofiary nie budził wątpliwości. Słyszałem, jak jeden z umundurowanych ratowników dzwoni z pokoju Kayli do wydziału zabójstw, co było standardową procedurą – detektywi musieli się pojawić przy każdym wypadku śmiertelnym, poza zgonami w szpitalach. Na koniec facet powiedział: „Ale jestem prawie pewny, że to samobójstwo”.

Wkrótce potem pojawili się śledczy i kierowca z biura patologa sądowego, którzy mruzcili coś do siebie, robili zdjęcia i wykonywali różne pomiary. Siedzieliśmy z Dorothy w salonie mojego apartamentu, przeważnie pogrążeni w pełnym szoku milczeniu. Dorothy płakała. Ja czułem w środku pustkę.

Zaskoczył mnie fakt, że samobójstwo Kayli może mnie aż tak załamać. Uważałem, że to w jakimś sensie moja wina. Była na dobrej drodze do zarobienia stu tysięcy dolarów na tej mistyfikacji z sędzią Claflinem, lecz oto zjawiłem się ja, uruchamiając reakcję łańcuchową wydarzeń. Skończyło się na tym, że dziewczyna wylądowała tu osamotniona, przerażona, pozbawiona nadziei. Gdybym się nie wtrącił, zapewne nadal by żyła. A poza tym, zamiast się włamywać do domu Schmidta, powinienem był zostać przy Kayli. Wtedy miałyby z kim pogadać. I nie czułyby się taka opuszczona.

Prawie nie znałem tej dziewczyny; dziwne, że tak mocno przeżywałem jej śmierć.

Około dziesięciu minut później na miejsce zdarzenia przybył śledczy wydziału zabójstw waszyngtońskiej policji metropolitalnej. Przedstawił się jako detektyw Balakian. Był to młody facet, na pewno niewiele po trzydziestce, ze złotym ćwiekiem w lewym uchu oraz kozią bródką w stylu Kurta Cobaina. Szykownie ubrany: cienki czarny krawat, biała koszula

z krótkim kołnierzem, wąskie spodnie i pikowana kurtka, zapewne marki Barbour. Do tego okulary nerda. Kiedy wymienialiśmy uścisk dłoni, zauważyłem, że po wewnętrznej stronie nadgarstka miał tatuaż przedstawiający znak nieskończoności. Hipsterski glina, który natychmiast wzbudził moją antypatię. O tej porze większość policjantów zalatuje już Burger Kingiem; ten pachniał wietnamską bagietką bánh mì.

Podczas gdy ludzie patologa sądowego oraz technicy operacyjni fotografowali ciało Kayli i dokonywali różnych pomiarów, wystrzałowy gliniarz zaczął zadawać nam pytania. Ton miał łagodny. W małym notesiku zanotował nasze nazwiska oraz garść informacji o tym, czym się zajmujemy.

– Nazwisko denatki?

Podałem mu.

– Co pana z nią łączyło?

– Nic – odrzekłem. – Prosiła, żebym odebrał ją z lotniska w Fairfax. Została uprowadzona, czyli zabrana tam wbrew swojej woli.

Oczywiście te słowa wywołały zainteresowanie. Policjant poprosił, żebym je rozwinął, co też uczyniłem.

– Więc to jest Heidi? Ta od... Slander Sheet?

Najwyraźniej hipsterski glina śledził tabloidy na bieżąco. Potwierdziłem skinieniem głowy.

– Rozumiem. Więc jest pan prywatnym detektywem? – Uśmiechnął się z ironią. – Takim pozerającym pączki szpiclem od rozwodów, tak?

– Hm – odrzekłem. – Nauczył się pan tej kwestii z serialu „21 Jump Street”?

Pokiwał głową. Trafiony, zatopiony.

– Czy denatka miała jakąś torebkę albo portfel z dowodem tożsamości?

– Nie.

– A telefon lub laptop?

– Nie tutaj.

– Żadnej komórki?

– Została jej odebrana w drodze na lotnisko.

- Zna pan jej najbliższych krewnych?
- Wiem, że ma siostrę w więzieniu. Poza tym nie znam nikogo.
- Według pańskiej wiedzy zmarła miała kryminalną przeszłość?
- Nie wiem. - Ale rozumiiałem, o co facet pytał. Jeżeli Kayla figurowała w policyjnych kartotekach, jeśli kiedykolwiek ją aresztowano, to odciski jej palców muszą być w systemie. Wówczas identyfikacja zwłok nie powinna nastręczać trudności. Natomiast bez bliskiego krewnego czy dokumentu tożsamości policja może mieć poważniejszy problem.
- Nie znalazłem listu pożegnального - powiedział detektyw Balakian. - Czy któreś z was widziało tu coś w tym rodzaju?
- Pokręciłem głową, Dorothy zaprzeczyła werbalnie.
- W jakim stanie psychicznym znajdowała się ta osoba dziś wieczorem? Czy - patrząc teraz z perspektywy czasu - było z nią coś nie tak, coś, co mogłoby wskazywać, że planowała samobójstwo?
- Nie.
- Ale rozmawialiście z nią, prawda?
- Owszem, rozmawialiśmy. Nic nie świadczyło o tym, że zastanawia się nad odebraniem sobie życia. Absolutnie nic. Chociaż nie podobał jej się fakt, że jest tutaj, jak to ujęła, „więźniem”.
- A była nim?
- Skądże. Mogła sobie pójść w każdej chwili. Aczkolwiek nalegałem, żeby została.
- Więc dlaczego uważała się za więźnia?
- Ponieważ zakazałem jej odbierać telefon i otwierać drzwi. Miała nikogo nie wpuszczać.
- Jak by pan opisał jej stan psychiczny?
- Bała się ludzi, którzy ją szantażowali, to oczywiste. Lękała się również o swoją siostrę przebywającą w zakładzie karnym, o to, co tamci mogą jej zrobić. Bardzo się bała.
- No dobrze. W koszu na śmieci znalazłem kilka buteleczek po szkockiej i wódce. Byliście świadkami, jak piła alkohol?
- Wypiłem z nią drinka, może dwa.
- Więc nie obaliła wszystkiego sama?

- Nie.

- Niedawno publicznie ją upokorzono – powiedział detektyw Balakian. – Czy wspominała, jak bardzo ją to dotknęło?

- Nie rozmawialiśmy na ten temat.

- Kiedy zostawiał ją pan samą wieczorem, wyglądało na to, że wszystko jest w porządku?

- Zgadza się. Kayla była zdenerwowana i przestraszona, tak. Ale nie zamierzała popełnić samobójstwa.

- Dokąd się pan wybrał?

Zamilkłem na chwilkę. Włamałem się do domu byłego gliniarza. No, to dopiero spotkałoby się z uznaniem. Nie mogłem jednak twierdzić, że się z kimś spotkałem, ponieważ facet zapytałby, z kim. A jeśli wybrałem się na samotną kolację, to dokąd?

Ale Dorothy okazała się szybsza.

- Szef był na obserwacji.

- Na obserwacji?

- No tak – potwierdziłem. – Kilka godzin siedzenia w samochodzie. Na pewno wie pan, o czym mówię.

Przez sekundę przyglądał mi się uważnie, jakby reasumując swoją ocenę mojej osoby. Właściwie nie byłem wcale pewny, czy ten gostek siedział kiedykolwiek na obserwacji. Był niedorzecznie młody jak na śledczego z wydziału zabójstw.

- Powiedział pan, że dziewczynę uprowadzono. Że zabrano ją dokądś wbrew jej woli i dlatego do pana zadzwoniła. Dokąd zamierzano ją wywieźć?

- Nie wiem.

- Dlaczego nie skontaktowała się z policją?

- Nie wiem.

- Kim byli jej niedoszli porywacze?

- Tego też nie wiem.

- Powiada pan, że mieszka w Bostonie?

- Zgadza się.

- Od kiedy przebywa pan w tym mieście?

- Od paru dni. – To już z nim przerabiałem.

- Wygląda mi na to, że dziewczyna znajdowała się pod wpływem ogromnego stresu emocjonalnego. Czy zgodziłby się

pan z tą opinią?

– Zgodziłbym.

– Po publicznym, hm, oskarżeniu przez denatkę sędziego Sądu Najwyższego doszło do próby jej porwania przez niezidentyfikowanych sprawców?

Kiwnąłem głową.

– Znajdowała się więc w bardzo niestabilnym stanie psychicznym, można tak powiedzieć?

Znowu skinąłem głową.

– A pan zostawił ją w tym pokoju samą, z minibarem pełnym alkoholu.

– Była wyczerpana, chciała się położyć i zasnąć.

Gliniarz zwrócił się do Dorothy:

– Czy wieczorem zaglądała pani do dziewczyny?

– Sama też spałam – odrzekła.

I znów kolej na mnie.

– Więc denatka dzwoniła do pana, żeby ją pan ratował, a pan przywiózł ją do tego hotelu, a następnie zostawił?

– Chyba nie podoba mi się to, co pan sugeruje – powiedziałem.

– Że zostawił ją pan samą w mało stabilnym stanie psychicznym? Coś się nie zgadza?

– Próbuje pan to przedstawić w ten sposób, że wina spada na mnie.

– Tego nie stwierdziłem, panie... Heller. Mówię tylko, że pan do tego dopuścił.

– Powtarzam: nie mieliśmy pojęcia, że ona chce popełnić samobójstwo. I moim zdaniem wcale o tym nie myślała. – Zdawałem sobie sprawę, że zabrzmiało to bardziej defensywnie, niż zamierzałem.

– Niech się pan aż tak nie obwinia.

– Mam do pana jedno pytanie – oznajmiłem. – Skąd w ogóle pewność, że to samobójstwo?

– A są jakieś podstawy do uznania, że coś innego?

– Ona się bała, nie bez powodu.

– Mhm.

– Tamci niemalże ją uprowadzili. Nie chcieli, aby zaczęła mówić.

– Cóż, w tej sprawie będziemy musieli przeprowadzić osobne dochodzenie. Ale istnieją przecież o wiele prostsze sposoby uśmiercania niż podcięcie komuś żył na nadgarstkach oraz tętnicy szyjnej. Trzeba czasu, żeby ofiara się wykrwawiła, a poza tym nie widziałem tu żadnych śladów walki. Są nawet oznaki zawahania, jak w podręczniku kryminologii – dwa pierwsze nacięcia były próbne, pewnie zdziwiła się, że to aż tak boli, i przestała. Poglądowy przykład, dokładnie jak w książce. Mamy do czynienia z młodą prostytutką, rozchwianą psychicznie, przeżywającą problemy rodzinne, prawdopodobnie po zażyciu substancji psychoaktywnych. Która znajdowała się pod silną presją emocjonalną.

– I która nie zostawiła listu pożegnalnego.

– Samobójcy czasem je zostawiają, a czasem nie. Bardzo często nie. Wiem, że trudno zaakceptować fakt, że bliska osoba odbiera sobie życie. Rozumiem, dlaczego woli pan myśleć, że to nie było samobójstwo.

– Ma pan duże doświadczenie w wydziale zabójstw?

Detektyw nie odpowiedział.

Chciałem go zapytać, kiedy zakończył szkolenie z tej dziedziny kryminalistyki. Bo miałem wrażenie, że całkiem niedawno. Poza tym przyjechał tutaj sam, bez partnera. Niedoświadczonego detektywa wysyła się na solowe występy wtedy, gdy ma się pewność, że w danej sprawie nie chodzi o zabójstwo, lecz o śmierć z przyczyn naturalnych bądź z własnej ręki. W ten sposób nowicjusz może rozwijać swój warsztat śledczy. Ponieważ ta sprawa wyglądała na samobójstwo, facet przyjął to za dobrą monetę i zgodnie z tym prowadził swoje dochodzenie.

A jeśli rzecz miała się całkiem inaczej?

42.

Od przyjazdu detektywa Balakiana na miejsce zdarzenia minęło ledwie półtorej godziny. Pracownicy biura medyka sądowego wpakowali ciało Kayli do worka na zwłoki i wynieśli je na noszach. Obserwowałem ich otępiały.

Najpierw spuścili z wanny wodę, aby ciało dało się łatwiej wyjąć; zabarwiona krwią ciecz pozostawiła na ściankach ceglastoczerwony ślad. Wokół wanny, na jej krawędziach i na sąsiedniej toalecie widniały krwawe rozpryski.

Zadzwoił mój telefon. Zerknąłem na zegarek: było pół godziny po północy.

Wyjąłem komórkę z kieszeni. Bez trudu rozpoznałem numer.

– Tak?

– O Boże – powiedziała Mandy Seeger przyciszonym głosem. – Czy to prawda?

– A o czym pani mówi?

– Kayla nie żyje?

– Skąd... Gdzie to pani usłyszała?

– Przeczytałam na Slander Sheet.

– Co takiego?

Jak to było w ogóle możliwe? Po chwili uświadomiłem sobie, że portal musi mieć informatorów w waszyngtońskiej policji metropolitalnej. Do diabła, pewnie jeden z nich pojawił się w tym pokoju godzinę temu, być może któryś z techników kryminalistyki albo mundurowy gliniarz, po czym ukradkiem wysłał do Slander Sheet esemesa, chcąc zarobić szybką forszę. Na swoim laptopie wyświetliłem rzeczoną witrynę. Faktycznie, stało jak byk.

DZIEWCZYNA NA TELEFON, KTÓRA TWIERDZIŁA, ŻE SYPIA Z SĘDZIĄ SĄDU NAJWYŻSZEGO, POPEŁNIŁA SAMOBÓJSTWO.

Litery nagłówka biegly nad zdjęciem Kayli, pseudonim „Heidi”, wziętym ze strony LilySchuyler.

– Parę minut temu dzwonił do mnie Steve, facet, którego przyjęli na moje miejsce – powiedziała Seeger. – Chciał mi zadać kilka pytań.

– Kiedy dokładnie?

– Mniej więcej kwadrans temu.

– Kto dał mu cynk?

Byłem prawie pewien, że jedyną osobą w tym hotelu, która znała prawdziwą tożsamość zmarłej (nie licząc Dorothy i mnie), był detektyw Balakian.

– Julian.

– Kiedy?

– Momencik. Zanim do mnie zadzwonił, przysłał mi mejla. Mam. Godzina wysłania to dwudziesta trzecia piętnaście.

– Czyli już kwadrans po jedenastej Julian Gunn wiedział o śmierci Kayli?

– I co?

– O rany, to tylko piętnaście minut po tym, jak przyjechała tu policja.

– Slander Sheet ma swoje źródła wszędzie – powiedziała dziennikarka.

43.

Dwadzieścia minut później Mandy Seeger zjawiała się w moim hotelu. Sam ją o to poprosiłem. Oświadczyła, że nie może spać, ja też nie miałem ochoty kłaść się do łóżka. Dorothy natomiast udała się na spoczynek.

Mandy była ubrana w ciemne spodnie i czarną bluzkę, wyglądała poważnie. Oczy miała zaczerwienione.

Dochodziła pierwsza w nocy.

– Nie mogę w to uwierzyć – powiedziała, wchodząc do apartamentu i rozglądając się z zaciekawieniem.

– W co nie może pani uwierzyć?

– Że Kayla... popełniła samobójstwo. Nie wydaje mi się, by należała do osób, które odbierają sobie życie. Była twarda. Dawała sobie radę. Może właśnie dlatego świetnie się rozumialiśmy.

Siedzieliśmy w salonie apartamentu. Drzwi do pokoju Kayli zamknąłem. Przebywanie tam nie wydawało mi się w porządku. Godzinę wcześniej złożył nam wizytę kierownik nocnej zmiany w hotelu i spytał, czy może wysłać do tamtego pomieszczenia ekipę sprzątającą, czy też policja zakazuje wszelkich czynności na miejscu zdarzenia. Detektyw Balakian odpowiedział, że mają już wszystko, co było im potrzebne, dlatego nad ranem miały przyjść pokojówki i sprzątaczkki. Do tego czasu na ścianach łazienki i na podłodze musiały pozostać krwawe rozbryzgi. Krew Kayli.

Mandy chciała poznać szczegóły. Opowiedziałem jej o wszystkim, a kiedy skończyłem, przez dłuższy czas milczała.

– Ma pani jeszcze przyjaciół w Slander Sheet, z którymi można się skontaktować? – zapytałem.

– Przecież przed chwilą mnie wylali, Heller.

– Jaki powód zwolnienia podał Julian?

– Był wściekły. Powiedział, że skompromitowałam Slander Sheet. Jakby to było w ogóle możliwe. I dodał, że należało

sprawdzić tę historię o wiele staranniej.

– Czy to nie on wywierał na panią największą presję, żeby opublikować artykuł?

– Owszem. A teraz po prostu kazał mi się spakować i wynosić. Moja skrzynka mejlowa i służbowy numer telefonu zostały unicestwione.

– W takim razie kto naciskał na niego?

– Jestem pewna, że ZW.

– ZW?

– Taki żarcik. W ten sposób my, podrzędni pracownicy, określaliśmy zagadkowych właścicieli Slander Sheet. W skrócie ZW. Ponieważ nikt nie wie, kim są. To bardzo pilnie strzeżona, mroczna tajemnica.

– Hunsecker Media, zgadza się?

– Tak, ale oni też mają właściciela, jakiś holding, kompletnie zaciemniony.

– Jednak musiały krążyć jakieś plotki na ten temat.

– Mnóstwo. Tylko że nikt nic nie wie na pewno. Możemy zamówić kawę? Chyba jest tutaj room service?

Podniosłem słuchawkę telefonu, zadzwoniłem do recepcji i poprosiłem o dwie kawy.

– Jak w ogóle trafiła pani na tę historię? – zapytałem po chwili.

– Przez Juliana. On podał mi numer telefonu Kayli.

– I sądzi pani, że jemu z kolei podrzucili temat tajemniczy właściciele?

– Nigdy o tym nie mówił, ale nie byłabym zaskoczona.

– Czy facet ma jakieś własne źródła informacji? Zajmuje się dziennikarstwem?

– Żadnych i nie. – Mandy pokręciła głową. – Nie jest reporterem. To człowiek „od szerszej perspektywy”. – Dwoma palcami każdej ręki zrobiła w powietrzu cudzysłów.

– Na początku zakładałem, że cała ta historia została spreparowana przez kogoś, ktoś chciał się Claflina pozbyć. Z jakichś powodów politycznych. Któryś z jego wrogów.

– To możliwe.

– A ci zagadkowi właściciele mogą być po prostu politycznymi

przeciwnikami sędziego.

– Owszem.

– Jednak nie słyszę w pani głosie pewności.

– Bo być może polityka nie miała z tą sprawą nic wspólnego. Może stał za nią ktoś, kto żywi do Claflina osobistą urazę.

– Słuszna uwaga.

– Ta historia miała dla Slander Sheet ogromne znaczenie – ciągnęła Mandy. – Gdyby nie pan, zyskalibyśmy dzięki niej wielki rozgłos.

– Dla pani również okazała się ważna, osobiście.

– Bardziej, niż pan przypuszcza.

– To znaczy?

– W takich chwilach bardzo potrzebuję drinka.

– Chętnie pani przygotuję.

Pokręciła głową.

– Już nie piję.

– Okej. – Przypomniałem sobie, że podczas naszego spotkania w pubie parę dni temu raczyła się dietetyczną colą zamiast piwem.

– Jest pierwsza w nocy, a ja wciąż czuję się wstrząśnięta. Chyba powinnam już przestać gadać.

– Rozumiem. Odstawiła pani alkohol. Dni popijania minęły. Czy to ma coś wspólnego z pani odejściem z „Washington Post”?

– Sądzi pan, że wyrzucili mnie z roboty za chłanie?

– Tego nie powiedziałem.

– W porządku.

– Co się naprawdę stało?

Mandy oparła się wygodniej na krześle i wzięła głęboki oddech. Czekałem na jej kłamstwa. Ludzie zawsze łąą o powodach, dla których odeszli z pracy. *Miał miejsce konflikt charakterów między mną a wydawcą, powie zapewne, albo: Nie mogłam pisać takich artykułów, jakie chciałam. Ewentualnie: Wolę tempo, które narzuca Internet – to przecież przyszłość, prawda?* Zastanawiałem się, co wymyśli.

– Rzecz w tym – powiedziała Mandy – że zostałam zwolniona.

– Ależ była tam pani gwiazdą. Nie rozumiem.

– Przez pewien okres, tak. Ale potem posunęłam się za daleko. Kilka razy przekroczyłam granicę.

– Przekroczyła pani granicę?

– Moje artykuły uznano za zbyt agresywne. Pewnego razu pracowałam nad historią dotyczącą przekupstwa przy kontraktach zbrojeniowych w Pentagonie, udawałam osobę z branży. I zaproponowałam zastępcy podsekretarza do spraw zaopatrzenia sił powietrznych łapówkę. Wszystko to była ustawka, oczywiście. Ale kobieta się zgodziła.

– O-ho.

– No właśnie, a czegoś takiego nie wolno robić, jeśli się pracuje w „Washington Post”. Udawanie kogoś, kim się nie jest, nie wchodzi tam w grę. Nie wolno uciekać się do kłamstwa. Wszystko ma być legalnie.

Byłem przyjemnie zaskoczony. Mandy wyrzucono z pracy z powodu łgarstwa. Ale teraz mówiła mi prawdę o tym, że kłamała. Poczulem podziw. Pokiwałem głową.

– Kłamstwa przysparzają pani ciągłych kłopotów.

– Tak. No cóż. A zatem wyrzucono mnie z pracy, ale chyba nie mogę żywić pretensji. Natomiast Slander Sheet nie ma najmniejszych problemów z agresywnym dziennikarstwem. *Nic ich nie obchodzi*. Zależało im na wielkim nazwisku z pierwszych stron mainstreamowych mediów i je dostali.

– Po zwolnieniu z pracy zaczęła pani pić?

– Właśnie. I to sporo. Od samego rana. Moja mama jest alkoholiczką, więc to kwestia dziedziczna. Przestraszyłam się... Bo wiedziałam, jak się to może skończyć.

Rozległo się pukanie do drzwi. Zerknąłem przez wizjer i otworzyłem osobie z obsługi hotelowej. Facet wjechał do środka wózkiem gastronomicznym, po czym umieścił na stole tacę. Dałem mu napiwek i rozlałem kawę: czarną dla siebie, z mlekiem dla Mandy.

– Ale z czasem sytuacja się poprawiła – ciągnęła. – Dostałam pracę w Slander Sheet, potem zapisałam się do AA. Wymyśliłam sobie, że kilka grubszych artykułów katapultuje mnie z powrotem do mainstreamu. Napisałam jeden czy dwa, a potem

nagle pojawiła się sprawa Claflina. I proszę, gdzie wylądowałam. Jako dziennikarka jestem skończona. Karierę mam już z głowy. A trochę za późno, żeby rozpoczynać studia prawnicze.

– Przykro mi. – Zawahałem się. Nie zamierzałem przeproszać za zdemaskowanie Kayli i jej opowiadań. – Po prostu przykro mi to słyszeć.

– Potrzebna jest panu osoba do zbierania informacji?

Mandy się zaśmiała, a po chwili również ja.

– Nie byłaby pani zadowolona, pracując u mnie – powiedziałem. – Miałaby pani szefa palanta. Ale chętnie obejrzałbym pani notatki w sprawie Claflina.

Pokiwała głową.

– Pewnie. Przynajmniej reputacja Slander Sheet jest teraz gównem warta. Niewielka to pociecha, ale jednak. Dlaczego pańskim zdaniem Kayla kłamała? Kto wywierał na nią nacisk?

– Powiedziała mi, że zaproponowano jej sto tysięcy dolarów gotówką za mówienie nieprawdy o Claflinie. A poza tym grożono, że w razie odmowy współpracy jej siostrze siedzącej w więzieniu stanie się krzywda.

– Chryste – szepnęła Mandy, obrzucając mnie wzrokiem. Wyglądała, jakby zrobiło się jej niedobrze. – Ależ ona współpracowała wręcz świetnie. Spisała się na medal. Nabrała mnie.

– Czy możliwe, aby za całą sprawą stali właściciele Slander Sheet? Że to oni wywierali na Kaylę presję w celu wniesienia owych oskarżeń, z jakiegoś zagadkowego powodu, a potem musieli wszystko zatuszować?

– Owszem, możliwe. Zatuszować?

– Sprawić, żeby śmierć Kayli wyglądała na samobójstwo.

– O rany – wykrzyknęła Mandy. – Chce pan powiedzieć, że kazali ją zabić? Chyba nie można tego wykluczyć, faktycznie. Policja twierdzi, że ona sama odebrała sobie życie?

– Detektyw z wydziału zabójstw to żółtodziób. Być może to jego pierwsze dochodzenie w karierze, nie wiem. Poza tym sprawa wygląda na samobójstwo, więc facet po prostu szuka poszlak to potwierdzających. Zafiksował się na teorii o targnięciu się na

własne życie i koniec. Widzenie tunelowe. Efekt potwierdzenia w strategii confirmacyjnej. Normalka, zwłaszcza u niedoświadczonych śledczych.

– W takim razie dlaczego pan podejrzewa, że to nie było samobójstwo? – zapytała Mandy.

– Ponieważ kilka godzin temu rozmawiałem z Kaylą. I nie wykazywała żadnych tego typu skłonności. A jeśli to było morderstwo, odpowiedzialność spada na mnie. To ja obiecałem, że ją ochronię.

Dziennikarka dopiła kawę, unikając mojego wzroku.

– Ta dziewczyna była tylko pionkiem w grze. Bardzo to przykre. – Przerwała. – Jedno pytanie. Dlaczego chciał pan, żebym tu przyjechała?

– Ponieważ zamierzam się dowiedzieć, kto zamordował Kaylę Pitts i wykurzyć go z nory. Potrzebuję kogoś, kto pomoże ogarnąć sprawę od strony Slander Sheet. Muszę wiedzieć, kim są jego zagadkowi właściciele. Czy mogę liczyć na pani wsparcie?

Posłała mi półuśmiech.

– Przecież tu jestem, prawda?

44.

Kilka minut po siódmej usiadłem wyprostowany w łóżku; przypomniało mi się, że pokój Kayli ma zostać wysprzątny z samego rana, a chwilowo nie chciałem, by tak się stało. Bez względu na to, czego życzyła sobie waszyngtońska policja.

Nasza rozmowa z Mandy trwała niemal do trzeciej nad ranem, a na czterech godzinach snu nie mogłem daleko zajechać. Jednak zmusiłem się do wstania. Zamówiłem kawę, a następnie otworzyłem drzwi łączące mój apartament z pokojem Kayli. Panował w nim półmrok: zasłony były zaciągnięte, pewnie przez techników kryminalistyki, dla ochrony przed wzrokiem ciekawskich. Sprawdziłem drzwi wychodzące na korytarz; znak „Nie przeszkadzać” wciąż wisiał na klamce. Być może to on zapobiegł, jak dotąd, obecności pokojówek. Choć niekoniecznie; polecenia kierownika nocnej zmiany miały chyba większą moc niż hasła na zawieszkach.

Pokój pachniał Kaylą. W okolicach zmierzwionego łóżka wyczuwałem bardzo słabą woń paczuli. Obok walały się ubrania dziewczyny. Szukałem chyba jakichś śladów walki, ale przecież nie jestem detektywem z wydziału zabójstw. Zresztą, Balakian też nim nie był, powiedzmy to sobie szczerze.

Wziąłem głęboki oddech, a potem wszedłem do łazienki i włączyłem światło. Krew na wannie i kafelkach zdążyła zaschnąć. Była też na podłodze, tuż obok wanny, rdzawobrazowa, lśniąca. Widok, jaki zastałem tu tego ranka, wcale nie był łatwiejszy do zniesienia od wczorajszego. Stałem i analizowałem miejsce zdarzenia. Zobaczyłem potłuczony kieliszek, odłamki szkła na toaletce i na podłodze; uznałem, że powinienem włożyć buty, bo łażąc boso, mógłbym się skaleczyć w stopę.

Kiedy wróciłem, mając na nogach adidasy, stanąłem w progu łazienki i raz jeszcze się rozejrzałem. Powoli. Próbowałem

wyobrazić sobie, jak Kayla to zrobiła, o ile rzeczywiście doszło do samobójstwa. Potwornie się bała, bez wątpienia, lecz czy najsilniejszy nawet strach prowadzi automatycznie do chęci odebrania sobie życia? Nie, to nie miało sensu. Być może powodowało nią poczucie beznadziei w związku z sytuacją, w której się znalazła? Już prędzej. To mógł być wystarczający impuls.

Tak, możliwe. Musiałem wszystko starannie odtworzyć sobie w głowie.

Czyli dziewczyna postanawia zakończyć życie i szuka w hotelowym pokoju czegoś, co by jej to ułatwiło. Zamierza podciąć sobie żyły, bo kiedyś słyszała, że w ten sposób człowiek się wykrwawia i umiera bezboleśnie.

Oczywiście, to nieprawda. Zdecydowana większość osób, które podcinają sobie żyły, przeżywa. Aż dziewięćdziesiąt dziewięć procent. Najczęściej jest to po prostu forma samookaleczenia, rodzaj demonstracji, wołanie o pomoc, nie zaś skuteczny sposób popełnienia samobójstwa. Poza tym – dość bolesny.

Lecz może Kayla o tym nie wiedziała. Ktoś przecież musi należeć do tego jednego procentu.

Nie ma noża. Nawet maszynki do golenia. Ma natomiast kieliszek. Rozbija go o umywalkę i wybiera najostrzejszy odłamek.

Wchodzi do wanny, ponieważ słyszała, że tak się to zwykle robi. Podejmuje próbę; ostrym kawałkiem szkła przecina delikatną skórę po wewnętrznej stronie nadgarstka i stwierdza, że ból jest nieznośny. Ciągnie ostrzem wzdłuż żyły, ale przestaje, ponieważ za bardzo boli. Widać to po tak zwanych śladach zawahania, które zauważył detektyw Balakian. Śledczy z wydziału zabójstw zawsze poszukują tych znaków, stanowią one dowód, że istotnie doszło do samobójstwa. Podręcznikowy, jak powiedział Balakian. Poglądowy przykład, dokładnie jak w książce.

Zamarłem.

Jak w książce.

Albo biedna Kayla naprawdę odebrała sobie życie, albo ktoś się postarał, żeby tak to wyglądało. A jeśli została zabita, a jej śmierć

upozowano na samobójczą, to sprawca z pewnością nie jest amatorem. Nie, to ktoś, kto wiedział, czym się charakteryzują okoliczności desperackiej śmierci. Włącznie ze śladami zawahania.

To był zawodowiec. Bez wątpienia. Ktoś, kto wiedział, czego każdy śledczy z wydziału zabójstw będzie szukał.

Nic nie mogłem na to poradzić, ale od razu przyszedł mi do głowy Curtis Schmidt, były waszyngtoński gliniarz.

Były gliniarz.

Jednocześnie zdawałem sobie sprawę, że wybiegam zbyt do przodu. Nie miałem żadnych podstaw do takich wniosków, z wyjątkiem instynktu oraz wewnętrznego przekonania, że to wcale nie było samobójstwo.

W sąsiednim pokoju rozległ się dźwięk dzwonka do drzwi. Pewnie przyjechała moja kawa.

Wróciłem do swojego apartamentu, do którego wpuściłem faceta z wózkiem gastronomicznym. Napiłem się czarnego płynu, a potem wziętem prysznic i się ubrałem. Wyglądałem szacownie, choć w rzeczywistości czułem się jak wrak człowieka. Wrak na kofeinie, przynajmniej tyle.

Po trzeciej filiżance zadzwoniłem do recepcji, uzyskując informację, że szef ochrony pojawi się w hotelu dopiero o dziewiątej. Wróciłem więc do łazienki Kayli. Stałem i gapilem się na plamy krwi, starając się znaleźć w tym wszystkim jakiś sens i logikę, jakikolwiek wzorzec. Wanna została opróżniona z wody, jednak na jej krawędzi, na ceramicznych płytkach na ścianie tuż za nią oraz na podłodze pozostała zaschnięta krew. Większość tej krwi, przypuszczałem, pochodziła z rozciętej tętnicy szyjnej. Musiała tryskać jak gejzer, zalewając czerwienią wszystko dokoła, nawet podłogę daleko od wanny.

Z tym właśnie miałem największy kłopot. Gdyby ktoś rzeczywiście zamordował dziewczynę – poderznął jej gardło i podciął żyły w nadgarstkach, kiedy siedziała w wodzie – to sam byłby powalany krwią. Znaleźlibyśmy jej ślady w całej łazience, a także w samym pokoju hotelowym. Nie było innej możliwości. Krew musiała osiąść na ubraniu i rękach sprawcy, tu i tam

pozostawić po sobie jakąś kropelkę. Choćby smużkę na kłamce u drzwi albo na spłuczce od sedesu. Na umywalce lub blacie.

A tymczasem nie było nic. Miejsce czyste jak łąka. Starannie zlustrowałem ściany i podłogę łazienki, toaletę i szafkę pod umywalką. Nie zobaczyłem żadnej krwi. Odwróciwszy się twarzą do drzwi, przyjąłem pozycję na czworaka i zacząłem pełznąć pod wykładzinie, szukając ciemnych kropek, cętek, smug. Śladów krwi. Prowadziłem drobiazgowo poszukiwania, które detektyw Balakian i jego ludzie powinni byli wykonać sami, i pewnie by to zrobili, gdyby nie przekonanie, że mają do czynienia z samobójstwem.

Nic.

Stałem zgarbiony i wpatrywałem się badawczo w wykładzinę, w ścieżkę pomiędzy łazienką a drzwiami pokoju. Niczego nie zauważyłem. Po dwudziestu minutach zrezygnowałem. Zaczynałem się dekoncentrować.

Zabójca Kayli, o ile taki był, okazał się niezwykle schludny, dokładny i skrajnie ostrożny.

A może wcale nie istniał? Dziewczyna zrobiła to sama, co również było tragedią.

Wszedłem do łazienki umyć ręce, ubrudzone od ciągłego przesuwania po wykładzinie, która wymagała porządnego odkurzenia. Domniemany zabójca też umyłby tu dłonie. Bo miał je całe we krwi, z pewnością. Krew musiałaby pozostać też na umywalce, a nawet na kranie. Wszystko jednak było czyste. Odkręciłem kurki z gorącą i zimną wodą, a wtedy jakies łaskotanie z tyłu czaszki kazało mi przyjrzeć się im uważniej. Kran z zimną wodą puściłem na maksa; po jego wewnętrznej stronie zobaczyłem ciemną plamkę.

Najpierw pomyślałem, że to rdza. Jednak przyjrzawszy się bliżej, nabrałem pewności: to była plama krwi.

Zakręciłem wodę i znów przyjrzałem się wewnętrznej części kurka. Zaszła krew, na pewno.

Ale jak się tam znalazła?

Nie mogła zostać tu przyniesiona przez Kaylę. Ktoś, kto jest zajęty popełnianiem samobójstwa, raczej nie zadaje sobie trudu

umycia rąk. A gdyby jednak Kayla rzeczywiście coś takiego zrobiła, to rozpryski jej krwi widać byłoby wszędzie: pomiędzy wanną a umywalką, na toalecie i na podłodze.

Ktoś starannie wysprzątał łazienkę, przeoczył jednak tę ledwo widoczną plamkę.

Moim zdaniem doszło tu do zabójstwa. Ale przecież nie byłem ekspertem.

45.

O dziewiątej raz jeszcze spróbowałem skontaktować się z szefem hotelowej ochrony i się udało. Powiedziałem mu, że jestem tu gościem i mam do niego kilka pytań.

– Och, pan mieszka w apartamencie numer trzysta dwadzieścia dwa – powiedział. – Tak, właśnie usłyszałem, co się stało. Bardzo mi przykro. – I polecił mi przyjść do swojego biura na parterze, za recepcją.

Był to elegancko ubrany, ciemnoskóry mężczyzna o nazwisku Wanyama. Jego akcent i brytyjska modulacja wyrazów wskazywały na afrykańskie pochodzenie, prawdopodobnie z Kenii. Przemawiał łagodnie, zachowywał się uprzejmie. Siedział za małym biurkiem, zagraconym skoroszytami i instrukcjami, z których korzystali zapewne także inni pracownicy.

– Moje kondolencje – powiedział szef ochrony. – To bolesne, gdy bliska osoba odbiera sobie życie.

– Ona nie była moją krewną – odparłem. – Po prostu znajomą.

Pokiwał głową.

– Chciałbym się dowiedzieć, czy wczorajszego wieczoru korzystała ze swojej karty magnetycznej.

– Swojego... klucza?

– Tak. Wiem, że wasz system zarządzania nieruchomością rejestruje każde aktywowanie kluczy do pokoi. Zapisuje je. Prowadzi dziennik kontroli. Byłbym panu bardzo wdzięczny, gdyby zechciał zajrzeć do tej bazy danych.

– Rozumiem. Ogromnie mi przykro, ale tego rodzaju informacji możemy udzielać tylko policji.

– Tu chodzi o mój pokój. Zapłaciłem za niego. Mam prawo wiedzieć, czy znajoma stamtąd wychodziła i czy potem wróciła.

Mężczyzna przyglądał mi się przez kilka sekund. Potem skinął głową i obrócił się do komputera. Chwilę postukał po klawiaturze.

– Klucz wydano wczoraj o dziewiętnastej szesnaście i według naszego systemu użyto go tylko raz.

Zamyśliłem się. Odprowadziłem Kaylę do pokoju i używając jej karty, otworzyłem drzwi. Miałem nawet zamiar zatrzymać klucz, żeby nie przyszło jej do głowy wychodzić z pokoju tam, gdzie nie mógłbym jej ochronić. Ostatecznie jednak zostawiłem kartę magnetyczną u niej na biurku. Poprosiłem Kaylę, by się zadekowała w pokoju, i tak też zrobiła.

– A co z drzwiami? – spytałem.

Wanyama znów kiwnął głową.

– Otwierano je... zobaczmy... pięciokrotnie. Pierwszy raz o dziewiętnastej szesnaście, oczywiście.

– A potem około dwudziestej, tak? – Kiedy Dorothy wróciła z zakupów, niosąc rzeczy dla Kayli. To byłby drugi raz.

– Owszem. O dwudziestej siedem, a następnie o dwudziestej jedenaście.

Zamknąłem oczy i kiwnąłem potakująco głową. Dorothy weszła siedem po ósmej. Kilka minut później znowu otworzyłem drzwi, żeby zawiesić od zewnątrz znak „Nie przeszkadzać”. Wtedy też wetknąłem pod klamkę ręcznik.

– Dalej o dwudziestej pierwszej trzydzieści sześć i o dwudziestej drugiej dwadzieścia pięć.

Przed dziewiątą wyszedłem z hotelu. Wróciłem dopiero po północy. O dwudziestej pierwszej trzydzieści sześć byłem prawdopodobnie w garażu Curtisa Schmidta.

– Ale karty magnetycznej nie użyto?

– Zgadza się.

– Co oznacza, że drzwi otwierano od środka.

– Owszem.

Czyli musiała je otworzyć Kayla. Tylko komu?

– Może pan stwierdzić, czy korzystano z telefonu w pokoju?

– Tak, chwileczkę.

Znowu postukał w klawiaturę, otwierając inną bazę danych.

– Tylko raz. Połączenie wychodzące miało miejsce o dwudziestej czterdzieści siedem.

– Czy widać numer, pod który dzwonił?

– Nie, w tym celu musiałby się pan zwrócić do firmy telekomunikacyjnej. AT&T. My nie mamy takich możliwości.

– Chciałbym zobaczyć nagranie z kamer monitoringu.

Szef hotelowej ochrony uśmiechnął się boleśnie i pokręcił głową.

– Tylko dla wymiaru sprawiedliwości. Bardzo mi przykro.

Podziękowałem mu, a on powtórzył swoje kondolencje. Natychmiast po wyjściu z biura zadzwoniłem do detektywa Balakiana.

46.

- Co mogę dla pana zrobić, panie Heller? – zapytał Balakian.
- Mam dla pana informacje w sprawie Kayli Pitts.
- Informacje? – sprawiał wrażenie rozkojarzonego. Coś właśnie pił. Pewnie kombuczę. W tle słyszałem szelest papieru i kasłanie.
- Kilka faktów, które mogą rodzić interesujące pytania.
- Śmiało.
- Na tylnej ścianie kranu w łazience znajduje się plamka krwi. Niezbyt duża, trudno ją dostrzec. Jestem prawie pewny, że ją przeoczyliście. Jeśli to krew Kayli, to mamy do czynienia z ciekawą sytuacją.
- Dlaczego tak pan sądzi?
- Bo będziecie musieli dojść, skąd się tam wzięła. – Nie chciałem mu niczego podsuwać. To byłoby dlań obraźliwe. – I jest jeszcze coś.
- Słucham. – Znow szept papieru. Balakian upił kolejny łyk.
- Według szefa hotelowej ochrony o godzinie dwudziestej czterdzieści siedem dziewczyna dokądś dzwoniła. A potem, o dwudziestej pierwszej trzydzieści sześć i o dwudziestej drugiej dwadzieścia pięć, otwarto drzwi do jej pokoju. Od wewnątrz.
- Mhm.
- Być może wtedy ktoś do niej przyszedł, a ona tego kogoś wpuściła. Zabójcę.
- Poważna zmiana kwalifikacji czynu. Skoro ofiara wpuściła kogoś do swojego pokoju, mamy do czynienia z zabójstwem, a nie z samobójstwem. To właśnie chce mi pan powiedzieć?
- Po prostu przekazuję materiał dowodowy, który powinien pan znać.
- Może istnieć tysiąc powodów, dla których otworzyła te drzwi. Może poszła po lód. Albo na papieroska. Zeszła sobie do holu.
- Jeśli opuściła pokój, z jakiegokolwiek przyczyny, to musiała do niego wrócić. A to znaczy, że drzwi otwarto by od zewnątrz przy

użyciu karty magnetycznej. Tak się jednak nie stało.

– Coś jeszcze?

– Owszem. Proszę sprawdzić, czy zachował się zapis z kamer monitoringu. Mnie nie pozwolono go obejrzeć. Warto też zbadać obecność substancji psychoaktywnych w organizmie denatki, na przykład ketaminy. Czegoś, czym pozbawiono ją przytomności.

– Raport z toksykologii przyjdzie za dwa tygodnie. Ale jeśli w ciele prostytutki znajdą jakieś narkotyki, no cóż, nikogo to chyba specjalnie nie zdziwi.

Balakian nie zamierzał odstępować od swojej teorii, zgodnie z którą Kayla popełniła samobójstwo. Było to cholernie irytujące, przekonując go jednak do zmiany zdania, marnowałbym tylko czas. Wiedziałem, że dziewczyna została zamordowana. Nie potrzebowałem jego potwierdzenia.

Istniały znacznie ważniejsze i pilniejsze pytania, na które należało znaleźć odpowiedzi.

Pożegnałem się i rozłączyłem. Kilka sekund później mój telefon zadzwonił. To była Mandy Seeger.

– Chyba coś mam – powiedziała.

47.

Spotkaliśmy się na śniadaniu w skromnym barze kilka przecznic od hotelu. Mandy zamówiła gofry, specjalność zakładu, ja natomiast jajka sadzone, średnio wysmażone, i kanapkę z kiełbasą wędzoną. Kawę przyniesiono nam bez pytania; z miejsca wypićem pół kubka, prawie parząc sobie przełyk.

Dziennikarka wyglądała zaskakująco świeżo jak na kogoś, kto minionej nocy prawie nie zmrużył oka. Skórę miała aksamitną, pachniała mydłem. Dopiero teraz zauważyłem, że na nosie ma piegi. Urocze. Włosy zaczesła do tyłu, założyła stare, wyblakłe dżinsy i czarny T-shirt.

Ostrożnie sączyła gorącą kawę, a ja przekazałem jej to, czego się dowiedziałem od szefa hotelowej ochrony.

– Myślisz, że wpuściła zabójcę do swojego pokoju? – zapytała Mandy.

Kiwnąłem głową.

– Więc to musiał być ktoś, kogo znała i komu ufała.

– Na to wygląda. Chyba że wzięła tę osobę za pracownika hotelu, człowieka z obsługi, ochroniarza albo menedżera. Mimo że zakazałem jej otwierać drzwi komukolwiek.

– O rany. Wiesz, że detektywi z wydziału zabójstw muszą traktować każde samobójstwo tak, jakby to było morderstwo, dopóki nie znajdą niezbitych dowodów?

– Owszem.

– Ale z drugiej strony podlegają też presji rozmaitych czynników. Presji liczb. Statystyki. Jakby nie lubili zapisów w rubryce „zabójstwa”.

– Możliwe. Jednak równie dobrze mamy tu do czynienia ze zwykłą niekompetencją. Balakian jest nowy i nie ma pojęcia, co robić. – Upiłem haust kawy i ciągnąłem: – Mówiłaś, że coś masz?

– Tak myślę. No dobra. Jak wiadomo, formalnym właścicielem Slander Sheet jest Hunsecker Media. Które same należą z kolei do

firmy o nazwie Patroon LLC, tak?

- Okej.

- Ale Patroon LLC to wydmuszka. Od dawna mnie to gryzło. I nagle wpadłam na pewien pomysł: żeby wyciągnąć swój formularz podatkowy. Zajrzałam więc do formularzy W-2 od Slander Sheet. A tam jest napisane, że płatnikiem mojej pensji jest Slade Group.

- Kolejna firma wydmuszka, podejrzewam.

Mandy przytaknęła.

- Mimo to weszłam sobie do netu, przeszukałam elektroniczne bazy danych Stanowej Komisji Korporacyjnej Wirginii i znalazłam coś interesującego. Slade Group została przejęta przez kancelarię prawną Norcross i McKenna. - Dziennikarka spojrzała na mnie wyczekująco. Jej jasnopiwne oczy błyszcząły.

Kiwnąłem głową.

- Ciekawe.

- Znasz ich? - zapytała.

- Jestem prawie pewien, że kiedyś reprezentowali mojego tatę. Poznaję tę nazwę.

- A wiesz, z czego słyną?

Pokręciłem głową.

- Ale znasz termin „ciemne pieniądze”, tak?

- Pewnie. - W ten sposób określano kratkę ściekową, przez którą przenikały pieniądze zebrane podczas różnych kampanii wyborczych w Stanach Zjednoczonych. Superbogacze i wielkie korporacje mogli korzystać z tej luki w przepisach i potajemnie przekazywać nieograniczone sumy na swoich ulubionych kandydatów za pośrednictwem organizacji typu non profit. W ten sposób sekretnie wpływali na wyniki wyborów. Kompletne bezprawie, ale taki właśnie jest nasz system polityczny. Boże, błogosław Amerykę.

- Kiedy jeszcze pracowałam w „Washington Post”, napisałam artykuł na temat ciemnych pieniędzy. Podczas pracy ciągle trafiałam na tę kancelarię prawniczą, Norcross i McKenna. Specjalizuje się w powoływaniu do życia lewych firm i organizacji non profit, aby lepiej ukryć nazwiska donatorów.

Siedziba główna kancelarii znajduje się w Leesburgu w Wirginii, ale to wszystko, co wiem.

– Od razu wygląda podejrzanie. Nic dziwnego, że mój ojciec kręcił z nimi interesy. Więc właścicielem Slander Sheet jest Slade Group, czyli jakaś lewa organizacja typu non profit?

– Zgadza się.

– Którą założyła wymieniona przez ciebie kancelaria.

– Tak.

– A masz jakieś nazwiska?

– Ludzi z tej kancelarii?

Kiwnąłem głową.

– Dysponuję własną stroną internetową, ale skąpią tam szczegółów.

– To świetnie, Mandy. Oto nasz kolejny ruch.

– Ta kancelaria?

– Właśnie.

– Nie będę z tobą rozmawiać.

– Może tak, a może nie.

Zjawiła się kelnerka z dwoma talerzami w zgięciu ramienia. Przede mną postawiła jajka sadzone, przed Mandy gofry, a następnie dołała nam kawy. Po chwili wróciła z syropem dla mojej towarzyszki oraz sosem sriracha dla mnie. Bez zbędnej zwłoki Mandy zabrała się za swoje danie. To mi się podobało. Lubię kobiety, które lubią jeść.

Kiedy wreszcie zrobiła sobie przerwę, powiedziała:

– Twój tata to Victor Heller. No, no.

– Sam książkę ciemności z Wall Street, ta.

Mój ojciec był kiedyś znanym rekinem z Wall Street, który okazał się oszustem i kłamcą. Człowiekiem wybitnym, finansowym geniuszem, ale o zwichrowanej duszy.

Mandy wycisnęła trochę syropu na resztki gofra.

– Nadal w więzieniu?

– Na północy stanu Nowy Jork, odsiaduje dwadzieścia osiem lat. Prawdopodobnie już tam umrze.

– Widujesz się z nim?

– Odwiedzam go od czasu do czasu. Możliwie najrzadziej.

- Interesujący facet.
- W ten sposób też można go opisać.
- Na pewno byłeś inteligentnym dzieciakiem. Nie studiowałeś przypadkiem na Yale?
 - Zrezygnowałem. Poza tym jestem pewny, że dostałem się tam tylko dlatego, że ci z Yale uznali mnie za młodzieńca z bogatej rodziny i oczekiwali konkretnych datków od mojego ojca. Sądzili, że gdzieś musiał ukryć te pieniądze.
 - A ukrył?
 - Cholernie dobre pytanie. Chyba tak, ale nie chce o tym mówić.
- Mandy pokiwała głową.
- Działasz w Bostonie, prawda? Dlaczego nie tutaj?
 - Bo nie podoba mi się życie w Waszyngtonie. Nigdy mi się nie podobało. Moim miastem jest Boston. Poza tym tam mieszka moja matka, a przecież nie będzie żyła wiecznie. To wszystko. - Przełknąłem trochę kawy. - To rozmowa kwalifikacyjna w sprawie pracy? Chcesz poznać moje największe słabości?
- Uśmiechnęła się.
- Dlaczego to robisz?
 - Co takiego?
 - Chyba załatwiłeś już tę sprawę? Zlecenie od Gideona Parnella?
 - Jeśli chodzi o Gideona, sprawa jest zamknięta. Ale jeśli chodzi o mnie, skończę dopiero, gdy się dowiem, kto i dlaczego zabił Kaylę.
 - A potem?
 - Kiedy się już dowiem?
- Mandy kiwnęła głową.
- Zobaczymy, jak to się stanie faktem - odpowiedziałem.

48.

Rose, asystentka Gideona Parnella, załatwiła mi widzenie ze swoim szefem pomiędzy jego rozlicznymi spotkaniami.

Gideon powitał mnie czymś w rodzaju uścisku ręki połączonego z przytuleniem. Miał na sobie gołębioszary garnitur, błękitną koszulę i krawat barwy kasztanowej. Mocno pachniał wodą kolońską.

– Dziwię się, że nadal przebywasz w Waszyngtonie – powiedział Parnell. – Myślałem, że już dawno wróciłeś do Bostonu.

– Mam tu pewną niedokończoną sprawę, przy której potrzebna jest mi odrobina pomocy.

Odniosłem wrażenie, że ta odpowiedź wprawiła Gideona w lekkie zakłopotanie.

– Oczywiście. Spocznij, proszę.

Usiadłem na kanapie dla gości, a on w fotelu uszaku obok mnie.

– Znasz kancelarię prawniczą o nazwie Norcross i McKenna? – zapytałem.

Parnell uniósł brwi.

– Naturalnie. – Ton jego głosu się zmienił, był teraz przyciszony i pogardliwy. – Na twoim miejscu trzymałbym się od niej z daleka.

– Ale to oni są prawdopodobnie kluczem do ustalenia prawdziwych właścicieli Slander Sheet. Właśnie ta kancelaria kupiła holding Slade...

– To już bez znaczenia w tym momencie, Nick. Slander Sheet stało się obiektem kpin. Zupełnie mnie nie obchodzi, kto jest właścicielem tego śmietnika.

– Mnie tak. Ponieważ zeszłej nocy znaleziono zwłoki Kayli Pitts.

Wielkie, wodniste oczy Parnella rozszerzyły się, a jego usta otworzyły.

– Co takiego? – wychrypiął.

– Mieszkała w hotelu, w pokoju sąsiadującym z moim.

Opowiedziałem mu o tym, jak dziewczyna do mnie dzwoniła, a także o wyprawie ratunkowej na prywatne lotnisko. Darowałem sobie tylko wzmiankę o samotnym wieczornym wypadzie, czyli o włamaniu do domu Curtisa Schmidta – w sumie nie miało to przecież znaczenia. Poza tym Gideon nie musiał znać aż takich szczegółów.

– Dobry Boże – powiedział. – Nie uważasz, że to mogło być samobójstwo?

– Nie w tych okolicznościach, na pewno.

– Czyli twoim zdaniem ktoś ją zabił.

Potwierdziłem.

– I upozorował samobójstwo.

– Właśnie.

– Kto mógłby coś takiego zrobić?

– Może ktoś, kto bał się zeznań dziewczyny. I dlatego chcę poznać tożsamość prawdziwych właścicieli portalu Slander Sheet. Uważam, że odpowiedź znajduje się w kancelarii Norcross i McKenna.

Parnell pokiwał głową.

– Znam wielu ludzi, ale nikogo stamtąd. Właściwie nic dziwnego, to bardzo skryta ekipa. Zajmują się prowadzeniem wszelkiego typu spraw zleczanych przez korporacje tytoniowe, przemysł jądrowy, producentów broni... Chyba jednak nie bardzo rozumiem, do czego zmierzasz.

– Jeśli się dowiem, kim są właściciele Slander Sheet, będę już tylko o krok od ustalenia zabójcy Kayli.

– A może Slander Sheet nie ma z jej śmiercią nic wspólnego?

– Może i nie. Ale zamierzam to sprawdzić.

– Cóż, rób to, co musisz. Aczkolwiek nie możemy ci już za to płacić, rozumiesz.

– Rozumiem.

– Osobiście nie bardzo wiem, jaki jest sens w rozgrzebywaniu różnych zaszłości. Kto sieje wiatr, ten zbiera burzę, jak to mówią. Nick, wykonałeś nadzwyczajną robotę, jeśli chodzi o sprawę sędziego Claflina. Mam ci przekazać, że Jerry Claflin nigdy o tym nie zapomni. Ja też. To, co się stało tej biednej dziewczynie, jest

straszne, ale ty nie ponosisz za to odpowiedzialności. Nie zrobiłeś nic złego.

– Nie zgadzam się z tobą, Gideonie. Jej śmierć spada na mnie.

– Jesteś człowiekiem zdolnym do współczucia, Nick, wiem. Ale nie powinieneś się obwiniać. Naprawdę, nie popełniłeś żadnego cholernego błędu.

Wstałem i wyciągnąłem do Parnella rękę.

– Dzięki – powiedziałem.

– Hej. – Położył mi dłoń na ramieniu. – Prawdziwy bohater z ciebie.

Uśmiechnąłem się i skinąłem głową, nie dyskutując więcej. Wiedziałem, z kim muszę się teraz spotkać, bez względu na to, jak okaże się to bolesne.

Z moim ojcem.

49.

Od wielu lat Victor Heller odbywał karę pozbawienia wolności w więzieniu o średnim rygorze. Zakład karny Altamont, a wcześniej dom dla psychicznie chorych w Altamont, mieścił się w budynku z czerwonej cegły w stylu neogotyckim i był położony w północnej części stanu Nowy Jork. Dostanie się tam nastęrczało pewnych trudności – najpierw trzeba było lecieć do Albany, a potem wypożyczyć samochód i jechać aż na przedmieścia miasta o nazwie Guilderland. Ale to nie z tego powodu rzadko odwiedzałem ojca. Widząc go, za każdym razem miałem poczucie, że tracę jakiś fragment własnej duszy. Nie był dobrym człowiekiem. Nauczyłem się od niego rozpoznawania, kiedy ktoś kłamie, ponieważ kłamał równie często i łatwo, jak oddychał.

Wyleciałem z lotniska w Waszyngtonie, a do Altamont dotarłem koło południa. Ojciec czekał na mnie za długim kontuarem w sali widzeń.

Miał na sobie więzienny uniform, składający się z ciemnozielonej koszuli i spodni. Włosy zupełnie mu posiwiały, nosił też wielką, białą starotestamentową brodę.

Nie wyglądał najlepiej. Zwieszał głowę w jedną stronę. Z zaskoczeniem zauważyłem, jak mocno podupał na zdrowiu po tych trzynastu miesiącach, odkąd widziałem go po raz ostatni.

Wcześniej zatelefonowałem do prawnika ojca w celu umówienia się na wizytę. Usłyszałem wówczas, że Victor ubiega się o skrócenie kary pozbawienia wolności ze względów humanitarnych, na podstawie demencji starczej. To była dla mnie nowość. Podczas tych kilku razy, kiedy go odwiedziłem, był bystry jak zawsze.

– No cóż, sam się przekonasz – powiedział prawnik. – To już całkiem inny człowiek.

Zająłem miejsce po swojej stronie kontuaru. Ojciec mamrotał

coś o lodach i jakichś butach. Przyjrzałem mu się uważnie. Oblicze wyłaniające się znad brody miał poczerwieniałe, z odpadającymi płatami naskórka. Przykry widok łuszczycy, przywodzący na myśl liniejącego węża.

– Cześć, tato – zacząłem.

Patrzył gdzieś daleko, poza mnie, i ciągle mamrotał. Znowu o lodach i o czymś, co zabrzmiało jak pranie.

– Tato? – powiedziałem trochę głośniej.

To tyle, jeśli chodzi o jego pomoc w sprawie kancelarii prawniczej Norcross i McKenna.

– Robert mi mówił, że ubiegasz się o zwolnienie z powodów zdrowotnych. Kto ma zatwierdzić ten wniosek?

Nagle odwrócił się gwałtownie i popatrzył na mnie.

– Bernie?

Tak miał na imię jego kolega z akademika, z którym ojciec się pokłócił, zanim jeszcze przyszedłem na świat. Słyszałem o nim już wcześniej, nigdy w pozytywnym kontekście. Może wyglądałem trochę jak Bernie.

– Zostało ci tutaj czternaście lat – oznajmiłem. – To długo. Czternaście razy trzysta sześćdziesiąt pięć, co daje... mniej więcej cztery do czterech i pół tysiąca dni.

Ze wzrokiem wciąż zatopionym gdzieś w oddali, przewrócił oczami i warknął:

– Pięć tysięcy sto dziesięć.

Nawet przy stole podczas kolacji, kiedy byłem jeszcze dzieckiem, tata z precyzją suwaka logarytmicznego podawał zawsze właściwy wynik, nie mogąc nigdy znieść najmniejszej arytmetycznej pomyłki. Na przykład takiej jak ta. Zarechotałem z powodu odniesionego zwycięstwa.

Ojciec pochylił się, zerknął niespokojnie na strażnika, który go tu przyprowadził, stojącego jakiegoś siedem metrów od nas, i wyszeptał:

– Czego, do cholery, chcesz tym razem?

– Możesz mi coś powiedzieć o firmie Norcross i McKenna?

– Nie będą cię reprezentować. Nie stać cię.

– Załatwiali coś dla ciebie? Prowadzili twoją sprawę o oszustwa

na papierach wartościowych, prawda?

– Tak ci to przedstawiłem? – Uśmiechnął się z politowaniem. – Musiałem znaleźć jakiś kanał transferowy pieniędzy przeznaczonych dla dwóch polityków, ale tak, żeby nikt nie skojarzył mojego nazwiska. I oni się tym zajęli. Nie wiem, jakiej czarnej magii użyli, ale udało mi się wręczyć parę, hm, prezentów, bez ich księgowania.

– Ta kancelaria jest znana głównie z obrotu ciemnymi pieniędzmi, prawda?

– Robią to, czego potrzebują ich klienci. Pilnują, żeby twoje poufne akta takimi pozostały, czyli je chronią. Większość firm składa stare dokumenty w jakimś magazynie, poza swoją siedzibą, bazując na schemacie Iron Mountain. Ale nie ci goście. Tutaj wszystko pozostaje na miejscu, pod ich czujnym okiem. Są bardzo dumni ze swojej pancерnej komory z trzema systemami zamków.

Już wiedziałem, jaki będzie mój kolejny ruch.

– Chyba już cię nie reprezentują?

– Nie. Ale jakbym do nich zadzwonił i powiedział, że potrzebuję pomocy, stanęliby na głowie, bylebym tylko do nich wrócił.

– Hm. – Zastanawiałem się przez chwilę. Ci z Norcross i McKenna nie uwierzyliby mi, gdybym się tam pojawił, udając, że przychodzę w imieniu ojca. Bardzo szybko przejrzeliby ten podstęp.

– Dlaczego tak się interesujesz tą firmą?

– Pracuję nad pewną sprawą dotyczącą Jeremiaha Claflina i plotkarskiego portalu internetowego o nazwie Slander Sheet.

Tata wyszczerzył zęby w swym krokodylim uśmiechu.

– Więc to ty?

– Wiesz, o co chodzi?

– Uznany za świętego najwyższy sędzia i dziwka?

– Widzę, że macie tu dostęp do Internetu.

Ojciec ściszył głos.

– Niesamowite, ile może zdziałać jedna paczka papierosów.

– Chcę wiedzieć, kto jest właścicielem Slander Sheet.

– Po co?

Ile mogłem mu powiedzieć? Z tym zawsze miałem dylemat. Nie ufałem ojcu, wątpiłem w jego dyskrecję, nie znałem jego aktualnych powiązań. Nie orientowałem się, w jaki sposób porozumiewał się z ludźmi na zewnątrz. Nigdy nie wiedziałem, czym tak naprawdę się zajmuje, jakie są jego ukryte cele. Im więcej z nim rozmawiałem, tym bardziej czułem się wypalony.

– Ktoś się zawziął na sędziego – powiedziałem.

Tata przesunął dłonią po oczach.

– Niewątpliwie. – Zamrugał szybko powiekami i zdarł kilka łuszczących się płatów martwego naskórka. – Człowiek taki jak Claflin musi mieć straszliwych wrogów. – Uniósł palec wskazujący; wyglądał teraz niczym oszalały starotestamentowy prorok. – Tylko że wrabiają cię zawsze przyjaciele, nie wrogowie.

On to wiedział najlepiej. Kilku kolegów ojca, których nazywał przyjaciółmi, współpracowało z prokuraturą, dostarczając dowody, na podstawie których facet wyładował na wiele lat za kratkami.

Jak zwykle mój ojciec rozprawiał na swój ulubiony temat: o sobie.

50.

Arthur Garvin, mój znajomy porucznik policji na emeryturze, mieszkał w nieskazitelnie schludnym, niewielkim domu położonym na peryferyjnych terenach podmiejskich Marylandu, z trawnikiem przypominającym pole golfowe. Miał na sobie kombinezon roboczy i takąż koszulę, ponieważ właśnie konserwował swój podjazd. Polegało to na malowaniu czarną farbą pokrytego kurzem asfaltu. Zaparkowałem na ulicy, przeszedłem przez idealny trawnik i pomachałem mu na powitanie. Garvin odmachał, po czym wykonał niejasny ruch ręką, sygnalizując – jak przypuszczałem – że najpierw musi dokończyć to, czym się zajmuje. Usiadłem więc na ganku i patrzyłem. Facet zawsze był pracoholikiem, jak wielu innych detektywów z wydziałów zabójstw, a teraz ta ogromna energia mogła znajdować ujście tylko przy wymienianiu baterii w czujnikach dymu albo podczas pielienia grządek. O ile dobrze pamiętałem, Garvin był wdowcem.

Zniknął w garażu, który z mojego miejsca obserwacyjnego wyglądał wręcz idealnie, po czym wyłonił się z domu frontowymi drzwiami.

– Przepraszam, że musiałeś czekać – powiedział. Jego ubranie załatywało silnym zapachem chemikaliów, zapewne uszczelniacza do betonu. Pociągnąłem nosem.

– To chyba nie działa korzystnie na stan zdrowia.

– Stara dobra smoła węglowa.

– Czy nie jest aby toksyczna?

Gospodarz wzruszył ramionami. Miał to gdzieś. Poprowadził mnie do słabo oświetlonego salonu na froncie domu. Usiedliśmy.

– Dobrze wyglądasz – zacząłem. – Emerytura ci służy.

Garvin wciąż nosił tę swoją rzadką kozią bródkę oraz okulary w metalowych oprawkach, o szklach grubych jak dno starej butelki po coli. Powiększały jego oczy tak, że zdawały się

owadzie.

– Emerytura to piekło – odrzekł. – Powoli zaczynam świrować.

– Nikt nie proponuje ci jakichś konsultacji?

– Wyłącznie jako rzeczoznawcy powołanego przez obronę, który działa na korzyść oskarżonego, a wiesz, że tego bym nie zniósł. W Bostonie w porządku?

– Jasne.

– Tęsknisz za stolicą?

– Jakbym tęsknił za wrzodami na dupie.

Opowiedziałem mu o śmierci Kayli. Garvin słuchał w skupieniu, zadał kilka pytań, kręcił głową. Sprawiał wrażenie rozbawionego, kiedy wspomniałem o włamaniu do domu Curtisa Schmidta.

– Pokaż mi to zdjęcie – polecił. Chodziło o fotkę Schmidta z tym jego kumplem od ryb.

– Mam je w komórce.

Znalazłem zdjęcie w galerii i pokazałem je Garwinowi.

Trzymał telefon na odległość wyprostowanego ramienia od swojej twarzy.

– Widzę łysego gościa, ale jego kolegi już nie. Muszę iść po okulary.

Odebrałem mu komórkę, a następnie przesuwając po ekranie rozcapierzonymi palcami, powiększyłem oblicze owego znajomego Schmidta. Oddałem telefon Garwinowi.

– No tak – powiedział natychmiast. – No tak. – Uśmiechnął się cierpko. – To jest Thomas Vogel.

– Rozpoznajesz go?

– Jest bardzo znany.

– Doprawdy?

– Był kimś w rodzaju herszta gangu. Właściwie nie kimś w rodzaju. Był prowodyrem tego przekrętu z fałszywymi nadgodzinami. Kiedy służył w policji, otaczał się wiernymi pretorianami, niewielką grupką. Należał do niej, między innymi, twój chłoptaş, Curtis Schmidt.

– Jego też wysłano na przymusową emeryturę?

Garvin kiwnął głową.

– Był legendą w naszym wydziale, ten cały Vogel. Uważał się za

sprytniejszego od innych i pewnie słusznie. Pracował w antynarkotykowym pod przykrywką, za jego sprawą dokonano kilku głośnych zatrzymań. Po wymuszonym odejściu na zieloną trawkę założył firmę ochroniarską tylko dla bogatych VIP-ów. Firma nazywa się Centurions. Interesująca rzecz. To są bardziej wszechstronni fachowcy, raczej „naprawiacze” sytuacji niż zwykli ochroniarze z agencji.

– Fachowiec może być od wszystkiego. Czym się konkretnie zajmują?

– Tuszą skandale.

– Polityczne?

– Też, ale oprócz polityków obsługują gwiazdy filmowe i zwykłych bogaczy.

– To pewne informacje?

– Wszystko, co wiem, to tylko plotki. Jeśli jakiś celebryta obudzi się i zobaczy w swoim łóżku zwłoki, oni te zwłoki zabierają. Jakaś gwiazda filmowa ma problemy ze stalkerem, oni zajmują się natrętem. Żaden sądowy zakaz zbliżania nie jest potrzebny. Dziewczynka na telefon grozi kongresmenowi i go szantażuje – oni to załatwią. Rozwiązują problem bez konieczności angażowania w to sądu. I kłopot znika. Nigdzie się nie ogłaszają, nie reklamują, nie ma ich w książce telefonicznej. Wątpię też, by posiadali stronę internetową. A nawet jakieś biuro.

– To skąd biorą klientów?

– Potęga słowa. Marketing szeptany. Ludzie po prostu o nich wiedzą.

– W takim razie – powiedziałem – to prawdopodobnie oni upozorowali samobójstwo Kayli.

– Możliwe. Nie byłbym zaskoczony. Pytanie, kto ich wynajął. Tego przede wszystkim musisz się dowiedzieć.

Wyjrzałem przez okno na idealny szmaragdowy trawnik, na lśniący mahoń podjazdu. Czułem zapach smoły węglowej, ostrej, cierpki, trochę szpitalny. Z tego miejsca mogłem skierować swoje śledztwo w rozmaite strony. Ale stawało się jasne, przynajmniej dla mnie, że odpowiedź na najważniejsze pytanie leży w relacji łączącej agencję Centurions i portal Slander Sheet.

A relacja ta, o ile istniała, wymagała solidnego drążenia. Nic nie zapowiadało się łatwo.

Miałem już jednak pewien pomysł.

51.

– Dziękuję, że znalazł pan czas, aby się z nami spotkać, panie Troy.

Kiwałem głową, unikając kontaktu wzrokowego i starając się wyglądać na speszonego. Podobno Simon Troy źle się czuł w towarzystwie.

Kobieta miała trzydzieści kilka lat i czarne lśniące włosy. Była atrakcyjna, w typie matrony.

– Często przyjeżdża pan do miasta?

– Tak rzadko, jak to możliwe.

Simon Troy mieszkał w Jenks w stanie Oklahoma, blisko Tulsy. Niechętnie podróżował. Poza tym był miliarderem i jednym z największych posiadaczy ziemi w Stanach Zjednoczonych, człowiekiem o reputacji samotnika. W internecie można było znaleźć bardzo mało jego zdjęć. Prawdę mówiąc, zupełnie go nie przypominałem z wyglądu, nie licząc siwych włosów i wąsów, a także okularów w czarnych rogowych oprawkach. Tutaj jednak, w kancelarii Norcross i McKenna, nikt nie zamierzał pytać, czy rzeczywiście jestem Simonem Troyem czy nie. Chcieli wierzyć, że tak.

Zastanawialiśmy się wcześniej nad stworzeniem zupełnie fikcyjnej postaci, jednak budowanie całej legendy – przede wszystkim rozsiewanie po internecie odpowiedniej liczby wiarygodnych, przekonujących informacji o tej osobie – byłoby zbyt czasochłonne, a przecież musieliśmy się spieszyć. Miliarder w rodzaju Simona Troya, rzadko fotografowany i jeszcze rzadziej udzielający wywiadów, zdawał się natomiast stosunkowo łatwy do podrobienia. Mandy Seeger dostarczyła mi wszystkich, jakże skąpych, informacji na jego temat, które udało jej się znaleźć, a ja przestudiowałem je z całą uwagą. Potem Dorothy zatelefonowała do wspomnianej kancelarii prawniczej z aparatu, który podawał fałszywy kierunkowy z rejonu Tulsy, aby umówić się na pilne

spotkanie.

– Pan Norcross bardzo chętnie wygospodarował czas specjalnie na pańską wizytę.

Na tym zakończyliśmy rozmowę. Kobieta zaprowadziła mnie korytarzem do narożnego gabinetu. Pulchny mężczyzna o czerwonej twarzy i srebrnych włosach wyskoczył zza biurka i wyciągnął ku mnie dłoń.

– To wielka przyjemność pana poznać, panie Troy. Jestem Ash Norcross.

Wymieniając z nim wiotki, nieśmiały uścisk dłoni, zauważyłem przypiętą do jego paska kartę magnetyczną.

– Możemy zaproponować panu herbatę? Podobno nie pija pan kawy.

– Niczego mi nie trzeba, dzięki.

– Dziękuję, Val – powiedział Ashton Norcross i odprawił swoją asystentkę. Do mnie rzekł: – Rozumiem, że dostał pan moje zamiary od...

– Nie mam zbyt wiele czasu – przerwałem mu, rozwlekłe modulując słowa. – Muszę wracać do Kapitolu. Spotykam się tam z paroma senatorami.

– W takim razie, no cóż, przejdźmy od razu do rzeczy. – Niemal zgiął się wpół, wskazując kącik do siedzenia z dwiema sofami. Zająłem miejsce, facet usiadł naprzeciwko. Położyłem aktówkę trochę z lewej, blisko Norcrossa, w odległości może metra od jego karty magnetycznej. Miałem nadzieję, że to wystarczy.

– Jak pan zapewne wie, a być może i nie, staram się trzymać z dala od polityki – powiedziałem. – W każdym razie w sensie publicznym. Już od dłuższego czasu mojego nazwiska nie można znaleźć w bazach danych Federalnej Komisji Wyborczej. Doszedłem jednak do wniosku, że nasze państwo jest w stanie zagrożenia.

– Zgadza się, panie Troy. Tak właśnie jest. Bezdyskusyjnie. Właściwie, my w firmie Norcross...

– Ale jak pan pewnie wie, nie lubię widoku swojego nazwiska w gazetach.

– Oczywiście.

– Staram się unikać rozgłosu, jak to tylko możliwe.
– Rozumiem. Przyszedł pan w odpowiednie miejsce.
– Dalej: mam złe doświadczenia z jedną z naszymi lokalnymi kancelariami prawniczymi w Tulsie. Okazało się, że ich zabezpieczenia były do niczego. Chciałbym wiedzieć, jakie wy stosujecie środki ostrożności.

– Cóż, najnowszą dostępną technologię.
– Gdybym został waszym klientem, gdzie byście przechowywali moje dokumenty?

– Ach, bezpieczeństwo danych traktujemy z najwyższą powagą, panie Troy. Wszystkie akta klientów, w zapisie cyfrowym, przechowywane są na naszym serwerze, całkowicie izolowanym od sieci, z partycjami dyskowymi. Są zaszyfrowane.

– A akta papierowe?
– Trzymamy je w zamkniętych oddzielnie szafkach w pilnie strzeżonej komorze pancernej.

– Chciałbym ją zobaczyć.

– Oczywiście. Właściwie...

Ktoś zapukał do otwartych drzwi gabinetu Norcrossa. Odwróciłem się. Stał w nich szczupły facet koło sześćdziesiątki z szopą gęstych siwych włosów i głupim grymasem na twarzy.

Machnięciem ręki Ash Norcross zaprosił go do środka.

– Jeff, wejdz. Pozwól, że przedstawię cię Simonowi Troyowi. Panie Simonie, oto Jeff Winik, jeden z naszych partnerów, absolwent Stanfordu.

Winik podszedł ku mnie rażno, mocno uściśnął mi dłoń i powiedział:

– Pan kończył Stanford w siedemdziesiątym dziewiątym, prawda?

Kiwnąłem głową.

– A ja w osiemdziesiątym!

– Ach tak? – odrzekłem z bezbarwnym uśmiechem, podczas gdy mój żołądek fiknął kozła.

– Gdzie pan mieszkał na pierwszym roku? – kontynuował Winik.

Przyglądałem się mu przez kilka sekund. Nie rzucał mi

wyzwania, próbując ustalić, czy naprawdę jestem Simonem Troyem. Autentycznie chciał nawiązać ze mną bliższy kontakt.

Simon Troy z pewnością pamiętałby, gdzie mieszkał podczas pierwszego roku studiów. Minęło kilka długich chwil, a ja gorączkowo szukałem odpowiedzi. Po karku, łaskocząc, spłynęła mi kropla potu i schowała się za kołnierzykiem koszuli.

– W Larkin. – odparłem wreszcie. Ta nazwa przyszła mi do głowy, ponieważ wcześniej spędziłem wiele godzin na wkuwaniu dossier Simona Troya i ślęczeniu nad informacjami, które zebrała dla nas Mandy.

– Doprawdy? A ja w Branner!

– Cóż, miło pana poznać – uciałem, ale Winik jeszcze ze mną nie skończył.

– Niestety potem wyciągnąłem zły los na loterii – ciągnął – i wylądowałem na kempingu dla przyczep turystycznych.

– Hm – skomentowałem. Nie miałem pojęcia, o czym on mówił.
Kemping dla przyczep?

– Bywał pan kiedyś w O? – dociekał Winik.

W O? Co to było, jakiś pub? Związek pierwszoroczników? Wziąłem ze stołu broszurkę i powiedziałem:

– Trzymałem się raczej na uboczu. Nigdzie się nie udzielałem. – Uniwersalna odpowiedź, która najwyraźniej tamtego zadowoliła.

– Pan Troy nie ma zbyt wiele czasu – wtrącił się Norcross, szczęśliwie kładąc kres tej wymianie zdań. – Chciałby zobaczyć naszą komorę pancerną.

Mniej więcej godzinę później wróciłem do hotelu. Cały stół w salonie był zavalony sprzętem elektronicznym – kable, przewody, małe czarne skrzynki, białe plastikowe karty i tak dalej. Położyłem aktówkę, którą miałem ze sobą w kancelarii Norcross i McKenna.

– Jak poszło? – spytała Dorothy.

Wzruszyłem ramionami.

– Świetnie.

– Bez problemów?

– Bez.

– Ustawiłeś aktówkę odpowiednio blisko karty?

– Chyba tak.

– Zobaczmy, co tu mamy.

Dzień wcześniej Mandy wybrała się na przeszpiegi do tej samej firmy prawniczej.

Rano, wraz z natłokiem pracowników, wniknęła do budynku, w którym swoją siedzibę miała rzeczona kancelaria – udało jej się przyczepić do kogoś, kto akurat przechodził przez bramkę. Windą dostała się na trzecie piętro, stanęła na chwilę pod szklanymi drzwiami prowadzącymi do biur i – możliwie najdyskretniej – zrobiła smartfonem kilka zdjęć małej czarnej skrzynki zamontowanej na ścianie tuż obok wejścia.

Potem weszła śmiało do środka i oświadczyła recepcjonistce, że mieszka przy tej samej ulicy i poszukuje tymczasowej pracy. Zapytała, z usług której agencji korzystają, przyjmując ludzi na zastępstwa. Wymyśliła historyjkę, że niby wychowuje małe dziecko i dlatego musi znaleźć sobie zatrudnienie blisko domu. Recepcjonistka podała Mandy nazwę agencji pośrednictwa pracy, przepraszając jednocześnie, że chwilowo – o ile się orientuje – nie mają wolnych etatów. Reporterka podziękowała i zniknęła.

A teraz Dorothy przyglądała się uważnie zdjęciom w telefonie

Mandy.

– Okej – powiedziała – jest dobrze. Korzystają z systemu HID, jak prawie każdy. Niemal na pewno jest to system o niskiej częstotliwości stu dwudziestu pięciu kiloherców. Podobnie jak u osiemdziesięciu procent wszystkich użytkowników kart magnetycznych na świecie.

– Dlaczego dobrze? – spytałem. Jeśli chodzi o sprawy techniczne, już dawno przestałem się obawiać, że powiem coś głupiego. Ja pytam, Dorothy wyjaśnia. Technologie tego rodzaju to jej konik. Poza tym uwielbia być mądrzejsza ode mnie, co mi w ogóle nie przeszkadza.

– Ponieważ ze dwa lata temu, podczas zjazdu Black Hat USA, odbyła się interesująca dyskusja, w jaki sposób pokonać to zabezpieczenie.

– Czy to bardzo zaawansowane? Myślisz, że trzeba wciągnąć Merlina?

Merlin naprawdę nazywał się Walter McGeorge i był wojskowym weteranem, dawnym podoficerem ds. komunikacji w moim zespole w siłach specjalnych. Później został specjalistą od wykrywania środków inwigilacji, ekspertem od podsłuchów i kamer. Mieszkał niedaleko, w stanie Maryland. Kiedy jeszcze urzędowałem w Waszyngtonie, często korzystałem z jego pomocy.

– Do tego Merlin nie jest nam potrzebny – odparła Dorothy. – Gwarantuję. Sama wszystko załatwię. Plug and play. Łatwizna. – Postukała w swój laptop. – Proszę bardzo. – I obróciła ekran w moją stronę. Zobaczyłem stronę eBay'a z długim wykazem artykułów, przy których widniały zdjęcia małych kwadratowych pudełek.

Rozpoznałem je. Były to czytniki kart zbliżeniowych, zwanych bezdotykowymi. Wszechobecne w korporacyjnym świecie. Małe czarne skrzyneczki zawieszane na ścianach obok drzwi wejściowych do biur, przy których machało się plastikowymi kartami magnetycznymi, aby móc wejść do środka. Widać było również ich większe wersje, stosowane przy wjazdach i wyjazdach do podziemnych garaży. Upoważnionym kierowcom

umożliwiały szybszy dostęp.

– Wiem, co to jest czytnik zbliżeniowy – powiedziałem – ale nie rozumiem, co ma nam ułatwić.

– Okej. Kupię jakiś szerokokresowy czytnik częstotliwości radiowej i trochę poszperam, żeby wiedzieć, jak go dozbroić. Dołożę płytkę drukowaną PCB i dwanaście baterii AA. Coś w tym stylu. Takie urządzenie powinno wyłapać sygnał identyfikacyjny z odległości metra, zazwyczaj. Potem ty złożysz wizytę w firmie Norcross i McKenna, niosąc w plecaczku albo w aktówce tę maszynkę; tylko dopilnuj, żeby się znalazła nie dalej niż metr od kogoś, kto ma na szyi albo przy pasku kartę magnetyczną.

– I co dalej?

– Nie musisz wcale wiedzieć, na jakiej zasadzie to działa. Urządzenie odczyta każdy protokół Wiegand, który znajdzie się dostatecznie blisko niego. Po prostu wyłapie dane z karty. A kiedy wrócisz, zrzuć je na pustą kartę i po robocie. Sklonujemy ich klucz magnetyczny do drzwi wejściowych.

– Chwilunia – powiedziałem. – Przecież te ustrojstwa pikają, kiedy się je aktywuje. Będę pikał wszem wobec, mijając dowolną osobę z kartą magnetyczną?

Dorothy się uśmiechnęła.

– Myślisz z wyprzedzeniem. Dobre pytanie. Dzięki, że je zadałeś. Wzruszyłem ramionami.

– Po prostu jeszcze jeden przypadkowy błysk geniuszu.

– Przerzucę ten wihajster tak, aby wyłączyć pikanie. Coś jeszcze?

– Stopień niezawodności?

– No cóż, jest idiotoodporne. Powinieneś dać sobie radę.

To powiedziawszy, złożyła na eBayu zamówienie u jakiejś firmy z Karoliny Południowej oraz jeszcze jednej, z Eagle Mountain w stanie Utah, z żądaniem dostarczenia towaru w ciągu jednego dnia. Nazajutrz do hotelu dotarło siedem wielkich pudeł; mogliśmy zacząć działać.

Dorothy chwyciła moją aktówkę, otworzyła ją i wyjęła czytnik kart. Miał powierzchnię około trzydziestu centymetrów kwadratowych i grubość dwóch i pół centymetra. Studwudziestopięciohercowy, marki MaxiProx, wyprodukowany przez HID Corporation, firmę z Teksasu, fabrykanta większości kart magnetycznych i czytników używanych przez korporacje na całym świecie.

Moja współpracownica odkręciła śrubę skrzydełkową na górnej obudowie urządzenia i zdjęła pokrywę. Następnie wyłuskała ze środka maleńką kartę pamięci i wetknęła ją do swojego laptopa.

Dorothy kilka razy zamrugła, a potem się uśmiechnęła.

– Złapałeś cztery różne karty.

– Recepcjonistka, partner w kancelarii, czyli Ashton Norcross, i pewnie dwóch pracowników, obok których stałem w windzie – domyśliłem się.

Kiwnęła głową.

– Nie wiem, czy mają tam jakąś gradację w poziomach dostępu do siedziby firmy, ale Norcross jest jednym z partnerów, więc niewątpliwie posiada najwyższe uprawnienia. Sklonujemy jego kartę.

Omówiliśmy wszystko, co zaobserwowałem podczas mojej wizyty w tej firmie – rozmieszczenie kamer monitoringu, strefy sprawiające wrażenie zamkniętych i odseparowanych, rodzaj zabezpieczeń skarbcza, który nazywano tam komorą pancerną.

– Skarbiec jest zamykany osobno za pomocą przycisku uruchamiającego mechanizm Kaba Simplex – powiedziałem.

– Wiesz coś na jego temat?

– Daj spokój. Dlatego teraz potrzebny jest nam Merlin. To robota co najmniej dla dwóch osób.

Dorothy wzruszyła ramionami.

– Okej. A tu mamy niesamowicie superfajny sprzącznik o nazwie

Rubber Ducky. – I podała mi coś, co wyglądało jak pendrive.

– Gumowa kaczuśka?

– Właśnie. Wiem, że głupio brzmi, ale działa śmiertelnie poważnie. Wpina się to do portu USB dowolnego komputera i można śmigać.

– Będę cię potrzebował w takim razie. Musisz pójść razem ze mną i pomóc mi to coś obsłużyć.

– Ależ to jest najfajniejsza zabawka ze wszystkich. Działa na zasadzie „odpalasz i zapominasz”.

– A co się stanie, jak podłączę to urządzenie, a potem nagle uruchomi się jakiś program antywirusowy? To przecież całkiem prawdopodobne.

– Ktoś wziął już to pod uwagę. Nic takiego nie powinno się wydarzyć. Urządzenie jest skonfigurowane jako HID, czyli do wprowadzania danych przez człowieka, podobnie jak myszka czy klawiatura. Komputer wykryje, że to HID, i okaże mu zaufanie.

– W porządku. W takim razie podłączam ten pendrive, i co dalej?

– Natychmiast zaczyna podawać kod z szybkością tysiąca znaków na minutę. Tworzy w sieci jakby skorupę i bardzo szybko umożliwia dostęp do uprawnień na poziomie roota. Uruchamia coś, co nazywa się Metasploit, wynajdując słabe punkty w każdym oprogramowaniu. Podaje fałszywą nazwę użytkownika i wymyśla hasło. A potem... będę już mogła wejść do serwera firmy Norcross i McKenna nawet stąd.

Podniosłem gumową kaczuśkę, pobawiłem się nią chwilę i odłożyłem.

– Jeżeli masz rację, to naprawdę fajny gadżet. Typu plug and play, tak?

– No cóż... Żeby go we właściwy sposób odpalić, czeka mnie dziś po południu mnóstwo programowania. Ale da się zrobić.

Merlin – nigdy nie zwracam się do niego per „Walter” – był chudy i niski, mierzył jakiś metr siedemdziesiąt. Osoby o takich warunkach fizycznych spotykało się w siłach specjalnych zaskakująco często. Miał krótko przyszczyżone czarne włosy

z początkami siwizny, nieco cofnięty nos o dużych nozdrzach oraz cienkie czarne wąsy. Pionowe linie na czole i między oczami nadawały mu rozgniewany wygląd.

O ile się orientowałem, nie miał rodziny, i tylko jedno hobby: sportowe łowienie ryb. Mieszkał w Dunkirk, gdzie w marinie Harbour Cove w Deale trzymał swoją łódź. Stale gdzieś nią wypływał. Udało mi się go złapać na łódzie i opowiedzieć o czekającej nas robocie. Było to łatwe, nieskomplikowane zadanie wywiadowcze, z rodzaju tych, które niejednokrotnie wspólnie realizowaliśmy. W ramach wynagrodzenia zaproponowałem Merlinowi dwa tysiące dolców, przy czym w razie ewentualnych niespodzianek kwota ta miała ulec podwojeniu; zgodził się szybko. Jego własny biznes kręcił się słabo, wieczory miał wszystkie wolne.

Po południu załatwiłem różne sprawy, gromadząc wszystko, czego mogliśmy ewentualnie potrzebować. Z Merlinem spotkałem się koło północy w pewnym szemranym lokalu, usytuowanym przy niedużej galerii handlowej w Leesburgu. Wybrał go, ponieważ pub miał osobną, wentylowaną część dla palaczy, której istnienie umożliwiały luki w prawie stanu Wirginia. Żaden z nas nie wziął do picia niczego z alkoholem; chcieliśmy zachować jasny umysł przed robotą, dlatego zamówiliśmy po coli i zajęliśmy osobny boks. Merlin nieustannie palił papierosy.

Pokazałem mu przezroczyste maski halloweenowe, które kupiłem w sklepie z kostiumami: jedną młodego, a drugą starego mężczyzny. Obie zmieniały nasze oblicza nie do poznania. Merlin nalegał, żeby przydzielić mu maskę młodzieńca. W toalecie przebraliśmy się w granatowe koszulki z naszywką „Compuservice” na lewej piersi. Dla każdego z nas przygotowałem skrzynkę z narzędziami.

To była ta część zadań wywiadowczych, która zawsze kręciła mnie najbardziej: przygotowania, analiza wszystkich ewentualności, rozmyślanie o tym, co mogłoby pójść nie tak. Nerwy napięte jak postronki. Gromadzenie sprzętu, tworzenie list, zapewnienie sobie dróg odwrotu w razie wpadki.

Ale nie można zapanować nad wszystkim, zabezpieczyć
każdego scenariusza. I sprawa się posypała.
Życie bywa gówniane.

Było parę minut po drugiej w nocy. Parking stał ciemny i prawie pusty. Zimny wiatr smagał nasze twarze. Jedyne światła w budynku, o ile mogłem dostrzec, paliły się w holu, gdzie za kontuarem siedział samotny ochroniarz, pewnie szperając od niechcenia w Internecie.

Drzwi wejściowych nie zamknięto na klucz.

– Dobry wieczór czy raczej dzień dobry? – rzuciłem, mijając strażnika.

Uśmiechnął się i zasalutował. Byliśmy pewni siebie, wiedzieliśmy, dokąd iść, wyglądaliśmy na takich, którzy tu pracują. Uznał nas zapewne za komputerowych nerdów, którzy przyszli usunąć jakąś awarię sprzętu. Skierowaliśmy się w stronę wind, gdzie nie było już żadnej ochrony. Łatwizna.

Wysiedliśmy na trzecim piętrze. Światła w holu tliły się słabo. Szybko podeszliśmy do szklanych drzwi frontowych kancelarii Norcross i McKenna, całkowicie ciemnych. Najwyraźniej wewnątrz nikogo nie było. O to się szczególnie martwiłem: przecież prawnicy często przesiadują po nocach. Nie byłbym zaskoczony, gdybym w godzinie duchów zobaczył tam jakieś samotnego, ciężko harującego i znękanego współnika, a nawet kilku szeregowych pracowników. O drugiej nad ranem szanse na takie spotkanie były już mniejsze.

Wyciągnąłem ze swojego zestawu narzędzi nasze maski i jedną z nich, tę młodzieńczą, podałem Merlinowi. Sam założyłem oblicze starca. Wcześniej zauważyłem, że zaraz za szklanymi drzwiami znajduje się kamera monitoringu, wycelowana prosto w wejście. Od tej chwili mieliśmy być nagrywani. Ustalenie naszej tożsamości uniemożliwiłoby jednak bejsbolówki i maski.

Machnąłem sklonowaną kartą magnetyczną obok czytnika, czarnej skrzyneczki zamontowanej na ścianie nieopodal szklanych drzwi. I zagryzłem wargi.

Światelko przeskoczyło z czerwonego na zielone, usłyszałem piknięcie. Pchnąłem drzwi, które natychmiast się otworzyły.

Dopiero wtedy, gdy coś we mnie puściło, zdałem sobie sprawę, jak bardzo byłem napięty i pełen lęku.

W pokojach paliły się światła awaryjne, umieszczone tuż nad podłogą, podobnie zresztą jak wcześniej w holu, więc mimo słabego oświetlenia bez trudu odnajdowaliśmy drogę. Wiedziałem, w którą stronę iść.

Przez kręte korytarze doprowadziłem Merlina do pancерnej komory. Jej drzwi wyglądały na drewniane, być może mahoniowe, tak jak wszystkie pozostałe w kancelarii, ja jednak miałem świadomość, że to tylko powłoka na kilkunastocentymetrowej hartowanej stali. Do tego pomieszczenia nie można się było wśliznąć kanałami wentylacyjnymi ani przez strop. Żadnego podwieszanego sufitu. Ściany, podłoga i sklepienie zostały wzmocnione warstwą betonu – jak z dumą objaśnił mi Norcross – o grubości dwudziestu centymetrów. Komora była nie tylko ognioodporna, lecz także znakomicie chroniona przed każdym intruzem i każdą penetracją.

Merlin kilkakrotnie zapukał w drzwi, a słysząc ich głuchy odgłos, zachichotał. Następnie rzucił okiem na stalową dźwignię wystającą z panelu sterowania zamkami Simplex, na którym w pionowym rzędzie widniało pięć stalowych przycisków. Kiwnął głową i przebiegł przez nie palcami. Znał ten rodzaj zamka, ponieważ spotyka się go w różnych firmach, na przykład w sklepach jubilerskich, w sklepach z zegarkami czy kasynach. FedEx korzysta z nich w celu zabezpieczenia dostępu do swoich paczkomatów.

– Zajmij się tym – poleciłem. – A ja skoczę do gabinetu Norcrossa.

– Nigdzie nie łaż – odrzekł Merlin. – To potrwa najwyżej parę sekund.

Rozpiął swoją skrzyneczkę z narzędziami i wyjął z niej mały płócienny worek. Z niego z kolei wysunął podłużny blok metalu, rozmiarów pięć na siedem i pół centymetra.

– Patrz – polecił. Umieścił lśniący kawałek żelastwa tuż obok panelu simpleksa, a potem złapał za dźwignię i spróbował ją przekręcić. Nic się nie wydarzyło.

– Cholera – skomentował Merlin. – Przygotowali się.

– Co robisz?

– To bardzo silny magnes. Neodymowy. Parę lat temu jakiś ekspert od zabezpieczeń wykonypował, że jak się przyłoży taki magnes do simpleksa, to komora szyfrowa zgłupieje i zamek od razu puści.

– Nie wygląda na to, żeby puścił.

– No. Pewnie upgrade’owali system do takiego, w którym używa się metali niezłaznych. Kurka wodna. To byłoby zbyt łatwe, nieprawdaż?

– I co teraz?

– Zrobimy to po staroświecku. – Wyciągnął z kieszeni złożoną kartkę. Widniała na niej długa kolumna liczb. – To mi powinno zająć mniej więcej kwadransik.

– Jeśli będziesz miał farta – powiedziałem.

Merlin chrząknął.

Panel simpleksa miał pięć guzików, które można było wciskać w dowolnej kolejności. I tylko jedną słabość: w danej kombinacji jednego numeru wolno użyć zaledwie raz. Oznaczało to, że liczba kombinacji ograniczała się do tysiąca osiemdziesięciu dwóch. „Tylko”. Nie wiem, jak się coś takiego oblicza, ale słyszałem, że nauczyciele matematyki dają uczniom do rozwiązania zadanie o nazwie „algorytm simpleksowy”: ustal liczbę możliwych kombinacji w zamkach o pięciu przyciskach.

– Mogę nieco skrócić ten czas – powiedziałem. – Widziałem, że Norcross wcisnął cztery guziki, nie pięć.

– Doprawdy?

Na wyjętej przez Merlina kartce znajdowała się lista wszystkich możliwych kombinacji otwarcia mechanizmu blokującego marki Simplex. Dla pięciu przycisków. Teraz pozostało znaleźć w spisie kombinacje czterocyfrowe.

Naprawdę uważałem, że będziemy mieć szczęście, jeśli cała zabawa potrwa nie dłużej niż kwadrans.

Po raz ostatni sprawdziłem nasze krótkofalówki, a potem zostawiłem Merlina wciskającego poszczególne guziki. Wyjawszy swoją kieszonkową latarkę, udałem się na wędrowkę korytarzami, aż w końcu natrafiłem na gabinet Norcrossa. Drzwi były zamknięte, tak jak się tego spodziewałem. Czarne litery na złotej tabliczce informowały: „Ashton Norcross”. Machnąłem kluczem magnetycznym, czytnik piknął, czerwona lampka ustąpiła zielonej.

O ile mogłem stwierdzić, w środku nie zainstalowano monitoringu, nie chciałem jednak ryzykować i założyłem maskę. Bo jeśli jest jakaś kamera, tylko dobrze ukryta? To mało prawdopodobne, ale wciąż możliwe, dlatego nie warto się narażać na ryzyko uwiecznienia na zdjęciach.

Pod maską zrobiło mi się gorąco, zacząłem się pocić. Krople spływały mi po twarzy.

Z poprzedniej wizyty pamiętałem, że za biurkiem stoi komoda, a na niej książki i różne bibeloty. Dolny fragment mebla przekształcono w coś w rodzaju szafki na dokumenty. Doszedłem do wniosku, że tam pewnie przechowywane są akta spraw bieżących, nad którymi Norcross właśnie pracował. Nie była zamknięta na klucz, ale z rozczarowaniem stwierdziłem, że w środku znajduje się tylko parę ryz papieru do drukarki i właściwie nic więcej. Odwróciłem się więc i przeszukałem biurko. Na jego blacie znalazłem jedynie zestaw do pisania, lampę, jakieś pierdółki oraz monitor.

Przykucnąłem i świecąc sobie latarką, zlokalizowałem pod biurkiem obudowę komputera wciśniętą w kąt. Maszyna cicho mruzczała. Znalazłem port USB i włożyłem w niego gumową kaczuszkę.

Wcześniej Dorothy poinstruowała mnie, aby pozwolić urządzeniu tkwić w kompie przynajmniej dziesięć minut, choć zapewne dokona ono dzieła w zaledwie pięć.

Wstałem i zacząłem otwierać szuflady w biurku Norcrossa w poszukiwaniu jakiejś karteczki z zapisanymi na niej liczbami. Zdziwilibyście się, wiedząc, jak często znajduję szyfry do sejfów albo hasła do komputerów nabazgrane na skrawkach papieru lub

bloczkach samoprzylepnych. W dzisiejszych czasach wszyscy mamy aż nadto różnych haseł i liczb do zapamiętania; poza tym trudno byłoby oczekiwać, że facet zna na pamięć całą kombinację otwierającą wejście do komory pancерnej. A jednak niczego nie znalazłem. Punkt dla gościa. Praktykował właściwą higienę zabezpieczeń.

Potem pomyślałem, że przecież tuż obok, zaraz za gabinetem znajduje się biurko asystentki Norcrossa, bardziej odpowiednie miejsce na umieszczenie jakiejś karteczki. Wszedłem więc z pokoju partnera kancelarii i skierowałem się do rzeczonoego mebla. Sprawdziłem szuflady, także od spodu, obejrzałem monitor i klawiaturę – czyli wszystkie typowe lokalizacje.

Ale i tam niczego nie znalazłem. Zarówno Norcross, jak i jego asystentka to byli nieźli cwaniacy.

W takim razie może drugi współnik, ten McKenna? Oby był bardziej niechlujny.

Poszedłem korytarzem do drugiego narożnego gabinetu, na którym – oczywiście – widniała tabliczka z napisem „James McKenna”. Machnąłem kartą magnetyczną przed czytnikiem umieszczonym pod klamką, ale nic się nie wydarzyło. Pewnie wymagał odrębnego kodu, żadne zaskoczenie. Przetrzęsnałem więc biurko jego asystentki. Ta okazała się słabiej zorganizowana; w szufladach natrafiłem na nadmiar materiałów biurowych, takich jak pudełka ze spinaczami do papieru, tonery do drukarek, taśmy klejące, zszywki. Sprawdzenie tego zagraconego mebla zajęło mi znacznie więcej czasu, ponieważ co chwilę coś budziło moje zaciekawienie, miałem sporo różnych papierków do skontrolowania. Mimo to nie znalazłem żadnej kombinacji otwierającej podwoje pancерnej komnaty.

W milczeniu spoglądałem na drzwi do gabinetu McKenny, przez chwilę rozmyślając, w jaki sposób mógłbym się tam dostać.

Nagle ożyła moja krótkofalówka i usłyszałem głos Merlina.

– Wszedłem.

Wziąwszy swoją skrzynkę z narzędziami, ruszyłem przez labirynt korytarzy w kierunku skarbcza. Merlin przytrzymał otwarte drzwi; jego dziwny wygląd wprowił mnie niemal w szok, dopóki sobie nie uprzytomniłem, że przecież obaj nosimy maski.

– Wiedziałem, że to tylko kwestia czasu. Mogę już zdjąć ten cholerny kamuflaż?

– Nie tutaj – odpowiedziałem.

– No tak. Masz rację.

Merlin pozwolił, by drzwi się zamknęły z pneumatycznym sykiem, podobnym do dźwięku, jaki wydaje otwierana tuba z piłkami tenisowymi, po którym nastąpił głuchy łomot przypominający trzaśnięcie drzwi samochodu. W skarbcu nie było nic poza długim rzędem czarnych metalowych szafek na akta. Nagle zauważyłem kolejną klawiaturę numeryczną, zamontowaną na ścianie obok ościeżnicy. Zauważyłem ją dlatego, że zaczęła wydawać z siebie pikający, powolny, złowieszczy i wysoki dźwięk.

– Co to? – zapytał Merlin.

– Cholera jasna.

Dobrze wiedziałem, co to jest, choć nigdy wcześniej tego nie widziałem. Każdy, kto wchodził do skarbcza, musiał potwierdzić swoje uprawnienia, wklepując kod weryfikacyjny.

A jeśli nie?

Nie miałem pojęcia, co się wtedy stanie.

– Może to taki sam kod jak ten, który otwiera drzwi – rzuciłem. – Pamiętasz go?

Merlin rozłożył swoją listę.

– Tak. Dwa, dziewięć, trzy, pięć.

Odwróciłem się na pięcie i wcisnąłem cztery wymienione cyfry. Ale pikanie trwało nadal, czerwona dioda błyskała.

– Nie ten – stwierdziłem. – Jasna dupa.

– Czyli co to jest, wtórny alarm?

– Chyba tak. Automatycznie aktywujący się w nocy, prawdopodobnie. – Spróbowałem wprowadzić domyślne wartości: 1111, 9999 i 1234, ale nic nie powstrzymało pikania.

Po mojej twarzy ukrytej pod maską spływały krople potu. Było gorąco, wilgotno i bardzo nieprzyjemnie.

– Chcesz spróbować? – zapytałem.

– Pewnie, ale też mogę tylko zgadywać.

– Ja tymczasem zajrzę do dokumentów.

Odsunąłem się, robiąc miejsce Merlinowi. Zaczął wciskać cyferki na chybił trafił, coraz szybciej.

Pikanie nie ustawało, bezlitosne.

Przyjrzałem się bacznie szeregowi szafek na akta. Było ich dwanaście, ustawionych w porządku alfabetycznym, każda z czterema szufladami. Na pierwszej szufladzie znajdowały się litery „A–Am”. Nie bardzo wiedziałem, gdzie właściwie powinienem szukać. Pod „S” jak Slander Sheet? Czy jak Slade Group? Przesunąłem się wzdłuż rzędu i znalazłem szufladę oznaczoną „Sh – Sy”. Otworzyłem ją.

Wszystkie dokumenty oddzielały plastikowe zakładki, z nazwiskami bądź nazwami w rodzaju Schuster Institute albo Symons, Kendrick.

Było tam też to, o co mi chodziło: Slade Group. Z napięciem wyciągnąłem brązowy folder. Otworzyłem go i znalazłem korespondencję między Ashtonem Norcrosssem a niejaką Ellen Wiley z Upperville w stanie Wirginia. Ellen Wiley. To nazwisko wydało mi się odlegle znajome.

Pikanie zamilkło, nagle i bez ostrzeżenia.

– Odkryłeś kod? – spytałem, odwracając się.

Merlin wzruszył ramionami:

– Nie. Po prostu ni stąd, ni zowąd...

Rozległ się metaliczny dźwięk.

– Co to było, do diabła? – zawołał Merlin.

– Chyba system ponownego zamykania drzwi. Sprężynowe rygle. Otwieraj, natychmiast!

Podeszliśmy szybko do drzwi i szarpnęliśmy za dźwignię.

Wrota ani drgnęły.

– Co jest, do diaska? – powtórzył Merlin.

– Tego się właśnie obawiałem. – Systemu ponownego ryglowania. Wiedziałem, że został zaprojektowany tak, aby zablokować drzwi po otwarciu. Mechanizm ten można znaleźć w niektórych safe-roomach albo w schronach. Miałem już niemal pewność, że ten skarbiec był de facto swoistym azylem.

– Jesteśmy zamknięci – powiedział mój partner.

Pokiwałem głową.

– Musi być jakiś sposób, żeby otworzyć te drzwi od wewnątrz.

– Niekoniecznie. Wszystko zależy od projektu.

Merlin ponownie szarpnął za dźwignię.

– Cholera. Dobra, chrzanić to. – Walnął pięścią w stal, co nie przyniosło żadnego efektu, poza bólem ręki. Jęknął i odwrócił się plecami do drzwi. Zbliżyłem się, chcąc bliżej zbadać framugę, i wtedy zauważyłem silikonową uszczelkę. Wyjąłem scyzoryk, a następnie przesunąłem ostrzem wzdłuż szczeliny pomiędzy drzwiami a ościeżnicą. Bardzo mało miejsca. Mniej więcej co trzydzieści centymetrów nóż trafiał na coś twardego, zapewne rygle blokujące. Drogi ewakuacyjnej nie było.

A potem poczułem dym.

Pociągnąłem nosem, rozejrzałem się i zobaczyłem, jak Merlin podpala kartkę, którą najwyraźniej wyjął z jednej z szuflad na akta. Papier szybko zajął się ogniem, buchając kłęбами dymu.

– Co ty wyrabiasz, do cholery...? – krzyknąłem, ponieważ właśnie rozległ się głośny dźwięk syreny.

– Zobacz. – Wolną ręką Merlin wskazał na sufit, gdzie znajdował się czujnik dymu. Wokół krawędzi stropu, co kilka metrów, zamontowano spryskiwacze, tylko że te wypuszczały teraz jakiś gaz, a nie wodę.

– Co ty wyrabiasz, cholera jasna? – powtórzyłem pytanie.

– Dzięki temu powinien się automatycznie uruchomić mechanizm otwierania drzwi – odparł z krzywym uśmiechem Merlin.

Kartka zmieniła się w czarną smużkę popiołu i odfrunęła, tańcząc w powietrzu. Dym był już tak gęsty, że gryzł mnie w oczy.

– Ty pieprzony idioto! – wrzasnąłem. – Ten gaz to halon! – Naklejka na ścianie po lewej ostrzegała:

UWAGA!

POMIESZCZENIE CHRONIONE SYSTEMEM PRZECIWPOŻAROWYM HALON 1301. W RAZIE ALARMU LUB PO WYDOSTANIU SIĘ GAZU NATYCHMIAST EWAKUOWAĆ SIĘ ZE STREFY ZAGROŻENIA.

– Nikt już nie stosuje halonu!

– Owszem – nie zgodziłem się. – Czasem stosuje.

Jakiś czas temu ustalono, że halon niszczy strefę ozonową, i zakazano jego używania. Jednak wciąż był obecny w istniejących wcześniej systemach przeciwpożarowych, które pozostały, na zasadzie wyjątku od reguły. Nadal uważano halon za lepszą alternatywę spryskiwaczy wodnych, zwłaszcza w archiwach oraz w placówkach, w których woda mogłaby uszkodzić papierowe dokumenty. Nie wynaleziono bowiem nic równie skutecznego, co mogłoby ów gaz zastąpić.

Co gorsza, halon był nie tylko niekorzystny dla środowiska naturalnego, lecz także dla ludzi. W wysokim stężeniu – to znaczy po kilku minutach wypuszczenia go przez dysze podsufitowe – mógł trwale uszkodzić układ nerwowy człowieka, powodując jego śmierć.

A zatem tkwiliśmy w pułapce.

System przeciwpożarowy nie spowodował otwarcia drzwi komory pancernej. Mechanizm odblokowujący został uszkodzony przez nasze próby rozbiorzenia wtórnego układu zabezpieczeń.

Merlin zakasłał, potem i ja rozkaszałem się na dobre. Byłem na niego wściekły za to, że wpuścił tutaj ten gaz, za impulsywność jego działań, których nawet ze mną nie skonsultował. Ale co gorsza, zaczynałem czuć lodowate macki paniki, obejmujące moje wnętrze.

Nie widziałem dla nas żadnej drogi ewakuacji.

Mimo ogłuszającego wycia alarmu, mimo syku przedostającego się do środka halonu, mimo narastającej klaustrofobii i poczucia zamknięcia w tej stalowej trumnie, zmusiłem się do koncentracji. Do myślenia.

Nie było to łatwe. Czuję się coraz bardziej otumaniony od wdychanego gazu, nie przestawałem kaszleć. Moje ciało desperacko domagało się tlenu.

Właściwie to, co zrobił Merlin, nie było aż tak głupie. Uruchomienie alarmu ogniowego powinno spowodować automatyczne otwarcie drzwi skarbca. Tego wymagał nie tylko zdrowy rozsądek, lecz chyba także przepisy przeciwpożarowe.

Jednak tutaj, w tej pancernej komorze, ważniejsze było bezpieczeństwo dokumentów niż ludzi. Niewpisanie właściwego kodu na drugim panelu oznaczało, że jesteśmy skazani na uwięzienie, bez względu na jakieś tam regulacje przeciwpożarowe.

Kiedy jako nastolatek mieszkałem w miasteczku Malden, na północ od Bostonu, przesiadywaliśmy z kumplami w warsztacie blacharskim Norman Lang Motors, gdzie handlowano również używanymi samochodami. Właścicielem tego zakładu był ojciec jednego z kolegów. Tam, od komornika zresztą, nauczyłem się otwierać zamki w drzwiach, nabyłem także podstawową wiedzę na temat instalacji elektrycznych, czyli dowiedziałem się czegoś, co studiują inżynierowie. Dlatego rozumiałem, że drugi panel alarmowy musi być skomunikowany z jakimś przełącznikiem, który uruchamia rygle blokujące. Znalezienie owego przełącznika nie zajęło mi dużo czasu. Mieścił się w białej metalowej skrzynce o powierzchni około dwudziestu centymetrów kwadratowych, zamontowanej na ścianie tuż obok drzwi. Nie rzuciła się w oczy, łatwo ją było przegapić. W takich skrzynkach zawsze znajduje się elektromagnes, który albo zamyka przełącznik, albo go otwiera.

I to właściwie wszystko, co wiedziałem na temat wspomnianych przełączników, suma mojej wiedzy.

Do przełącznika podłączono biały kabelek elektryczny szerokości około centymetra, który biegł wzdłuż framugi, a potem wystrzelał prosto w stronę sufitu. To musiało być zasilanie.

Przekazałem Merlinowi brązowy folder, aby mieć wolne obie ręce.

– Daj mi swój magnes – poleciłem.

Merlin, rzecz jasna, najwyraźniej rozumiał, co chcę zrobić. Niewątpliwie znał się na mechanice i inżynierii o niebo lepiej niż ja.

– Myślisz...?

Wręczył mi podłużny magnes, który wcześniej nazwał neodymowym. Żelastwo musiało być potwornie silne, ale czy wystarczająco? Ująłem je w ręce i przykląknąłem. Otworzyłem metalową skrzyneczkę, w której wnętrzu ujrzałem – zgodnie z przypuszczeniami – miedzianą cewkę. Bebechy elektromagnesu. Przyłożyłem magnes do obudowy skrzynki i czekałem.

Nic się nie stało.

Ścisnęło mnie w klatce piersiowej, brakowało mi tchu i kręciło mi się w głowie. Tętno zdecydowanie przyspieszyło, nie tylko wskutek wyrzutu adrenaliny.

– Piękna próba – odezwał się Merlin. – Ale lada moment będzie tu straż pożarna.

I wtedy zrobiłem coś, co wypływało z czystej desperacji. Wyciągnąłem glocka ukradzionego z domu Curtisa Schmidta. Wstałem, chwyciłem pistolet w obie dłonie i wycelowałem. W mojej głowie wszystko się kotłowało.

– Heller, przestań się wygłupiać.

– Odsuń się – powiedziałem.

Wystrzeliłem prosto w okablowanie przy framudze drzwi.

Przez chwilę nic się nie działo.

Potem rygle puściły, wydając znajomy dźwięk. Złapałem za dźwignię i pociągnąłem, otwierając drzwi. Obaj daliśmy nura do

przodu, jak najdalej od halonu, i haustami wciągaliśmy czyste powietrze. Chwiałem się lekko na nogach. Gdzieś w oddali słychać było syreny, co oznaczało, że dotarcie do budynku nie zajmie strażakom wiele czasu.

Merlin wskazał jakieś drzwi, na których widniał napis „Schody”. Zerwaliśmy z siebie maski, by móc lepiej oddychać.

I pobiegliśmy.

- Dałem ciała, Nick – powiedział Merlin.
 - Pomysł był dobry. Tylko nie podziałał. Nie ty schrzaniłeś.
 - Nie, nie chodzi mi o podpalenie tego papieru. To uważam za całkiem sprytne. Mam na myśli, że zostawiłem ten folder w budynku.
 - O rany. – Przerwałem. – Serio? No, to już jest danie ciała, bez wątpienia. – Poczujęm przyptyw wściekłości, choć ze wszystkich sił starałem się ją ukryć. Merlin wyglądał na tak przybitego, że natychmiast dodałem: – Ale to żadna tragedia. Znamy nazwisko i lokalizację. Ellen Wiley z Upperville w Wirginii. Zapamiętałem przynajmniej tyle.
 - Okej – powiedział bez przekonania.
- Szliśmy ciemną szeroką ulicą, od jednej kałuży żółtawego światła sodowych latarni do drugiej. Ruch był niewielki, ale jednak. O czwartej nad ranem do świtu wciąż pozostawało kilka godzin.

Błąd Merlina sprawił, że wywierana na nas presja jeszcze wzrosła – przez „nas” rozumiałem siebie, Dorothy, a obecnie także Mandy Seeger, ponieważ uważałem ją za członkinię naszego zespołu. Nie tylko uruchomiliśmy alarm ogniowy i uszkodziliśmy drzwi komory pancernej. Było też oczywiste, że w pewnym momencie ktoś w tej kancelarii się zorientuje, że folder dotyczący Slade Group został wyciągnięty z szafek – a wtedy zegar zacznie tykać. Fakt, że wybrano i pozostawiono gdzieś indziej akurat te akta, podpowie tamtym, iż sprawa jest poważna. Migotliwa strzałka neonu wskaże Ellen Wiley. Być może ostrzegą ją, że powinna się spodziewać odwiedzin.

Ponieważ taka wizyta była nieodzowna.

Pozwoliłem sobie na pięć godzin snu. Czyli minimalną dawkę, bez której nie mógłbym działać, albowiem moje zdolności

i władze umysłowe byłyby znacząco osłabione. O dziesiątej spotkaliśmy się we troje w salonie hotelowego apartamentu. Już wcześniej przekazałem Mandy nazwisko właścicielki portalu Slander Sheet, to znaczy Ellen Wiley. A reporterka zadzwoniła do swego starego znajomego w „Washington Post”.

– A zatem to Ellen Wiley? – rzuciła Mandy. – Niesamowite.

Siedziała rozwalona w dużym fotelu wypoczynkowym, z jedną nogą wetkniętą pod drugą. Miała na sobie czarne legginsy i białą koszulę. Falujące włosy spięła wysoko. Nie potrafiłem się zdecydować, czy jest ruda, czy raczej brunetką z miedzianymi pasemkami.

– Zagadkowa właścicielka we własnej osobie – powiedziałem. – Co powinniśmy o niej wiedzieć?

Mandy przeglądała stertę papierów.

– Mój znajomy z „Washington Post” wydobyl teczkę pani Wiley i przesłał mi jej zawartość mejlem. To ciekawy przypadek, ta kobieta. Niezwykle bogata spadkobierczyni tytoniowego imperium. Odziedziczyła sporą część majątku Philipa Morrisa. Posiada domy w Upperville, w Anguilli, Scottsdale oraz luksusowe mieszkanie w samym centrum Manhattanu, z którego korzysta okazjonalnie. Jestem prawie pewna, że jej główną rezydencją jest Upperville. Wielka posiadłość, około tysiąca hektarów, w hrabstwie słynącym z koni i polowań. Ta kobieta to hojny mecenas sztuki. Przekazuje spore sumy na Muzeum Sztuk Pięknych w Richmond oraz Fundację Oak Spring Garden w Upperville. Trzykrotna rozwódka, za każdym razem wychodziła za mężczyznę młodszego od siebie. Nie jest odludkiem, ale wykazuje skrajną niechęć do pokazywania się publicznie. Trzyma się z dala od prasy.

– Po co jej zatem Slander Sheet? – zapytała Dorothy.

Mandy szperała w swoich aktach.

– I to jest zagadka.

– Muszę się jej bliżej przyjrzeć. Zadać kilka pytań. Jestem całkiem dobry w rozpracowywaniu kłamców.

Mandy kiwnęła głową.

– Okej.

- Gdzie ta pani teraz jest? Jak się tego dowiemy?
- Dziennikarka się uśmiechnęła.
- W swojej posiadłości w Upperville.
- Na pewno?
- Wieczorem organizuje u siebie imprezę dobroczynną na rzecz rannych weteranów wojennych.
- Czyli dziś odpada. Wybierzemy się do niej jutro.
- Moim zdaniem powinniśmy to zrobić dzisiaj. Przecież jesteś weteranem, prawda?
- Nigdy nie byłem ranny. My?
- Znowu się uśmiechnęła.
- Musisz mieć towarzyszkę.
- Nie zostałem zaproszony.
- Co to znaczy „zaproszony”?
- Podoba mi się twój styl – powiedziałem.

Jazda do Upperville zajęła nam nieco ponad godzinę; ruszyliśmy sześćdziesiątkąszóstką prosto na zachód, a potem skręciliśmy na północ, na pięćdziesiątkę.

Założyłem garnitur – nie wziąłem ze sobą niczego bardziej eleganckiego, rzecz jasna, tylko to wdzianko, w którym przyjechałem z Bostonu. Mandy natomiast miała na sobie biały, zapinany na suwak żakiet z baskinką oraz dopasowaną kolorem spódnicę. Odniosłem wrażenie, że poświęciła trochę czasu na zrobienie sobie makijażu. Wyglądała wspaniale, atrakcyjnie i światowo.

Prowadziłem, a podczas jazdy ucieliśmy sobie miłą, bardzo przyjacielską pogawędkę. Przez chwilę omawialiśmy okres pracy Mandy w „Washington Post”, a potem moją służbę w Iraku i Bośni. Ocieranie się o tematy, o których nie mogłem rozmawiać, chyba sprawiało jej przyjemność. Domyślałem się, że musiała być nieugięta w swym dziennikarskim fachu. Opowiedziała mi też o kwerendzie, jaką przeprowadziła na temat sędziego Claflina, pisząc artykuł na temat Kayli. Spytałem, czy zechciałaby podzielić się ze mną szczegółami innych swoich śledstw dziennikarskich.

– Pewnie. W mojej dokumentacji są same smaczki.

– Coś na mój temat?

– Nie pochlebiaj sobie. Slander Sheet interesuje się tylko wpływowymi i sławnymi. Im bardziej ktoś jest lubieżny, tym lepiej. Gideon też tam jest.

– Gideon?

– Krążyły plotki, że to straszny pies na baby.

– Przecież on ma siedemdziesiąt pięć lat.

– No to co? Wiesz, że jego siostra została zgwałcona?

Pokręciłem głową.

– Wiele lat temu. To wydarzenie ukształtowało go takim, jakim

jest dzisiaj.

– To znaczy?

– Podobno gwałciiciel był biały. Nigdy go nie złapano.

– Może brakowało dowodów. Albo nikogo to nie obchodziło.

– Może. A żona szefa personelu Białego Domu jest kleptomanką, jak słyszałam. Kradnie w sklepach. Natomiast człowiek numer dwa w CIA prawdopodobnie popełnił plagiat pracy magisterskiej w Woodrow Wilson School.

– I to cię wszystko obchodzi? To znaczy, te plotki?

– Nieszczęśliwie.

– Mnie też nie. A kiedyś cię interesowały? Zanim cię wyrzucili z pracy?

– Spłacam kredyt hipoteczny – odparła cicho.

Zarzucałem ten temat.

– Jaki jest plan gry? – odezwała się Mandy, kiedy mijaliśmy Manassas. – Zamierzasz tak po prostu zapytać tę panią, czy kazała zamordować Kaylę Pitts?

– Wiesz, jakie są reguły tego typu zabawy: najpierw trzeba ją umiejętnie podejść, skłonić do mówienia, rozpracować. Zorientować się, ile wie.

– A jeśli będzie kłamać?

– Z kłamstwami mam do czynienia cały czas. To moja robota.

– Musi być przygnębiająca.

– Niezbyt. Łgarstwo to też informacja, można się z niego wiele dowiedzieć. Czasem więcej, niż słysząc prawdę. Jeśli Ellen Wiley nas okłamie, to będzie to jakaś wskazówka.

– Ale wcale nie uważasz, żeby zleciła zabójstwo Kayli, prawda?

– Myślę, że uruchomiła ciąg zdarzeń. Że planowała wykorzystać tę internetową szmatę o nazwie Slander Sheet do zniszczenia Jeremiaha Claflina z jakiegoś sobie znanego powodu. Zachowała się niczym Hearst na sterydach: wykreowała newsa, a potem go rozpowszechniła.

– Tak sądzisz?

– Pamiętasz sprawę wojny hiszpańsko-amerykańskiej? – Mandy musiała wiedzieć, o czym mówię. U schyłku XIX wieku dwóch magnatów prasowych, William Randolph Hearst i Joseph

Pulitzer, kazało swoim korespondentom wymyślać sensacyjne, a przy tym całkowicie fikcyjne historie o okrucieństwach, jakie rzekomo miały miejsce na Kubie, co ostatecznie pchnęło Stany Zjednoczone do wojny z Hiszpanią. Wszystko dlatego, że Hearst i Pulitzer toczyli własną wojenkę – kto osiągnie większy nakład. Kto sprzeda więcej gazet.

– No dobrze – powiedziała Mandy – ale żeby zabijać Kaylę...?

– Wydaje mi się, że Ellen Wiley zażyczyła sobie po prostu wybuchu skandalu. Nie morderstwa. Ale bandyci, których wynajęła, posunęli się o krok za daleko. Zabili dziewczynę, ponieważ mogła im zagrozić. W ostatecznym rozrachunku każdy chroni własny tyłek. Taka jest ludzka natura.

– Myślisz, że ona wie, że jej ludzie to zrobili?

Skinąłem głową.

– I może, ale tylko może, poczuje z tego powodu drobne wyrzuty sumienia i zechce się przyznać. A przynajmniej leciutko uchylić drzwi. Ale ja muszę widzieć jej twarz, żeby się zorientować, ile ta kobieta wie.

Nastąpiła długa pauza, a potem Mandy powiedziała:

– Dzięki, że mnie w to włączyłeś.

– W co?

Machnęła ręką.

– W to wszystko. Muszę sobie poukładać sprawy na nowo. O tyle, o ile będę w stanie.

– Rozumiem. – Czułem mniej więcej to samo co ona.

Dopiero po dłuższej jeździe trasą numer pięćdziesiąt i minięciu znaku z napisem „Kościół baptyistów w Upperville” zorientowaliśmy się, że jesteśmy na miejscu.

– Ale gdzie jest miasto? – zdziwiła się Mandy.

– Dobre pytanie.

Upperville nie było nawet miasteczkiem, lecz obszarem niemunicypalnym, zbiorowiskiem starych kamiennych i ceglanych budynków, których większość ciągnęła się wzdłuż pięćdziesiątki. Znajdowały się tam kościół episkopalny wzniesiony z piaskowca, poczta i straż pożarna. A także gospoda, należąca kiedyś do Jerzego Waszyngtona, przynajmniej według

Internetu. I farmy hodowlane koni. Dużo farm. Reklama głośiła, że odbywa się tu doroczny pokaz koni i źrebiąt z Upperville.

Zatrzymaliśmy się przy sklepie wielobranżowym, gdzie Mandy spytała o kierunek. „Proszę minąć cmentarz, a potem jechać ze dwie mile”, usłyszała. Po obu stronach drogi ciągnęły się płoty odgradzające konie. Nagle w jednym z nich ukazała się przerwa, a dalej nieoznakowana dróżka. Skręciliśmy w lewo, zgodnie z instrukcjami, i wkrótce dotarliśmy do kamiennego murku. Na jednym z filarów bramy wznosił się granitowy blok z inskrypcją „Elm Spring Farms”. Przed nami wjechały tam jakiś bentley i range rover. Ewidentnie znaleźliśmy właściwy adres.

Droga ciągnęła się jeszcze długie półtora kilometra, skręcając to w lewo, to w prawo, a potem znowu zmierzając prosto. Stały przy niej schludnie przycięte wiązy i dęby błotne. Zaraz za drzewami, po prawej, ukazała się jakby polana. W prześwitach widziałem długi i równy pas asfaltu, w którym, po pewnej chwili, rozpoznałem lądowisko dla samolotów, nie krótsze niż półtora kilometra. Do przejechania pozostało nam jeszcze kilkaset metrów. Wreszcie droga stała się szersza, drzewa zniknęły. Na poboczu parkowało mnóstwo samochodów.

Drogich samochodów. Mercedesy-benzy, bmw, range rovery, bentleye, jaguary, lamborghini i ferrari. A także dwa pojazdy w stylu retro, kilka kombi z drewnianymi panelami na drzwiach oraz pikapy, należące prawdopodobnie do prawdziwych hodowców koni z okolicy, którzy mieli tyle pieniędzy, że nie musieli już nikomu imponować. Młody facet w uniformie parkingowego wskazywał wjeżdżającym odpowiednie miejsce do pozostawienia wozu.

Trafiliśmy na dobry moment, w szczytowym punkcie rzeki pojazdów. Zaparkowałem suburbana, a potem przyłączyliśmy się do parady gości wędrujących podjazdem ku niesamowicie wielkiemu budynkowi z czerwonej cegły w stylu georgiańskim. Wiedziałem, że powierzchnia domu wynosi ponad dziewięćset metrów kwadratowych, cała posiadłość natomiast zajmuje około ośmuset hektarów, włącznie z prywatnym lądowiskiem, stajniami i padokami.

Ale kiedy dotarliśmy do frontowych drzwi, wystąpił pewien problem. Przy stoliku tuż obok wejścia siedziały dwie ładne i młode blondynki, wręczające gościom plakietki z nazwiskiem i odhaczające ich na liście.

A nas na żadnej liście, rzecz jasna, nie było.

– James i Lisa Grantowie – rzekłem uprzejmie.

Mandy zerknęła na mnie szybko. Wcześniej nie uzgodniliśmy, czy mamy udawać małżeństwo; improwizowałem pod presją chwili, zapomniawszy, że przecież ani ona, ani ja nie nosimy obrączek.

– Grantowie – mruknęła jedna z dziewczyn, przebiegając palcem po kolumnie. – Hm, a jak się to pisze?

– Tak jak słyhać. – Za ich plecami zobaczyłem obraz przedstawiający białą stodołę; byłem prawie pewny, że jest autorstwa Georgii O’Keeffe.

– Hm, nie widzę nikogo o tym nazwisku. – Blondynka zwróciła się do siedzącej obok koleżanki. – Masz Jamesa Granta? – Każda dysponowała zapewne połową alfabetycznej listy. Zapytana przebiegła wzrokiem kartkę, przesuwając jednocześnie palcem wskazującym w dół. Potrząsnęła przecząco głową.

Wtedy Mandy wzięła sprawy w swoje ręce.

– Napiszę na odznakach nasze nazwiska, jeśli dacie mi dwie niewypełnione. – Jak gdyby prawdziwy problem polegał na tym, że nie mamy plakietek, a nie na tym, że nasze nazwisko nie figurowało na liście gości.

Blondynki popatrzyły po sobie, ta pierwsza wzruszyła ramionami. Widać było wewnętrzny konflikt rozgrywający się w ich głowach – *„Wpuszczać tylko osoby z listy!”* – kontra: *„Nie wolno być niegrzecznym dla gości!”*.

Ostatecznie zwyciężył drugi nakaz, jak się tego spodziewałem. Bo przecież skąd miały wiedzieć, że nazwisko Grantów nie zapodziało się gdzieś przez czysty przypadek?

– Jasne – powiedziała pierwsza blondynka niepewnie, wyciągając odznaki z pudełka i wręczając je Mandy.

Korytarz wejściowy, wykładany terakotą, prowadził do wielkiego holu, którego sufit wznosił się na wysokość prawie

siedmiu metrów, wytwornego i pełnego oficjalnego szyku. Posadzkę charakteryzowały czarno-białe, mocno kontrastujące płytki, ściany pomalowano na kolor czerwono-brunatny. Widać też było imponujące draperie oraz obrazy o tematyce hipicznej, w złoconych ramach. W sali panował tłok. Odniosłem wrażenie, że znajduje się tutaj od sześćdziesięciu do siedemdziesięciu osób. Wzięliśmy od kelnerki po przystawce, od kelnera natomiast po długiej lampce szampana i ruszyliśmy do natarcia.

Zidentyfikowanie Ellen Wiley nie zabrało nam wiele czasu. Była to wysoka, atrakcyjna kobieta po siedemdziesiątce, która wyglądała na co najmniej dwadzieścia lat mniej. Miała figurę kogoś, kto często i intensywnie ćwiczy pilates. Nosiła złotą suknię wieczorową z długimi rękawami, a do tego naszyjnik z brylantów, ciasno obejmujący szyję. Jej włosy, jasnobrązowe z blond pasemkami, ustylizowano w krótką, twarzową strzępiastą czuprynkę. Rozmawiała z siwawym mężczyzną o wyglądzie byłego wojskowego, wybuchając głębokim, zanoszącym się śmiechem.

- Co teraz? - spytała Mandy.

- Pijemy, rozmawiamy, przejdziemy przez to nieuniknione domaganie się pieniędzy, a potem zaczekamy, aż nasza gospodyni zostanie na chwilę sama.

Wdaliśmy się z Mandy w dłuższą rozmowę, trzymając się na uboczu, czyli łamiąc zasady obowiązujące na tego typu imprezach. W pewnej chwili ktoś zastukał w kieliszek, inni odpowiedzieli tym samym i zapadła cisza. Ellen Wiley - to rzeczywiście była ona, nie pomyliliśmy się w identyfikacji - wygłosiła mowę, zgodnie z którą na jednego amerykańskiego żołnierza zabitego na wojnie przypada siedmiu rannych. Mówiła o niewidzialnych ranach zadanych przez wojenny koszmar, takich jak zespół stresu pourazowego, urazowe uszkodzenie mózgu i silna depresja. Przedstawiła zebranym poważnie rannego żołnierza, który niedawno wrócił z Iraku. Weteran powiedział parę słów, doprowadzając kilka osób do łez.

Skończywszy swoje wystąpienie, Wiley podeszła prosto do nas. Wyciągnęła rękę na powitanie.

– Państwo Grantowie, jak mi powiedziano. – Uśmiech rozświetlił jej twarz. Miała jasnoniebieskie oczy.

– James Grant – przedstawiłem się i uścisnąłem dłoń pani domu. Czyli poinformowano ją o nas. James Grant był znanym darczyńcą oferującym wsparcie na cele bliskie konserwatystom.

– Lisa Grant – powiedziała Mandy i zrobiła to samo co ja.

Patrząc na Ellen Wiley z bliska, widać było efekt fachowej pracy chirurga plastycznego, przejawiający się zwłaszcza w napięciu skóry wokół oczu, kiedy kobieta się uśmiechała. Zwróciła się teraz tylko do mnie.

– Podobno chciał pan ze mną rozmawiać, panie, hm, Grant. – Wymawiając to nazwisko, uniosła wysoko brwi. – Bardzo chętnie to zrobię, ale gdy goście już sobie pójdą.

Ponownie się uśmiechnęła i odeszła.

Parę minut później podpłynął do nas młody facet w niebieskim blezerze i przedstawił się jako Rico. Rico wyprowadził nas z tego wielkiego pomieszczenia, a następnie powiódł korytarzem do biblioteki, tylko nieznacznie mniejszej od sali balowej. Miała ogromne okna, ściany ze śnieżnobiałego kamienia oraz wbudowane w nie regały na książki. Podłogę wyłożono lśniącym parkietem. Mężczyzna wskazał nam okrągły stoliczek z krzesłami dookoła, ustawiony przed sporej wielkości malowidłem – dużym czerwonym kwadratem, który wyglądał na dzieło Marka Rothko.

– Pani Wiley wkrótce do państwa dołączy – powiedział Rico. Kiedy usiedliśmy, odwrócił się bez słowa i wyszedł.

Twarde drewniane krzesła były niewygodne. Milczeliśmy, ponieważ w bibliotece mogły być zainstalowane urządzenia podsłuchowe.

Czekaliśmy niespokojnie.

Skąd ta kobieta wiedziała, że chcemy się z nią spotkać? Przecież podczas tego przyjęcia z nikim nie rozmawialiśmy, nic nie wspomnieliśmy także blondynkom przy drzwiach.

Przypomniał mi się folder, który Merlin zostawił w pancерnej komorze kancelarii prawniczej. Zadałem sobie pytanie, czy w firmie Norcross i McKenna nie połączono już jednego z drugim

i nie ostrzeżono Ellen Wiley. Wydawało się to najbardziej prawdopodobnym wyjaśnieniem.

Ale skoro ona wiedziała, że przychodzimy tu, udając kogoś innego, dlaczego – mimo wszystko – chciała się z nami spotkać?

Pani Wiley zjawiała się po mniej więcej godzinie. Zaczęła mówić od samego wejścia do biblioteki, będąc dobrych kilkanaście metrów od nas.

– No nareszcie! Dopiero teraz ta impreza robi się ciekawa.

– Słucham? – zdziwiłem się.

– Ach, pamiętam każde nazwisko na liście moich gości. Nie zapraszam nikogo, kogo nie znam osobiście. Kiedy namawiam ludzi do oddawania pieniędzy, wolę wiedzieć, z kim mam do czynienia. – Przechyliła głowę w bok, jedną rękę wsparła o biodro i uśmiechnęła się kokieteryjnie. – Mogliście przynajmniej podać swoją prawdziwą tożsamość.

59.

Wstałem, a po chwili Mandy zrobiła to samo.

– Ma pani całkowitą rację – powiedziałem. – Jestem Nick Heller, to jest Mandy Seeger.

– Więc to pan puścił mój portal internetowy z dymem – rzuciła pani Wiley, z udawaną surowością grożąc mi palcem. – Wiem, kim pan jest. Prawdziwym rozrabiaką. Znam też, oczywiście, pańskiego ojca. – Zwróciła się do Mandy: – A pani chyba jest dziennikarką?

– Byłam do wczoraj – odparła Mandy. – Kiedyś pracowałam także dla pani. To ja napisałam artykuł o Jeremiaś Claflinie.

– Tak myślałam. Ash Norcross ostrzegął, że ktoś się może u mnie zjawić. Ale nie powiedział, że zepsujecie mi imprezę. Trzeba mieć jaja, żeby wpraszać się w ten sposób. Bardzo mi się to podoba. – Błysnęła uśmiechem. – W porządku, więc w jakiś sposób ustaliliście, kto jest właścicielem Slander Sheet. I teraz znacie mój mroczny sekret. Czego chcecie w takim razie, do diabła?

– Zamierzałem zapytać panią o to samo – odezwałem się. – Czego pani chce, do diabła?

– *Że co proszę?*

– Albo pani, albo pani ludzie jesteście odpowiedzialni za śmierć dwudziestodwuletniej dziewczyny. Nie wiem, czy kazała ją pani zabić czy nie, ale ta sprawa wróci i pani zaszkodzi.

Mandy zagapiła się na mnie. Niemal widziałem dymek, niczym z komiksu, unoszący się nad jej głową: *„To tyle, jeśli chodzi o podejście znienacka”*.

– Nie mam zielonego pojęcia, o czym pan mówi. – Gospodyni sprawiała wrażenie autentycznie skonsternowanej.

– Pewna dziewczyna na telefon, Kayla Pitts, którą...

– Przecież ta biedaczka popełniła samobójstwo!

– Obawiam się, że nie. Zabili ją pani ludzie, ponieważ bali się, że

zacznie mówić prawdę na temat sprawy Claflina.

– Moi... *ludzie*? Na miłość boską, co pan...

– Wiemy, że zatrudniła pani firmę Centurions w celu zlikwidowania zagrożenia.

– Ach, doprawdy? Znam tych Centurionów, ale nie, z pewnością ich nie wynajęłam.

– W takim razie zrobił to ktoś inny.

Pani Wiley wyciągnęła przed siebie ręce, dłońmi do góry, i rozłożyła szeroko ramiona.

– Zepsuliście nie tę imprezę, co trzeba, bo ja nie mam pojęcia, o czym pan mówi, do jasnej cholery.

– Chciała pani załatwić Jeremiaha Claflina wszelkimi możliwymi środkami.

Kobieta wycelowwała we mnie palec wskazujący.

– No nie, bardzo proszę. To już przesada. Czy chciałabym załatwić Claflina? Jasne, że tak, choroba! Przyznaję się bez bicia! – Wydała z siebie długie westchnienie. – Moglibyśmy usiąść? Od trzech bitych godzin tylko stoję. Nie, na tych krzesłach nie. Muszę mieć bardziej miękko pod tyłkiem. – Machnęła w kierunku wyściełanych foteli wypoczynkowych przed wielkim kominkiem.

Podeszliśmy tam i zaczekaliśmy, aż gospodyni usiądzie. Zająłem miejsce możliwie blisko niej, ponieważ instynkt mi podpowiadał, że należy do kobiet preferujących towarzystwo mężczyzn. A w tych kwestiach ów instynkt rzadko się mylił.

Pani Wiley przesunęła swój fotel tak, że była teraz zwrócona twarzą do mnie. I tylko do mnie.

Przemówiła spokojniejszym tonem.

– Skąd pan wie, że tamta dziewczyna, mała ładaczniczka o ksywce Heidi czy jak się tam nazywała, nie popełniła samobójstwa?

– Mam swoje źródła w policji. – Było to na tyle bliskie prawdy, że mogłem zaryzykować takie oświadczenie.

– Ale, na miłość boską, kto? Nie rozumiem.

Na pytanie odpowiedziałem pytaniem:

– Jak pani w ogóle wpadła na tę historię z Claflinem? – Znałem odpowiedź, chciałem się jednak przekonać, czy ona również.

– Jestem właścicielką portalu internetowego, nie prowadzę go.

To nie ja wpadłam na ten temat. Opowiedział mi o tym Julian Gunn. Ta prostytutka skontaktowała się... – Pani Wiley odwróciła się i spojrzała na Mandy, jakby zaskoczona, że dziennikarka wciąż tu jest – ... *z panią!* Prawda?

– Zgadza się – potwierdziła Mandy.

– Nie szukaliśmy tego tematu. Sam do nas przyszedł. Pani niczego nie zmyśliła, zgadza się?

– Tak.

– Pisząc artykuł, nie wiedziała pani, że to fejk?

– Oczywiście, że nie.

Zadowolona Ellen Wiley znów obróciła się do mnie.

– Myśli pan, że wykorzystałabym Slander Sheet do tego, aby puścić w obieg artykuł, który ostatecznie naraziłby nas na śmieszność? Z reguły się nie wtrącam. Nie jestem redaktorką. Tym zajmuje się Julian, a ja mu na to pozwalam. Och, oczywiście, on zdaje sobie sprawę, że są pewne historie, które przyprawiają mnie o szybsze bicie serca. Zaspokajają moje apetyty. I wie, że lubię trochę namieszać.

– Namieszać – powtórzyłem. – Czy właśnie taka idea przyświeca Slander Sheet?

– Kiedy byłam małą dziewczynką, mama ubierała mnie w śliczne sukieneczki, żaboty i fartuszki. Pierwsze, co wtedy robiłam, to leciałam na dwór i tarzałam się w piachu albo bawiłam w stodole. Zawsze lubiłam nieporządek i brud, co doprowadzało matkę do rozpaczki. Właśnie dlatego musiałam kupić Slander Sheet. Żeby trochę nabałaganić. Ale myśli pan, że gdybym wiedziała, że ta cała historia jest zmyślona, to pozwoliłabym Julianowi puścić ją w obieg?

– Gdyby w rezultacie Claflin musiał odejść z urzędu, to tak.

Wiley zaśmiała się z głębi piersi.

– O-ho, naprawdę tak pan sądzi? Pozwól, że coś ci powiem, kochany. Nie zaprzeczam, że gardzę tym całym Claflinem. Od czasu tego żalostnego procesu sądowego, który miał miejsce w latach dziewięćdziesiątych, kiedy to prokuratorzy rzucili się na firmy tytoniowe. Facet pracował wtedy w sądzie apelacyjnym, którego jurysdykcja rozciągała się na sześć okręgów. Claflin

należy do tych nadętych typów, którzy mówią ludziom, jakie wady wolno im mieć, a jakich nie. To zwolennik nadmiernej kontroli państwa nad obywatelami i tak dalej.

– Jednak doprowadzanie ludzi do raka płuc też nie przynosi nikomu zaszczytu.

Roześmiała się, tym razem kokieteryjnym chichotem sześćdziesięcioletniej młodej damy.

– Faktem jest, że ludzie umierają na raka płuc, i wiesz co? Choroba zabiera ich całkiem szybko. Wystarczy średnio osiem miesięcy, mniej więcej. Nawet tych, którzy wiodą pożyteczny żywot, mając sześćdziesiąt albo siedemdziesiąt lat. Palacze żyją o dekadę krócej. Czyli oszczędzamy te dziesięć lat wydatków na ubezpieczenie społeczne, opiekę medyczną i emerytury. Chcesz wiedzieć, dlaczego nasz system ubezpieczeń społecznych jest w tak głębokiej zapaści? Ponieważ ludzie rzucają palenie.

– Doprawdy?

– Wszystko przez ten fanatyzm. A ja powiadam: dokonuj wyborów sam, żyj pełnią życia. Ja nie palę. Taką podjęłam decyzję. Być może ty wręcz przeciwnie. Ale to twój wybór.

– A zatem dlatego kupiła pani Slander Sheet. Żeby promować palenie papierosów?

– Och, bardzo cię proszę. Tylko tłumaczę, dlaczego nie cierpię Claflina i takich jak on. Wiesz, Nick, był czas, i to jeszcze nie tak dawno temu, że ten kraj znajdował się w rękach wspaniałych ludzi, ludzi, którzy wierzyli w sens służby innym. Przeprowadzili nas przez Wielki Kryzys, dwie wojny światowe, a także zimną wojnę. A teraz zobacz, kto zarządza tym cyrkiem. Goście w rodzaju... Gideona Parnella! Człowieka, który kiedyś był zawodowym demonstrantem! Organizował strajki okupacyjne i tak dalej!

A poza tym jest czarny, pomyślałem, ale się nie odezwałem. Słuchałem uważnie.

– Tyle zostało z establishmentu opartego na białych, anglosaskich protestantach, nieprawdaż? – ciągnęła Wiley. – Zniknął. Naszym krajem kierują ludzie, którzy tak naprawdę nie wierzą w Amerykę. Rozumiesz, co mam na myśli? Żałośni

maluczcy, zresztą pewnie pisaliby ten przymiotnik przez „rz”. Chcieliby sprowadzić wszystkich do absolutnych nizin, byśmy mogli się tarzać we własnych grzechach. A mnie chodzi o ratowanie naszego państwa, wspólnego dobra. Jeśli trzeba, to za pomocą wymagającej, twardej miłości. Ale co zrobić z tymi, którzy w sposób fundamentalny odrzucają dziejową rolę Ameryki w świecie? Co mam począć, widząc ludzi, którzy wątpią w przyzwoitość duszy przeciętnego Amerykanina? A właśnie tacy wędrują teraz po gabinetach władzy. Uważam, że to jest niedopuszczalny bałagan i niegodziwość. Moje stanowisko jest takie: wypieprzać z kokpitu, kolesie, nie wy powinniście pilotować ten samolot.

Tylko się uśmiechnąłem.

– Możemy mówić szczerze, Nick? – Ellen Wiley położyła rękę na moim kolanie i zniżyła głos do konfidencjonalnego szeptu. – Ludzie zakładają, że jak ktoś jest bogaty, to automatycznie posiada również władzę. – Spojrzała mi prosto w oczy; zrozumiałem, że w latach świetności musiała być prawdziwą kokietką. Emanowała seksem. – A przecież wcale tak nie jest. Zdobycie sobie prawa głosu jest coraz trudniejsze. Na pewno pamiętasz, jak potraktowano twojego ojca, Nick. Jak prasa postawiła Victora Hellera pod pręgierzem.

– Nie miałem zastrzeżeń do doniesień medialnych – odpowiedziałem. – Jediną osobą, która ponosi odpowiedzialność za to, co stało się z Victorem, jest sam Victor.

Wiley westchnęła.

– Wiesz co, kiedyś się mówiło: „Nigdy nie podejmuj walki z kimś, kto kupuje atrament beczkami”. Teraz liczą się piksele, nie atrament. Chcesz prawdziwej władzy? To kontroluj przepływ informacji. Dlatego właśnie nabyłam Slander Sheet. Żeby się czepiać tych wszystkich hipokrytów. I nie przeczę, że lubię wprowadzać trochę zamieszania. Ale ty mnie spytałeś, czy zleciłam zabicie tej małej dzidzi, jakbym była jakimś... mafijnym bossem? A niby po co, na litość boską, miałabym coś takiego robić? W jakim celu? Żeby rzucić podejrzenia na siebie?

– W takim razie, kto to zrobił?

Milczała przez chwilę.

– Za cholerę nie mam pojęcia. Pewnie ktoś, kto nienawidzi Jeremiaha Claflina tak samo jak ja, ale nie zawahał się wciągnąć w to wszystko także Slander Sheet. Nick, jak się dowiedziałeś, że jestem właścicielką?

– Norcross nie powiedział pani?

Pokręciła przecząco głową.

Przypuszczalnie Norcross nie chciał się przyznać, że ktoś się włamał do strzeżonego skarbcza w jego kancelarii. I tylko ostrzegł Ellen, że ją odwiedzę, nie wspominając, w jaki sposób odkryłem, że to właśnie ona stoi za plotkarskim portalem.

– Po prostu odrobiłem zadanie domowe – powiedziałem.

Roześmiała się.

– Dlaczego utrzymuje to pani w tajemnicy?

– Och, czułabym się odrobinę niezręcznie w moich kręgach towarzyskich, gdyby wiadano, że jestem właścicielką Slander Sheet. A przecież sekretne przyjemności są zawsze najlepsze, nie sądzisz? Poza tym ja bardzo nie lubię, kiedy moje nazwisko pojawia się w gazetach. Nie udzielam wywiadów i nie chcę, żeby wyciągano je za każdym razem, gdy Slander Sheet odpali jakąś bombę. A teraz ty twierdzisz, że co? Że jestem podejrzana o śmierć tej dziewczyny? Nick, zobaczyłam w tobie bezpośredniego, uczciwego gościa, który nie wciska nikomu kitu. No i przystojniaka. Podoba mi się twój takielunek. Jeśli naprawdę chcesz tę sprawę przeświecić do samego dna, chętnie ci pomogę. Okej? Ale w zamian będę cię prosić, żebyś nikomu nie zdradził, kim jest właściciel Slander Sheet. Umowa stoi?

Uświadomiłem sobie, że naprawdę mamy nad nią przewagę. Wiley nie chciała, aby jej znajomi i przyjaciele dowiedzieli się, że posiada tę cieszącą się złą sławą gadzinówkę. Zerknąłem na Mandy, a ona odwzajemniła spojrzenie.

Ponieważ nie odpowiedziałem, Ellen kontynuowała:

– Nie lubię poruszać się po omacku, nie lubię nie wiedzieć. I nie chcę, żeby Slander Sheet stało się pośmiewiskiem. – Odwróciła się i utkwiała wzrok w Mandy. – Wiem, że z powodu tej katastrofy Julian panią zwolnił. Ale gotowa jestem zaraz do niego zadzwonić

i kazać mu przyjąć panią z powrotem.

– Proszę się nie trudzić – odpowiedziała Mandy. – Nie jestem zainteresowana.

– Nie chce pani oczyścić swojego nazwiska?

Po twarzy dziennikarki przebiegł gniewny grymas.

– Oczywiście, że chcę. Ale nie poprzez pracę dla Slander Sheet.

– W takim razie ja pani zapłacę. Bezpośrednio. Ustali pani, kto jej wyciął ten numer i jak to się wszystko stało. Podwoję pani odprawę.

Mandy wahała się bardzo krótko.

– Zgoda.

Odwróciwszy się znów do mnie, Ellen Wiley położyła mi rękę na kolanie. Ponownie. Uśmiechnęła się uwodzicielsko.

– A jakie są twoje stawki, kochany?

60.

– Podoba jej się twój takielunek – powiedziała Mandy po wszystkim.

Uśmiechnąłem się i milczałem. Mocno skręciłem kierownicą w prawo, wjeżdżając na piętnastkę w kierunku południowym.

– Nawet nie wiem, co to jest takielunek. A ty?

– To termin żeglarski.

– Ależ ona z tobą flirtowała! Powiedziała, że jesteś przystojniakiem!

– Dlaczego to takie niedorzeczne?

– Przecież ma chyba ze sto dwadzieścia lat!

– Muszę stwierdzić, że wygląda świetnie jak na kobietę w siedemdziesiątej czwartej wiosnie życia.

– Więc ty też jesteś nią zainteresowany.

Milczałem.

– Ja czułam się tam jak jakaś roślina w doniczce. Albo rzeźba w bibliotece.

– Mogłabyś być samą Wenus z Milo, to i tak nie miałyby znaczenia. Pani Wiley zdecydowanie preferuje mężczyzn.

– Oczywiście. To lwica. Starsza dama podrywająca młodszych panów. Poza tym niezłe stuknięta.

– To skomplikowana kobieta.

– Akurat. Zwykła rasistka. Nie lubi Gideona Parnella, bo jest czarny.

– Możliwe. A może dlatego, że brał udział w demonstracjach. Nie lubi wicherzycieli, chyba że należą do tego samego gatunku co ona.

– I tak wezmę od niej pieniądze.

Uśmiechnąłem się.

– Strasznie szybko się zgodziłaś.

– Przyznaję się bez bicia. – Mandy wzruszyła ramionami. – Co mam powiedzieć? Spłacam hipotekę.

– Swoją drogą, dlaczego Slander Sheet nigdy nie zainteresowało się Gideonem? Czyżby nie mogli znaleźć na niego haka?

– Ponieważ nie było nic interesującego, o czym moglibyśmy napisać... Przed sprawą Claflina przygotowywałam dossier Parnella. Ale do niczego się nie dokopałam.

– Julian kazał ci to robić?

– Zasugerował.

– Gdyż jego szefowa, właścicielka portalu, chciała upokorzyć Gideona Parnella?

Mandy wzruszyła ramionami.

– To było powyżej mojego zaszeregowania płacowego. Claflin natomiast jest o wiele poważniejszym celem.

Odezwał się mój telefon.

– To pewnie Gideon – przepowiedziała Mandy.

Wyjąłem komórkę z marynarki i odebrałem, nie patrząc na wyświetlacz, ponieważ prowadziłem wóz.

– Nick Heller, słucham.

– Panie Heller, mówi detektyw Balakian z wydziału zabójstw policji metropolitalnej.

– Tak, detektywie?

– Chciałbym z panem porozmawiać w możliwie najdogodniejszym terminie.

– O czym?

Mandy przyglądała się mojej twarzy.

– O Kayli Pitts.

– Jakiś problem?

– Po prostu mam kilka pytań.

– Jestem teraz poza miastem, do Waszyngtonu wrócę późną nocą. Może jutro rano?

Minęła chwila.

– O dziewiątej w wydziale zabójstw przy Sto Pierwszej M. – To było polecenie, nie propozycja.

– Przyjadę.

Balakian się rozłączył.

– Czego chciał? – spytała Mandy.

– Jak najszybciej pozbyć się tej sprawy, ale to mu się raczej nie

uda. Życzy sobie rozmowy ze mną.

– W celu?

– Mówi, że chce mi zadać parę pytań.

– Ciekawe, czy ktoś z góry nie wywiera na niego presji. Zgodnie z tą całą teorią spiskową.

Zastanawiałem się przez chwilę.

– Może. Może właśnie o to w tym wszystkim chodzi.

61.

Do Dystryktu Kolumbii wróciliśmy późno, około jedenastej wieczorem. Odwiozłem Mandy do jej mieszkania, które znajdowało się w Kalorama Park niedaleko Columbia Street, w kwartale Adams Morgan.

– Skoro już tu jesteś, może wejdiesz na górę? – spytała, dotykając delikatnie mojego kolana. – Dam ci moje akta Claflina.

Z zaskoczeniem stwierdziłem, że policzki robią mi się gorące; cieszyłem się, że Mandy nie widzi mnie w ciemnościach. To brzmiało jak kwestia Shirley MacLaine z Czujących słówek, gdy zapraszała potencjalnych absztyfikantów do obejrzenia jej Renoira – miłe potwierdzenie, że między nami zaiskrzyło, choć wcześniej nie byłem tego pewien. Najwyraźniej nie wszystko tylko sobie wyobrażałem.

– Jasne. Bardzo chętnie.

– Dzięki.

Mieszkanie znajdowało się na drugim piętrze budynku z czerwono-brunatnego piaskowca. W holu pachniało curry z indyjskiej restauracji w sąsiednim domu. Drzwi Mandy miały aż trzy zamki.

– Przepraszam za bałagan.

Mieszkanie było małe, ale elegancko urządzone, z prostotą Ikei. Kuchnia połączona z jadalnią, pośrodku niej wyspa. Całość sprawiała wrażenie bardziej przestrzenne, niż powinna. Każdy przedmiot miał własne zaplanowane miejsce. Żadnego bałaganu.

– Istotnie, bardzo zaniedbany dom – powiedziałem.

Roześmiała się.

– Wiesz, jak jest. Napijesz się czegoś?

– Chętnie.

– Zwykła cola czy dietetyczna? Może wolisz wodę sodową? Albo zrobię kawę? Dobra, weź sobie coś z lodówki, a ja się tymczasem przebiorę, okej?

Zlokalizowałem dwie szklanki, wrzuciłem do nich po parę kostek lodu z zamrażarki, a następnie nalałem nam obojgu dietetycznej coli. Miałem ochotę na prawdziwego drinka, ale to nie wchodziło w rachubę. Zresztą, nie chciałem pić samotnie.

Mandy dołączyła dziesięć minut później, ubrana w ciasne dżinsy i czarną jedwabną koszulkę na bardzo cienkich ramiączkach. Była boso, wyglądała świetnie. Żywiłem niemal pewność, że pomyśli dokładnie o tym samym co ja. Wzięła telefon leżący na kuchennym stole, a po chwili rozległy się dźwięki łagodnego, jedwabistego saksofonu altowego Arta Peppera w utworze „My Funny Valentine”.

– Fajne – powiedziałem, podając jej szklankę z colą.

– Zaskoczony?

– Uwielbiam Arta Peppera.

– Ale chyba nie jesteś jazzowym snobem, co? Wiesz, jak ci, co zaraz kręcą nosem i mówią: „Szkoda, że to nie Django Reinhardt albo Thelonious Monk z albumu «At the Blackhawk» z tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego”.

– Jazzowy snob? Ja? No nie. Przecież nawet nie wiem, jakiego ustnika do saksofonu używa Art, jeśli o to ci chodzi.

Odstawiłem szklankę na blat i – przeprosiwszy – udałem się do łazienki. Kiedy wróciłem, Mandy siedziała w fotelu nakrytym zużyтым pokrowcem i umieszczonym pod właściwym kątem względem kanapy. Moją colę postawiła na małym stoliku. Zająłem miejsce na sofie, tuż obok stołu, na którym leżał brązowy, składany w harmonijkę folder. Wskazała go machnięciem ręki.

– Moje akta ze Slander Sheet.

– To wszystko?

– Należą do kategorii „A jeśli to prawda?”. Nigdy niewykorzystane. Plotki o każdym, kto cokolwiek znaczy w Waszyngtonie. – Spryskała się jakimiś perfumami, lekkimi i o kwiatowym, być może jaśminowym zapachu.

– Na przykład?

– Choćby o twoim dawnym szefie, Jayu Stoddardzie.

– Cokolwiek tam na niego masz, nawet najbardziej paskudnego

czy zboczonego, to wszystko prawda.

– Wiele z tych tropów to ślepy zaułek. Do niczego mnie nie doprowadziły. Dziewięćdziesiąt procent z nich to miejskie legendy. Tylko że ja wszystko przechowuję, zawsze. Bo nigdy nie wiadomo, kiedy jakaś stara plotka okaże się jednak prawdą.

– Dzięki za zaufanie.

– Przed tą tragiczną historią z Kaylą pracowałam nad artykułem o pewnym zabójstwie, do którego doszło w Dystrykcie Kolumbii, a które jakoby zatuszowano. Umorzona sprawa z udziałem jakiejś grubej ryby z Waszyngtonu.

– Kogo?

– Aż tak daleko nie dotarłam. Podobno sprawę pomógł zatuszować emerytowany śledczy z policji w Southeast. Starszy facet, który teraz jest już prawie na łożu śmierci i chce rozmawiać.

– Masz roboczą teorię, kim jest morderca?

– Teorię? Twój przyjaciel, senator Brennan.

– Daj spokój.

– Wypadek po pijanemu.

– Serio?

Mandy pokręciła głową.

– Nigdy nie udało mi się rozwinąć tego tematu.

– No cóż, nie zamierzam z nim o tym rozmawiać.

Rozprostowała nogi.

– Na pewno nie tęsknisz za życiem w Waszyngtonie? Za tymi wszystkimi intrygami?

– Absolutnie nie. A tobie dobrze się mieszka w Adams Morgan?

– Teraz owszem. Kiedyś miałam lokum przy Columbia i musiałam sypiać z zatyczkami do uszu.

– Hałas z pubów?

– Pijackie rozróby, tłuczone butelki, syreny radiowozów. Chętne panienki i studenciaki. Ale to głównie w piątkowe i sobotnie noce.

– Zdarzają się tu jakieś przestępstwa?

– Szczerze mówiąc, dwa tygodnie temu miałam włamanie.

– Byłaś wtedy w domu?

- Nie.

- Coś zginęło?

- Nie wiem. Mieszkanie było splądrowane, ale nadal nie mam pojęcia, czego szukali. Wspięli się po schodach przeciwpożarowych i weszli do środka. Zmieniłam zamki w oknach.

- Kiedy to się dokładnie stało?

Mandy wzruszyła ramionami.

- Jakiś miesiąc temu.

- Czyli wtedy, gdy zaczęłaś pracę nad historią o Kayli?

- Wcześniej. O, czekaj. - Wstała nagle i poszła do kuchni. Odwróciłem się, żeby podążyć za nią wzrokiem. Nie była chuda, przeciwnie - całkiem atrakcyjna. Ponętna - to chyba właściwe słowo. Miała długie nogi o ładnie zarysowanych mięśniach, jakby często jeździła na rowerze. Otworzyła jakąś szafkę i wyciągnęła z niej butelkę Jamesona. - Zapomniałam, że trzymam to specjalnie dla gości. Jeśli wolałbyś coś mocniejszego niż cola.

- Nie tym razem, dziękuję. - Bardzo chciałem się napić, lecz równie mocno pragnąłem, aby nie czuła się przy mnie niezręcznie. - Możesz trzymać alkohol w domu?

- Dostałam w końcu do tego, choć chwilę to trwało. Teraz już mi nie wadzi. Naprawdę nie będę mieć nic przeciwko, jeśli strzelisz sobie jednego.

Zawahałem się, acz niezbyt długo.

- W takim razie poproszę. Małego, z lodem.

Mandy przygotowała mi drinka i go przyniosła. Stuknąłem w jej szklankę z dietetyczną colą, a następnie pociągnąłem solidny łyk, czując, jak whisky pali mnie w gardło.

Nastała chwila ciszy. W końcu ją przerwała:

- Mogę cię o coś spytać? Kiedy byłeś w Iraku...

Czekałem na to, co nieuniknione. Zabiłeś kogoś? Oraz: Jak to jest? Jak to jest zabić innego człowieka?

- Ta?

- Dlaczego właściwie chłopak z bogatego domu, taki jak ty, wylądował w wojsku?

- Nie byłem dzieciakiem z bogatego domu.

– Ale przecież wychowywałaś się w zamożnym środowisku. Twój ojciec...

– Tak, kiedy byłem nastolatkiem. Potem tata musiał się ukrywać przed policją.

– Aresztowali go?

– Owszem, chociaż dopiero po kilku latach. Był poszukiwany.

– Pamiętam, że o tym czytałam. Za co go ścigali?

– Nielegalny obrót papierami wartościowymi. Oszustwa. I mnóstwo innych rzeczy.

– Był winny?

– Nie tylko tego.

– Niezbyt sympatyczny facet, co?

Zachichotałem.

– Trudno się z tym nie zgodzić.

– Ale mimo to odwiedzasz go w więzieniu.

– Jest niesamowicie bystry. No i wciąż zna wielu ludzi. Czasem mi pomaga, ale to mnie kosztuje.

– Kosztuje cię?

– Trudno to wytłumaczyć. Nie odwiedzam ojca z miłości ani z synowskiego obowiązku.

– A co z mamą?

– Mieszka pod Bostonem. To swego rodzaju święta.

– Masz rodzeństwo?

Pokręciłem przecząco głową. Opowiadanie Mandy o moim bracie Rogerze uznałem za zbyt skomplikowane.

– A ty?

– Trzech starszych braci.

– Czyli byłaś rodzinnym maluchem.

Uśmiechnęła się.

– Owszem.

– Mała księżniczka.

– Właściwie to zachowywałaś się jak urwis, dopóki nie odkryłam, że na świecie są chłopcy. – Mandy odchrząknęła. – Ale nie odpowiedziałeś na moje pytanie. Dlaczego wstąpiłeś do wojska?

– Nie chciałem pracować dla McKinseya.

– Tej firmy konsultingowej?
– Tak. Zatrudnili mnie na jedno lato.
– Dość ekstremalny sposób na uniknięcie roboty dla McKinseya, nie sądzisz?

– Naprawdę nie chciałem tam pracować.

Zaśmiała się delikatnie.

– Zaciągnąłem się, ponieważ w to wierzyłem. A może w tamtym okresie życia czegoś takiego potrzebowałem? Zbrzydło mi bycie synem Victora Hellera. Pragnąłem zostać kimś osobnym.

– Chyba to rozumiem.

Było już późno, zmęczyło mnie to gadanie. Wstałem.

– Zrobić ci jeszcze jednego drinka? – spytała Mandy, również podnosząc się na nogi.

– Wystarczy.

Podszedłem, żeby ją uściskać; obróciła ku mnie twarz i jakimś sposobem nasze wargi się zetknęły. Objęła mnie, a potem przyciągnęła ku sobie. Poczułem smak szminki i coli. Mój język znalazł jej język, usta stopiły się w jedno. Wsunąłem dłoń pod koszulkę i powoli posuwałem się do przodu, czując jedwabiącą gładką skórę i oddech Mandy.

Odepchnęła mnie, aby zaczerpnąć powietrza, i powiedziała:

– O Boże.

– Hm – potwierdziłem.

– Heller, czy z tego będzie jakiś problem?

– Hm? – Czyli z Nicka znów stałem się Hellerem. Ciekawe. Użycie samego nazwiska oznaczało chyba większą zażyłość.

– Czy ty i ja...?

– Nie będzie żadnych problemów – zapewniłem i znowu ją pocałowałem, z ręką na jej tyłku. A potem zdjąłem z niej bluzkę i zapatrzyłem się na pełne piersi o sterzczących sutkach. Wciągnąłem powietrze między zębami.

Ponętna. O tak.

Lubię ponętne.

Spędziłem z Mandy noc.

Po czymś takim człowiek nigdy nie wie, jak się właściwie zachować. Jeśli wyjdzie od razu, okaże się zwykłym gnojkiem. Z drugiej strony przecież nie wszystkie kobiety chcą się budzić z niemalże obcym mężczyzną przy boku.

Zasnąłem wtulony w nią, a po chwili się ocknąłem, by stwierdzić, że jest już prawie rano, mimo panujących ciemności. Cicho wstałem, pozwalając Mandy dalej spać, i na palcach zakradłem się do salonu, gdzie leżał składany w harmonijkę folder z różnymi informacjami do ewentualnego wykorzystania.

Był pełen nęcących ploteczek. Studiowałem go uważnie. W pewnej chwili postanowiłem zaparzyć sobie kawy – w kuchni stał skomplikowany szwedzki ekspres, którego rozgryzienie zajęło mi nieco czasu – a kiedy szukałem kubka, pojawiła się Mandy. Miała na sobie koronkowe majteczki z poprzedniego wieczoru i biały top.

– Możesz nalać mi trochę?

– Oczywiście.

– Kubki są w szafce na prawo od piekarnika.

– Dzień dobry – powiedziałem, wyjmując dwa naczynia. Dla siebie wybrałem kubek z logo „Washington Post”, w razie gdyby wywoływał u Mandy złe wspomnienia, jej natomiast wręczyłem drugi, z symbolem stacji radiowej WAMU, lokalnego przedstawiciela National Public Radio. Kawa okazała się wyborna. Mandy wyjęła z lodówki mleko i zaproponowała mi trochę, a kiedy odmówiłem, dołała sobie. Upiła łyczek.

– Pysznie – powiedziała po chwili.

Wiedziałem, że nie chodzi jej o kawę.

– Też tak uważam.

– Nie pogniewasz się, jeśli spytam? Masz kogoś?

Pokręciłem przecząco głową.

- To znaczy u siebie, w Bostonie. Na pewno?
- O ile wiem, to nie.
- A ja byłam zaręczona.
- Z kim?
- Z pewnym prawnikiem z WilmerHale.
- W końcu to Waszyngton. Duże szanse, że spotka się jakiegoś prawnika.
- Zerwaliśmy mniej więcej wtedy, gdy wylali mnie z „Washington Post”. To druga rzecz, którą schrzaniłam przez swoje picie.
- Może i dobrze, tak jak w przypadku pierwszej.
- On był naprawdę fajnym facetem.
- W takim razie mi przykro.
- Ale niezbyt ciekawym. W każdym razie ze mną wytrzymał, co jest sporym osiągnięciem.

Nastąpiła długa pauza. Może Mandy chciała się wymienić ze mną opowieściami o byłych chłopakach i dziewczynach. Ja jednak nie podjąłem wątku. Poklepałem harmonijkowy folder.

- Dzięki za akta.
 - Znalazłeś coś?
 - Jesteś bardzo dobrą dziennikarką.
 - Mam czekać na „ale”?
 - Pracowałaś dla głównianej witryny internetowej. Ale jesteś reporterką najwyższego kalibru.
 - Już zdjęłeś mi majtki, Heller. Nie musisz być aż tak miły.
- Nie zaśmiałem się.
- Myślę, że zostałaś wykorzystana – stwierdziłem cicho.
 - W jaki sposób?
 - Celowo podsunęli ci tę historię z Claflinem.
 - Chyba... nie nadążam.
 - Dostałaś poważny temat, który musiał sam się zdetonować i rozlecieć na kawałki. Na tyle solidny, żeby wytrzymał sprawdzanie ze strony bystrej dziennikarki, jak ty. A jednocześnie pełen ukrytych braków, które doświadczony i dysponujący odpowiednimi środkami detektyw byłby w stanie odnaleźć i wykazać. Ktoś naprawdę zdeterminowany.

- Na przykład ty.
- Na przykład ja.
- Czyli mnie wykiwali.
- Może nas oboje.
- Co masz na myśli?
- Ostatnio sporo rozmyślałem. Sądzę, że ty odegrałaś swoją rolę, a ja swoją.
- I ty, i ja? Dlaczego?
- Ponieważ ktoś chciał zachwiać twoją pozycją. Sprowokować twoją porażkę.
- Dla kogo, na litość boską, jestem aż tak ważna, żeby próbował mnie zniszczyć? To nie ma sensu, Heller. Jestem tylko dziennikarką. Wyrzuconą na bruk z „Washington Post”. Do niedawna zatrudnioną w witrynie internetowej żerującej na najniższych uczuciach. Komu by się w ogóle chciało?
- O czymś się dowiedziałaś. Wpadłaś na coś. Należało cię zdyskredytować. Zarówno ciebie, jak i Slander Sheet. Historia z Claflinem to bomba pułapka. Mina motylkowa. Dotykasz jej, a ona wybucha ci w rękach.
- No i zadziałało, nieprawdaż?
- Wręcz idealnie. Kimkolwiek oni są, świetnie wiedzieli, co robią.
- Przecież zatańczyłam, jak mi zagrali. Czego się tak przestraszyli?
- Cóż, zastanówmy się, nad czym właściwie pracowałaś.
- Nad artykułami dla Slander Sheet?
- Skinałem głowę.
- Było ich ze sześć, może więcej. Szef personelu Białego Domu...
- Ten, którego żona kradnie w sklepiech?
- Właśnie.
- Co jeszcze?
- W Waszyngtonie jest taki klub o nazwie B and D. Krążą pogłoski, że należy do niego jeden z członków Kolegium Połączonych Szefów Sztabów.
- B and D, B jak bondage, czyli krępowanie ciała podczas seksu, oraz D jak „dyscyplina”?

- Zgadza się.
- Znasz nazwisko tego człowieka?
- Członkowie klubu nie chcieli ze mną rozmawiać. Więc nie znam.

- Wspominałaś też o emerytowanym gliniarzu na łożu śmierci, prawda? I że jakaś gruba ryba z Waszyngtonu dopuściła się zabójstwa, które zatuszowano?

- Tak. Senator Brennan.

- Skąd pewność, że chodziło o jazdę po pijanemu?

- Brak pewności. To była tylko moja robocza teoria.

- Ale wiesz na sto procent, że Brennan w tym uczestniczył?

- To też tylko teoria.

Milczałem przez chwilę.

- Może właśnie o to tu chodzi.

- Albo o klub B and D. Bądź o inną z kilkunastu historii, nad którymi pracowałam.

- Niewykluczone, tak.

- A może twoje spekulacje są błędne i wcale mnie nie wrobiono.

- To prawda.

- Chcieli zaszkodzić Slander Sheet, a ja przypadkowo znalazłam się na linii ognia.

Przypomniały mi się słowa Kayli, że kazano jej prosić o kontakt z Mandy, i tylko z nią.

- Powiedziałbym, że wrobiono zarówno ciebie, jak i Slander Sheet, jednocześnie.

- Nadal wydaje mi się to dość naciągane – zareplikowała.

- Nigdy cię nie zastanowiło, że wszystko idzie zbyt łatwo?

- To znaczy co?

- Na przykład zadanie, do którego mnie wynajęto. Zdyskredytowania artykułu o Claflinie, który pisałaś dla Slander Sheet. Powinienem być czuć większy opór materii.

- Co masz na myśli?

- Spójrz na to z ich punktu widzenia.

- Jakich ich?

- Tych, którzy próbowali załatwić Claflina. Zadają sobie trud zarezerwowania pokoju w hotelu Monroe na nazwisko sędziego.

Ktoś naprawdę zjawia się w tym hotelu, podając się za Claflina, i się melduje. A potem nawet nie fatyguje się, żeby do tego pokoju wejść. O co tu chodzi?

– Nie wiedzieli, że hotel prowadzi rejestr otwarcie drzwi kartą magnetyczną.

Pokręciłem głową.

– Dziwne. W dodatku w oba wieczory, które Kayla miała jakoby spędzić z Claflinem, poleciała sobie do Missisipi.

– I co z tego?

– Dowiedzieliśmy się, że tam była, po włamaniu do jej laptopa. Ale istnieją jeszcze inne sposoby ustalenia, że odwiedziła w Missisipi swoją siostrę. Mogliśmy jakoś inaczej uzyskać dostęp do wyciągów z jej kart kredytowych. Gdybym to ja próbował zrobić Claflina, nie wybrałbym wieczorów, gdy dziewczyny nie było w mieście, co w dodatku można udowodnić.

Mandy przyglądała mi się przez kilka sekund.

– Masz bardzo dużą skłonność do teorii spiskowych, mówił ci ktoś o tym?

– Wszyscy, od zawsze – odrzekłem.

63.

Dorothy była już na nogach. Kiedy wróciłem do hotelu, niosąc dwie kawy ze Starbucksa, pracowała przy stole w salonie mojego apartamentu. Podałem jej jeden kubek.

– Ze śmietanką i dwiema saszetkami cukru, zgadza się?

– Dziękuję – odpowiedziała, biorąc kawę. Miała na sobie džinsy i T-shirt z napisem „Jezus jest moim pasterzem i pasi mi to”. – Jak poszło? – Posłała mi porozumiewawczy uśmiešek.

Odnosiłem wrażenie, że Dorothy celowo daje mi niejednoznaczne sygnały. Droczy się ze mną. Dobrze wiedziała, że spędziłem noc z Mandy, nie była przecież głupia. Postanowiła to ignorować.

– Całkiem interesująco – odparłem. – Nie wydaje mi się, żeby Ellen Wiley brała w tym wszystkim udział. Trzeba skreślić tę możliwość. Ona chce nam pomóc.

– Naprawdę? Dlaczego?

– Podoba jej się mój takielunek.

Dorothy pokręciła głową, jakby przekazując komunikat: „Nie wiem, o czym mówisz, i nie zamierzam pytać”.

– Ustaliłam ten numer na ogonie – powiedziała.

– Numer na ogonie? – Nie miałem pojęcia, o co jej chodzi.

– Samolotu stojącego na lotnisku w Middleton, który miał wywieźć Kaylę w nieznane miejsce.

– No tak, przepraszam.

– To odrzutowiec Falcon 900EX, wyprodukowany przez zakłady Dassault. Należy do firmy Centurion Associates.

– Świetnie. Masz jakiś adres?

– Tylko numer skrytki pocztowej w Langley, w Wirginii.

– Langley, tak? – To tam znajdowała się centrala CIA. – A na stronie Centurion Associates nie ma żadnego adresu?

– Nie ma żadnej strony Centurion Associates.

– Co to znaczy?

– To znaczy, że jak sobie wejdiesz na CenturionAssociates.com, to zobaczysz komunikat Error 404. „Nie ma takiej strony”.

– Może nazwa tej domeny jest inna.

– Nie, właśnie taka. Sprawdziłam tę nazwę w wyszukiwarce WhoIs, faktycznie została zarejestrowana. Nadal widnieje jako funkcjonująca i zastrzeżona.

– Na kogo jest zarejestrowana?

– Wszystkie tego typu informacje są ukryte. Jako właściciel podany jest pośrednik, firma internetowa Domains By Proxy.

– Możesz się tam włamać?

Dorothy pokręciła głową.

– Nie ma się do czego włamywać.

– Ktoś tu bardzo unika rozgłosu.

– O ile mogę stwierdzić, nie posiada również żadnego biura. Tylko skrytkę pocztową.

– Ciekawe. Och, zapomniałem ci powiedzieć. Zostawiłem gumową kaczuszkę na miejscu włamania.

Wypuściła powietrze z płuc.

– Okej. Jeśli ją znajdą, co może trochę potrwać, i tak nie połączą tego ustrojstwa z nami.

– Bardzo cię przepraszam.

Dorothy wzruszyła ramionami.

– Zdarza się. Poza tym było tanie. Nic wielkiego się nie stało.

– Muszę się przebrać. Detektyw Balakian chce się ze mną widzieć.

– Ten z wydziału zabójstw?

Potwierdziłem.

– Myślałam, że zakwalifikował sprawę jako samobójstwo.

– Może naszły go wątpliwości.

– Nowe informacje?

– Tego właśnie chcę się dowiedzieć.

Detektyw Balakian nosił to samo wdzianko co ostatnim razem (białą koszulę i wążutki czarny krawat), aż zacząłem się zastanawiać, czy jego garderoba nie jest przypadkiem mocno ograniczona. A może znalazł dla siebie odpowiedni styl

i zamierzał się go konsekwentnie trzymać? Wyszedł po mnie do recepcji komisariatu policji, mieszczącego się w dawnej szkole podstawowej, po czym zaprowadził do sali przesłuchań na parterze.

Przy prostokątnym stole stały cztery krzesła. Balakian wskazał mi jedno, każąc usiąść.

– Jesteśmy nagrywani? – spytałem.

– Ma pan coś przeciwko?

– Nie. Po prostu lubię wiedzieć.

– Fajnie. To znacznie mniej roboty niż podczas klepania wszystkiego na komputerze. Dzięki, że pan przyszedł. – Zachowywał się dziś znacznie bardziej pokojowo niż w noc, gdy zamordowano Kaylę. Nie miałem wątpliwości, że nastąpiła jakaś zmiana.

– Proszę bardzo – odrzekłem, choć pomyślałem w duchu: przecież nie dałeś mi żadnego wyboru.

– Kawy?

– Nie, dziękuję.

Balakian usiadł na jednym z pozostałych krzesel i wyjął swój mały spiralny notes. Po długiej pauzie spytał:

– Dlaczego był pan tak mocno przekonany, że Kayla Pitts padła ofiarą zabójstwa?

Wreszcie zaczął traktować tę sprawę serio.

– Ponieważ rozmawiałem z nią kilka godzin przed śmiercią. Już panu mówiłem.

– Usłyszał pan coś jeszcze?

Pokręciłem przecząco głową.

– Myślałem, że uznał pan tę sprawę za samobójstwo.

– Dostaliśmy raport z toksykologii.

– I?

Detektyw się zawahał. Upił łyk jakiejś brązowawej cieczy z kubka zbyt cienkiego jak na taki do kawy.

– W organizmie ofiary wykryto silny środek chemiczny.

– Ketaminę – odpowiedziałem.

– Rohypnol.

– Rohypcio. Myślałem, że taka analiza trwa całe tygodnie.

– Lekko nacisnęliśmy na laboratorium.

– Ach tak. – Jakby ten facet miał dość mocy i energii, żeby to zrobić. Presję na policję musiały wyrzucić media; ktoś na samej górze zdecydował, że należy przyspieszyć badania.

Balakian wiedział, że tamtego wieczoru przygotowałem Kayli drinka, a to przecież standardowy sposób podania komuś pigułki gwałtu. Musiałem sprawić, by wykreślił mnie ze swojej ewentualnej listy podejrzanych.

– Zabezpieczyliście zawartość kosza na śmieci w pokoju hotelowym – powiedziałem. – Przeprowadźcie analizę toksykologiczną tego, co się tam znajdowało.

– Już to zrobiono – odparł detektyw. – Ufaj, ale sprawdzaj, nieprawdaż?

– Absolutnie.

– Mówił pan, że w dniu swojej śmierci dziewczyna dzwoniła z prośbą o pomoc. Dlaczego akurat do pana?

Już to przerabialiśmy. Czyżby chciał mnie przyłapać na jakiejś sprzeczności?

– Wyśledziłem miejsce jej pobytu, spotkaliśmy się. Uznała, że może mi zaufać. Wiedziała, że jestem wolnym strzelcem i nie mam nic wspólnego z ludźmi, którzy ją uprowadzili.

– To było wasze jedyne spotkanie?

– Owszem.

– Powiedział pan, że próbowano ją dokądś wywieźć, wbrew jej woli. Nie wie pan dokąd?

– Nie.

– Ona również tego nie wiedziała?

– Nie.

– I nie zna pan jej niedoszłych porywaczy?

– Mam pewną wskazówkę. Numer na ogonie samolotu wskazuje, że należy on do firmy o nazwie Centurion Associates. Z Langley, stan Wirginia.

– Firmy ochroniarskiej.

– Tym się zajmują? To pewne?

Balakian zignorował moje pytania.

– Dlaczego nie powiedział mi pan o tym, kiedy rozmawialiśmy

w hotelu?

– Bo jeszcze nie wiedziałem. Dopiero niedawno to ustaliliśmy.

Milczał.

– Ja też mogę o coś spytać?

– Śmiało – zgodził się bez entuzjazmu.

– Przeglądaliście zapisy z nagrań monitoringu w tym hotelu?

– Bardzo uważnie. Nie ma ich zbyt wiele. Brak kamer w windach i na piętrach przeznaczonych dla gości. Ten hotel ceni sobie prywatność bardziej niż względy bezpieczeństwa. Można wejść do budynku i skierować się od razu do wind, pozostając niezauważonym przez obiektywy.

– A wejście służbowe?

– Tam są kamery. Ale w interesujących nas ramach czasowych nikt tamtędy nie wchodził ani nie udał się w stronę wind.

– A co z tą rozmową telefoniczną, która miała miejsce o dwudziestej czterdzieści siedem?

– Dzwoniono na niezarejestrowaną komórkę. Nic nam to nie dało.

– Możemy zagrać w otwarte karty? – spytałem.

– A nie graliśmy do tej pory?

– Sam pan powiedział, że cała ta sytuacja wygląda na książkowe samobójstwo. Jak z podręcznika. Ofiara podcina sobie żyły i tętnicę szyjną, siedzi w wannie, nosi oznaki zawahania. No a teraz mamy rohypnol. Czyżby zażyła go dla relaksu? Wydaje się bardziej prawdopodobne, że ktoś podał jej tę pigułkę gwałtu, żeby współpracowała, kiedy ją mordowano, kiedy się wykrwawiała.

Balakian kiwnął głową.

– Ktokolwiek to zrobił, wiedział, czego będą szukać śledczy.

Milczenie.

– To „samobójstwo” zostało zaaranżowane przez byłego gliniarza, może nawet detektywa z wydziału zabójstw.

– Poważne oskarżenie, wręcz dzika insynuacja.

– Nie, to tylko teoria. Którą powinien pan potraktować poważnie.

– Powiedzmy, że tak ją potraktowałem. Czy to w jakiś sposób

pomoże rozwiązać tę sprawę?

– Tropy prowadzą do firmy Centurion Associates. Najwyraźniej w skład ich personelu wchodzi byli funkcjonariusze policji metropolitalnej.

– I pana zdaniem jeden z nich zamordował Kaylę Pitts.

– Jak mówiłem, to tylko teoria.

– Hm – chrząknął Balakian. Po raz pierwszy nie odrzucił natychmiast mojej sugestii. – Być może ma pan pewną słusność.

64.

Szykowne lokum Ellen Wiley mieściło się przy N Street w waszyngtońskiej dzielnicy Georgetown, w samym centrum miasta. Był to ładny budynek w stylu architektonicznym obowiązującym na przełomie XVIII i XIX wieku, z czerwonej cegły, z czarnymi okiennicami. Drzwi otworzyła pokojówka w uniformie, to znaczy w szarej sukience o białych mankietach i w fartuszkach. Zaprowadziła mnie do biblioteki, tuż obok korytarza, gdzie w wyściełanym fotelu uszaku z wysokim oparciem siedziała Ellen Wiley. Pokój był pełen książek, stojących na półkach od podłogi do sufitu. Gospodyni rozmawiała przez telefon stacjonarny. Miała na sobie czarną spódnicę i białą jedwabną bluzkę z dekoltem na tyle głębokim, aby ukazać rowek między opalonymi piersiami. Szyję zdobił naszyjnik z pereł.

- Właśnie o to chodzi - mówiła do słuchawki - że on nie ma pojęcia. - Zaśmiała się hałaśliwie. - Otóż to. - Dostrzegła mnie, uśmiechnęła się i machnięciem ręki wskazała sąsiedni fotel. - Kochanie, muszę kończyć, mam gościa. - Przerwała. - Tak, odwiedził mnie pewien dżentelmen. - Znowu się roześmiała i odłożyła słuchawkę.

- No proszę, Nick Heller we własnej osobie! - wykrzyknęła Ellen. - Przyszedł pan o całą godzinę za wcześnie. On pojawi się dopiero o jedenastej.

Umawialiśmy się z panią Wiley, że stawię się w jej domu o dziesiątej, ale kiwnąłem tylko głową.

- To nam nie powinno zabrać więcej niż dziesięć minut, potem znikam - oznajmiłem.

- Jorge - zawołała gospodyni - możesz przynieść temu dżentelmenowi kawy? - I zwracając się do mnie, dodała: - On piecze najlepsze drożdżówki na świecie.

- Dla mnie nie, dziękuję.

– Na pewno? Są jeszcze ciepłe. Jeśli ja nie dam rady ich zjeść, to przynajmniej częstuję gości.

– Planuje się pani spotkać z nim tutaj?

– Oczywiście, tutaj albo w bawialni od frontu.

– Chciałbym, żeby się pani od razu zdecydowała.

– Och, wielkie nieba, w takim razie tutaj.

– W porządku. – Wyjąłem z kieszeni nadajnik podsłuchowy, małą czarną pluskwę GSM wielkości dwóch cali kwadratowych. Już wcześniej umieściłem w niej kartę SIM z telefonu komórkowego. – Prosiłbym również o decyzję, gdzie będzie pani siedzieć.

– Oho, sprzęt szpiegowski. Zajmę to samo miejsce. A on usiądzie tam gdzie pan teraz.

– Okej, świetnie. – Rozejrzałem się dokoła. Najbliższe gniazdko zasilające znajdowało się dość daleko. Na stoliku pomiędzy dwoma fotelami stała mosiężna lampa. Uniosłem ją. U podstawy nie było miejsca. A stół nie miał ani jednej szuflady. – Położę to pod poduszką na pani fotelu. Tam będzie siedzieć pani, zgadza się?

– Kochany, nawet nie drgnę. Mam coś z tym zrobić?

– Nic, proszę nie zwracać uwagi. Zadzwoń pod numer nadajnika tuż przed zjawieniem się pani gości, a urządzenie automatycznie przejdzie w tryb transmisji. Odsłucham całą rozmowę przez komórkę, czekając w samochodzie.

– Jest coś, o co powinnam go spytać?

– Zależy mi tylko, aby zachowywała się pani normalnie i udawała autentycznie zainteresowaną usługami Centurion Associates. Proszę powiedzieć, że ma pani poważne obawy co do swojego bezpieczeństwa. Im bardziej to będzie zagmatwane, tym lepiej. Powiedzmy, że ktoś panią nachodzi i nie chce odpuścić. Oni chwalą się, że załatwiają najtrudniejsze problemy. Proszę być wymagającą, trudną klientką.

– To da się zrobić – powiedziała Ellen Wiley. Coś zamigotało w jej oczach. Posłała mi zacięty uśmiešek, a wtedy zdałem sobie sprawę, że wołałbym nie negocjować z nią żadnych kontraktów.

Wynająłem wcześniej srebrnego chryslera 200, ponieważ był to najbardziej nierzucający się w oczy i anonimowy samochód, jaki udało mi się znaleźć. Zaparkowałem go naprzeciwko miejskiego domu Ellen Wiley, jakieś trzydzieści metrów w dół ulicy.

Usiadłem w aucie i czekałem. N Street była dwukierunkowa, ale ruch na niej niewielki. Dziesięć minut przed jedenastą pod domem Wiley pojawił się biały cadillac Escalade, zwolnił, a potem podjechał jeszcze dwadzieścia parę metrów i zaparkował równolegle do krawężnika. Wyjąłem lornetkę i skupiłem soczewki na nowym pojeździe. Zobaczyłem w nim dwóch mężczyzn, kierowcę oraz pasażera.

To musiał być Thomas Vogel, w towarzystwie pracownika firmy Centurion Associates.

Przyjechali wcześniej. Wiedzieli, kim jest Ellen Wiley i że stanowi dla nich szansę na zrobienie znakomitego interesu.

Nie przestawałem przyglądać się im przez lornetkę. Pasażer mówił coś do kierowcy. Język ciała wskazywał, że tym pasażerem jest Thomas Vogel i że zwraca się do swojego podwładnego.

Punktualnie o godzinie jedenastej Vogel wysiadł z escalade'a, trzasnął drzwiami i poszedł chodnikiem do domu Ellen Wiley. Ponieważ zmierzał w moim kierunku, mogłem mu się bez przeszkód przyjrzeć.

Vogel był wysoki, ale nie olbrzymi, mniej więcej mojego wzrostu, około metra dziewięćdziesięciu. Nosił dobrej jakości granatowy garnitur, białą koszulę i czerwony krawat – bardzo patriotyczne barwy – zdawał się też potężnie zbudowany. Miał szpakowate włosy i wąsy. Poruszał się pewnym krokiem człowieka nawykłego do fizycznej dominacji nad otaczającymi go ludźmi. Rozpoznałem twarz ze zdjęcia przedstawiającego wędkarza w domu Curtisa Schmidta.

Vogel wspiął się po trzech kamiennych schodkach prowadzących do frontowego wejścia do domu i wcisnął dzwonek.

Po chwili drzwi otworzyła ta sama pokojówka w uniformie. Mężczyzna wszedł do środka.

Stuknąłem w klawisz szybkiego wybierania w swojej komórce,

który połączył mnie z numerem karty SIM nadajnika podsłuchowego. Po kilku sekundach usłyszałem stłumione dźwięki, a potem głos pokojówki.

– ...Wiley za chwilę zejdzie. Napije się pan kawy albo herbaty?

– Kawy, bardzo chętnie – odparł gromki baryton.

– Proszę usiąść. Pani Wiley lubi zajmować ten fotel, proszę więc spocząć obok, dobrze?

Znacznie mocniejszy głos Vogla oznajmił:

– Dziękuję pani.

I zapadła cisza.

Cały ten czas nie spuszczałem oka z białego escalade. Kierowca rozmawiał przez komórkę. Nie spodziewałem się jego obecności. Była mi nie na rękę, ponieważ przygotowałem sobie lokalizator GPS, chcąc przytwierdzić go do podwozia, a teraz nie miałem na to szans.

Nagle usłyszałem głos Ellen Wiley, także mocny i wyraźny.

– Witam, panie Vogel. Jestem Ellen Wiley.

– Miło mi panią poznać. Tom Vogel.

– Stephen wyraża się o firmie Centurion w samych superlatywach.

– To bardzo cenny dla nas klient. Oto moja wizytówka.

– Och, metalowa! Jakże sprytnie. Można się tym skaleczyć.

– Ma podwójne zastosowanie, również do obrony własnej – powiedział Vogel i oboje się roześmiali.

Nie mogłem odczytać tablic rejestracyjnych escalade'a, przyglądałem się więc tyłowi samochodu w poszukiwaniu jakichś cech charakterystycznych, które mogłyby mi się później przydać. Żadnych nie zauważyłem. Pojazd wyglądał na nowy. Nie miał rys, zadrapań ani wgnieceń, o ile mogłem stwierdzić z tej odległości. Brak nalepek czy kalkomanii. Szyby nie były przyciemniane.

Wiley i Vogel rozmawiali. On wypytywał o domy Ellen, a ona opowiadała mu o swojej kolekcji sztuki. Jego bardziej ciekawiły wszelkie kradzieże, których ofiarą kiedykolwiek padła.

– Różnimy się od wszystkich pozostałych firm ochroniarskich na rynku – mówił Vogel. – Tych dobrych oczywiście nie brakuje,

Triple Canopy, Aegis Defence Services, Pinkerton, Securitas – to same najlepsze, z górnej półki. Oczywiście, my też zapewniamy ochronę typu VIP, ale na innych zasadach. Musi pani wiedzieć, że po prostu rozwiązujemy dany problem. Potrzebuje pani strażników? Proszę ich wynająć. Potrzebny jest pani były policjant? Proszę wynająć byłego policjanta. My nie zajmujemy się takimi błahostkami jak patrolowanie jakiegoś rewiru. Rozumie pani? Działamy ofensywnie, nie defensywnie. Nie stoimy sobie pod murkiem i nie chronimy klientów przed ewentualnymi kłopotami. Sprawiamy, że te kłopoty same znikają. To bardzo... specjalistyczny zestaw umiejętności. Skoro rozmawiała pani ze swoim znajomym, Brookhiserem, zakładam, że orientuje się pani w istocie naszej oferty. Polega ona na rozwiązywaniu problemów. Załatwianiu bieżących kwestii tak, że właściwie... przestają istnieć. Jeśli ujawniam teraz za dużo i mogę stracić to zlecenie, to trudno. Będzie, co będzie. Nasza oferta nie jest skierowana do każdego. Zresztą, nie każdy jej potrzebuje. Szczerze mówiąc, nie każdy czuje się zdolny ją przyjąć. Pani Wiley, wystarczy mi powiedzieć, że czuje się pani teraz choć odrobinę niezręcznie, a natychmiast wyjdę i wszystko będzie między nami w porządku. Jakby to spotkanie nigdy się nie odbyło.

Po trzydziestu pięciu minutach Vogel wyłonił się z frontowych drzwi domu Ellen Wiley. Obserwowałem, jak schodzi po trzech stopniach, sunie dwadzieścia pięć metrów na piechotę i wsiada do białego esalade'a. A potem około minuty rozmawia ze swoim kierowcą. Nagle ich samochód oderwał się od krawężnika i ruszył w dół N Street.

A ja za nim.

65.

Najtrudniejszy moment inwigilacji podejrzanego, który jedzie samochodem, przypada na sam początek. Usiądź figurantowi na ogonie za wcześnie, a natychmiast cię zauważy. Będziesz spalony, zanim w ogóle zaczniesz działać. Z drugiej strony zbyt długie wyczekiwanie, by w końcu za nim ruszyć, wiąże się z ryzykiem zgubienia śledzonego obiektu.

Odczekałem, aż escalade znajdzie się prawie na końcu przecznicy, i dopiero wtedy dodałem gazu. Tamci skręcili w prawo na ulicę Trzydziestą, ja za nimi. Była to wąska dwupasmówka, auta parkowały po obu jej stronach. Starąłem się trzymać daleko z tyłu, ale nawet zwolniwszy, stwierdziłem, że escalade czeka w długiej kolejce przed sygnalizacją świetlną na skrzyżowaniu z M Street. Natychmiast zatrzymałem się za nim.

Nie miałem wyboru. Musiałem jak najszybciej zniknąć im z oczu.

Tablice rejestracyjne ich auta widziałem już wyraźnie, a nawet zrobiłem im zdjęcie telefonem. Gdy światła zmieniły się na zielone, escalade skręcił w lewo, bez kierunkowskazu. Na M Street panował spory ruch, trwały poranne godziny szczytu. Ja również skręciłem w lewo, nie tracąc śledzonych z oczu. Zwolniłem, zjechałem w bok, jakbym miał zamiar parkować, a potem przepuściłem kilka wozów. Następnie, nadal nie spuszczać oczu z escalade'a, włączyłem się do ruchu.

Jechaliśmy na wschód. Minęliśmy kilka przecznic, a ja cały ten czas trzymałem się parę wozów za Voglem. Przez wiadukt nad Rock Creek Parkway wyjechaliśmy z dzielnicy Georgetown i znaleźliśmy się na West Endzie. Escalade ściał ostro w prawo w Pennsylvania Avenue. Ja też, o kilka aut dalej, i wkrótce zbliżyliśmy się do ronda Waszyngtona od strony Dwudziestej Czwartej, mając szpital akademicki po prawej. Rondo to zawsze świetne miejsce, żeby się pozbyć ogona.

Ale nie wyglądało na to, że escalade chce mnie zgubić, czyli kierowca Vogla nie zdawał sobie sprawy z sytuacji. I bardzo dobrze.

Na rondzie Waszyngtona przy każdym zjeździe jest sygnalizacja świetlna, rzecz bardzo irytująca. Teoretycznie jest ona zsynchronizowana, nikt jednak nie wie, względem czego. Miasto Waszyngton zostało świadomie zaprojektowane tak, aby utrudnić wrogiej armii szybkie przemieszczanie się z jednej dzielnicy do drugiej, czego współczesnym dowodem jest tutejszy sposób organizacji ruchu drogowego. Teraz jedynym pojazdem między mną a obiektem był jakiś czarny jeep. Nie przeszkadzało mi to, bo zapewniał solidną osłonę.

Z Dziewiętnastej skręciliśmy ostro w H Street, jak zresztą wszyscy pozostali, ponieważ Pennsylvania Avenue została zamknięta na odcinku przed Białym Domem. Widziałem go po swojej prawej, za parkiem Lafayette'a. Po lewej natomiast wznosiły się kościół Świętego Jana oraz hotel Hay-Adams.

Jak dotąd inwigilacja przebiegała gładko.

Nagle, na H Street, z podziemnego parkingu wyskoczył wprost na mnie jakiś SUV, w ogóle nie hamując i nie używając kierunkowskazu. Wdusiłem hamulec i zakląłem jak szewc. Jako mieszkaniec Bostonu jestem przyzwyczajony do kiepskich i agresywnych kierowców, ale tutaj niewiele dzieliło mnie od tragedii. Odbiłem mocno kierownicą, mijając SUV-a w ostatnim momencie, i zobaczyłem, jak biały escalade skręca w lewo w New York Avenue. Dogoniłem go na kolejnych światłach, choć z trudem. Minęliśmy dawny dworzec autobusowy Greyhounda, nadal rozpoznawalny mimo trwającej przebudowy na cele biurowe, co dotyczyło również niemal wszystkich innych budynków w tej części miasta.

Jadąc Dwunastą, dotarliśmy do małego waszyngtońskiego Chinatown. Tablica informująca o placówce FedExu zawierała chińskie znaki, choć mieszkało tu już niewielu Chińczyków. Na zielonym świetle escalade wskoczył w lewo w Szóstą, a potem w prawo na K Street. Utrzymawałem należyty dystans od pojazdu Vogla, mając w zapasie dwa samochody. Mogłem sobie

na to pozwolić tak długo, jak tamci zmierzali prosto przed siebie.

Zacząłem się zastanawiać, dokąd ten facet jedzie. Minęliśmy już część Waszyngtonu, którą większość ludzi uważa za centrum, i dlatego jak sądzę, tu głównie poszukuje się lokali na siedziby firm. Teraz zaczynały się mniej eleganckie dzielnice. Na północ stąd wznosiło się Wzgórze Kapitolu. Ciekawe, czy Vogel kieruje się właśnie tam, pomyślałem, może do biur Senatu albo Kongresu? Ale biały SUV jechał dalej ku Northeast, o kilka wozów przede mną. Nadal mnie nie zauważyli, o ile mogłem przypuszczać.

Nagle na żółtym świetle escalade przyspieszyło i pędem pokonało skrzyżowanie. A tymczasem sunące przede mną audi dało ostro po hamulcach.

Tkwiałem unieruchomiony przez sygnalizację drogową, po niewłaściwej stronie skrzyżowania. Tamci jechali dalej.

Po prawej miałem stację paliw Citgo, usytuowaną zaraz przy południowo-wschodnim rogu skrzyżowania. Wcisnąłem się tam, przeciąłem teren placówki, skręciłem w lewo, a potem w prawo. Biały samochód mignął mi w połowie przecznicy. Dodałem gazu, wplotłem się w ruch pojazdów i w końcu miałem pewność, że się nie mylę: to był escalade Vogla.

Na mijany krajobraz składały się sklepy z alkoholem, siedziby dilerów samochodowych, stacje benzynowe. Escalade skręcił w lewo na Franklin Street, a ja lękliwie za nim. Była to mało uczęszczana ulica w Brookland, dzielnicy otaczającej uniwersytet katolicki. Zwolniłem, żeby zachować odpowiedni dystans od śledzonego obiektu, lecz i tak znajdowałem się bezpośrednio za nim.

Nie mogłem zrozumieć, dlaczego kierowca Vogla nie podejmuje jakichś środków ostrożności, nie kluczy. Czy to możliwe, by do tej pory mnie nie zauważył? Przecież siedziałem mu na ogonie od dłuższego czasu, przez wiele kilometrów miejskich ulic.

Albo facet był kiepski – słabo wyszkolony operacyjnie – albo wcale nie obawiał się ogona. Jedno i drugie źle o nim świadczyło. Może reputacja firmy Centurion jako eksperta od zadań specjalnych była zwyczajnie przesadzona?

Minąłem skupisko połączonych ze sobą ceglanych domów szeregowych, z których każdy pomalowano na inny kolor. Escalade skręcił w bardzo zatłoczoną Rhode Island Avenue. Ja również. Trochę mi ulżyło, ponieważ gęstwina pojazdów zapewniała mi osłonę. Pozwoliłem tamtym wysforować się ze sto metrów do przodu; po chwili ich wóz skręcił w lewo w Reed, małą i zupełnie cichą uliczkę.

Zawahałem się. Jeśli zrobię to samo, od razu mnie zauważą. Już i tak miałem sporo szczęścia, naciągnąłem swój fart do granic wytrzymałości. Bo kierowca Vogla najwyraźniej nie miał pojęcia o mojej obecności.

Chyba że jednak miał. I właśnie teraz podjął próbę przeciwdziałania inwigilacji metodą zwaną „czyszczeniem na sucho”. Czekał, aż skręcę w lewo w Reed – i wszystko stanie się jasne. Będę wykryty i spalony.

A może to była innego rodzaju pułapka.

Musiałem podjąć jakąś decyzję. Zrezygnować ze śledzenia tamtych, co po tak długiej jeździe wydawało mi się wręcz głupie? Czy je kontynuować, ryzykując konfrontację? Możliwe, że byli uzbrojeni. Mój wybór ograniczał się do tych dwóch możliwości.

Wolno skręciłem w wąską uliczkę. Dokładnie w chwili, w której escalade znowu odbijał w lewo, kilkaset metrów dalej.

Pognałem przed siebie i zatrzymałem się w miejscu, w którym tamci zniknęli. Patrzyłem na zaułek, alejkę, właściwie ślepą uliczkę. Po obu jej stronach ciągnęły się ceglane magazyny, przysadziste i ponure. Wiele okien miało wybite szyby. Niektóre z lokali sprawiały wrażenie kompletnie opustoszałych i nieużytkowanych. Choć może nie wszystkie. Escalade zaparkował prawie na samym końcu zaułka, po lewej. Zobaczyłem, jak Vogel i jego kierowca wysiadają z pojazdu i wchodzą do ostatnich drzwi w szeregu magazynów. Tuż przed zniknięciem w środku Vogel rozejrzał się dookoła.

Fakt, że kierowca nie został w samochodzie, wskazywał, że tym razem nie chodzi o spotkanie biznesowe. Czyżby zatem była to siedziba firmy Centurion? W tym opustoszałym budynku przemysłowym?

Wydawało się to całkiem prawdopodobne. A jeśli nie siedziba, to przynajmniej jakieś miejsce spotkań, które wymagało bliższego sprawdzenia.

Zaparkowałem samochód na Reed Street. W zaułku nie było innych aut; wjechanie tam i pozostawienie wozu wiązałyby się z dużym ryzykiem. Podobnie zresztą jak spacer na piechotę, tyle że mniejszym.

Przez lornetkę uważnie zbadałem tę część budynku, w której przed chwilą zniknęli Vogel i jego kierowca. Nie zauważyłem najmniejszego ruchu, mimo to odczekałem jeszcze kwadrans. Nie pojawił się żaden nowy samochód, nikt nie wchodził ani nie wychodził z magazynu.

Glock Curtisa Schmidta był naładowany – w sklepie z bronią w McLean kupiłem kilka pudełek nabojów – jednakże siłą nawyku sprawdziłem kurek spustowy i przeładowałem pocisk, taki z wgłębieniem wierzchołkowym, zwiększający szanse na powstrzymanie przeciwnika. Potem wyciągnąłem ze spodni skraj koszuli, pistolet wsunąłem za pasek ukryty pod połą i wysiadłem z samochodu.

Szedłem wzdłuż magazynów, trzymając się blisko ceglanych ścian. Zbliżałem się powoli. Dotarłszy do drzwi ostatniego budynku, znieruchomiałem, nasłuchując.

Dobywający ze środka cichy pomruk głosów wskazywał, że znajduje się tam przynajmniej dwóch mężczyzn, Vogel i jego kierowca. Nie mogłem wykluczyć obecności jeszcze kogoś innego.

Wykorzystując element zaskoczenia, załatwiłbym tych dwóch z łatwością. Więcej przeciwników też, ale już nie tak łatwo. A przecież chciałem tylko porozmawiać sobie z Thomasem Voglem.

Wyciągnąłem pistolet, odbezpieczyłem go, wycelowałem i trzymając w obu rękach, obróciłem się w stronę wejścia. Stałem teraz na wprost, z bronią gotową do strzału.

Wszedłem. Nikogo nie było.

Od pomalowanych czarną farbą, solidnych metalowych drzwi dzieliło mnie sześć schodków. Zatrzymałem się i nadstawiłem

uszu. Znowu usłyszałem ludzkie głosy, teraz troszkę wyraźniej. Przerzuciwszy pistolet do prawej ręki, pociągnąłem za klamkę. Bardzo powoli. Drzwi się poruszyły, nie były zamknięte na klucz.

Nie miałem już drogi odwrotu.

Decyzję podjąłem w ułamku sekundy. Frontowe drzwi większości domów otwierają się do środka, natomiast w budynkach publicznych – odwrotnie, na zewnątrz. Dla szybkiej ewakuacji w razie pożaru. To typowy wymóg przepisów przeciwpożarowych. Dlatego jednym gwałtownym szarpnięciem otworzyłem podwoje, mierząc pistoletem na prawo ode mnie.

Zobaczyłem biuro, skromne i funkcjonalne. W jednej chwili przeskanowałem wszystkie jego elementy: metalowy blat recepcyjny z komputerem, stojący wieszak, kilka krzeseł, szarą wykładzinę.

I po swojej lewej – faceta z bronią. Wycelowaną prosto we mnie.

– Nie ruszaj się – powiedział.

Dopiero teraz wszystko zrozumiałem.

Stałem spokojnie, a skonfiskowany glock trzymałem wymierzony w faceta.

On również posiadał pistolet półautomatyczny. Był matowoczarny i wyglądał, a jakże, na glocka. Młody mężczyzna po dwudziestce, z wojskową fryzurą, wysoki i ostry, unosił broń oburącz, w postawie świadczącej o biegłości wyborowego strzelca. A jednak sprawiał wrażenie bardzo zestresowanego. Intensywnie mrugał.

To mi się nie podobało. Zdenerwowany facet ze spluwą łatwo może zrobić coś głupiego.

– Odłóż broń – powiedział. Głos miał wysoki i pełen napięcia.

– Ty pierwszy.

Przeklinałem się w duchu, że wpakowałem się w to bez wsparcia, bez obecności zespołu, a przynajmniej jednego człowieka z mojej drużyny. Świadczyło to o braku profesjonalizmu oraz o arogancji. A może po prostu powodował mną gniew, pozbawiając należytej ostrożności. Ponieważ wszedłem prosto w zastawioną pułapkę.

Facet znowu zamrugał.

– Mówię serio. – W jego głosie było słychać delikatne drżenie. – Rzuć broń.

– Bo co? – spytałem.

Gdzieś za mną otworzyły się drzwi; kątem oka dostrzegłem ludzką postać. Skierowałem wzrok w prawo, cały czas mierząc z pistoletu do zdenerwowanego gościa.

Bez odwracania głowy widziałem kolejnego, ale nie potrafiłbym nic o nim powiedzieć poza tym, że on również celował do mnie z nagana.

– Rzuć kławkę – powiedział ów drugi facet głębkim głosem. Nie czuć w nim było zdenerwowania.

Kalkulowałem swoje szanse. Niewielkie szanse. Najbardziej

martwił mnie ten pierwszy gość, ten załęczniony. Mógł w każdej chwili pociągnąć za spust, pewnie palec go świerzbił. Wyglądał mi na takiego, który chce kogoś kropnąć. A tym kimś byłbym akurat ja.

Nie miałem właściwie wyboru, przynajmniej takiego, który pozwoliłby mi ująć z tego z życiem. Opuściłem glocka należącego do Curtisa Schmidta, a potem rzuciłem go na podłogę, o którą głośno stuknął.

Obaj mężczyźni ruszyli ku mnie w sposób skoordynowany, z wycelowaną bronią. Odwróciłem głowę w prawo, mogąc wreszcie spojrzeć na tego drugiego faceta. Rozpoznałem w nim kierowcę Vogla. Najwyraźniej był to człowiek rozlicznych talentów. On również mierzył do mnie z półautomatycznego pistoletu Glock 26. Zastanawiałem się, skąd się wzięły te wszystkie glocki, może oferowano je na jakiejś totalnej wyprzedaży, a potem przypomniałem sobie, że przecież znajdowały się na wyposażeniu funkcjonariuszy waszyngtońskiej policji metropolitalnej jako podstawowy rodzaj broni. Pełniąc służbę, funkcjonariusze posługiwali się pistoletem glock 17, chyba najbardziej popularnym modelem w siłach porządkowych na całym świecie. Natomiast po pracy gliniarze z WPM mogli nosić tylko Glocka 26, czyli tak zwanego gloczka.

Ten facet wyglądał na dziesięć lat starszego niż jego kumpel, był trochę bardziej napakowany, czarne włosy miał krótko przystrzyżone, ale nie po wojskowemu. Wycelował palec w nerwusa i powiedział:

– Oślaniaj mnie.

Potem wsunął pistolet do kabury na prawym biodrze.

Podchodząc do mnie, wyciągnął z tylnej kieszeni spodni długi pasek białego plastiku. Opaska zaciskowa. Jednorazowe więzy. Planowali mnie skępować, nie zabić. Chyba że wdałbym się w utarczkę z tym drugim facetem. Wtedy ten o świerzbiących palcach z pewnością pociągnąłby za spust.

Uznałem, że wszelkie spory byłyby nie na miejscu.

– Z przodu czy z tyłu? – zapytał kierowca.

– Że co?

- Chcesz trzymać ręce z przodu czy z tyłu?
- Z tyłu. Ułatwię ci.
- Tak myślałem.

Podszedł jeszcze bliżej.

- Cofnij się dwa kroki – rozkazał.

Zrobiłem, co kazał, a on pochylił się i podniósł mojego glocka. Następnie położył go na krawędzi metalowego biurka.

- Odwróć się.

Wykonałem polecenie. Schowałem ręce za siebie, łącząc oba nadgarstki.

- Dłońmi do góry.

Uczyniłem, co kazał. Czułem, jak zaciska na moich przegubach plastikową opaskę, a potem zapina ją ciasno. Byłem co nieco zaskoczony, że używają zwykłych plastików, a nie tych wypasionych, będących na wyposażeniu policji. Na YouTube pełno jest filmików pokazujących, jak się uwolnić z prostych opasek zaciskowych.

Mężczyzna wskazał na stojące w pobliżu metalowe krzesło.

- Usiądź, proszę – powiedział.

Był to mebel wykonany z aluminium, jeden z tych, których w okresie II wojny światowej setki tysięcy wyprodukowano dla amerykańskich okrętów wojennych. Nierdzewny, odporny na działanie pola magnetycznego, lekki, zdolny przetrwać wybuch torpedy. Obecnie spotyka się je w więzieniach tudzież w wytwornych restauracjach.

Usiadłem; ręce wystawały mi przez dziurę w oparciu. Facet wyciągnął kolejne opaski zaciskowe i przywiązał obie moje kostki u nóg do krzesła. Wydaje mi się nawet, że końcówki plastiku okręcił wokół śrub oczkowych pod siedziskiem. To tyle, jeśli chodzi o filmiki na YouTube. W takich okolicznościach wyswobodzenie się musiałoby zająć mi sporo czasu.

- W porządku – powiedział mężczyzna. – Nie sprawiaj problemów.

- Jasne.

- Okej. – Dał sygnał temu pierwszemu, który wolno opuścić broń.

– Zaczekaj tutaj.

I wyszedł z pokoju. Spojrzałem na gościa, który został. Nadal trzymał w ręku pistolet, ale już u boku. Spoglądał na mnie groźnie, jakbym był bezpańskim psem chorym na wściekliznę, i zachowywał należytą odległość. Nie zamierzał się do mnie zbliżać.

Jakąś minutę później wszedł do pokoju, utykając, wysoki, łysy facet z wygoloną głową i kalafiorowatymi uszami.

Uśmiechnąłem się na jego widok.

Curtis Schmidt nosił dzinsy i czarną bluzę z kapturem. Na jego lewym kolanie widniała skomplikowana orteza ortopedyczna z kłami, zawiasami oraz paskami na rzepy. U biodra miał pistolet w kaburze. Kiedy spojrzał na mnie, jego głęboko osadzone oczy rozblęły.

Jestem prawie pewny, że on także się uśmiechnął.

Zbliżał się do mnie z zaciśniętymi pięściami.

– Chyba nie zamierzasz walnąć związanego faceta, co? – spytałem.

Schmidt zrobił kolejnych parę kroków w moją stronę.

– Przecież to nie fair – podjąłem. – Może po prostu dajmy sobie równe szanse, a ty...

Tamten przyjął nagle postawę bokerską, jego chroma lewa noga wysunęła się do przodu, prawa stopa cofnęła się i obróciła. Łokcie znalazły się bliżej ciała, lewa pięść trzymała gardę pod brodą, a druga wykonała prawy prosty w moje podbrzusze.

Poczułem skok adrenaliny i w tym momencie wszystko zwolniło.

Zobaczyłem pięść Schmidta zbliżającą się do mego brzucha i wiedziałem, że zamiast napinać wszystkie okoliczne mięśnie, muszę je rozluźnić. Gwałtownie wypuściłem powietrze ustami; stało się to dokładnie w tej samej chwili, w której łapa boksera walnęła mnie w żołądek. Schmidt stęknął głośno.

Ból był oszałamiający.

Rozblęły tysiąc białych gwiazd. Gwałtownie wciągnąłem powietrze, ale przez długą chwilę nie byłem w stanie oddychać. Moja przepona drgała konwulsyjnie, sparaliżowana. Usłyszałem

śmiejch Schmidta.

Gdy w końcu udało mi się zaczerpnąć tchu, wydyszałem:

– To wszystko, na co cię stać?

Mój głos stał się wysokim szeptem, prawie niedosłyszalnym. Schmidt nie mógł zrozumieć, co próbuję mu powiedzieć.

Nachylił się na tyle blisko, że poczułem jego smrodliwy oddech.

– Że co?

– Na więcej cię nie stać? – wyszeptałem ponownie.

Nadal mnie nie rozumiał. Przechylił głowę, stanął jeszcze bliżej i uśmiechając się, nadstawił ucha.

– Chcesz coś powiedzieć, Heller?

To, co teraz zrobiłem, wymagało absolutnie całej pozostałej we mnie energii, której było już niewiele.

Zacisnąłem zęby, napiąłem mięśnie karku. Cofnąwszy nieco podbródek, gwałtownie trzasnąłem go czołem w nos.

Dało się słyszeć przeraźliwe chrupnięcie.

Nagle dosłownie wszędzie pojawiła się krew. Spływała po twarzy Schmidta tak, jakby ktoś odkręcił kran. Kurtyna krwi. Facet ryknął z bólu i zrobił chwiejny krok w tył, a potem zwałił się na podłogę; jego wyprostowana lewa noga wyglądała jak przewrócony kręgiel.

Zasłonił rękoma twarz, krzycząc zaskakująco wysokim głosem. Rozciągnięty na posadzce, wył z bólu, ale wydaje mi się, że także z powodu czegoś jeszcze gorszego – upokorzenia.

A potem wyciągnął swojego glocka i gramoląc się na nogi, wycelował go we mnie.

Drzwi się otworzyły, sekundę później jakiś głos warknął:

– Zostaw, Schmitt!

To był Thomas Vogel. Nadal ubrany w granatowy garnitur, pod czerwonym krawatem, odświeżony. Z tymi szpakowatymi włosami, wyraźnym przedziałkiem po lewej stronie i szpeciniastym wąsem prezentował się bardzo dostojnie. Mógłby być majordomusem ekskluzywnej restauracji albo menedżerem firmowego salonu Mercedesa. Jednak w jego stanowczym kroku, w jego beczkowatej budowie ciała, zwłaszcza klatki piersiowej, było coś, co świadczyło o pewności siebie

człowieka apodyktycznego, przywykłego do wymuszania na wszystkich tego, czego chce.

Schmidt natychmiast opuścił broń. Jego lewa dłoń zasłoniła pęknięty nos. Krew spływała dalej.

– Mógłbym zostać z nim sam? – zapytał Vogel. Głos miał grzmiący, głęboki i nawykły do wydawania rozkazów.

Patrzył na mnie, lekko kręcąc głową, podczas gdy dwaj pozostali mężczyźni wyszli z pomieszczenia; Schmidt pozostawiał za sobą krwawy ślad. Vogel wyglądał teraz na rozbawionego, a może też lekko zażenowanego.

– Bardzo przepraszam – powiedział, gdy drzwi się zamknęły. – Naprawdę powinienem wysłać Schmittiego na jakieś zajęcia z kontrolowania gniewu.

Cholernie bolała mnie głowa, wciąż miałem trudności z nabraniem w płuca powietrza.

– Więc pan to Nick Heller – stwierdził Vogel.

– Wymieniłbym uścisk dłoni, ale... – Tylko tyle zdołałem wydukać.

– Wiem o panu wszystko. Ciekawy z pana facet.

Zaczerpnąłem kilka płytkich oddechów, na więcej nie było mnie stać.

– Człowiek pełen paradoksów, rzekłbym. Znam pańskie akta wojskowe. Wiem, czego dokonał pan w Kunduzie. Ma pan krew na rękach. – Vogel znów pokręcił głową, ale nie potrafiłem stwierdzić, czy z podziwem, czy może z dezaprobatą.

Mówił o pewnym epizodzie z mojej przeszłości, o którym nigdy z nikim nie rozmawiałem i o którym wolałbym zapomnieć.

– Czasem trzeba robić pewne rzeczy, bo nie ma innego wyjścia – powiedział. – Pan to rozumie, jestem pewien.

– Czego pan chce?

– Chwili rozmowy. Obaj jesteśmy bardzo zajęci. To nie potrwa długo.

– Okej. Może dałoby się zdjąć ze mnie te kajdanki?

Vogel kiwnął głową.

– Jasne. Za chwilę. – Noskiem swojego półbuta z cielejącej skóry przesunął wzdłuż krawędzi strumyczka krwi, która zaczynała już

krzepnąć. – Wie pan, w naszej branży są owce i są pasterze. Tacy jak my są niczym pasterze, którzy dbają o swoje owieczki. Chronimy je, pilnujemy, żeby spokojnie sobie żyły, ratujemy im życie. Przecież tak naprawdę za to nam płacą, zgodzi się pan?

Popatrzyłem na niego. Milczałem.

– Pan i ja nie jesteśmy w stanie wojny – ciągnął. – Może się panu wprawdzie wydawać, że tak, ale zaprzeczam. Jesteśmy niczym Niemcy i Francja – podczas drugiej wojny światowej śmiertelni wrogowie, a kilka lat później główni partnerzy handlowi. Tak toczy się świat.

– Jest jakaś puenta?

Uśmiechnął się.

– Prowadzimy biznes, każdy w inny sposób, pan i ja, ale ostatecznie znajdujemy się po tej samej stronie. Problem zaczyna się wtedy, gdy klienci – cywile – nastawiają nas przeciwko sobie. A przecież nie mamy żadnego powodu, aby rzucać się sobie do gardeł.

– Doprawdy.

– Posłuchaj, Heller, ty też masz swoje wrażliwe punkty. Obaj o tym wiemy.

Tylko patrzyłem na niego.

– Na przykład ta kobieta, która u ciebie pracuje, Dorothy Jakaśtam. Bratanek, bardzo ci bliska osoba. Dziennikarka ze Slander Sheet. Do diabła, nawet masz matkę w okolicach Bostonu. Miękkie podbrzusze. Łatwe cele.

– Ani się waż o tym myśleć, Vogel.

– Człowieku, nie cierpię tego typu rozmów. Powinniśmy współpracować, tak uważam. Chronić owieczki dla ich dobra.

– Aha.

– Chyba nie chcesz być moim przeciwnikiem, Heller. Dojdziemy do porozumienia, a w przyszłym roku o tej porze będę ci już podsyłał klientów.

– Aha.

– Nie dojdziemy? To spraw sobie czarny garnitur. Bo zaczniesz bywać na licznych pogrzebach.

Zadzwoiła komórka Vogla; wyjął ją z kieszeni.

– Słucham. Tak. Rozumiem. Już jadę. – Odwrócił się i zawołał: – Rafferty, zbieramy się. – Do mnie rzekł: – Przepraszam, ale mam spotkanie.

Wyciągnął jedną z tych swoich metalowych wizytówek, po czym wsunął mi ją do kieszeni koszuli. Pomachał niedbale w kierunku krzesła, opasek zaciskowych oraz chyba moim. – Damy ci trochę czasu, żebyś to sobie przemyślał.

Siedziałem tam długo, przywiązany do aluminiowego krzesła, i rozmyślałem.

Vogel zostawił mnie samego w tym pustym magazynie, założywszy chyba, że uwolnienie się zajmie mi cały dzień. A może kilka dni. W końcu swobodę ruchu odbierało mi aż nazbyt wiele plastikowych zacisków, połączonych ze sobą, które stanowiły poważne wyzwanie.

Jednakże sytuacja nie była beznadziejna.

Przynajmniej tak sobie wmawiałem.

Niestety, nie mogłem wykorzystać metalowej wizytówki Vogla, ponieważ nie byłem w stanie sięgnąć do kieszeni koszuli. Rozejrzałem się po pokoju; uważnie zlustrowałem metalowe biurko, wieszak i podłogę w poszukiwaniu nożyczek, noża, czegokolwiek ostrego. Biurko miało szufladę. Uznałem, że warto się jej przyjrzeć. Tylko jak się stąd ruszyć? Nogi przymocowano mi do krzesła. Przesunąłem jedną stopę i stwierdziłem, że jednak pozostało niewielkie pole manewru. Wystarczające, aby stanąć na piętach i odepchnąć się nimi od podłoża. Ruch ten sprawił, że krzesło przemieściło się o zaledwie kilka centymetrów, a tymczasem od szuflady biurka dzieliło mnie jeszcze cztery, pięć metrów. To jednak już było coś. Nawet najdalsza podróż zaczyna się od...

Ogarnęła mnie dziwna obojętność, jakiś rodzaj spokoju, okrywający mnie niczym mgłą. Bardzo użyteczna mgła. Kiedyś pomagałem mojemu bratankowi, Gabe'owi, składać diabelsko skomplikowany model zabawkowego szpitala i chłopak aż krzyczał ze złości. Wtedy właśnie nauczyłem go, jak sprawić, aby spłynął nań spokój: skupić się na jednej rzeczy do zrobienia naraz, oddychać głęboko, powoli, spokojnie. Zmontowanie do kupy tej przekłętej makiety szpitala zajęło nam obu ze trzy godziny, ale bardzo dotąd nerwowy i porywczy Gabe ostatecznie

się nie poddał. Kiedy skończyliśmy, promieniał z dumy. Odtąd, w obliczu spraw zawitych i sprawiających kłopot, na przykład jakiegoś trudnego zadania z matmy bądź fizyki, powtarzałem mu niezmiennie: „Przypomnij sobie szpital”, a on od razu się uśmiechał i kiwał głową, jakby mówiąc: „Kumam”. Ilekroć widzę, że za chwilę wpadnie w szal w związku z jakąś niemożliwą do ułożenia rozsypanką z puzzli, podsuwam mu magiczne słówko „szpital”. Gabe się uśmiecha i próbuje dalej.

Teraz powtarzałem wyraz „szpital” samemu sobie i też się uśmiechałem. Dam radę. To będzie żmudne, męczące i powolne, ale dam radę. Musiałem tylko wejść w odpowiedni stan. *Spokój*. Stałem na piętach, odepchnąłem się palcami u nóg, zaszurałem nogami krzesła o pięć centymetrów bliżej celu. Dwa ruchy za mną, przede mną jeszcze tylko sto siedemdziesiąt osiem.

W mojej kieszeni odezwała się komórka.

Przesuwając się wolno po podłodze, z dzwoniącym telefonem, próbowałem zrobić coś z rękoma. Były związane w nadgarstkach, a obie opaski zaciskowe łączyły się dodatkowo z pionowymi wspornikami krzesła. Normalnie, gdyby pociągnąć je odpowiednio mocno w dół, można by je wyrwać z nasadek blokujących i uwolnić dłonie. Ale to nie wchodziło w grę.

Uniesienie pięt, odbicie się palcami stóp, pchnięcie do przodu. Kolejne pięć centymetrów bliżej. Nie ma rzeczy niemożliwych. Szpital.

Musiałem się stąd wydostać, do cholery.

Telefon nie przestawał dzwonić. Naliczyłem trzynaście dzwonek, potem nastąpiła chwilowa przerwa, i znów od początku. Jakiś uparciuch, pomyślałem. Ktoś pilnie chciał się ze mną skontaktować. Mandy? Dorothy?

Dopiero wtedy dotarło do mnie, że przecież palce mam swobodne, mogę nimi ruszać i manipulować. A to już było coś.

Wymacałem jeden z zacisków łączących pętlę wokół moich nadgarstków z metalową konstrukcją krzesła. Zdołałem obrócić opaskę zaciskową tak, że nasadka blokująca znalazła się w pobliżu moich palców.

Potem wsunąłem paznokieć w maleńką plastikową obudowę,

tworzącą zatrzask. Jest w niej zapadka, a właściwie przesuwna taśma łącząca się z wycinanym końcem plastikowej obejmmy, która zatrzaskuje się i uniemożliwia uwolnienie z więzów. Podważyłem zapadkę ku górze, zmniejszając stopień nacisku. Potem, szarpiąc palcami, poluzowałem „kajdanki”; ciągnąłem dopóty, dopóki koniec obejmmy nie wyszedł zupełnie.

Sukces! Miałem wrażenie, że odniosłem wspaniałe zwycięstwo, jakbym zdobył złoty medal na olimpiadzie. Nie przyszło mi do głowy, że nadgarstki nadal mam skrępowane, a kostki u nóg ściśle przylegają do krzesła. To byłoby myślenie negatywne i nic by nie dało. Ważna jest koncentracja na choćby najdrobniejszym zwycięstwie, nawet jednorazowym. *Szpital.*

Telefon przestał dzwonić.

Podsunałem krzesło w stronę szuflady biurka o kolejnych pięć centymetrów.

Mogłem teraz swymi ruchliwymi palcami dosięgnąć drugiej pętli. Przesunałem ją tak, by wyczuć nasadkę blokującą, a następnie obmacałem ją paznokciem środkowego palca w poszukiwaniu maleńkiej zapadki. Uniosłem ją, palcami drugiej ręki szarpiąc jednocześnie za taśmę. Zdołałem ją poluzować. Moje dłonie, mimo że nadal związane, mogły teraz manewrować dość swobodnie za plecami. To już było coś.

Trzeba się stąd wynosić.

Poszurałem jeszcze kilka centymetrów, patrząc na szufladę i zastanawiając się, jakie przedmioty mogą się w niej znajdować. Może nożyczki, ostry nożyk do listów, a kto wie, czy nie obcinacz do paznokci. Cokolwiek, co mogłoby przeciąć nylonową taśmę i dać mi wolność. Użyteczny byłby nawet spinacz do papieru.

W końcu – minęły pewnie ze trzy kwadranse – znalazłem się na tyle blisko biurka, że napierając dłońmi w przód i w tył, zdołałem złapać uchwyt szuflady i pociągnąć ją do siebie na jakieś trzydzieści centymetrów. Odwróciłem się powoli, żeby zajrzeć do środka.

Szuflada była pusta.

Zakląłem głośno.

Czułem irytację, przygnębienie, nie miałem już pomysłów.

Jedyne, na co mogłem liczyć, to że przyjdzie tu któryś z Centurionów i że zdołam z nim dobić targu.

I wtedy zauważyłem coś ciekawego. Narożnik metalowej szuflady kończył się ostrą krawędzią. Była to wada produkcyjna, która bez wątpienia w okresie użytkowania musiała spowodować liczne rany u tych, którzy się na tę szufladę nadziali.

Ale mnie ta ostra krawędź uradowała.

Przesunąłem krzesło kilka centymetrów bliżej. Wreszcie moje nadgarstki spoczęły na szufladzie; powoli manewrując rękoma, zdołałem przyłożyć nylonowy zacisk do ostrego zadziora. Potem poruszałem nimi w tę i z powrotem, trąc o krawędź. Trwało to może ze dwie minuty, aż taśma została naruszona na tyle, bym mógł ją rozerwać szarpnięciem. Ręce miałem swobodne.

Wyciągnąłem je zza pleców i masowałem, dopóki mrowienie nie ustąpiło. Następnie schyliłem się i usunąłem obie opaski zaciskowe z kostek u nóg. Wstałem. Wolny. Gdy sięgałem do kieszeni po telefon, zaczął ponownie dzwonić.

Mandy.

Odebrałem.

– Och, Bogu dzięki – powiedziała. – Więc jesteś tam. Tylko gdzie właściwie?

Wyjaśniłem jej.

– A ty gdzie jesteś? – spytałem.

Usłyszałem, że mam następne połączenie przychodzące. Z wydziału zabójstw waszyngtońskiej policji. Puściłem je na pocztę głosową.

– W drodze do emerytowanego detektywa, o którym ci wspominałam. Mamy porozmawiać. Pamiętasz...?

– Zaczekaj. Spotkaj się ze mną w hotelu. Musimy zamienić parę słów.

– Najpierw pogadam z tym facetem.

– Nie. Zanim to zrobisz. Od razu.

– Dlaczego?

– Ponieważ to niebezpieczne – powiedziałem.

– Heller, ja... Okej, dzięki. – Rozłączyła się.

68.

Na poczcie głosowej miałem nagrane trzy wiadomości: od Mandy, od Dorothy oraz od Balakiana, hipsterskiego gliny, którego zacząłem przezywać w myślach Kombuczą. Z Mandy już rozmawiałem, wiedziałem ponadto, że gdyby sprawa była pilna, Dorothy wysłałaby mi esemesa. Włączyłem się srebrnym chryslerem do ruchu na Rhode Island Avenue i oddzwoniłem do Kombuczy.

– No jest pan. Heller, musimy pogadać.

– Jestem trochę zajęty. O co chodzi?

Pauza.

– Chyba mamy podejrzanego.

– Kogo?

– Musimy pogadać – powtórzył.

– Proszę dać mi godzinę.

– Mniej, jeśli łaska.

– Okej. Wydział zabójstw w Southwest?

– Ach, nie. Nie spotykajmy się w firmie.

– W porządku. – Dziwne, pomyślałem. – Kim jest ten podejrzanym?

– Porozmawiamy o tym w cztery oczy – odparł detektyw. – Im szybciej, tym lepiej.

Kombucza miał denerwujący zwyczaj mówienia szyfrem. Przeszła mi przez głowę ulotna myśl, że tym podejrzanym jestem ja sam. Ale gdyby tak było, detektyw nie zachowywałby się w ten sposób, nie zwróciłby się do mnie z uprzejmą prośbą o wizytę. Sam by się pofatygował do mojego hotelu wraz z grupką funkcjonariuszy.

Tylko jakie pytania chciał mi zadać? I dlaczego nie życzył sobie spotkania na komendzie policji?

Po powrocie do hotelowego apartamentu, zastałem Dorothy

pochłoniętą pracą na laptopie. Miała na sobie dzinsy, bluzkę w głębokim, czerwobrunatnym odcieniu i paznokcie pomalowane na ten sam kolor. Kiedy przesuwała palcami po klawiaturze, jej bransoletki brzęczały.

– Gdzie Mandy? – spytałem.

– Chyba u siebie – odpowiedziała, nie podnosząc na mnie wzroku. – Dzwoniła. Szukała cię.

– Cholera. – Przecież prosiłem, byśmy spotkali się w hotelu, gdzie miałbym pewność, że Mandy jest bezpieczna.

– Hej, co ci się stało? – zdziwiła się Dorothy, gapiąc się na mnie. – O mój Boże!

– Mała różnica zdań z jednym gościem z firmy Centurion. Nazywa się Curtis Schmidt.

– Przynieść ci coś?

– Wezmę advil. Nic mi nie jest.

– Chciałeś, żebym znalazła adres zamieszkania Thomasa Vogla.

– I co?

– Cholernie dziwna sprawa. Nie mogę go ustalić.

– To niemożliwe. Przecież on musi gdzieś mieszkać.

– Jest jeden Thomas Vogel w Wirginii, ale to nie ten. Trzech w stanie Maryland. Żaden nie jest byłym gliiniarzem z Waszyngtonu.

– Facet musi mieć jakiś dom albo mieszkanie. Hipotekę, dzierżawę, rachunki za prąd. Sprawdzając tam, gdzie zwykle?

– Nick, okaż mi trochę zaufania.

– Przepraszam.

– Zakładam, że jego dom figuruje w księgach jako własność firmy. Ten facet to duch.

– Ale jakąś skrzynkę pocztową chyba ma?

– Zapewne tak, tylko że nie umiem jej znaleźć.

– Zdobyłem jego numer telefonu. Z wizytówki.

– Więc masz więcej niż ja.

Wręczyłem Dorothy metalową kartę. Spojrzała na nią, a potem znów postukała w klawiaturę.

– Nic – powiedziała po kilku sekundach.

Znalazłem w swojej komórce numer telefonu, dotknąłem

wyświetlacz i po chwili usłyszałem sygnał wybierania.

– Garvin, słucham.

– Cześć, Art, tu znowu Nick Heller. Potrzebuję adres Thomasa Vogla.

– Zamieszkania?

– W Internecie nie możemy nic znaleźć.

– To mnie nie dziwi. Facet unika rozgłosu.

– Dlaczego?

– Zasłania się historyjką, że bossowie narkotykowi, którym przymknął kilku kolegów, chcieliby go namierzyć i nagrodzić własnym pakietem emerytalnym. Dlatego stara się, aby nikt go nie znalazł.

– Ale policja chyba musi dysponować jego aktualnym adresem?

– Nie liczylibym na to.

– Mógłbyś popytać?

– Jasne, chociaż niczego nie obiecuję.

– Dzięki.

Zakończyłem rozmowę, spojrzałem znacząco na Dorothy i pokręciłem głową.

– To był ten mój dawny znajomy, emerytowany detektyw Art Garvin. Sprawa nie wygląda zbyt dobrze.

– I tak nie zamierzam się poddawać.

Wcisnąłem klawisz szybkiego wybierania numeru Mandy Seeger.

– Nick – odebrała. – Już wróciłeś do hotelu?

– Tak, tylko że ciebie tu nie ma.

– Miałam sporo roboty. Potrzebne są mi w tym celu własne narzędzia pracy. Czyli moje małe domowe biuro.

– Przewieź te swoje narzędzia pracy tutaj. Dopóki to się nie skończy.

– Jak definiujesz „skończy”?

– Dopóki nie doprowadzimy do aresztowania zabójcy Kayli. – Jeżeli Kombucza jest na właściwym tropie, to nie powinno długo potrwać, pomyślałem. Ale jeszcze nie chciałem mówić o tym Mandy. Najpierw zamierzałem pogadać z Kombuczą.

– Moim zdaniem ty i ja pracujemy nad dwiema różnymi

sprawami. Bo ja zamierzam się dowiedzieć, kto stał za tą mistyfikacją z Claflinem, w którą dałam się wrobić. I kto wynajął Centurionów.

– Być może nigdy tego nie ustalimy.

– Mów za siebie.

Uśmiechnąłem się z podziwem.

– Posłuchaj. Uważam, że prowadząc to dochodzenie na własną rękę, narażasz się na niebezpieczeństwo.

– Niebezpieczeństwo? To dziwne? Nie wybrałem tego fachu po to, żeby czuć się bezpieczna.

Westchnąłem długo i głęboko. Wrażliwy punkt, pomyślałem. Takim wyrażeniem posłużył się wtedy Vogel. Łatwy cel. „Tacy jak my są niczym pasterze, którzy dbają o swoje owieczki. Chronimy je, pilnujemy, żeby spokojnie sobie żyły, ratujemy im życie”.

– Wydaje mi się, że nie rozumiesz, co chcę ci powiedzieć – podjąłem. – Ludzie Vogla zabili już jedną osobę i szczerze mówiąc, uważam, że nie zawahają się przed kolejnym morderstwem, jeśli uznają je za konieczne.

Mandy milczała przez kilka sekund.

– Myślisz, że mnie śledzą?

– Nie byłbym zaskoczony. Założę się, że już zastawili sidła. Są ludzie, których można odwiedzić i sobie z nimi porozmawiać, ale gdzieś tam u Centurionów natychmiast rozbrzmiewa wtedy dzwonek i goście wkraczają do akcji.

– Taka deklaracja złożenia broni niezbyt do ciebie pasuje.

– Niczego nie deklaruję. I nie zamierzam się poddawać. – Zawahałem się, a potem to powiedziałem: – Chodzi mi o ciebie. O siebie potrafię zadbać.

– O mnie...

– Właśnie.

– Czy to... Heller, czy to z powodu ostatniej nocy?

– Oczywiście, że nie. Z powodu tego, że od samego początku znajdujesz się w centrum wydarzeń, co naraża cię na bezpośrednio niebezpieczeństwo.

Ale czy rzeczywiście, choćby po części, nie chodziło mi o ostatnią noc? Nie potrafiłem zignorować tego, co czułem do

Mandy. Należało to jednak brać pod uwagę. Czy byłbym wobec niej aż tak opiekuńczy, gdybyśmy nie przeżyli sytuacji intymnej? Nie wiedziałem. Być może nie.

Wiedziałem tylko jedno: że ludzie Vogla są niebezpieczni i zdolni do wszystkiego oraz że Mandy stanowi dla nich łatwy cel.

– Nick, grożono mi już w życiu wielokrotnie. Ale przecież nie robi się zamachów na dziennikarzy. Nie morduje się reporterów. To się po prostu nie zdarza.

Tak się składało, że umiałbym udowodnić na podstawie faktów, jak bardzo się myliła. Znane mi były przypadki kilkorga dziennikarzy zabitych podczas prowadzenia śledztw dotyczących skandali finansowych. Wahałem się, czy w ogóle na to odpowiedzieć. W końcu się zdecydowałem.

– Owszem, zdarza się, Mandy. Zdarzało w przeszłości i może zdarzyć w przyszłości. Nie wygłupiaj się.

– Jezu, Heller. Teraz ty próbujesz mnie nastraszyć?

Obawiałem się, że podejdziesz do tego w ten sposób. Że poinformowanie Mandy o autentycznym zagrożeniu dla jej życia nastawi ją jeszcze bardziej opozycyjnie.

– Przyjadę po ciebie, jeśli pozwolisz. Całą robotę, którą sobie zaplanowałaś, możesz wykonać tutaj.

– Nie.

– No dobra, posłuchaj. Jeśli naprawdę chcesz rozmawiać z różnymi osobami, to przynajmniej rób to w moim towarzystwie.

– Mówisz poważnie? Że niby miałbyś być moim ochroniarzem?

– Moja obecność jest ci aż tak wstrętną?

Zaśmiała się.

– Potraktuj to jako propozycję połączenia sił – zaproponowałem.

– Nie, wiesz, co ja o tym myślę? Chcesz łączyć za mną wszędzie niczym jakaś przyzwoitka, jakbym była Saudyjką, i tyle. Przecież to śmieszne. Nie zamierzam skorzystać w najmniejszym stopniu.

– No to przynajmniej zgódź się pracować tutaj.

– Dobrze. To mogę dla ciebie zrobić.

– Świetnie, przyjadę po ciebie.

– Nie trzeba. Zaraz tam będę. To znaczy, gdy się przygotuję.

– Okej – zgodziłem się, wiedząc, że dalsze naciski nie przyniosłyby żadnych rezultatów. Nie było sensu nadmiernie się narzucać. – W takim razie czekam na ciebie w hotelu.

Spoglądając na tamten dzień z perspektywy czasu, z ukłuciem bólu przyznaję, że powinienem był bardziej nalegać, bardziej się narzucać, nie przyjmować żadnej odmowy.

Niestety, nie zrobiłem tego.

Art Garvin oddzwonił do mnie po mniej więcej godzinie.

– Jedyne, czym waszyngtońska policja dysponuje na temat Toma Vogla, to numer jego skrytki pocztowej.

– Gdzie?

– W Thurmont, w stanie Maryland.

– Cholera. Żadnego adresu, ulicy?

– Nie. Nic. Jeden mój kumpel, który kiedyś zadawał się trochę z Voglem, mówi, że facet sam zbudował sobie dom. To niby utalentowany budowlaniec. Chata jest wielka, nazywał ją kompleksem. Stoi gdzieś w lesie, na odludziu.

Podziękowałem Garwinowi i się rozłączyłem. Pół godziny później spotkałem się z Balakianem w hipsterskiej kawiarni przy H Street, w Atlas District – części waszyngtońskiej dzielnicy Northeast. Z głośników dolatywał niezależny rock, na ścianach widać było gołe cegły; miejsc do siedzenia było bardzo niewiele. Detektyw czekał na mnie przy stoliku, pijąc coś jasnobrązowego, co znajdowało się w butelce obok. Zamówiłem sobie czarną kawę, rozczarowując brodatego baristę, który zapewne chciał namalować mi liść paproci na piance od cappuccino.

– Kombucza? – spytałem z uśmiechem, sadowiąc się z kawą w rękę. Wyczuwałem paskudny zapach zgniłych pomarańczy zalatujący z jego kubka. Zmarszczyłem nos.

– Żeby krytykować, trzeba najpierw spróbować – odpowiedział detektyw. Miał na sobie tweedową kraciatą marynarkę, kamizelkę i granatową koszulę, a wokół szyi szalik. – Kolego, jestem panu winien przeprosiny.

– Doprawdy?

– Znaleźliśmy odcisk palca.

– Gdzie?

– Na odłamku szkła.

– Od kieliszka?

Balakian kiwnął głową.

– Pojechałem jeszcze raz do laboratorium i poprosiłem, żeby poszukali śladów daktyloskopijnych, tak na wszelki wypadek. Wzięli się więc za to potłuczone szkło z kieliszka znalezione w łazience i przepuścili przez komorę z cyjanoakrylanem. Uzyskali w ten sposób kilka fragmentarycznych odcisków i wrzucili je do NGI. – Ten najnowszy program identyfikacji linii papilarnych był następcą (tylko że z turbodoładowaniem) dawnej krajowej bazy danych daktyloskopijnych, zwanej IAFIS.

– I macie dopasowanie.

– Zgadza się.

– Kto to jest?

– Jeden z naszych. Emerytowany gliniarz z Waszyngtonu, sierżant Richard Rasmussen.

Wzruszyłem ramionami. Nigdy nie słyszałem tego nazwiska.

– Niech zgadnę. Pracuje teraz w firmie Centurion Associates.

Balakian podrapał się w bródkę i upił drinka. Milczał. W kieszeni zawibrował mój telefon.

– Dysponuje pan odciskiem palca na domniemanym narzędziu zbrodni – powiedziałem. – Czy to nie wystarczy? Jeszcze nie wezwał pan faceta na przesłuchanie?

– Myślę, że wystarczy. Wypisałem wniosek o areszt. Leży na biurku porucznika.

– Kiedy zostanie wydany nakaz?

– Najpierw musi go zatwierdzić porucznik, potem przekazać prokuraturze, a następnie jeszcze sędziemu.

– Więc może się okazać, że żadnego nakazu aresztowania nie będzie.

– Być może. W każdym razie ja wciąż pracuję nad tą sprawą. Dlatego, między innymi, chciałem z panem porozmawiać.

– Czego takiego chciałby się pan dowiedzieć? Bo ja tego faceta nie znam, nawet nigdy o nim nie słyszałem.

– Pan prowadzi jakby równoległe śledztwo. Jaka jest pańska opinia o przebiegu wydarzeń?

– Moja opinia? Dziewczynie zapłacono, żeby wystąpiła z fałszywymi oskarżeniami wobec sędziego Jeremiah Claflina. Że

niby odbywali stosunki seksualne.

– Zapłaciła jej firma Centurion?

– Tego nie wiem. Ale nie sądzę.

– W takim razie kto?

– Wciąż pracuję nad odpowiedzią. Kayla mówiła, że opłacała ją jakaś organizacja biznesmenów. Tylko tyle wiedziała.

– Proszę dalej.

– Myślę, że początkowo Centurionowie mieli ją jedynie ochraniać oraz uniemożliwić jej jakiekolwiek rozmowy, z kimkolwiek. Potem kazano im zatrzymać dziewczynę. Najpierw usiłowali wywieźć ją z Waszyngtonu, ale im w tym przeszkodziłem. Wystraszyli się, jak przypuszczam, że dziewczyna wysypie się przede mną. Stała się problemem, który należało wyeliminować.

– Ale dlaczego w ogóle chciała mówić?

– Bo wcześniej zadałem jej kilka pytań. Od tego się zaczęło. Poza tym ona bardzo się bała. Może też czuła się źle z tym, co zrobiła. Miała chyba sumienie. Choć może wcale nie powodowały nią wyrzuty, lecz zwykły strach, że zostanie przyłapaną na kłamstwie. Tak czy owak, zaczęła mówić i trzeba ją było uciszyć.

– I wtedy zdecydowali się zaaranżować samobójstwo.

– Nieźle im chyba wyszło. Przez jakiś czas dawał się pan nabierać, prawda? – Moja komórka ciągle wibrowała. – Wiadomo coś więcej na temat tego telefonu, który Kayla wykonała ze swojego pokoju?

– No. Dzwoniła do koleżanki. Chyba chciała się komuś wygadać. Bała się.

– A o której dokładnie otworzyła drzwi mordercy? O dwudziestej pierwszej trzydzięci sześć?

– Kto to może wiedzieć na pewno? Chyba tylko Rasmussen. Może przedstawił się jako pracownik hotelowej ochrony. Albo kierownik nocnej zmiany. Mógł wymyślić całe mnóstwo różnych powodów, byle ofiara otworzyła te drzwi. I tak się stało. Wyszedł, kiedy było po wszystkim, czyli o dwudziestej drugiej dwadzieścia pięć.

Balakian pociągnął kolejny łyk swego paskudnego naparu.

Wyciągnąłem telefon i zerknąłem na wyświetlacz. Mandy.

– Skoro ma pan odcisk palca Rasmussena – powiedziałem – dlaczego wciąż krąży pan wokół tej sprawy? Nie lepiej od razu sprowadzić faceta i go przesłuchać?

– Szczerze? Ze względu na różne naciski.

– Ze strony?

– Moich szefów. Sierżant chce jak najszybciej zamknąć dochodzenie, nie życzy sobie, żebym drażył. Nie chce mieć kolejnej teczki z napisem „zabójstwo”. A ponieważ jestem uparty, robią mi różne przykrości.

– Więc czemu pan nie zrezygnuje?

– Bo... coś w tej sprawie śmierdzi.

– I dlatego chciał się pan ze mną spotkać poza komendą?

– Nie wiem. Może. Nie wiem, jak... rozległe są wpływy Centurionów.

– Wewnątrz wydziału zabójstw?

Detektyw skinął głową i na chwilę odwrócił wzrok.

– Nie bez powodu dostałem to śledztwo. W pojedynkę.

– To znaczy?

– Przecież jestem nowicjuszem. Nie spodziewali się, że będę drażył. Zakładali, że nie sprawię im kłopotów. A gdyby jednak do tego doszło, z łatwością mogliby powiesić mnie za jaja, dla nauki.

– Jacy oni?

Balakian pokręcił głową.

– Dobrze wiem, jak to brzmi. Paranoja i tak dalej. Ale... jest taka rzecz. Coś nagle zaginęło pomiędzy laboratorium a wydziałem ewidencji dowodów rzeczowych.

– Odłamki szkła?

– Tak. – Detektyw rozłożył ręce. – Nikt nie może ich zlokalizować.

– Jak często coś takiego się zdarza, to znaczy zgubienie najważniejszych dowodów w sprawie?

– Raz na jakiś czas.

– Czyli niezbyt często, jak sądzę. Czy ten fakt kładzie śledztwo na łopatkę?

– To jest pewien problem, ale nie druzgocący. Na miejscu zdarzenia zrobiono zdjęcia tych odłamków, a uzyskane z nich dane daktyloskopijne są przechowywane osobno. Jeśli sprawa pójdzie do sądu, obrona pewnie podniesie larum, ale to i tak niewiele im da.

– Dlaczego więc nie chce pan zluzować? Przecież otrzymał pan odpowiednie pisemko. Sprawa zamknięta. Samobójstwo.

Balakian wzruszył ramionami i pokręcił głową.

– Bo to nie w porządku.

– Mówi coś panu imię i nazwisko Thomas Vogel?

– Oczywiście. Firma Centurion.

Mój telefon ponownie zawibrował. Wyjąłem go. Dzwoniła Mandy.

– Mogę?

– Śmiało.

Odebrałem.

– Cześć, Mandy.

– Heller – powiedziała. – Trafiłam na coś.

W tle słyszałem odgłosy ulicznego ruchu.

– Gdzie jesteś?

– W dzielnicy Southeast. Na osiedlu Anacostia. Przed chwilą rozmawiałam z tym starym policjantem.

– Mandy, mówiłem, że samej nie wolno ci...

Przerwała mi natychmiast.

– Pamiętasz tego emerytowanego detektywa z dzielnicy Southeast? Który powiedział, że wiele lat temu zatuszował pewne zabójstwo?

Tak, pamiętałem: to była historia, którą Mandy zajmowała się przed sprawą Kayli, dotycząca jakiejś grubej ryby z Waszyngtonu.

– Cóż, miałaś rację. Teraz już rozumiem, dlaczego należało mnie zdyskredytować. Przy pomocy tej fałszywej narracji o Claflinie.

– To zabójstwo... Kto je popełnił?

Mandy mi powiedziała.

– Jasny gwint – rzuciłem.

– Hej. – Nagle jej głos stał się ostry, zabrzmiał donośniej. –

Chwila, co ty sobie wyobrażasz?!

- Mandy, wszystko w porządku?

- Hej! - krzyknęła ponownie. Telefon wydał z siebie dziwny chrzęst, jakby właśnie uderzył o ziemię.

- Mandy? Halo?

Odpowiedzi nie było.

70.

Wielokrotnie wydzwaniałem do Mandy, ale za każdym razem słyszałem sygnał poczty głosowej, jak gdyby telefon został wyłączony.

Coś musiało się stać.

Balakian wpatrywał się we mnie, zaniepokojony.

– Hm? Co się dzieje, panie Heller?

Wyjaśniłem.

– Będę potrzebował pańskiej pomocy – dodałem. – Proszę namierzyć jej komórkę. Ja nie mam ku temu odpowiednich środków.

– O rany – odrzekł detektyw, kręcąc głową. Wyglądał na zbitego z tropu. – Pewnie, że mogę to zrobić. A jeśli zwyczajnie wyłączyła telefon? Albo jej spadł i się rozbił?

– Możliwe. Przynajmniej się dowiemy, gdzie się obecnie znajduje. Co z kolei powie nam, czy Mandy Seeger została porwana.

– No tak.

– A gdy uda się ustalić miejsce uprowadzenia, kamery monitoringu powinny wychwycić numery rejestracyjne, jakąś twarz, cokolwiek.

– Mało prawdopodobne.

– W tym momencie to nasz jedyny trop. Tylko trzeba działać natychmiast.

Balakian pokiwał głową. Wyjął swoją komórkę, wybrał jakiś numer i poprosił o detektywa Ryana. Przedstawivszy się, odczytał numer telefonu należącego do Mandy. Chwilę później znany był już operator obsługujący ten aparat: firma AT&T.

W międzyczasie zadzwoniłem do Dorothy i o wszystkim jej opowiedziałem. Zanim skończyłem rozmawiać, Balakian zdążył otrzymać pierwszą informację.

– W AT&T twierdzą, że telefon jest nieaktywny. Nie mogą go

namierzyć.

– Tak jak pan sugerował: albo został wyłączony, albo zniszczony. Znają przynajmniej jego ostatnią lokalizację?

– Ostatnie połączenie, rozmowa z panem, odbyło się za pośrednictwem wieży transmisyjnej w pobliżu stacji metra Anacostia. Skrzyżowanie alei Martina Luthra Kinga z Howard Road w dzielnicy Southeast.

Skinąłem głową.

– Dobrze. A teraz mam dla pana kolejny numer do namierzenia, jeśli łaska. – Wyciągnąłem metalową wizytówkę.

– Czyj?

– Thomasa Vogla – odpowiedziałem. Patrząc na wizytówkę, wybrałem numer.

Po czterech albo pięciu sygnałach odezwał się głos.

– Vogel, słucham.

– Tu Heller. Twoi ludzie mają Mandy Seeger. Jeśli coś jej się stanie, to wiesz, do czego jestem zdolny.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz, Heller.

Nastąpiło kliknięcie i na linii zapadła cisza.

Zastanawiałem się przez chwilę. Istniała możliwość, że faceci od Vogla porwali Mandy, ale nie mieli jeszcze okazji poinformować o tym swojego szefa. On jednak rozłączył się tak szybko, że musiało mi to dać do myślenia. Skoro faktycznie nie wiedział, o czym mówiłem, powinien był podrażnić sprawę. Zadać mi parę pytań. To nie miało sensu. Po prostu musiał wiedzieć, że Mandy została uprowadzona.

Odpowiedź na to pytanie poznałem jakąś minutę później. Balakian rozmawiał ze swoim kolegą z policji o telefonie Vogla, gdy nagle przyszedł do mnie esemes. Zawierał link w formacie URL. Jako nadawca widniał numer komórki, nie nazwisko – miałem pewność, że jest lewy. Kliknąłem w link, który doprowadził mnie do strony internetowej o nazwie Disappearing Ink. Pośrodku pustego, białego tła znajdował się czerwony przycisk z napisem „Download Disappearing Ink”. Aplikacja. Wcisnąłem guzik i znalazłem się na stronie iTunes z kolejnym przyciskiem; wkrótce apka zainstalowała się na moim telefonie.

Wyglądało to na jakiś serwis szyfrowanych wiadomości tekstowych. Zarejestrowałem się, podając swój adres mejlowy, a wówczas na ikonke z nazwą „Disappearing Ink” na moim wyświetlaczu pojawiła się jedyńka. Otrzymałem wiadomość. Kliknąłem. Pochodziła od niejakiego Pasterza. Przypomniały mi się słowa Vogla: „Tacy jak my są niczym pasterze, którzy dbają o swoje owieczki”.

Wiadomość brzmiała:

Mieliśmy umowę, znałeś warunki. Panna Seeger je naruszyła. Wycofajcie się, ty i twoi znajomi, a będziesz miał szansę znów zobaczyć Seeger.

Gapiłem się na ekran. Podczas rozmowy telefonicznej Vogel nie chciał się przyznać do porwania Mandy, bo mogłoby to zostać wykorzystane przeciwko niemu w postępowaniu karnym. Dlaczego zatem wysyłał mi ten obciążający go tekst?

Po pięciu sekundach wiadomość zniknęła. Zrozumiałem, czemu facet komunikuje się ze mną w ten sposób. Wysyłał swoje esemesy metodą całkowicie bezpieczną, ponieważ ginęły natychmiast po ich przeczytaniu przez odbiorcę. Odpisałem:

Zgoda. Wypuść ją od razu, inaczej będę cię ścigał.

I wcisnąłem „Wyślij”. Spojrzałem na Balakiana. Nadal rozmawiał przez komórkę, kręcąc głową i powtarzając pytanie:

– Nie ma jakiegóż innej możliwości?

W aplikacji Disappearing Ink ukazała się kolejna wiadomość:

MS zostanie uwolniona, gdy tylko wrócisz do Bostonu. Nie wcześniej.

Próbowałem zrobić zrzut ekranu, ale tekst zniknął niemal natychmiast. Nic dziwnego, że Vogel pozwalał sobie na taką otwartość. Zrzut ekranu nie był możliwy. Nawet gdyby udało mi się zrobić zdjęcie iPhone’a, nie mógłbym Voglowi przypisać

autorstwa tej wiadomości.

Podniosłem wzrok na Balakiana.

– Namierzyliście go?

Potrząsnął głową.

– To nie jest numer komórki.

– Co to znaczy?

– Należy do telefonu typu VoIP. Coś podobnego do Google Voice.

– Nie do końca nadążam.

– To... Możemy zlokalizować tylko numery prawdziwych telefonów komórkowych. A ten jest generowany przez oprogramowanie.

– Ale da się wysledzić, tak?

– Nie tym razem. Ślady prowadzą do serwisu sponsorowanego przez Tor.

– Tor, tę anonimową sieć komputerową?

Detektyw potwierdził.

Moja wiedza o Tor ograniczała się do tego, że jest to wirtualna sieć umożliwiająca całkowicie anonimowe korzystanie z Internetu. Więcej nie powiedziałbym nawet na torturach.

– Poza tym facet korzysta także z tunelu VPN, co dodatkowo komplikuje sytuację i utrudnia nam namierzenie jego numeru. O ile możemy stwierdzić, to numer duch. Niefart.

– Zna się pan na informatyce. Niezwykłe u gliniarza.

Balakian skromnie wzruszył ramionami.

– Rzetelna wiedza podstawowa, przydatna w pracy, to wszystko. Żaden ze mnie haker, proszę mi wierzyć. Czego się pan dowiedział?

– Uprawdzili Mandy Seeger, a uwolnią ją dopiero, kiedy ja wrócę do Bostonu.

– Co takiego? Pokaż mi pan.

– Nie ma co pokazywać. Wiadomości zniknęły.

– Zniknęły?

– Mamy w końcu do czynienia z Tomem Voglem. To spryciarz. – Ponownie sprawdziłem aplikację Disappearing Ink. Nic. Napisałem Voglowi nową wiadomość:

Mam dla ciebie propozycję.

Czekałem. Minutę, może półtorej. Wreszcie pojawiła się odpowiedź:

Zbieraj manatki i jedź do domu, a wtedy MS wróci do swoich spraw. Jak się będziesz upierał, jej śmierć spadnie na ciebie.

Pokazałem tekst Balakianowi. Wybałuszył oczy.

– Jezu! – rzucił i oddał mi telefon. Zanim zdążyłem spojrzeć na wyświetlacz, wiadomość zniknęła.

– Bardzo proszę, żeby informował mnie pan na bieżąco, co zarejestrowały kamery monitoringu w Anacostii – powiedziałem. – To może być nasza jedyna szansa na odnalezienie dziennikarki.

– Heller, nie wiem, dlaczego uważa pan to za jakąś łatwiznę, ale przecież wieże transmisyjne pozwalają określić lokalizację telefonu tylko w przybliżeniu. Ona może być w dowolnym miejscu na obszarze większym niż dwa i pół kilometra kwadratowego. A to oznacza zdjęcia z wielu kamer. Nie mamy tylu ludzi i takich mocy przerobowych.

– Ani czasu. Proszę po prostu zacząć od kamer drogowych. Niech coś się zacznie dziać.

– Zobaczę, co da się zrobić.

– Dzięki. Będziemy w kontakcie. Mam już pewien pomysł.

71.

Gdy do niego zadzwoniłem, Walter McGeorge, ksywka Merlin, był zajęty czyszczeniem plików w jakiejś kancelarii prawniczej w Alexandrii. Oddzwonił do mnie po godzinie, kiedy zdążyłem wrócić do swojego hotelu.

– Myślałem, że już nie zechcesz ze mną gadać – powiedział.

Musiałem sobie przypomnieć, skąd u niego taka skromność: oczywiście, chodziło o ten spalony papier w pancernym pokoju oraz o pozostawione na miejscu akta. Odnosiłem wrażenie, że wydarzyło się to wiele miesięcy temu.

– Daj spokój. Jednym z elementów tej roboty jest regularne dawanie ciała. Dzięki temu ciągle wydaje się interesująca.

– Miałem okropne wyrzuty sumienia. Naprawdę przepraszam.

– No cóż, teraz masz szansę się zrehabilitować.

– Ta?

– Potrzebuję trochę sprzętu. Miniaturowy lokalizator. – Wyjaśniłem Merlinowi, o co chodzi. – Są koło ciebie jakieś sklepy dla myśliwych? Muszę mieć strzelbę albo pistolet na środki usypiające i dziesięć strzałek. Zestaw będzie kosztował ze dwa tysiące dolców. Dysponujesz taką gotówką?

– Mogę obciążyć swoją kartę kredytową, jeśli niedługo mi wszystko oddasz.

– Nie ma problemu. A teraz trudniejsze zadanie. Kilka lasek dynamitu.

– *Dynamitu?*

– Ewentualnie azotanu amonowego.

– Dość trudno go zdobyć. Coraz trudniej. No, nie wiem, stary. Niełatwa sprawa w obu przypadkach. Dynamit albo azotan amonowy. To mi zajmie parę dni.

– Nie mamy tyle czasu.

– A na kiedy potrzebujesz?

– Najpóźniej jutro w południe.

- Niemożliwe.
- Okej - powiedziałem, ignorując to ostatnie słowo. - I ze dwa elektryczne detonatory.
- *Detonatory?*
- Elektryczne. I plastikowe zapinki. Takie solidne, profesjonalne.
- W porządku.
- Dwa dwudziestolitrowe kanistry z benzyną.
- To jakaś cholerna gra w podchody Nicka Hellera?
- A także broń. Pistolet półautomatyczny, jeśli masz jakiś na podorędziu.

Podobnie jak inni członkowie mojego zespołu w siłach specjalnych - grupy operacyjnej Alpha, by posłużyć się żargonem - Merlin świetnie czuł się z bronią i miał kilka sztuk u siebie w domu, choć tak naprawdę nigdy go nie ciągnęło (jestem pewien) do jej użycia.

- Preferencje dotyczące kalibru?

- Nie.

- Może być Ruger Mark II dwadzieścia dwa LR?

Uśmiechnąłem się. Tej właśnie broni używaliśmy podczas misji bojowych, w terenie. Tak samo jak Mossad. O pistolecie kalibru .22 panuje błędne mniemanie, że nie jest to broń na serio i nadaje się tylko do straszenia gołębi. Nieprawda. Prawda jest taka, że zarówno Siły Specjalne, jak i Navy SEALs korzystają z tych pistoletów wówczas, gdy muszą zabić kogoś po cichu i fachowo. A także do polowań niezbędnych do utrzymania oddziału przy życiu oraz do eliminowania wartowników. Przy celnym strzale w głowę z długolufowej dwudziestkidwójki pociskiem grzybującym mózg po prostu eksploduje.

- I pociski grzybujące - powiedziałem.

- Okej.

- Dla siebie też coś przygotuj.

- Po co mi broń?

- Wy tłumaczę ci, kiedy spotkamy się u mnie w hotelu. Jak najszybciej. Możesz być tu za dwie godziny?

- Nie, skoro muszę zdobyć to całe cholerstwo.

– W porządku. Jutro rano też mi pasuje. Ale jedną rzecz muszę mieć jeszcze dziś wieczorem.

– Jaką?

Półtorej godziny później, wciąż nie mając żadnych wieści do Kombuczy, sam do niego zadzwoniłem.

– Wie pan, iloma kamerami drogowymi dysponuje policja w Dystrykcie Kolumbii? – zapytał Balakian. – To znaczy w sumie, wszędzie?

– Nie mam pojęcia.

– Jest ich „aż” czterdzieści osiem. Wszystkich. W dzielnicach południowo-wschodnich siedem.

– Cholera.

– Najbliższa kamera względem stacji metra Anacostia jest zlokalizowana przy skrzyżowaniu Suitland Parkway i Firth Sterling, jakieś pół przecznicy dalej. Nic na niej nie znalazłem. *Nul, zero.*

– Trzeba sprawdzić inne kamery w okolicy. Banki, sklepy monopolowe, supermarkety, sklepy spożywcze, stacje benzynowe.

– No cóż, obecnie mamy w naszej komendzie zespół analityczno-rozpoznawczy. Działa przez całą dobę, siedem dni w tygodniu. Już wypisałem wnioski. Znajdą wszystkie kamery przemysłowe na tym terenie, zdobędą ich zapis, a jeśli coś zauważą, skopiują na dysk DVD.

– Jak szybko pracują?

– Nie wiem, Nick. To mozolne poszukiwania. Muszą chwilę potrwać.

– Rozumiem.

– Ale jest i dobra wiadomość. Mam nakaz aresztowania Richarda Rasmussena. Nie wprowadziłem go jeszcze do bazy NCIC, czekam, chwilowo trzymam się z dala od komputera.

– Cholera jasna.

– Co się stało?

– Na razie nie zatrzymujcie tego faceta.

– Że co?

– Nie wolałbyś herszta gangu? Daj mi trochę czasu, a Vogel też wpadnie wam w sidła.

Balakian wypuścił z ust powietrze.

– Nie chcę rozgrywać tego w ten sposób. Jak przymknę Rasmussena, on wyda mi Vogla. Albo zdobędziemy nakaz rewizji i ustalimy powiązania między tymi dwoma.

– Daj mi tylko... dwadzieścia cztery godziny.

– Dać... tobie? Kolego, nie ty prowadzisz ten teatrzyk.

Odpowiedziałem spokojnie, ale Kombucza z pewnością dosłyszał w moim głosie hamowaną wściekłość:

– Jak teraz aresztujecie Rasmussena, to Vogel nie będzie miał już żadnego powodu, żeby pójść na układ. A to znaczy, że każe swoim ludziom zabić Mandy Seeger. Bo byłaby świadkiem przeciwko niemu. Bez najmniejszej wartości strategicznej.

– Zastanowię się – rzekł Balakian po długim milczeniu.

– Nie popełnij błędu. Aresztowanie Rasmussena to śmierć Mandy. Bez najmniejszych wątpliwości.

Kończąc połączenie, czułem nieomal pewność, że udało mi się przemówić do Kombuczy. Detektyw zgodził się odwlec zatrzymanie Rasmussena pod zarzutem zamordowania Kayli Pitts.

To była duża ulga, wiadomość o liczbie kamer natomiast przyniosła mi rozczarowanie. Miałem przecież swój plan A, który teraz wydawał się mocno niepewny. Czas zatem na plan B.

Odwróciłem się do Dorothy, która słuchała, jak rozmawiam przez komórkę; cały ten czas pałaszowała mieszankę orzechową z minibaru.

– Teraz najważniejszą rzeczą jest ustalenie domowego adresu Vogla.

– Pracuję nad tym, Nick, ale sprawa nie wygląda zbyt dobrze.

– Musi być jakiś sposób. Zawsze jest. Nikt nie jest całkowicie niewidzialny.

– Ten facet chyba tak. Wszystko ostatecznie doprowadza tylko do jego skrytki pocztowej w Thurmont, stan Maryland.

– Ale ma przecież prąd. Internet. Dostawcy tych mediów potrzebują jakiegoś adresu. Czas na mały pokaz inżynierii

społecznej.

Dorothy wzruszyła ramionami i chwilę milczała.

– Warto spróbować.

– Bądź tak miła i zdobądź dla mnie numery telefonów obsługi klienta największych dostawców internetowych w okolicach Thurmont. Time Warner Cable, Comcast, DirectTV, zacznijmy od głównych graczy. Może się nam poszczęści. – Zerknąłem na zegarek. – Gdzie jest Merlin, do diabła? Powinien już tu być.

– No dobrze. Coś jeszcze?

– Zlokalizuj wszystkie pizzerie w Thurmont i najbliższej okolicy.

Nie może być ich zbyt wiele.

– *Pizzerie?*

– No.

– Pizzerie – zaśmiała się. – Okej. Coś jeszcze?

– Numer telefonu do firmy Southern Maryland Electric.

– To wszystko?

– Och, i zjedź do recepcji. Zobacz, czy nie mają kopert do przesyłek ekspresowych.

– FedEx, w porządku.

– Nie, nie FedEx. To musi być koperta przesyłki ekspresowej UPS. Jeśli nie mają na miejscu, poproś, żeby nam ją dostarczyli.

– Jak dużą?

– Wystarczy zwykła, standardowa. Jak Merlin nie pojawi się tutaj za pół godziny, nie zdążymy nadać jej na czas. Ale kto wie, może wcale nie będzie potrzebna. O ile uda nam się na coś trafić w tej firmie energetycznej.

– To wszystko?

– I zamów jakąś kawę, dobrze?

– Jasne. Przechodzisz na najwyższe obroty.

– Ty również.

– Nick – powiedziała Dorothy z lekkim wahaniem.

– Tak?

– Możemy pogadać?

– Pewnie, byle szybko.

Przewiercała mnie teraz ostrym wzrokiem.

– Rób, co on ci każe.

– Kto?

– Vogel. Mówi, że uwolni Mandy, jeśli po prostu wrócisz do Bostonu? Więc wróć do Bostonu.

– Sądzisz, że nie myślałem o tym? – spytałem. – Ale znam takich jak on. Wiem, co nimi powoduje, te drobne zadry, których wystąpienia nie sposób przewidzieć. Rzecz w tym, że Mandy nigdy nie będzie bezpieczna. Mój bratanek też stanie się dla nich celem, jeśli tylko coś pójdzie nie po ich myśli albo Vogel zmieni zdanie. Nie mogę pozwolić, aby oboje żyli jako obiekty do likwidacji. Im szybciej wykonam przeciw niemu jakiś ruch, tym lepiej dla Mandy.

Dorothy wpatrywała się we mnie kilka sekund. A potem, ustępując, powiedziała miękko:

– W porządku. Rozumiem.

Przy pierwszym telefonie poszczęściło mi się, lecz tylko po to, by kolejny przyniósł rozczarowanie. Thomas Vogel rzeczywiście miał konto internetowe w firmie Comcast, a także telewizję kablową dostarczaną przez tegoż operatora. Oświadczyłem osobie z obsługi klienta, że mam problemy z odbiorem. Poproszono mnie o datę urodzenia, którą podałem – znałem ją dzięki Artowi Garwinowi. Następnie spytałem:

– Macie państwo zapisany mój adres? Chciałbym potwierdzić.

Ta sztuczka zwykle działa. Wystarczy rzucić garść informacji, aby uznano czyjąś tożsamość za pewną, a reszta idzie już gładko. Ludzie chętnie pomagają. Jednak konsultantka odpowiedziała mi pytaniem:

– Jakie jest pańskie hasło?

– Hasło?

– Pańskie konto ma dodatkowe zabezpieczenia. Nie wolno nam podawać żadnych informacji, w tym także adresu, jeśli nie usłyszymy właściwego hasła.

– Hm... Bardzo przepraszam, zapomniałem. Ale przecież przekazałem pani swoje nazwisko i datę urodzenia.

– Przykro mi, muszę prosić o hasło.

Vogel był sprytny. Podjął środki ostrożności, które dziewięćdziesiąt dziewięć procent osób ma gdzieś. Rozłączyłem

się i zadzwoniłem raz jeszcze, w nadziei że połączę się z innym konsultantem, który nie będzie tak skrupulatny.

Jednak bez względu na to, ile razy to robiłem, przeszkoda okazywała się zawsze ta sama. Przed podaniem domowego adresu usługobiorcy żądano ode mnie hasła.

Niewiele lepiej poszczęściło mi się w firmie energetycznej. Tam także chcieli hasło, żeby w ogóle zacząć ze mną rozmawiać.

Przyszła więc kolej na okoliczne pizzerie. Zatelefonowałem do pierwszej z brzegu, przedstawiłem się jako Thomas Vogel i rzuciłem:

- Zakładam, że znacie mój adres.
- Nie, proszę pana. Mógłby pan go podać?

Normalnie ten trik także działa. Pizzerie, małe lokale gastronomiczne dowożące jedzenie, restauracje – zapisują informacje o swoich stałych klientach. Tymczasem we wszystkich pięciu knajpach, do których dzwoniłem, poniosłem całkowitą klęskę.

Albo Vogel nigdy nie zamawiał pizzy z dowozem do domu – odbierał ją sam bądź po prostu jej nie jadał – albo wcale nie mieszkał w Thurmont. Możliwe, że kazał dostarczać sobie pocztę nie w miejscu stałego zamieszkania, lecz gdzieś w pobliżu. Jeśli tak, to był jeszcze bardziej przebiegły, niż myślałem.

Pół godziny wiszenia na telefonie i nic. Adresu nie udało mi się ustalić. Przybyła obsługa hotelowa z naszą kawą, a po chwili wróciła również Dorothy, niosąc kopertę poczty ekspresowej uzyskaną w recepcji oraz towarzyszący jej formularz.

- Jeśli chodzi o Thurmont w stanie Maryland – powiedziała – nie ma gwarancji, że przesyłka zostanie dostarczona do jutra do dwunastej.

- Wystarczy więc samo południe.

Ktoś zapukał do drzwi. To był Merlin, z ekwipunkiem.

- Cześć, stary.
- Dziękuję, że wpadłeś. Masz?
- Przyniosłem dwie, na wypadek gdyby potrzebna ci była druga.
- Nie powinna, ale doceniam twoją troskę. W porządku,

zaczekaj chwilę.

Merlin przywitał się z Dorothy, a ja wybrałem numer Ellen Wiley.

– Nie miałam od pana żadnych wieści – powiedziała starsza pani – i już myślałam, że coś poszło nie tak.

– Wszystko w porządku. Ale mam do pani jeszcze jedną prośbę.

– Wszystko, cholera, czego tylko sobie zażyczysz, słodziaku – odparła.

Skończywszy rozmowę z Ellen, ponownie spróbowałem dodzwonić się na komórkę Mandy i znów nikt nie odebrał.

Teraz wszystko zależało od skomplikowanego planu, pełnego improwizowanych elementów. Który w każdej chwili mógł spalić na panewce.

– O tę książkę ci chodziło, prawda? – zapytał Merlin. – 48 praw władzy? – Z jednego z dwóch marynarskich worków wyjął pomarańczowy tom, zdjął zeń foliową obwolutę z napisem „Barnes & Noble”, po czym umieścił publikację na stole. Obok położył kosmetyczkę marki True Value. – Żyletki i klej – oznajmił.

Książka pochodziła z wyprzedaży, ale była w twardej oprawie, a to było najważniejsze.

– Właśnie o tę.

– Co w niej takiego szczególnego?

– Nigdy jej nie czytałem – odpowiedziałem z roztargnieniem. –

Po prostu sprawia poważne wrażenie, a poza tym jest odpowiednio gruba. – Otworzyłem tom na stronie tytułowej i krzywymi literami nabazgrałem:

Umowa w drodze – tymczasem mój lektury.

Pzdr

Ellen.

Wyglądało to na kobiecy charakter pisma, no prawie. Potem otworzyłem opakowanie żyłek i jedną z nich wysunąłem z pudełeczka.

Przyglądając się moim czynnościom, Dorothy wybuchnęła śmiechem.

– Heller, ty skurczybyku.

Do wielkiej poczty na Mass Avenue, tuż obok Union Station, dotarliśmy na krótko przed godziną dziewiętnastą. Akurat na czas, aby nocnym kurierem wysłać ekspresową przesyłkę.

Wracając samochodem do hotelu, wciągnąłem nosem powietrze i oznajmiłem:

– Znów zacząłeś palić.

– Dwa dni temu – odrzekł Merlin. – Parszywie się z tym czuję. Ty mi przynajmniej nie dokładaj.

– Stres?

– Sam nie wiem. Nick, kupując te wszystkie rzeczy, na pewno trafiłem na listę FBI albo Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego.

– Jeśli kogoś nie ma na tych listach, to znaczy, że jest nikim.

– No tak. Hm, zamierzasz może wprowadzić mnie w szczegóły swojego planu?

Było to rozsądne pytanie, ale nie umiałem wyjaśnić całej sprawy w jednym zdaniu. Gdy dotarliśmy z powrotem do hotelowego apartamentu, nadal zarysowywałem Merlinowi kształt operacji, którą miałem w głowie.

– Nawet nie wiesz, czego możesz się tam spodziewać, jaki ten cały Vogel ma dom, jakie podjął środki ostrożności. To znaczy, moim zdaniem, że działamy całkiem na oślep.

– Nie do końca. Znam takich jak Vogel. Ty też ich znasz. I wiem, co ktoś taki jest skłonny zrobić. O, właśnie o czymś sobie przypomniałem.

Wyjąłem telefon i korzystając z aplikacji Disappearing Ink napisałem do Vogla wiadomość:

Zwijam swoje sprawy i jutro rano lecę do Bostonu. Jak Mandy?

Odpowiedź nadeszła po trzydziestu sekundach:

Żyje.

Zareagowałem:

Muszę mieć dowód.

Odpisał po prawie pięciu minutach. Zobaczyłem zdjęcie siedzącej Mandy. Oczywiście miała otwarte, niewątpliwie żywe. Wyglądała na zmęczoną i przerażoną. Na jej policzku widniała szrama. Ręce trzymała z tyłu, zapewne skrępowane. Nie

potrafiłem stwierdzić, gdzie się znajduje. Chyba w jakimś garażu albo warsztacie samochodowym.

Potem zdjęcie zniknęło.

73.

Merlin pojechał do domu, a my z Dorothy rozmawialiśmy jeszcze przez chwilę. Znów skorzystaliśmy z usług room service'u – zamówiliśmy kanapkę klubową dla mnie, a dla mojej współpracownicy sałatkę COBB. Dorothy dziobała w niej widelcem, najwyraźniej wcale nie była głodna. Wypiła kieliszek białego wina, ja piwo.

- Skąd pewność, że Vogel zachowa Mandy przy życiu? – spytała.
- Martwa nie ma dla niego żadnej wartości.
- Ale jak długo? Mamy czas do jutra?
- Facet planuje z wyprzedzeniem, więc co najmniej do jutra.

Dopóki nie wrócę do Bostonu, jak powiedział.

- Gdzie twoim zdaniem ją trzymają?

- Nie wiem. Na zdjęciu wygląda, jakby siedziała w jakimś garażu albo szopie. Na ścianie za nią wisały jakieś narzędzia ogrodnicze.

- To, co planujesz na jutro, jest dość ryzykowne.
- Bez wątpienia.
- Jesteś pewny, że to... dobry pomysł.
- Vogel jest typem faceta, który ustępuje tylko wobec przeważającej siły.

Przez kilka sekund Dorothy spoglądała do wnętrza swojego kieliszka, a potem go odstawiła.

- Możemy porozmawiać szczerze?

Uśmiechnąłem się.

- A ty w ogóle umiesz inaczej?
- Odkąd cię znam, nigdy nie byłeś przesadnie ostrożny. Zawsze przejawiałeś skłonność, żeby iść na całość, po bandzie.
- Tylko wtedy, kiedy musiałem. Nie wygłupiam się ani nie ryzykuję bez potrzeby.

Pociągnęła łyk wina, ja ugryzłem swoją kanapkę.

- Z mojego punktu widzenia sytuacja wygląda inaczej. Jesteś

kimś, kto stale rzuca się głową do przodu. Jakby sam chciał napytać sobie biedy. Tym razem proszę cię, żebyś wszystko starannie przemyślał. Podjął środki ostrożności. Zabezpieczył się.

– Zawsze tak robię.

Dorothy westchnęła.

– Nie... boisz się?

– Oczywiście, że się boję. George Patton – wiem, to był palant, ale genialny – powiedział: „Nigdy nie widziałem człowieka pozbawionego strachu. Wszyscy się boją – im kto bystrzejszy, tym bardziej przerażony”.

– Ci ludzie są bezwzględni, Nick. Po prostu jutro uważaj na siebie. Nie wiesz, co cię czeka.

– Masz rację – zakończyłem rozmowę. – Nie wiem.

Oboje poszliśmy spać wcześniej. Mieliśmy przed sobą bardzo długi dzień.

Czułem się wyczerpany, ale nie mogłem zasnąć. Wierciłem się w łóżku, przewracałem z boku na bok, rozmyślając o planie na jutro, analizując go, szukając w nim dziur. Potem spróbowałem oczyścić umysł. Wdech i wydech. Wpatrywałem się w zegar na nocnym stoliku.

Ale mój niespokojny mózg długo nie chciał się poddać i zaprzestał walki dopiero o drugiej nad ranem.

74.

Wstałem bardzo wcześnie – choć prawie wcale nie spałem – jednakże Dorothy była na nogach przede mną. Piła kawę zamówioną u hotelowej obsługi i gapiła się w monitor komputera.

– Gdzie jest przesyłka? – spytałem. Miałem pewność, że moja współpracownica właśnie ją śledzi.

Pokiwała głową.

– Wygląda na to, że w jakieś centralnej sortowni w Waszyngtonie. Miałeś kolejne wiadomości do Vogla?

– Jeszcze nie. – Łupało mnie w głowie, odnosiłem wrażenie, że moje powieki są zrobione z papieru ściernego. Wczoraj byłem zbyt nakręcony, aby się porządnie wyspać. Z obrzydzeniem obrzuciłem wzrokiem pozostałości po naszej kolacji, nadal zalegające na stoliku w salonie. Żołądek miałem ściśnięty w ciasny węzeł.

– Kiedy wraca Merlin? – spytała Dorothy.

– Spotykamy się w jego mieszkaniu, w Dunkirk. Ma tam garaż, gdzie będziemy pracować.

Sprawdziłem swoją skrzynkę mejlową; znalazłem w niej wiadomość od Merlina z listą, którą opatrzył nazwą „Zestaw niezbędny do zabawy w podchody imienia Nicka Hellera”. Lista informowała, jakie artykuły Merlin zdołał załatwić, a jakich nie. Nawalił w kwestii dwóch najważniejszych pozycji: strzelby ze strzałkami usypiającymi oraz zapalników elektrycznych.

Wiadomość nadeszła jeszcze przed piątą, wiedziałem więc, że kumpel jest już na nogach. Zadzwoiłem do niego.

– Dzieńdoberek – powiedziałem. – Odpowiednio pobudzony?

– Jeszcze nie. Raczej skacowany. Za dużo szkockiej zeszłego wieczoru.

– Chcę, żebyś był gotowy do boju.

– Napiję się jeszcze trochę kawy i poczuję normalnie.

Wypaliłem wczoraj pół paczki fajek.

- Denerwowałeś się tym, co będzie dzisiaj?

- Ja... trochę wyszedłem z formy. Za mało praktyki. Teraz zajmuję się inwigilacją techniczną, sam wiesz. To nudna, mdła robota. W porównaniu z tym.

- Chyba nie próbujesz się wymigać, co?

- Zrobię, co trzeba. Dla ciebie. Dla towarzysza broni.

- Doceniam. Będzie dobrze. Nie udało się znaleźć strzelby na strzałki usypiające?

- Niewiarygodnie trudno coś takiego załatwić, Nick. Niestety, nie sprzedają jej w sklepach myśliwskich Cabela's. To znaczy, owszem, ale weterynarzom, strażnikom leśnym z licencją, pracownikom ogrodów zoologicznych i tak dalej. Daj mi jeszcze parę dni, to coś załatwię, ale na dziś rano nie mam nic.

- W takim razie dwa paralizatory. Klasy policyjnej, jeśli się da.

- Spoko. A jeśli chodzi o detonatory, to mam już jeden zamiar. Przed chwilą dzwonił do mnie jakiś koleś. Może załatwić nam dwie sztuki.

- Wystarczą.

Wyruszyłem samochodem do stanu Maryland, pozostawiając Dorothy w hotelowym apartamencie, na posterunku przed laptopem. Po drodze wstąpiłem do oddziału banku Wells Fargo i podjąłem sporą ilość gotówki.

Merlin zamieszkiwał w małym parterowym domu na osiedlu w Dunkirk, nieopodal rzeki Patuxent. Swój garaż przerobił na warsztat, a hondę parkował na podjeździe. Garaż był nieskazitelnie czysty, stały tam dwa stoły robocze, a wszelkie możliwe narzędzia zwisały grzecznie z haczyków przymocowanych do ścian.

Najcięższą pracę Merlin miał już za sobą. Z dwóch tanich telefonów komórkowych usunął niektóre kabelki, a następnie przewodem elektrycznym podłączył oba aparaty do detonatora.

- Dobra robota - powiedziałem. Na stole, tuż obok zapalników, leżały dwa cylindry owinięte w brązowy papier z nadrukiem: „Uwaga! Silny materiał wybuchowy. 0,25 kg dynamitu. Korpus

Inżynierski Armii Stanów Zjednoczonych”. Niedaleko stały na podłodze czerwone kanistry z benzyną.

– Skąd wzięłeś dynamit?

– Wybrałem się na poligon Aberdeen. Pat Keegan nadal szkoli tam żołnierzy.

– Keegan. No jasne. Powinienem być o nim pomyśleć. A co z trygonem?

– Zaczekaj. Jest w moim wozie.

Po chwili Merlin wrócił ze sprzętem – o zaskakująco staroświeckim wyglądzie jak na tak ekstremalnie wyrafinowane urządzenie – rozmiarów niewielkiej walizki. Było białe, z przełącznikami, ledowymi światełkami oraz tarczami wskaźników na przednim panelu.

– Merlin – wykrzyknąłem. – Udało ci się! Jak?

– Załatwiłem w biurze szeryfa okręgu Calvert. Dziś tego nie potrzebowali, dlatego na parę godzin „zginęło”.

– Jesteś niesamowity.

– No nie. Po prostu jeden z tamtejszych pracowników był mi winien małą przysługę, to wszystko.

Trygon był niezwykle potężnym instrumentem szpiegowskim, wykorzystywanym przez agencje rządowe oraz organy ścigania. Jego istnienie utrzymywano na ogół w tajemnicy. Zasadniczo jest to lokalizator telefonów komórkowych, który działa tak samo jak stacja przekaźnikowa, tyle że emituje sygnał silniejszy niż wieże transmisyjne w jego sąsiedztwie, zmuszając wszystkie aparaty oraz inne urządzenia przenośne do łączenia się najpierw z nim, nie zaś z prawdziwą wieżą. Dzięki temu można wyłapać numery telefonów w najbliższej okolicy, numery wybierane przez abonentów, a także inne dane. Policja amerykańska montuje trygony także na pokładach samolotów latających nad terenem, na którym – jak się podejrzewa – może ukrywać się zbieg; do jego namierzenia wystarczy numer telefonu komórkowego. W ten sposób organy ścigania są w stanie ustalić miejsce pobytu dowolnej osoby, nie dysponując nakazem sądowym. Prawdziwy Wielki Brat patrzy.

Przez chwilę obaj milczeliśmy.

– Wiesz w ogóle, gdzie jest ten dom? – spytał w końcu Merlin.

Odezwała się moja komórka.

– Prawie – odpowiedziałem.

Dzwoniła Dorothy.

– Przesyłka dotarła do Thurmont – oznajmiła.

– Na pocztę?

– Tak.

– Jest dość wcześnie. Daj mi znać, jeśli znów zacznie się przemieszczać.

Zakończyłem rozmowę i zwróciłem się ponownie do Merlina:

– Jeszcze nie wiem na pewno, ale się dowiem.

Pracując w ciszy, złożyliśmy do kupy wszystkie elementy dwóch bomb, wsadzając je do tanich, nylonowych worków, które walały się w garażu Merlina.

Krótko po jedenastej trzydzieści telefon znów zadzwonił.

– Porusza się – powiedziała Dorothy.

– Wyjechała z poczty?

– Tak.

– Okej. – I dodałem w kierunku Merlina: – W drogę.

– Mogę palić w samochodzie?

– Obawiam się, że nie.

– Nawet e-papierosa?

– Wolałbym nie.

– W takim razie zaczekaj. Najpierw fajeczka.

Wieczór wcześniej do Toma Vogla zatelefonowała Ellen Wiley.

Problem z prześladowającym ją natrętem jeszcze się zaostrzył: facet próbował się włamać do jej domu w Georgetown. Ellen podjęła decyzję, żeby zatrudnić Centurionów w celu natychmiastowego załatwienia sprawy. Nie za tydzień. Jutro.

Vogel przesłał mejlem swojej zleceniodawczyni umowę, którą ta obiecała podpisać i odesłać priorytetową pocztą, razem z czekiem. Podał jej również adres swojej skrytki pocztowej. I teraz oczekiwał przesyłki.

Ale nie tego, co znajdowało się w środku.

Zamiast podpisanej umowy paczuszka zawierała prezent. Książkę z życzeniami miłej lektury. Od Ellen.

Grzbiet miał mniej więcej trzy i pół centymetra grubości. Tomiszczce mogło budzić zdziwienie, ale raczej nie podejrzenia.

Ukryty pod okładką tkwił mały płaski dysk, przytwierdzony klejem, nie większy niż srebrna jednodolarówka. Lokalizator GPS zasilany baterijką. Którego ruchy Dorothy mogła z łatwością śledzić na swoim iPadzie.

Brałem też pod uwagę obserwację budynku poczty, w oczekiwaniu, aż ktoś otworzy rzeczoną skrytkę, a potem śledzenie go samochodem. Być może byłoby to prostsze rozwiązanie. Jednakże tacy ludzie jak Vogel odznaczyli się hiperczuynością. Próba jego inwigilowania miałyby takie same szanse powodzenia, jak założenie smyczy wężowi. Po prostu by się z niej wyśliznął.

Nie, drugi sposób był bardziej wyszukany. Uznałem, że Vogel nie pofatyguje się na pocztę osobiście, lecz wyśle tam kogoś ze swoich podwładnych. A ten nie ośmieli się sam otworzyć przesyłki i przywiezie ją bezpośrednio szefowi.

A wtedy Vogel, zamiast spodziewanej umowy i czeku, wyjmie z opakowania książkę. Prezent od Ellen Wiley. Potraktuje to

zapewne jako coś dziwnego, ekscentrycznego, ale niewzbudzającego podejrzeń.

Jeśli moje domysły były słuszne, ten facet nie prowadził typowego biura. Mieszkał w jakimś wielkim domu, do którego zostanie dowieziona ekspresowa przesyłka. Lokalizator powie nam dokładnie, gdzie ów dom się mieści.

A potem złożę Voglowi wizytę.

Dorothy oddzwoniła po około dziesięciu minutach.

– Przesyłka wyjeżdża z Thurmont w kierunku sąsiedniej miejscowości, Gorham.

Nigdy wcześniej nie słyszałem o tym miasteczku.

– Okej. Merlin i ja jedziemy jej śladem. Informuj mnie na bieżąco.

– Cały czas.

Moja współpracownica odezwała się ponownie parę minut później, kiedy jechaliśmy z Merlinem chryslerem.

– Zatrzymali się.

– Gdzie?

– Mam lokalizację na Google Earth. To mniej więcej to, czego się spodziewałam: duży, ogrodzony dom w środku lasu.

– Ile budynków?

– Dwa. Jeden mały, który wygląda na garaż. I główny kompleks.

– Co z wejściem?

– O ile się mogę zorientować, jest jedna brama.

– Żadnej budki strażniczej?

– Nic równie wyrafinowanego.

– W porządku. Długi podjazd?

– To coś więcej. Droga, która wije się przez las, a potem wychodzi na polanę, na której stoi dom.

– Masz już chyba nazwę ulicy? Możesz uzyskać jakieś informacje o tej nieruchomości z bazy gminy albo miasta? Na przykład plany architektoniczne?

– Daj mi pięć minut. Oddzwonię.

Kiedy prowadziłem wóz, Merlin bębnił palcami po desce

rozdzielczej. Emanował nerwowością. Widziałem, że ma ochotę na kolejną fajkę.

– Wiesz, dokąd jedziemy? – spytałem.

– No. Masz tę forszę, tak?

– Mam.

– I adres już też?

– Też.

– Czyli lokalizator pomógł.

– Najwyraźniej.

– A jeśli facet go znajdzie?

– Nie wydaje mi się. Zobaczy, że to książka, otworzy ją, przeczyta dedykację, zapewne poczuje się nieco zaskoczony i zirytowany.

– Będzie coś podejrzewał?

– Mało prawdopodobne.

– A jeśli jednak? Jeżeli rozerwie zszywki i znajdzie przyklejony lokalizator?

Wzruszyłem ramionami, ale nic nie powiedziałem.

– Wtedy będzie czekał na ciebie. Na nas.

– Miejmy nadzieję, że do tego nie dojdzie.

Nastała długa cisza. Potem zadzwonił mój telefon. Dorothy.

– W sieci, na stronach miasta ani okręgu, nie ma żadnych planów architektonicznych – powiedziała. – Ale ustaliłam coś ciekawego. Inspektor budowlany w Gorham wydał dwa interesujące pozwolenia na budowę. Jedno dotyczyło zabudowań gospodarczych, jakby szopy czy baraku. Drugie schronu.

– Na terenie posiadłości Vogla?

– Tak. Na parterze. Ściany pomieszczenia wykonano ze stalowych paneli oraz kompozytów kuloodpornych. Nieruchomość ma własny generator prądu.

– Okej. Jakies informacje na temat systemu alarmowego?

– Żadnych.

– Możesz przesłać mi zdjęcie tego domu?

– Jasne.

Rozłączyłem się.

– W porządku – powiedziałem do Merlina. – Zmiana planów.

76.

Ciężarówka UPS wtoczyła się na prywatną drogę, a po pewnym czasie zatrzymała przed wjazdem do posiadłości.

Stała tu wysoka, kuta brama z czarnego żelaza, zwykła i skromna, pozbawiona wszelkich ornamentów i zawijasów. Wzdłuż jej górnej krawędzi biegły ostre wypusty, przypominające najeżone włócznie.

Kierowca dostrzegł kamienny słupek, stojący po lewej stronie bramy, na którym zamontowano kamerę i interkom. Podjechał ciężarówką o jakiś metr do przodu, wychylił się z okna i wcisnął guzik.

Po mniej więcej piętnastu sekundach z domofonu dobiegł głos.

– Tak?

– UPS. Przesyłka dla pana Thomasa... hm... Vogel. Muszę mieć podpis na formularzu.

Odpowiedź padła dopiero po blisko dziesięciu sekundach.

– W porządku.

Brama przesunęła się powoli w prawo, a kiedy stała otwarta na oścież, brązowa ciężarówka ruszyła żwirowaną dróżką między drzewami, która jeszcze przez jakiś czas wiła się w głębi lasu. Wreszcie ukazała się polana, a na niej dom, wielki i nieforemny, ładny, choć wcale nie przytłaczający.

Miał płaski dach, z wieloma wystającymi wykuszami. Odsłonięte końcówki sterczących krokwi. Mansardowe okna zarówno w partiach szczytowych, jak i poniżej, rozmieszczone osobno. Dolne części przesuwanych ku górze okien wyposażono w szyby pojedyncze, górne zaś – w kilka warstw szkła.

Futryna drzwi frontowych była szeroka, podobnie jak ościeżnice wszystkich okien, ze starannie wykonanymi biforiami pomiędzy nimi. Dom wzniesiono w stylu artystycznym propagowanym przez ruch Arts and Crafts, z niewątpliwą pychą i przywiązaniem do najdrobniejszych detali.

Byłem pod wrażeniem. Jeśli Vogel naprawdę zbudował ten dom własnymi rękoma, sprawił się znakomicie.

Merlin, który prowadził wóz, zgasił silnik i podał mi elektroniczną podkładkę. Następnie skierował się na tył samochodu po jeden z marynarskich worków, a ja obszedłem maskę i ruszyłem do frontowych drzwi domu. Nacisnąłem dzwonek.

Gdyby to Vogel miał mi otworzyć, byłem przygotowany. Nie spodziewałem się jednak, że zrobi to osobiście, i miałem rację. W wejściu stanął zwałyści facet o krótkich czarnych włosach i wyglądzie kolesia jadącego na sterydach. Nosił dzinsy, czarny T-shirt, mięśnie piersiowe miał przesadnie rozwinięte.

– Thomas Vogel? – spytałem przez drzwi z moskitierą.

– Mogę podpisać odbiór – odrzekł goryl. – Gdzie przesyłka?

– To wielka paczka ze sprzętem do ćwiczeń. Zanim zdejmę ją z paki, mógłby pan rzucić okiem i stwierdzić, czy to na pewno to?

Facet wzruszył ramionami, trochę niepewnie, otworzył siatkowane drzwi i wyszedł na zewnątrz. Zerknąłem szybko do niewielkiego przedpokoju; zaraz za nim zobaczyłem salon i zapisałem sobie ten obraz w głowie.

Poprowadziłem gościa na tył ciężarówki. Tam podniosłem rolowaną klapę. Paka była prawie pusta. Umieściliśmy w niej tylko trygona, stertę plastikowych opasek zaciskowych oraz jeden z marynarskich worków. Drugi worek mój kumpel podkładał właśnie na tyłach domu.

Zauważyłem, że Merlin się zbliżył, ale utrzymywał dystans i tylko się przyglądał.

– Co, do cholery?! – zapytał facet.

Ale moje prawe ramię już kierowało się w stronę jego prawego barku, a zgięty łokieć objął jego gruby kark. Gościu zamachał pięściami, lecz zupełnie nieszkodliwie. Chwyciwszy się ręką za lewy biceps, odciągnąłem barki w tył i zacisnąłem nelsona jak nożyce. Parłem coraz mocniej, blokując tamtemu przepływ krwi przez obie tętnice szyjne.

Po kilku sekundach osunął się na ziemię. Przytomność stracił tylko na kilka sekund, ale potem i tak będzie otepiały od

zawrotów głowy i mocno spowolniony. Związanie facetowi rąk i nóg plastikowymi zaciskami zajęło nam z Merlinem około półtorej minuty. Oderwałem kawałek taśmy izolacyjnej i zakleiliśmy gorylowi usta.

Zostawiliśmy go na ziemi. Zastłaniała go ciężarówka, z wnętrza domu nikt nie mógł go więc zobaczyć.

Podniosłem ze żwiru elektroniczną podkładkę, która wcześniej tam upadła.

Jeden zero. Problem polegał tylko na tym, że nie mieliśmy pojęcia, ilu ludzi mieszka albo pracuje na terenie posiadłości, ani ilu Vogel utrzymuje ochroniarzy. Byłem jednak pewien, że ten skrępowany nie jest jedynym.

– Gotowy? – zapytał Merlin.

– Chwileczkę. – Wskoczyłem na pakę ciężarówki i znalazłem rugera 22. – Już.

Merlin wklepał numer w jeden z naszych tanich aparatów komórkowych. Czekał, patrząc na mnie. Przez słuchawkę telefonu słyszałem odległy sygnał.

Potem nastąpiła eksplozja.

Głośniejsza, niż się spodziewałem – intensywny huk, odbijający się echem łoskot, który przetoczył się z rykiem i wstrząsnął ziemią. Z miejsca, w którym staliśmy, niczego nie widzieliśmy, ale zdawałem sobie sprawę, że znajdujący się w marynarskim worku dynamit spowodował zapłon benzyny i wytworzył ogromną kulę ognia. Jasne popołudniowe niebo rozbłysło jeszcze silniejszym światłem, zabarwiło się czerwienią, po czym zasnuło czarnym dymem.

Każdy, kto znajdował się w domu, musiał teraz skupić uwagę na wybuchu. Musiał pobiec na tyły budynku, aby zobaczyć, co się stało. Zapewne większość ochroniarzy gnała tam teraz ze wszystkich zakątków kompleksu. Była to bomba dywersyjna, kiedyś zwykle skuteczna podczas prowadzonych przez nas akcji bojowych. Klasyczna, bardzo efektywna technika. Zdolna kupić kilka niezwykle cennych sekund.

Spojrzałem na Merlina i kiwnąłem głową.

– Wchodzę – powiedziałem. – Jeśli nie odezwę się za kwadrans,

dzwoń na policję.

Został na posterunku, pilnując ochroniarza, a ja tymczasem podniosłem drugi marynarski worek i ruszyłem w kierunku domu.

Powolnym krokiem, jakbym był u siebie, jakby to miejsce należało do mnie, obszedłem ciężarówkę, stanąłem przy frontowych drzwiach, otworzyłem je i wszedłem do wnętrza.

Znalazłem się w małym przedpokoju. Na jednej ze ścian wisiał jakiś obraz, niewpadający w oko, niżej znajdowały się stojak na parasole oraz stolik w kształcie półksiężyca. Wszystko bardzo zwyczajne i bardzo domowe. Nic pasującego do takiej twierdzy.

Dopiero potem dostrzegłem zamontowaną na ścianie kamerę monitoringu, wycelowaną w drzwi.

Jeśli ktoś wpatrywał się teraz w ekrany, miałem problem. Zwłaszcza, gdyby był to Vogel, ponieważ on wiedział, jak wyglądam. A za jedyne przebranie miałem na sobie uniform UPS.

Być może jednak nikt nie obserwował obrazu z monitorów. Pewnie wszyscy byli zajęci szukaniem bomby.

Choć, z drugiej strony, wcale niekoniecznie. W każdym razie musiałem działać szybko. Miałem teraz wybór: pójść albo w prawo, albo w lewo. Na chybił trafił wybrałem to drugie. Znalazłem się w niewielkim salonie, w którym śmierdziało zastałym dymem z cygar. Ściany, pod sam sufit, były wykładane boazerią z barwionego ciemnego drewna orzechowego, a do jednej z nich przytwierdzono ogromny telewizor z płaskim ekranem. Pomieszczenie stało puste. Rzuciłem marynarski worek przed długą sofą z czarnej skóry.

Być może wybuch przyniósł oczekiwany skutek i wszyscy znajdujący się na tej posiadłości, także w głębi domu, byli teraz skoncentrowani na pożarze. Ich uwaga została skierowana gdzieś indziej, przynajmniej na jakiś czas.

Jednak jak się okazało, wcale nie wszyscy.

W drzwiach stanął wysoki, tyczkowaty facet. W złożonych rękach trzymał wycelowaną we mnie broń, matowoczarny pistolet półautomatyczny. Wyglądał mi na kolejnego glocka.

Najwyraźniej Vogel dostał na ten model cenę hurtową.

– Nie ruszaj się! – krzyknął tamten.

Był cwany. Natychmiast połączył fakt eksplozji z pojawieniem się ciężarówki pocztowej. I zrozumiał, gdzie leży prawdziwe niebezpieczeństwo.

Zamarłem.

– O co chodzi? – spytałem.

– Na ziemię!

Nie miałem w ręku rugera. Tkwił w płaskiej kaburze ukrytej pod moim brązowym uniformem UPS. Trzymałem jedynie elektroniczną podkładkę.

Przez ułamek sekundy zastanawiałem się, czy nie dobyć pistoletu. Jednakowoż to podkładka, jeśli właściwie użyta, była w tym momencie znacznie lepszą bronią.

– Potrzebuję podpisu odbiorcy, o tu – powiedziałem, wyciągając tablet w stronę faceta, jakbym chciał mu coś pokazać.

Wystarczyłaby tylko chwila jego nieuwagi. Poluzowanie na linii łączącej mózg z palcem na spuście, na jakieś dwie, trzy sekundy. Tak zwana przerwa w komunikacji bezpośredniej. Rozproszenie myśli, zakłócenie koordynacji oko–ręka, gdy facet zacznie się zastanawiać, czy mówię serio. Ponieważ mimo dedukcji, że nie jestem prawdziwym kierowcą z firmy UPS, nie mógł być tego w stu procentach pewien.

Tyczkowaty zawahał się. Obrzucił okiem mój uniform, a następnie moją podkładkę, co łącznie zajęło mu jakieś półtorej sekundy.

Obróciłem lewą stopę i cisnąłem mu podkładką w oczy. Odruchowo odchylił głowę. Swoim lewym ramieniem popchnąłem jego prawy bark, waląc z całych sił ku dołowi, podczas gdy prawą ręką złapałem za lufę pistoletu. Przekręciłem go zgodnie z ruchem wskazówek zegara, w górę i w bok. Facet ryknął, gdy palec na spuście trzasnął, złamany.

Natarłem na gościa i przygniotłem do wykładziny podłogowej, kolanem przytrzymując gardło. Pistolet, który znalazł się teraz w moim ręku, przystawiłem mu do czoła.

– Jezu, nie! – wrzasnął.

- Gdzie jest Vogel? – zapytałem.
- W swoim... w swoim skrzydle.
- *Czyli gdzie?*

Kciukiem wskazał na prawo, to znaczy ku mojej lewej. W kierunku podwójnych drzwi.

- Odwróć się. Powiedziałem: odwróć!

Popchnąłem go lekko i facet wykonał polecenie. Wyszarpnąłem z kieszeni dwie profesjonalne plastikowe obejmy, ale tamten najwyraźniej miał jeszcze w sobie ducha oporu. Uniósł tułów i kurczowo machnął prawą ręką w tył, próbując mnie dosięgnąć. Lufą glocka wałnąłem go w lewą skroń.

Sflaczał natychmiast. Był oszołomiony, na wpół przytomny. Skrępowiałem mu nadgarstki, potem nogi. Już więcej nie walczył.

Nie miał szans, żeby się samodzielnie uwolnić z tych szczególnych zacisków.

Potem wstałem i ruszyłem na poszukiwanie Vogla.

78.

Na podstawie zdjęć z Google'a wyrobiłem sobie całkiem niezłe wyobrażenie o tym domu, aczkolwiek przyjrzałem mu się tylko z lotu ptaka. Wiedziałem, że jest rozległy i pełen odgałęzień, że mieści znacznie więcej pokoiów niż te nieliczne, przez które jak dotąd przeszedłem.

Jeśli powalony przeze mnie facet mówił prawdę, podwójne drzwi faktycznie mogły prowadzić do skrzydła zajmowanego przez Vogla. Do jego mieszkania.

Ale tylko być może.

Trzymając w prawym ręku glocka odebranego chudzielcowi, otworzyłem podwójne drzwi po swojej lewej. Zobaczyłem długi, szeroki korytarz, także wykładany boazerią, tyle że do lamperii. Tutaj drewno miało kolor złamanej bieli, tak aby pasowało do ścian.

Z prawej strony natknąłem się na coś, co wyglądało na sypialnię. Drzwi do pomieszczenia były otwarte, światło zgaszone. Łóżko w nieładzie.

Po lewej znajdował się kolejny pokój, gabinet bądź biuro. Znowu elegancka boazeria, długie biurko z drewna wiśniowego, z nogami rzeźbionymi w zawijasy. Na blacie sterty papierów. Wszędzie widać było kable i inne przewody. W rogu pomieszczenia na mniejszym stoliku stała drukarka. Z okna rozciągał się widok na przedni dziedziniec – widziałem maskę ciężarówki UPS. W tym pomieszczeniu paliły się światła. Jakby Vogel niedawno tu pracował i opuścił pokój w nagłym pośpiechu.

I wtedy go zobaczyłem.

On również patrzył na mnie.

Stał jakieś dziesięć metrów dalej, w korytarzu, ubrany w niebieską koszulę i eleganckie spodnie. Wyglądał jak ktoś, kto zamierza za chwilę włożyć krawat i wybrać się na spotkanie z klientem.

Obróciłem glocka w jego kierunku. Prawa ręka Vogla kryła się za jego plecami i najwyraźniej poruszała, prawdopodobnie w poszukiwaniu broni.

– Nie rób tego – powiedziałem.

Vogel się uśmiechnął. Ruch ręki ustał.

– Co zamierzasz, Nick? – spytał. – Zastrzelić mnie? – Nadal się uśmiechał.

Podszedłem bliżej z glockiem wycelowanym w jego klatkę piersiową.

Facet zadał interesujące pytanie. Czy faktycznie gotów byłem załatwić Vogla? A może tylko postrzelić go w nogę, zranić?

– Uwolnij Mandy, a pozwolę ci odejść – powiedziałem.

Roześmiał się głośno.

– Teraz mnie obrażasz.

– Rzucę ci telefon. Zadzwonisz do swoich ludzi i każesz im wypuścić dziewczynę. To twoje jedyne wyjście, Vogel.

Uśmiechnął się i pokręcił głową, jakby to był najgłupszy pomysł, o jakim słyszał od lat.

– Odłóż broń, Nick.

– Najpierw zadzwonisz. Potem ja odłożę broń.

– Obawiam się, że to niemożliwe, bracie.

Zrobiłem krok do przodu.

– Nie zmuszaj mnie, żebym cię zabił, Vogel.

Znowu wykrzywił usta, pewny siebie sukinsyn.

– Więc chcesz mnie zastrzelić, Nick?

– Owszem, chcę – odpowiedziałem i nacisnąłem spust.

W tak małej przestrzeni huk był ogłuszający. Vogel zawył. Pocisk przebił jego koszulę i wywiercił dziurkę w ramieniu. Na niebieskim materiale wykwitła wielka czerwona plama. Kula zmiażdżyła kość, powodując niegroźną, ale bardzo bolesną ranę.

– Niech cię jasny szlag trafi, skurwysynu! – wrzasnął Vogel. Prawą ręką chwycił się za zdruzgotany bark.

– Co ma być następne? – spytałem. – Kolano?

Obniżyłem glocka i wycelowałem w jego rzepekę.

– Okej! – zawołał. – Okej! Jezu!

Nagle, na ułamek sekundy, Vogel skierował wzrok ponad moim

ramieniem, a ja poczułem, że coś znajduje się na prawo ode mnie. Niespodziewany ruch, drobna zmiana w oświetleniu.

I dokładnie w tej samej chwili coś długiego i cylindrycznego – udało mi się rozróżnić sam kształt – trzasnęło w moje prawe ramię, zmuszając do rzucenia broni. Poczułem eksplodujący ból. Zachwiałem się.

Ktoś, kto czał się tuż za mną, zadał mi cios kijem bejsbolowym.

Zrobił to ponownie, ale tym razem rzuciłem się na napastnika, próbując pochwycić narzędzie ataku. Kij uderzył w moje dłonie: gorące pieczenie, intensywnie bolesne, towarzyszyło próbie wyrwania go z uchwytu tamtego człowieka.

Kątem oka widziałem, jak Vogel się wycofuje, byłem jednak zbyt pochłonięty powstrzymaniem bezpośredniego zagrożenia. Napastnik wydał z siebie ryk podobny do okrzyku bojowego; walczył zapamiętale o utrzymanie kija. Obaj dzierżyliśmy go z całych sił. Facet natarł na mnie – drewno uderzyło mnie w czaszkę i zobaczyłem gwiaździstą aureolę, do której dołączył ból. Wtedy jednym potężnym szarpnięciem wepchnąłem koniec kija w gardło atakującego. Rozległ się chrzęst pękających tkanek. Mężczyzna opadł na podłogę i chwycił się dłońmi za szyję, krztusząc się i przewracając oczami.

Wiedziałem, że jest unieszkodliwiony na stałe.

Odwróciłem się; na dywanie, w miejscu, gdzie wcześniej stał Vogel, zobaczyłem rozprysk krwi. Pozostawiał za sobą krwawy ślad. Poszedłem za nim korytarzem, a potem skręciłem w prawo. Tam plam było więcej, a czerwień stawała się coraz gęstsza.

Ślady dochodziły do pomalowanych na biało stalowych drzwi.

Schron.

Vogel musiał być w środku.

Z głośnika zamontowanego wysoko na ścianie rozległ się jego głos.

– Wsparcie już jest w drodze, Heller. To koniec. Wracaj do domu.

– Koniec będzie wtedy, kiedy uwolnisz Mandy. Podejmij decyzję, Vogel.

– Czy wyraziłem się niejasno, jeśli chodzi o warunki umowy? Wracaj do Bostonu, a wtedy Mandy odejdzie wolno. Nie wcześniej. Dość już tych gier.

Obok głośnika zainstalowano kamerę monitoringu; zdałem sobie sprawę, że facet przez cały ten czas mnie widział. Wysunąłem magazynek z glocka należącego do chudzielca – był pusty. Standardowa broń służbowa waszyngtońskiej policji ma w magazynku siedemnaście nabojów, tymczasem ten zawierał tylko jeden. Który wcześniej wpakowałem Voglowi w ramię.

Vogel chyba nie zauważył, że broń jest nienabita, bo powiedział:

– Nie marnuj amunicji, bracie. Ściany są z włókna szklanego i stali, kuloodporne. Potrzebowałbyś haubicy.

Oczywiście mówił prawdę. W swoim schronie był bezpieczny, osłonięty przed wszelkimi pociskami.

– Naprawdę zamierzasz się chować w tej pancерnej skrzynce? – zapytałem.

– Jesteś w pułapce.

– Ja? Serio? A myślałem, że to ty tkwisz tam zaryglowany.

– Marnujesz czas.

– Podejmij decyzję – powtórzyłem. – Zadzwoń. Opowiem ci, jak będzie. Twoi ludzie przywiezają Mandy na dowolne skrzyżowanie, które sam wybierzesz. W Waszyngtonie czy gdziekolwiek indziej. Stamtąd odbierze ją mój kolega i da mi znać, że dziewczynie nic nie jest.

Balakian, zwany Kombuczą, tylko czekał na mój sygnał.

Vogel wydał z siebie suchy chichot.

– Bo w przeciwnym razie?

– Podejmij decyzję.

– Zrozum, Heller, twój plan spalił na panewce. Nie masz argumentów, nigdy nie miałeś. Za jakieś dziesięć minut będzie tu pięciu moich najlepszych pracowników. Zobaczą uzbrojonego, niebezpiecznego intruza, który właśnie ranił kilku facetów, a także odpalił na terenie mojej posiadłości bombę, i wtedy zrobią to, na co zezwala im prawo: zastrzelą cię. I Mandy Seeger stanie się całkowicie niepotrzebna.

Wsunąłem glocka za pasek spodni od mojego uniformu UPS, tak jakby był nabity i chciałem z niego skorzystać w dowolnej chwili. Potem skrzyżowałem ramiona na piersi.

– Piękny dom – oświadczyłem. – Sam go zbudowałeś?

– W większości.

– Te boazerie są nadzwyczajne. Ich położenie musiało trwać ładnych parę lat. Naprawdę szkoda.

Vogel milczał.

Wyjąłem komórkę i przystawiłem ją do oka kamery.

– W tym telefonie zapisany jest tylko jeden numer – powiedziałem. – Wystarczy, że wcisnę szybkie wybieranie, a wybuchnie druga bomba gazowa. Która znajduje się w twoim salonie. Wówczas dom zmieni się w kulę ognistą. Dom, który z taką miłością budowałeś. Godzinka i wszystkie te śliczne drewniane elementy przekształcą się w węgiel drzewny.

Kolejna długa pauza. Już miałem się odezwać, kiedy Vogel mnie uprzedził:

– Wystarczy jeden mój telefon i Mandy Seeger zginie.

– I jest jeszcze jedna sprawa – powiedziałem, ignorując go zupełnie. – Najsmakowitsza. Siedzisz sobie w stalowym pudle o wymiarach trzy na cztery metry. W samym środku szalejącego pożaru, w płonąącym domu. Średnia temperatura w takich wypadkach wynosi sześć do sześciu i pół tysiąca stopni Celsjusza. A stal znakomicie przewodzi ciepło. Twoja stalowa trumna bardzo szybko nagrzej się do tysiąca stopni. I wiesz, co się wtedy z tobą stanie?

Cisza.

– No cóż, najpierw zaczniesz się pocić. To będzie naprawdę nieprzyjemne. Potem na całej powierzchni skóry pojawią się pęcherze. Ból stanie się nie do zniesienia. Jeśli będziesz miał szczęście, stracisz przytomność. Moim zdaniem to najokrutniejsza śmierć z możliwych.

Cisza.

– Piekłeś kiedyś wieprzowinę w piekarniku? Tak samo będzie z tobą. Zmienisz się w pieczeń. Tylko że ciebie czeka to żywcem. Vogel. To chyba niemieckie nazwisko, prawda?

Cisza.

– Co to znaczy po niemiecku?

Cisza.

– Miałem niemiecki w liceum. To było dość dawno, ale jestem prawie pewny, że Vogel znaczy „ptak”. Więc może należałoby raczej powiedzieć, że upieczesz się jak kurczę. Kurczę pieczone. Podczas kremacji ludzkie zwłoki spala się w temperaturze od siedmuset sześćdziesięciu do tysiąca stopni Celsjusza, dlatego ty skończysz prawdopodobnie jako garść popiołu. Nie zidentyfikują cię nawet po zębach.

– Chrzanisz trzy po trzy, Heller. Nie odważysz się.

– Jak tam ramię? – spytałem z uśmiechem. – Wiesz, że mam krew na rękach. I do czego jestem zdolny.

– Nie zrobisz tego, Heller. Ponieważ Mandy Seeger jest przetrzymywana w piwnicy. Dokładnie pode mną. A nie sądzę, byś swoją przyjaciółkę także chciał spalić żywcem.

Mam dryg do wykrywania kłamstw. Wiedziałem, że Vogel mówił prawdę.

80.

Ogarnęło mnie tylko jedno pragnienie: pobiec. Znaleźć drzwi do tej piwnicy i od razu tam zejść.

Zmusiłem się jednak do cofnięcia się po własnych śladach, korytarzem, wprost do gabinetu Vogla. Tam rozejrzałem się szybko i wyrwałem kabel od komputera stacjonarnego. Miał dwa metry długości i wyglądał na solidny. Potem wziąłem jeszcze ze dwa przewody USB.

Wróciłem do schronu, a następnie obwiązałem kablem zasilającym dźwignię otwierającą drzwi, a jego z kolei przytwierdziłem do stelaża, na którym znajdowała się kamera monitoringu. Dość szybko udało mi się mocno związać oba przewody.

Vogel nieprędko wyjdzie z tego pomieszczenia, a już na pewno nie o własnych siłach.

Zawróciłem i pobiegłem korytarzem w kierunku frontowego wejścia do domu. Otwierałem jedne drzwi po drugich, ale odkrywałem tylko szafy, garderoby, łazienki i sypialnie.

I wreszcie trafiłem. Piwnica. Rzuciłem glocka z pustym magazynkiem na podłogę i zbiegłem po schodach.

Powietrze było tu chłodniejsze. Pokonując kolejne stopnie słabo oświetlonych drewnianych schodków, poczułem zapach stęchlizny. Usłyszałem przyciszone głosy.

Na pierwszy rzut okna piwnica miała ten sam zarys co znajdujący się nad nią parter. Ściany z nagiego betonu dzieliły ją na wiele otwartych pomieszczeń, których ciąg zdawał się nie mieć końca. Jak na podziemia, sufit był sklepiony stosunkowo wysoko: na mniej więcej trzech metrach. Zobaczyłem na nim dźwiękoszczelną izolację.

Głosy stały się teraz trochę donośniejsze. Zrozumiałem, że pochodzą z telewizora znajdującego się w jednym z pokoiów bez drzwi. We wnęce, tej najbliższej mnie, ustawiono stalowe półki,

a na nich białe pudła oznaczone datami i literami alfabetu. Zapewne dane klientów firmy Centurion. Na całej długości jednej ze ścian z haków, wbitych schludnymi rzędami w dziurkowaną deskę, zwisały narzędzia ogrodnicze.

Przesunąłem się niepostrzeżenie wzdłuż tego instrumentarium w kierunku źródła dźwięków. Odbiornik telewizyjny znajdował się chyba w kolejnej niszy. Tam ujrzałem coś, co początkowo wzięłem za zwykłą drucianą siatkę, ale kiedy podszedłem bliżej – choć nadal dzieliło mnie od niej około ośmiu metrów – uświadomiłem sobie, że patrzę na więzienną celę. Kwadratowa, wolno stojąca klatka o wymiarach cztery na cztery metry, ze ścianami i sklepieniem wykonanymi z zespanej metalowej siatki. Coś takiego widuje się w niewielkich aresztach policyjnych. W jednym z jej narożników stał nagi stalowy sedes. Poza tym były tylko rozpostarty na podłodze śpiwór i metalowa ławeczka.

Na ławeczce siedziała Mandy Seeger.

Zapadnięta w sobie, w bluzie z kapturem, sprawiała wrażenie znużonej i samotnej. Nie widziała mnie.

Około trzech metrów od klatki na krześle siedział bardzo gruby mężczyzna i wpatrywał się tępo w telewizor pod sufitem. Miał na sobie białe polo z krótkimi rękawami, a pod pachą kaburę. Na oko musiał ważyć ze sto czterdzieści kilogramów, z czego większość stanowił tłuszcz.

On także mnie nie zauważył. Oglądał jakiś reality show na temat rybołówstwa dalekomorskiego.

Podziemia były dźwiękoszczelne, gościu skupił się na telewizji, ale musiał przecież słyszeć wybuch bomby. Oraz strzał, który oddałem do Vogla. Wyglądało jednak na to, że otrzymał jasne rozkazy – nie opuszczać posterunku. Pilnować więźnia.

– Jo! – krzyknąłem, idąc w kierunku grubasa. – Przysyła mnie Vogel.

Tamten odwrócił się i spojrzał na mnie, faceta w brązowym uniformie UPS. Z kabury pod pachą wyszarpnął glocka i wycelował.

– Coś ty za jeden, do diabła?!

– Człowieku, na górze jest osiemnastu agentów federalnych w tych ich wiatrówkach. Jak chcesz się z tego wykaraskać, chodź ze mną. – Podszedłem bliżej. – Bierz ją i idziemy.

– Co? Federalni? Gdzie?

Wtedy rozdzwonił się telefon komórkowy.

Jego telefon.

Lewą, wolną ręką grubas sięgnął po komórkę. Potem kciukiem tej, w której trzymał broń, wcisnął przycisk i odebrał – w sumie był to zgrabny, drobny ruch. Najpewniej robił to już wcześniej niejednokrotnie.

– Tak, słucham pana?

Facet wiedział, kto dzwoni.

Powoli wysunąłem spod koszuli rugera i trzymałem płasko przy boku.

Grubas słuchał, a jego oczy wędrowały po piwnicy.

– Tak jest. Tak, proszę pana.

Mandy, siedząca w klatce, przyglądała mi się, wyraźnie przestraszona.

– Rozumiem – powiedział tamten.

Potem schował aparat do kieszeni.

– Stój tam, gdzie jesteś – polecił, patrząc na mnie. Celował we mnie z pistoletu. – Ani kroku dalej.

– W porządku. – Zrobiłem kroczek.

– Powiedziałem: stój! – powtórzył grubas.

Jednym płynnym ruchem wyjąłem rugera.

Grubas był szybszy. Wymierzył i wystrzelił pierwszy.

Prosto we mnie, z odległości około czterech metrów.

Mandy krzyknęła.

Uczucie było takie, jakby ktoś walnął mnie w brzuch kijem bejsbolowym. Zgiąłem się wpool pod wpływem potwornego bólu. Odebrało mi dech. Upadłem do tyłu, prosto na ścianę z narzędziami, chwytając się za pierś i z trudem łapiąc powietrze. Ruger wypadł mi z rąk i poleciał po podłodze w kierunku grubego. Wszędzie wokół mnie walały się narzędzia. Coś skaleczyło mnie w szyję.

Lekka kamizelka kuloodporna, którą wcześniej przywdziałem,

miała tylko sześć i pół milimetra grubości i ważyła niecałe dwa kilogramy. Ale uratowała mi życie. Chociaż odnosiłem wrażenie, że pękło mi kilka żeber.

Zerwałem się na równe nogi. Gruby sięgał właśnie po mojego rugera. Głupi ruch. Pewnie uznał mnie za poważnie rannego, a być może nawet martwego. Fakt ten dał mi kilka bardzo ważnych sekund.

Sięgnąłem po najbliższej leżące narzędzie: nożyce ogrodowe z długimi rączkami i otwartymi szczękami. Po czym – złapawszy tylko za jeden uchwyt – cisnąłem nimi w grubasa, jak ninja miotający shurikenem.

Facet zawył, gdy ostrze sekatora wbiło mu się w szyję. Padł na kolana i próbował je dosięgnąć ręką. Wtedy złapałem wielki szpadel.

Koleś znowu wystrzelił w moim kierunku, ale pocisk odbił się od stalowej łopaty. Wziąłem zamach i walnąłem grubasa dość mocno. Celowałem wprawdzie w jego pierś, licząc, że zwalę go na posadzkę, on jednak niespodziewanie pochylił się i głowica szpadla wbiła mu się w ucho.

Wytrysnął gejzer krwi; zrozumiałem, że zatopiłem ostrze głęboko. Mężczyzna upadł. Z otworu w jego czaszce rytmicznie wypływała czerwona struga.

Wyrwałem klucz na rozciągliwej taśmie, przytwierdzony do lewego boku rannego. Poczułem na skórze mgiełkę gorącej krwi.

Mandy krzyczała, dzwoniło mi w uszach. Pokuśtykałem w kierunku klatki.

Mimo dźwiękoszczelnych osłon piwnicy usłyszałem stłumione, odległe wycie policyjnych syren.

81.

Nieasfaltowany dziedziniec wokół kompleksu mieszkalnego Vogla zaroił się od wozów policyjnych, należących głównie do miejscowych sił stanu Maryland. Obok nieoznakowanego radiowozu stał Kombucza w czarnym płaszczu. Widząc, jak wyłaniamy się z budynku, pomachał w naszym kierunku.

Ucieszył mnie jego widok. A nigdy bym się tego nie spodziewał.

– Wygląda na to, że potrzebujesz pomocy medycznej – powiedział detektyw, zbliżywszy się.

Pokręciłem przecząco głową.

– Nic mi nie jest. Dzięki.

Czułem silny ból, ale tylko podczas oddychania. Rozsądek podpowiadał, żeby od razu pojechać do szpitala, poddać się badaniom i upewnić, że ze śledzioną i płucami wszystko w porządku. Kiedyś już oberwałem w kamizelkę kuloodporną. Wiedziałem, czym to może grozić.

Ale rozsądek musiał jeszcze poczekać, czego nawet Mandy nie umiała mi wyperswadować.

Upierała się, że czuje się dobrze. Nie była ranna, nie została wykorzystana seksualnie. Nic jej się nie stało, poza niewygodą sypiania na podłodze w – bądź co bądź – klatce oraz poniżeniem, jakie wiązało się z przymusem załatwienia się do metalowego sedesu w obecności strażnika. Zauważyłem, że wsparcie, o którym opowiadał Vogel, wcale nie dotarło. Może wystraszyło się policji.

– Rasmussen? – Spojrzałem na Kombuczę pytająco.

Kiwnął głową.

– Dał nam uzasadniony powód do przeszukania nieruchomości.

– Myślę, że w piwnicy są akta klientów – powiedziałem. – Mogę na chwilę przeprosić?

Merlin siedział na pace ciężarówki UPS i wyglądał na zdenerwowanego.

- Nick - rzucił na mój widok. - Ja to muszę zwrócić.
- Ciężarówkę?
- Trygona. Ciężarówkę zresztą też.
- Chwila. Daj rękę.

Merlin pomógł mi wejść do kabiny załadunkowej. Wspinając się, zazgrzytałem zębami i jęknąłem.

- Oberwałeś? - zapytał, zauważywszy dziurę w mojej koszuli. Potwierdziłem.

- Cholera - powiedział Merlin. - Nie mogę oddać tego uniformu z taką dziurą.

- A może zapytałbyś: „Wszystko w porządku, Nick?”.
- Wszystko w porządku, Nick?

Pokręciłem głową. Wciąż byłem nabuzowany adrenaliną. I bardzo dobrze. Zapewne tylko ona chroniła mnie przed nieznośnym bólem potłuczonych żeber.

Wcześniej Merlin bardzo uważnie monitorował trygona. Podałem mu numer komórki Vogla, wiedział więc, który z licznych wyłapywanych przez urządzenie numerów - wśród nich nawet te najdalszych sąsiadów - należy śledzić. A potem już tylko patrzył, jak powiększa się lista abonentów, do których Vogel dzwonił.

- Siedem numerów - oświadczył mój kumpel. - Sam zobacz. Obrzuciłem wzrokiem listę.

Jeden rozpoznałem, zgodnie z wcześniejszymi obawami. Zrobiło mi się niedobrze.

Mandy chciała ze mną jechać, musiałem to jednak zrobić sam.

Merlin odwiózł mnie do swojej chaty, gdzie wcześniej pozostawiłem wypożyczonego chryslera. Po drodze prawie nie rozmawialiśmy. Byłem zmęczony. Ludzie Vogla nieomal mnie wykończyli.

Wstąpiłem do Dunkin' Donuts i zatankowałem sporą dawkę kofeiny. Popiłem kawą dwa advile, następnie ruszyłem w kierunku Waszyngtonu.

Jadąc, odsłuchałem nagranie wywiadu, który Mandy przeprowadziła w dzielnicy Anacostia. Zarejestrowała go na swoim iPhone, a potem przesłała mi link, który – dzięki jakiejś czarodziejskiej ajfonowej mocy – pozwolił mi wszystko odtworzyć.

Wcisnąłem guzik „Start” na aparacie i położyłem telefon na siedzeniu obok.

Rozległ się głos bardzo starego człowieka, mieszkańca domu opieki w Waszyngtonie, w dzielnicy Southeast. Mężczyzna nazywał się Isaac Abelard. Przeprowadzając rozmowę, Mandy umieściła dyktafon na ruchomym blacie koło emerytowanego policjanta. Rezultat był taki, że trudno mi było usłyszeć pytania, odpowiedzi natomiast nagrały się prawie bez zarzutu.

Mandy: Kiedy to się wydarzyło?

Abelard: Och, rany, pewnie z pięćdziesiąt, sześćdziesiąt lat temu. Chyba sześćdziesiąt. No tak. Na pewno sześćdziesiąt. Byłem wtedy młodym funkcjonariuszem – ledwie po dwudziestce.

Mandy: [niedosłyszalne].

Abelard: Hm, znałem go, bo mieszkał w tej samej dzielnicy. Dobry chłopak był z niego. Wszyscy o tym wiedzieliśmy. Zawsze uważałem, że albo zostanie kimś wielkim, albo go zamordują.

[śmiech]

Mandy: [niedosłyszalne].

Abelard: Och, nie miałem pojęcia.

Mandy: A dlaczego teraz chce pan o tym rozmawiać?

Abelard: Ponieważ zawsze czułem, że dopuściłem się czegoś złego, tuszując całą tę sprawę. Postąpiłem niewłaściwie. Wydawało mi się, że mam ku temu dobry powód... [niedosłyszalne]. Zgwałcono jego siostrę. A kiedy on się o tym dowiedział, znalazł sprawcę i... go zabił.

Mandy: Jak?

Abelard: Broń kupił pewnie od któregoś z członków ulicznych gangów. W tamtych czasach to było bardzo łatwe, jeśli się znało odpowiednich ludzi.

Mandy: Ale w jaki sposób się pan o tym dowiedział?

Abelard: Ta biedna dziewczyna opowiedziała o wszystkim matce, matka komuś innemu i tak dalej – a ja zawsze wiedziałem, co w trawie piszczy. Miałem swoje źródła, ludzi w lokalnej społeczności, którzy chętnie ze mną gadali i... [niedosłyszalne] tak właśnie przeprowadziłem tę robotę... Wytropiłem go i spytałem: „Młody człowieku, czy to prawda?”. A on się rozplakał. Łkając... powiedział mi, że wydawało mu się, że nikt się tą sprawą nigdy nie zajmie, niczego z tym nie zrobi. I gwałciciel nie zostanie nawet aresztowany. Zapewniłem go, że się mylił, i że powinien mieć większe zaufanie do wymiaru sprawiedliwości, ale... ale kiedy sam się nad tym głębiej zastanowiłem, zdałem sobie sprawę, że on chyba miał rację. Najprawdopodobniej gwałcicielowi by się upiekło.

Mandy: [niedosłyszalne].

Abelard: O tym, co on zrobił, wiedziały tylko jego matka i siostra. Żal mi było chłopaka. Jego siostry też. Ten pieprzony zbok miał kartotekę gwałtów dłuższą niż jego owrzodziały fiut. Przepraszam za wyrażenie. Naprawdę nieładnie to wyglądało. No i podjąłem decyzję. Sprawa nie mogła się roznieść. Jeśli chłopak nie wspomni nikomu o tym, co zrobił, to tak, jakby nic się nie stało. Potem umarła jego matka, a po niej siostra. Zostałem tylko ja, jedyne, który wiedział. Mnie również nie

zostało już dużo czasu. I teraz – po prostu chcę zrobić to, co należy.

Nie byłem umówiony na spotkanie, więc musiałem usiąść na jednej z tych białych skórzanych kanap o ostrych krawędziach w oszklonej, surowej poczekalni. Trwało to prawie piętnaście minut.

Wyszedł po mnie osobiście, zamiast recepcjonistki, co było rzeczą nadzwyczajną.

– Gideonie – powiedziałem – mamy dużo do omówienia.

– W całej tej sprawie chodziło o zdyskredytowanie Mandy Seeger, prawda? – zacząłem.

Wyłożyłem na stół wszystko, co miałem na Parnella, i teraz rozmawialiśmy jak mężczyzna z mężczyzną, zupełnie otwarcie. Nie nosiłem podsłuchu pod ubraniem; dałem mu na to swoje słowo. I jasno sprecyzowałem, że najlepsze, co Gideon może teraz zrobić, to wprowadzić mnie we wszystko.

Siedział wyraźnie przygnębiony, jakby uszło z niego powietrze. Zdawał się starszy o dziesięć lat.

Odparł z wahaniem.

– Oraz o pogrążenie Slander Sheet.

– Wiedziałeś, że Mandy pójdzie tym tropem. Dlatego podrzucałeś jej soczyste kawałki. Zatrutą przynętę.

– Dobry Boże, Nick, wcale tego nie planowałem. To nie tak miało się rozegrać. Nie miałem pojęcia, co zrobią z tą dziewczyną. Napawa mnie to obrzydzeniem.

– Skąd wiedziałeś, że Mandy zamierza porozmawiać z tym starym policjantem?

– Wciąż znam parę osób w Anacostii, Nick. Żyłem w ciągłym strachu, że to wyjdzie na jaw. Nawet nie miałem pojęcia, że Abelard jeszcze żyje. Musi dobiegać dziewięćdziesiątki.

– Ale krążyły chyba jakieś plotki.

– Plotki są zawsze. Powszechnie wiadano, że moja siostra Olivia została zgwałcona jako nastolatka. Ja... W tamtych czasach miałem dość wybuchowe usposobienie. Musisz zrozumieć, jak się wtedy żyło. Kiedy Olivia opowiedziała mi o wszystkim, byłem pewien, że facetowi ujdzie to na sucho. Przecież był biały. Czy Mandy... Nick, czy ona wykorzysta ten materiał?

– Oczywiście, że tak. Teraz płaci jej Ellen Wiley, artykuł ukaże się w Slander Sheet. Calutka historia, od początku do końca. Czyli od zabójstwa człowieka, którego dopuściłeś się jako

szesnastolatek. Zaprzeczysz?

– A gdybym zaprzeczył? Wiesz, jacy są ludzie. Chętnie wierzą w oskarżenia przeciwko tak zwanym możliwym tego świata. Takie stało się nasze społeczeństwo. Nasza kultura. Naprawdę nie chciałem, żeby tej biednej dziewczynie przytrafiło się coś złego. Nigdy, przenigdy nie sądziłem, że ktoś zginie. Moja reputacja... mój honor... są dla mnie niezmiernie ważne.

– Rozumiem. Wiesz co, Mandy zupełnie nie zdawała sobie sprawy, że tu chodzi o ciebie.

– Dojście do prawdy stanowiło tylko kwestię czasu.

Skinąłem głową. Jadąc tutaj, rozmyślałem o tym, co powinienem powiedzieć. Miałem przygotowany opis wypadków, ale nie do końca.

Przed dwoma miesiącami do Mandy dotarła pogłoska, że kilkadziesiąt lat temu pewna gruba ryba z Waszyngtonu dopuściła się zabójstwa, które zostało jednak zatuszowane. Brzmiało to jak historia idealna właśnie dla Slander Sheet, ale równie dobrze mogło to być fałszywym sygnałem i stratą czasu. Mandy zadzwoniła w kilka miejsc. Izlokalizowała źródło informacji: emerytowanego (od dawna) policjanta, który dożywał swoich dni w domu opieki.

Jednakże nie udało jej się z tym człowiekiem porozmawiać, ponieważ nagle wybuchła o wiele ciekawsza afera. Z udziałem sędziego Sądu Najwyższego oraz pewnej dziewczynki na telefon. Historia fałszywa, oczywiście, lecz spreparowana tak, by wytrzymać normalne sprawdzanie wiarygodności nawet przez dobrego dziennikarza.

Integralną częścią planu było podkopanie rzetelności portalu i zdyskredytowanie samej autorki przy udziale wynajętego detektywa, na tyle kompetentnego, że dogrzebie się prawdy. Cała układanka miała się rozsypać, pogrążając zarówno dziennikarkę, jak i plotkarską stronę internetową. Na tym właśnie polegała moja rola. Na zakwestionowaniu tej historii. Tak aby już nikt – nigdy – nie uwierzył w to, co owa reporterka napisze. Ani w nic, co pojawiłoby się na łamach wspomnianego portalu.

Plan nieomal się powiódł.

– Jak to wyglądało, Gideonie? Któregoś wieczoru wypiliście z Jeremiaha Claflinem butelkę old overholta i wygadałeś się o Anacostii? O tym zdarzeniu sprzed wielu lat.

Parnell gapił się na mnie beznamiętnie. Po chwili rzekł:

– WhistlePig.

– Słucham?

Mówił teraz prawie jak automat.

– To nie był old overholt. Nie pijam tego. Butelka w moim gabinecie to tylko podarunek.

– A po kilku latach Claflin zaczął odnosić sukcesy. Awansował na coraz wyższe stanowiska, włącznie z prezesurą sądu. Ty natomiast nie należysz już do wewnętrznego kręgu decyzyjnego. Jak to się stało? Czyżby Claflin szepnął którejś z najbardziej wpływowych osób, że Gideon Parnell ma w swojej świetlanej biografii jeden mroczny punkt?

Czekałem. Gideon długo milczał. W końcu przemówił. Jego głęboki głos był przyciszony.

– Sam nie wiem. Ciągle się nad tym zastanawiałem.

– I to cię strasznie gryzło, niewątpliwie. Dlatego właśnie nazwisko Claflina zostało umoczone w tym całym głównie, zanim oczyszczono je z zarzutów. Chodzi mi o twoją kampanię doprowadzenia do upadku Slander Sheet. Ale wiesz co, Gideonie? Rzecz w tym, że prawdopodobnie jesteś za stary, żeby postawić cię w tej sprawie przed sądem. Po tym wszystkim, co zrobiłeś.

Spojrzał na mnie zranionym wzrokiem. Przyszły mi na myśl słowa mojego ojca. „Wrabiają cię zawsze przyjaciele, nie wrogowie”. Być może ten jeden raz staruszek nie mówił o sobie.

– Vogel już wcześniej prowadził różne dochodzenia dla waszej kancelarii, prawda?

Gideon skinął głową, ale myślami musiał być gdzieś bardzo daleko.

– „Złe czyny ludzi po śmierci ich żyją” – powiedział. – „Dobre najczęściej w grób z nimi zstępują”¹.

Słyszałem już ten cytat z Szekspira.

– Jeśli chodzi ci o zabicie gwałciela twojej siostry, to uważam,

1 Fragment Juliusza Cezara Williama Szekspira w przekładzie Leona Ulricha.

że ludzie rozumieją, dlaczego to zrobiłeś. Dopuszciasz się czynu nagannego z uzasadnionych pobudek.

- Wiesz, kim był Wilbur Mills?

- Mniej więcej. Kongresmanem. W tle jakiś skandal seksualny, striptizerka Fanne Foxe, zbiornik retencyjny Tidal Basin?

- Wszyscy pamiętają go tylko z powodu tego seks skandalu, który zakończył jego karierę. Wymieńmy jeszcze Clarka Clifforda.

- Skandal z bankiem BCCI – rzuciłem ze znużeniem.

- Johna Edwardsa.

- Kochanka, dziecko. Żona chora na raka.

- Johna Towera.

- Hm, senator z Teksasu z problemem alkoholowym.

- Tak. Lista jest długa. Wszyscy ci ludzie coś w życiu osiągnęli.

A jak są pamiętani? Tylko przez pryzmat drobnych skandali. – Parnell otworzył szufladę biurka i spojrzał na jej zawartość. – Życie poświęcone ciężkiej pracy i czynieniu dobra, a wszystko po to, żeby skończyć jako człowiek zhańbiony. – Wyciągnął z szuflady broń, niklowany rewolwer z krótką lufą.

- Przestałeś myśleć logicznie – oświadczyłem.

Ale on już przyłożył broń do skroni.

- Na miłość boską, Gideonie!

Parnell zamknął oczy.

- Jak skończy się ta historia? Jak skończy się moja historia? Wszystko w twoich rękach. I w moich.

- Nie rób tego! – Zerwałem się na równe nogi, usiłując złapać za rewolwer, ale było już za późno.

Widziałem teraz wszystko w zwolnionym tempie.

Pistolet niczym zabawka w olbrzymiej dłoni. Wypielęgnowane paznokcie. Palec wskazujący, który naciska spust.

Zobaczyłem, jak kurek się cofa i staje w pozycji gotowej do strzału. Nieznaczny obrót bębenka, który ustawia się tak, by nowy pocisk mógł znaleźć się w lufie.

Metaliczny szcęk. Kurek opada do przodu, iglica uderza iskrą w spłonkę na tylnej części łuski.

Błysk z otworu lufy, język ognia, a potem obłok dymu, towarzyszący odrzutowi broni.

Eksplozja była bardzo głośna, wciąż jednak zbyt cicha jak na to, co oznaczała.

Poczułem na twarzy coś wilgotnego, gorącą mgiełkę.

Epilog

Gdy wreszcie wypisano mnie ze szpitala, nie mogłem się już doczekać powrotu do Bostonu. Ale nie dane mi to było. Prokuratura zażądała mojej obecności podczas wstępnego przesłuchania Thomasa Vogla. Postawiono mu zarzut podżegania do zabójstwa i udziału w zbrojnej grupie przestępczej. Richard Rasmussen, facet, który zamordował Kaylę i sfingował jej samobójstwo, został oskarżony o zbrodnię pierwszego stopnia.

Władze zamierzały dopilnować, aby Vogel pozostał w waszyngtońskim areszcie przez cały czas trwania rozprawy sądowej. Czyli rok albo dłużej. Dlatego prokuratura musiała wykazać, że podejrzany mógłby uciec i że stanowi on zagrożenie dla społeczeństwa, że może mataczyć bądź utrudniać postępowanie, a nawet grozić świadkom. Miałem się znaleźć na przesłuchaniu na wypadek, gdyby obrona zażądała konfrontacji. Kazano mi czekać w salce konferencyjnej tuż obok sali rozpraw, gdzie chodziłem od ściany do ściany, niczym tygrys w klatce.

Vogel najął sobie najlepszego obrońcę w sprawach karnych w całym Dystrykcie Kolumbii, byłego prokuratora federalnego, o którym mówiono, że to prawdziwy maestro wokandy. Ciekawił mnie ten proces, ale na sali sądowej panował taki rozgardiasz – całe mnóstwo dziennikarzy i widzów – że wolałem ukryć swoją twarz i nie pokazywać się kamerom. Dlatego chodziłem od ściany do ściany w sąsiednim pomieszczeniu.

Nagle było po wszystkim. Usłyszałem głośny gwar, brzęki i stukot, ogólną kakofonię dźwięków. Stałem w drzwiach salki konferencyjnej, ale tak, by mnie nie zmiażdżono. Wreszcie udało mi się dostrzec prokurator prowadzącą tę sprawę. Nie wyglądała na szczęśliwą.

Vogel został zwolniony. Wyszedł za kaucją w wysokości pół miliona dolarów, czyli za grosze jak dla człowieka o takich możliwościach i kontaktach.

Wymykając się z budynku Sądu Najwyższego Dystryktu Kolumbii, z odległości kilkunastu metrów ujrzałem podsądnego; schodził właśnie frontowymi schodami.

Nasze oczy się spotkały. Kiwnął mi głową, zdecydowanie, porozumiewawczo – nieomal przyjaźnie – a potem, celowo, z rozmysłem, udał, że celuje we mnie z pistoletu: uniósł kciuk, a palec wskazujący wymierzył prosto we mnie.

I się uśmiechnął.

Spotkaliśmy się z Mandy na wczesnej kolacji w lokalu Lobby, spelunie z tablicami rejestracyjnymi na ścianach, spowitej odorem frytek, z podłogą klejącą się od piwa. Miałem ze sobą torbę podróżną, aluminiowy neseser na kółkach marki Rimowa upchnąłem pod nogami w restauracyjnym boksie. Z głośników leciała piosenka „Young American” Davida Bowiego.

Kiedy się pojawiła, wyglądała wspaniale. Spięta włosy do góry, założyła perłowe kolczyki, jej cera jaśniała. Na ustach miała ciemnoczerwoną szminkę, która w jakiś sposób pasowała do miedzianych loków.

Mandy zamówiła dietetyczną colę, ja zaś piwo Natty Boh i przez chwilę spoglądaliśmy w telewizor zamontowany na ścianie. W CNN przeprowadzano właśnie wywiad z Jeremiaś Claflinem. Obserwowałem jego gesty, płynne ruchy rąk, smutne oczy, moralizatorsko wygięte łuki brwi, szyty na miarę garnitur. Idealnie zawiązany niebieski jedwabny krawat. Gdy mówił, dolna warga wykrzywiła mu się lekko w dół. Miał bardzo białe zęby. „On był najlepszy z nasz wszystkich” – powiedział Claflin.

Przebiegły, sprytny facet. Podziwiałem gładkość jego wymowy, niemal doskonale ukryte własne ambicje, wszystkie te układne cechy, które wyniosły go na stanowisko w Sądzie Najwyższym. Znał prawdę o Gideonie Parnellu, a jednak wolał uczestniczyć w kłamstwie. Jak zaznaczył senator Brennan, Claflin zasłynął ujednoczeniem wykładni pojęcia mens rea, działania z premedytacją w złym zamiarze. Cóż za uderzająca ironia; przecież w Waszyngtonie wszyscy mają świadomość popełnianych przestępstw, postępowania w złej wierze.

Poprzedniego wieczoru spotkałem się z sędzią w jego gabinecie, aby wypić drinka. Chciał mi osobiście podziękować. Ja natomiast miałem zamiar spytać go o Gideona, o tę wieloletnią, jątrzącą się ranę, która sprawiła, że Parnell wytarzał swojego protegowanego w błocie. Niestety, Claflin wolał zgrywać niewiniątko. Nie miał jakoby pojęcia, o co mi chodzi. Zastanawiałem się: jaki jest jego rzeczywisty stosunek do Gideona po tym wszystkim, co się stało? Na pewno czuł się splełtany wewnątrz, ambiwalentny. Tylko że to słabo wypada w telewizji. Kłamstwo jest bardziej poręczne.

A teraz mówił w CNN o Gideonie, jakim był wielkim człowiekiem.

– Owszem, był – odezwała się Mandy, spoglądając mi prosto w oczy.

– Kim?

– Wielkim człowiekiem.

Kiwnąłem głową. W artykułach, które ukazały się w „Washington Post”, w „New York Timesie” oraz w komunikatach Associated Press podkreślano zgodnie, że Gideon Parnell cierpiał na depresję. Informację tę upubliczniła jedna z osób zatrudnionych w biurze zmarłego, jakby było to coś, co przydaje samobójstwu swego rodzaju logiki. O ile się orientowałem, osoba ta mijała się z prawdą.

Oczywiście nekrologi w prasie zajmowały całe stronicę; powszechnie wspomniano, że Parnell uczestniczył w marszach protestacyjnych razem z Martinem Luthrem Kingiem tudzież grywał w golfa z amerykańskimi prezydentami. Dla mnie człowiek ten był rzeczywiście bohaterem, lecz z głęboką skazą: próżnością, która wyniosła go na wyżyny i która zdecydowała o jego upadku.

Kelnerka przyjęła od nas główne zamówienie. Oboje mieliśmy ochotę na hamburgery. Wziąłem też frytki, Mandy sałatkę grecką.

– Nadal cię boli? – spytała. Pokazała na bandaż na moim karku, gdzie znajdowała się szrama po walce z członkiem grupy Centurionów, którą stoczyłem w piwnicy Vogla.

– To nic takiego – odparłem. – Mam kilka stłuczonych żeber.

– Zawsze myślałam, że kamizelki kuloodporne chronią człowieka.

– Powstrzymują kulę. Ale nie są w stanie złagodzić uderzenia.

Położyła dłoń na mojej ręce, ciepłą i czułą.

– Fajnie jest cały czas występować w telewizji? – rzuciłem, drocząc się trochę.

– Chyba tak. Sama nie wiem. Częściowo mi się to podoba. Ale coś we mnie powiada, że sprzedaję się dla popularności jak dziwka.

– Zawsze możesz odmówić.

Wzruszyła ramionami.

– Kiedy odmawia się zbyt często, przestają już o cokolwiek prosić.

– No właśnie. – Uśmiechnąłem się. – Jesteś w tym naprawdę dobra, Mandy. Masz naturalny talent.

– Dzięki. Nie uwierzyłybyś, jakie oferty dostaję. Rozmawiałam z dwoma agentami literackimi, jednym z William Morris Endeavor, drugim z ICM. Obaj uważają, że są w stanie załatwić mi bardzo fajny kontrakt na książkę. A to znaczy dużo pieniędzy. Jutro występuję w The View. Nagrywam też dla 60 Minutes. Mogę im podać twoje nazwisko? Tym z 60 Minutes?

– Po co?

– Nie bądź fałszywie skromny, Nick. Przecież cholernie dobrze wiesz po co. Ty, tajemniczy człowiek stojący za całym łańcuchem wydarzeń. – Przerwała. – To byłby świetny ruch. Z biznesowego punktu widzenia. Jak myślisz?

Pokręciłem głową.

– Nie, dziękuję.

– Ale przecież rozwiązanie tej sprawy to twój wielki sukces.

Tym razem wzruszyłem tylko ramionami, zażenowany. Gideon i Kayla Pitts nie żyli, Vogel wyszedł za kaucją. Raczej nie czułem się zwycięzcą.

– Jedyną korzyść z tej sprawy odniosłaś ty – powiedziałem.

Zadarła głowę, ciekawa, co dokładnie miałem na myśli.

– Jesteś bezpieczna, rozkwitasz, unosisz się na fali. 60 Minutes, The View...

– Ach, i jeszcze negocjuję z TruTV. Chcą, żebym poprowadziła ich nowy magazyn śledczy o nazwie Spotlight. W świetle reflektorów. Fajnie, co?

– W świetle reflektorów? – roześmiałem się.

– No tak. Wiem, wiem: to właśnie to, czego unikasz. Zdaję sobie sprawę, że to nie jest prawdziwe dziennikarstwo i tak dalej. Raczej dziennikarstwo w wersji light. Ale dla mnie może stanowić szansę powrotu do gry.

– Oczywiście.

Mandy przyglądała mi się przez dłuższą chwilę.

– Tak naprawdę chyba nie pływamy w tych samych wodach, co? Dopilem swoje piwo.

– Co masz na myśli?

– Ty jesteś raczej rybą głębinową. Coś w rodzaju żabnicy czy jak się tam ona nazywa. Mieszkasz sobie parę kilometrów pod powierzchnią, gdzie panują niemal całkowite ciemności i ogromne ciśnienie i gdzie woda jest lodowato zimna.

– Daj spokój, Mandy, ja tylko...

– Nie, mówię serio. – Nie dopuściła mnie do głosu. – Wolisz mrok. Zajmujesz się dochowywaniem tajemnic.

– Tajemnice to moja specjalność. Albo będę ich dochowywał, albo muszę znaleźć sobie inne zajęcie.

– Myślałam, że twoją specjalnością są kłamstwa. Chyba tak mi kiedyś powiedziałeś?

– Przypuszczam, że jedno i drugie.

W ciągu ostatnich dni bardzo dużo myślałem o Mandy. Gdybyśmy mieszkali w tym samym mieście, być może udałoby się nam spędzać ze sobą więcej czasu. Ale ja wracałem do Bostonu, a ona zostawała w Waszyngtonie. Nasze drogi rozchodziły się też w innych aspektach. Mandy Seeger, uprowadzona dziennikarka, przeobrażała się w osobowość telewizyjną i internetową celebrytkę.

Miała rację. Wolałem pozostawać w cieniu. Tam było moje miejsce.

– Jak długo będziesz jeszcze w stolicy? – spytała, bawiąc się słomką.

– Dziś wieczorem mam samolot.

– Dziś wieczorem?

Wskazałem swój podróżny neseser tkwiący na podłodze.

– Mam wiele spraw do nadrobienia.

– A ja muszę jechać do Nowego Jorku jutro wcześniej rano. No tak... O rany.

Wbiłem oczy w blat, w nacięcia i rysy na drewnie. Czułem się nieco otępiały i więcej niż trochę smutny. Może oboje tak się czuliśmy?

– Pewnie następnym razem zobaczę cię w telewizji.

– Nie każ mi o sobie czytać w Slander Sheet.

Zaśmiałem się cicho.

– Ta, jasne. Odwiedź mnie, jeśli będziesz w Bostonie.

– Odwiedzę.

Była to oczywiście pusta obietnica, ale pozwoliłem jej skłamać.

Pożegnaliśmy się po wyjściu z lokalu, obok czekającej na mnie taksówki. Całowaliśmy się długo i wolno, jakby odwlekając nieuchronne; nie spodziewałem się tego. Wcale nie odniosłem wrażenia, że mówimy sobie do widzenia.

Kiedy oderwaliśmy się od siebie, Mandy położyła dłoń na moim policzku.

– Pa, Nick – powiedziała, odwróciła się i lekko mi pomachała.

Potem wsiadłem do taksówki. Nieopodal, z ogłuszającym rykiem, przemknął motocykl. Gdy ruszyliśmy, spojrzałem za siebie na Mandy. Przez tylną szybę patrzyłem, jak odchodzi. Miałem nadzieję, że wymienimy ostatnie spojrzenia, ale nie odwróciła głowy.

Podziękowania

W zbieraniu materiałów oraz podczas pisania tej książki pomagało mi wiele wspaniałych osób, którym pragnę bardzo podziękować. Jeśli chodzi o wiedzę dotyczącą telefonii komórkowej i informatyki śledczej, najbardziej pomocny był Jeff Fischbach. W kwestiach procedur śledczych związanych z przenośnymi aparatami telefonicznymi polegałem na Tomie Slovenskim, w kwestiach hakerskich – na Adamie Hernandezie, a zwłaszcza na Kevinie Ripie. Jeśli chodzi o zabezpieczenia nieruchomości, zamki, kłódki i wytrychy, dziękuję Markowi Weberowi Tobiasowi, Jeffowi Dingle’owi (raz jeszcze), a także Kevinowi Murrayowi. Ochrona hoteli: wyrażam wdzięczność Jeffreyowi Saundersowi z Saunders Hotel Group, Jonowi Estabrookowi z hotelu Lenox, Jimowi McGlynnowi z Engineering PLUS oraz Fredowi Juranowi z firmy Kaba.

Niezwykle pomocny był również Jay Groob z American Investigative Services, podobnie zresztą jak Dick Rogers, Jack Hoban, Matthew Fleming i Sean Murphy z „Boston Globe”. Jeśli chodzi o Dystrykt Kolumbii, składam podziękowania Kennethowi Cumminsowi z Capitol Group, Robertowi „Buzzowi” Gloverowi z waszyngtońskiej policji metropolitalnej, a także – przede wszystkim – Jamesowi Trainumowi.

W zakresie portali plotkarskich pomagali mi: Ben McGrath z „New Yorkera” oraz Gaby Darbyshire. Za konsultację latynistyczną dziękuję doktorowi Williamowi L. Danielowi i Mattowi C. Abbottowi. Pomoc prawną zapewniali mi Martin Garbus oraz – ponownie – Jay Shapiro z kancelarii White & Williams. Wielkie dzięki składam genialnemu juryście Leonowi Katzowi z Wydziału Prawa Uniwersytetu Pensylwanii za wskazówki dotyczące działania w złej wierze. Jak zawsze nieocenioną pomocą w zakresie wszelkich możliwych materiałów źródłowych służyła mi Clair Lamb, w tym kwerendy

dotyczącej Dystryktu Kolumbii. Dziękuję również Karen Louie-Joyce i mojemu dobremu przyjacielowi Rickowi Weissbourdowi, Stanford, rocznik '79.

Za pełne miłości wsparcie składam wyrazy wdzięczności żonie, Michele Souda, oraz naszej córce, Emmie J. S. Finder. Jeśli chodzi o wydawnictwo Dutton, dziękuję Amandzie Walker, Carrie Swetonic, Jess Renheim, szczególnie zaś Benowi Sevierowi. I wreszcie ogromne dzięki na ręce mojego fantastycznego agenta Dana Conaway z Writers House, a także brata, Henry'ego Findera.

Joseph Finder